



Henryk Maziejuk przyszedł na świat w 1935 r. w Jagodnicy, niewielkiej wsi położonej niedaleko Białej Podlaskiej. Po śmierci rodziców musiał wcześniej rozpocząć samodzielne życie - jako uczeń Liceum Pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej, a po kilku latach - absolwent tej zasłużonej dla regionu szkoły. W 1954 r. został przyjęty na studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim.

Nigdy nie zapomniał o swym chłopskim pochodzeniu. Ta pamięć i tradycje środowiskowe sprawiły, że wcześniej podjął działalność w Ludowych Zespołach Sportowych, w odrodzonym Związku Młodzieży Wiejskiej, następnie w Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym, by - po 1989 r. - do końca działać w Polskim Stronnictwie Ludowym. Pracę zawodową podjął, po ukończeniu studiów, w Olsztynie, w „Gazecie Chłopskiej” i „Dzienniku Ludowym”. W 1968 r., po przyjeździe do Warszawy, pracował w „Zarzewiu” i „Razem”, potem w tygodniku „Perspektywy”. Świadectwem jego wyteżonej i owocnej pracy w tamtym okresie są setki materiałów dziennikarskich oraz reportaże, zawarte w książkach: „Kto mnie wychowuje”, „Zawiść” i „Pokusa”. Przez wiele lat działał w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. W 1984 r. z powodu złego stanu zdrowia przeszedł na rentę, ale mimo to nadal pisał, działał w organizacjach społecznych. Był szanowany za uczciwość, lojalność, skromność, dochowywanie przyjaźni.

Często odwiedzał wieś rodzinną, uczestniczył w zjazdach absolwentów Liceum w Leśnej Podlaskiej. W ostatnich latach życia wspólnie z bratem Janem napisał i wydał dwie książki: „Jagodnica” i „Cmentarz unicki w Terzeli” - o swej wsi, w której się urodzili i „małej ojczyźnie”, w której dorastali. O swym życiu i Rodzicach napisał także w kolejnej książce pt. „Urodzony w czepku?”.

Nie dane mu było ujrzeć swej ostatniej wydanej książki - „Słowa, jak skiby...”. Zmarł w nocy z 24 na 25 listopada 2009 r.

ISBN 978-83-923458-2-7

Henryk Maziejuk • „Słowa, jak skiby...” • Tom II

HENRYK MAZIEJUK



Słowa,  
jak skiby...

# Słowa, jak skiby...

Wspomnienia

Tom II



Henryk Maziejuk

Słowa,  
jak skiby...

Wspomnienia

Tom II

Jagodnica 2010

Wydano nakładem autora

**Tekst**

**HENRYK MAZIEJUK**

**Zdjęcia i reprodukcje**

JAN MAZIEJUK

HENRYK MAZIEJUK

Archiwum rodzinne

**Korekta**

TADEUSZ MARTYCHEWICZ

**Projekt okładki**

**Skład komputerowy**

ARTUR WRÓBLEWSKI

**Wydanie I**

Nakład 150 egz.

Copyright by Henryk Maziejuk

**ISBN 978-83-923458-2-7**

Jagodnica 2010

**Druk**

„BOXPOL”, ul. Wiejska 28

76-200 Słupsk

*Moim najbliższym  
- Kochanej żonie Hali i córce Elżbiecie  
dedykuje autor.*





# I. PRZEKUWANIE LOSU

## *Szansa warunkowa*

Zostałem, jak Antek i Janek, moi bracia, w 1950 r. kompletnym sierotą. Mama umarła w dziesięć lat po śmierci ojca. Straciłem chęć do życia. Ciężka choroba mamy zwiastowała jej przedwczesną śmierć, jednakże załamałem się całkowicie.

Gdy moi rówieśnicy szykowali się do rozpoczęcia nowego roku szkolnego, ja miałem w oczach obłąd. Zawładnęła mną mroczna pustka. Ukojenia szukałem w ciężkiej pracy, która pozwalała mi zasypiać twarzym snem. Albo otępiały - wałęsałem się po łące i pośród krzaków.

Wydawało mi się, że współmieszkańcy Jagodnicy, mojej rodzinnej wioski, obserwują mnie z politowaniem, przekonani, że zły los skazał mnie i moich braci na poniewierkę i utrapienie. Jakby coś ciężkiego, przytłaczał mnie ich wzrok, każąc szukać zbawienia w Bogu.

Wskutek tej śmierci moje zamierzenia odnoszące się do kontynuowania nauki wzięły w łeb, gdyż - jak pisałem - nie załapałem się na listę uczniów Państwowego Liceum Pedagogicznego im. Stanisława Staszica w Leśnej Podlaskiej. Ponadto nie miałem ani głowy, ani bodźców, żeby gdzie indziej szukać dla siebie szansy, chociażby w szkole zawodowej.

Pozostanie w gospodarstwie nie wchodziło w grę. W naturalny sposób przejął ją Antek, gdyż mu się należała. Była za mała, aby mogła zostać podzielona. Nie potrafiłem zresztą wyobrazić sobie, żebym mógł być rolnikiem. Brakowało mi po temu zamiłowania, przekonania i sił. Mama, kiedy jeszcze żyła, upatrywała dla nas obu, Janka i mnie, wyjście poza wieś.

Długo później, już po restauracji kapitalizmu w Polsce, nasza rozmowa - Antka i moja - schodziła nieraz właśnie na temat tego, cośmy przeżyli dotychczas. Wspominając początki Jankowego i mego startu w przyszłość, Antek powiadał:

- A jakby to było z nami, gdyby wcześniej, jak teraz, panował w Polsce kapitalizm? Co spotkałoby nas biedaków? Przecież nie byłoby nas stać na to, żebyś się wyuczył. Ja pozostałbym na gospodarstwie, a co byłoby z tobą i Jankiem? Któż wie, może zostałbyś jakimś rzemieślnikiem, a być może urzędnikiem czy sprzedawcą





*Leśna Podlaska. Z lewej - siedziba Państwowego Liceum Pedagogicznego, w którym się uczyłem, a w głębi - kościół barokowy ojców paulinów pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła. Natomiast w centrum zdjęcia - miejsce straceń Polaków, dokonanych przez hitlerowców podczas niemieckiej okupacji.*

w sklepie, jeśli nie pastuchem albo wyrobnikiem. Na pewno jednak nie redaktorem!

W naszych rozmowach przeszłość wracała nieraz. Ta, w której nie brakowało zła i głupoty, wielu niedorzeczności, ale też było niemało dobra. Był optymizm i była nadzieja. A dla takich biedaków jak my istniały możliwości awansu społecznego.

Antek, bardziej zaradny, a do tego odważny i obrotny, chodził do dyrektora leśniańskiego liceum, by prosić go o warunkowe przyjęcie mnie do tej szkoły. Z taką samą prośbą była tam również moja matka chrzestna - ciocia Paulina Misiejuk, siostra mamy. Dążenia te wspierał sołtys Jagodnicy. Być może były też inne interwencje.

Kazimierz Horbowiec, ówczesny zastępca dyrektora liceum, był człowiekiem wrażliwym i przystępnym. Pochodził z chłopskiej rodziny w pobliskich Bukowicach. Leśniańskie Seminarium Nauczycielskie ukończył w 1935 roku (a więc wtedy kiedy ja się urodziłem), chodząc do szkoły na piechotę.

Pelen strachu, chociaż także nadziei, udawałem się w połowie września 1950 r. na umówione spotkanie z nim. Nauka już trwała w liceum. Wszedłem do jego gabinetu, miętosząc w rękach czapkę. Widząc

chłopca zalęknionego i zmizerowanego, Horbowiec posadził mnie na krześle, chcąc zapewne, żebym ochłonął. Był to miły i taktowny pan. Co myślał o mnie, tego nie mogłem wiedzieć, jednak na pewno pragnął mi pomóc. Zapamiętałem, iż w trakcie rozmowy powiedział spokojnie:

- Zostaniesz przyjęty do naszego liceum. Jednakże na zasadzie wyjątku. Pod warunkiem, że dasz sobie radę... Jeżeli wykorzystasz tę szansę, będzie to twoje zwycięstwo, a jeśli przegrasz - twoja wina.

- Od kiedy mogę rozpocząć naukę? - spytałem wzruszony.

- Już od najbliższego poniedziałku - stwierdził Horbowiec.

Na moim obliczu rysowało się zapewne zadowolenie. Lecz dyrektor, widząc me wzruszenie, dodał z naciskiem:

- Warunek jest prosty: gdy na półroczu dostaniesz dwójkę choćby z jednego przedmiotu, wykreślimy cię z listy uczniów!

Uświadomiłem sobie, że zadanie jest bardzo trudne, możliwe jednak do spełnienia. Ja muszę - powziąłem wówczas postanowienie - poradzić sobie, będę trzymać się rękami i zębami, żeby niczego nie przegapić. Jakby domyślając się mego wewnętrznego postanowienia, Kazimierz Horbowiec - a był przecież wytrawnym pedagogiem - mobilizował mnie dodatkowo słowami:

- Ja wierzę, że dasz sobie radę. No, ale musisz być twardy i wytrwały. Pracowity i uparty. Jak chłop na zagonie. Jeżeli wytrwasz, zapewniam, że będziesz kontynuował naukę...

Zapamiętałem te słowa. I to, że na odchodne Kazimierz Horbowiec uściskał moją dłoń, dodając:

- Liczę, chłopcze, na twoje powodzenie!

Zrozumiałem, iż nie mam prawa zawieść okazanego mi zaufania. Wiedziałem, że zrobię absolutnie wszystko, na co będzie mnie stać, żeby nie ugiąć się pod ciężarem obowiązków i wymagań, jakie na mnie spadną. Z tym przekonaniem, odprężony i uradowany, wracałem jak na skrzydłach do domu, który był pusty i smutny.

Wstąpiłem na cmentarz. Zwierzałem się mamie przy jej mogile z kłębiących się myśli i wrażeń. Prosiłem ją, by - jeśli może - pomagała mi zza grobu w nauce. Na jej grób poprzysięgłem, że nie zmarnuję okazanej mi szansy...

Maminą mogiłę pokrywał żółty piasek. Ocierałem łzy z żalu i smutku, bo tęskniłem za nią i dotkliwie mi jej brakowało.

Nadzieja mieszała się z wątpliwościami. Obawiałem się czy nie powinie mi się noga, czy wyzwanie losu nie okaże się nadmiernie trudne?

Zszedłem z drogi, by wejść do grabinowej części lasu, skąd do Witulina było już niedaleko. Las mnie nie zawiódł. Uzbierałem sporo dorodnych grzybów, koźlaków i prawdziwków, które włożyłem do lnianego worka, z jakim się nie rozstawałem, by zanieść je do domu. Janek ugotował na nich zupę.

Szedłem z podniesioną głową, pogodniejszy aniżeli ostatnio. Wracałem drogą przez wieś, a nie - jak zwykle - na skróty, przez łąki i bagna lub poza ogrodami. Tak, jakbym nie musiał już wstydzić się ludzi. Lecz oni o niczym jeszcze nie wiedzieli.



*Gmach szkoły zbudowany w okresie zaboru rosyjskiego w końcu XIX wieku, w którym prawosławne zakonnice prowadziły nauczanie młodzieży obliczone na rusyfikację Polaków. Po odrodzeniu Polski ulokował się tutaj ośrodek kształcenia nauczycieli. Najpierw było to seminarium nauczycielskie, a później Państwowe Liceum Pedagogiczne, w którym się uczyłem. Obecnie znajduje się tutaj liceum ogólnokształcące i zespół szkół rolniczych.*

Byłem pozbawiony, nie licząc braci, kogoś bliskiego i zaufanego, czułego i ciepłego, komu mógłbym zwierzyć się ze swoich myśli i uczuć. W kim znalazłbym wsparcie i pocieszenie. Sam musiałem dlatego borykać się z nadzieją i wątpliwością. Byłem i pozostałem na długo samotnikiem. Czego bym nie uczynił, czego nie pominął i o co nie zabiegał - będzie to odtąd zależało wyłącznie ode mnie. Sam sobie zostałem sterem i żeglarzem.

## *Kłopoty nierównego startu*

Zaczął się ów nowy rozdział mego życia od październikowego poniedziałku 1950 roku. Przyodziawszy podniszczone ubranie, gdyż takie tylko posiadałem, udałem się w zdartych butach do leśniańskiego liceum pedagogicznego. Wsiadłem na klekoczący Antkowy rower i popedałowałem nim raniutko przez Witulin i mroczny las, obok cmentarza. Doturłałem się do szkoły przed czasem, przepełniony nadzieją i obawą. Gdybym miał zegarek, nie pospieszałbym nadmiernie, regulując odpowiednio tempo. Zdążyłem jeszcze wejść na pacierz do kościoła.

Naukę rozpocząłem w klasie I „c”. Zaprowadził mnie tam i przedstawił uczniom zastępca dyrektora liceum Kazimierz Horbowiec. A ponieważ byłem szczupły i mizerny, nieduży, usiadłem w trzeciej ławce od przodu, mając za sąsiada Tadeusza Marczuka. Moją uwagę zwróciły jego głęboko osadzone, ciemne, małe oczy, odczuwalnie skośne, a ponadto czarne i grube włosy. By może ujawniła się domieszka tatarskiej krwi, co u podlasiaków było czymś normalnym.

Tadeusz okazał się dobrym uczniem i sumiennym kolegą. Dzieliąc z nim ławkę przez cały okres nauki, trwającej wtedy cztery lata, nigdy



Rok 1952, klasa III „C”. Na zdjęciu siedzę (od lewej, na dole) jako drugi uczeń. Na ścianie widnieją dwa znaczki młodzieżowe - ZMP i Komsomołu, a także dwa hasła: „Młodzieży łącz się w walce o trwały pokój” i „Wytyżoną nauką i pracą uczcimy III Kongres Pokoju”.

nie miałem powodów do swarów między nami. Za znamienne uznać mogę, że po ukończeniu liceum już nigdy nie spotkałem Tadeusza.

Z klasą „c” związany byłem przez cały okres nauki. Jak dwie pozostałe równoległe klasy, także nasza była nazbyt liczebna. Wynikało to zarówno z zapotrzebowania regionu na kadrę nauczycielską, jak też stąd, iż nacisk młodzieży na naukę był duży. Zwłaszcza wśród dziewcząt i chłopców wywodzących się z chłopskich rodzin. Jedna z trzech klas była wyłącznie żeńska.



*Koledzy z którymi uczyłem się w leśniańskim liceum. Od lewej: Stefan Sęk, Stanisław Szołucha i Czesław Korniluk.*

okazało się zaś trudniejsze od przypuszczeń.

Ujawniły się braki wyniesione ze szkoły podstawowej w Witulinie. Byłem tam uczniem bardzo dobrym, a tutaj? Na początku ledwie średniakiem. Natrafiałem na tematy i całe partie materiału objętego programem nauczania, które były mi zupełnie obce, gdyż zostały pominięte. Na własnej skórze odczułem, jak dotkliwe skutki powoduje nierówny start absolwentów szkół podstawowych.

Poczułem się rażniej, widząc znajomych uczniów. W klasie, do której zostałem przyłączony, był Staszek Szołucha z Jagodnicy i Gienek Korniluk z Witulina, zaś w innej Stefan Sęk - też z Witulina - i Tadek Maziejuk, mój bliski krewniak z Terebeli. Znajomi zasiadali także w klasach starszych: Zdzisław Czyrak z Jagodnicy i Roman Pykacz oraz Józef Gierelo z Witulina.

Co prawda nie bez kłopotów i wcale nie tak szybko, jednak wtapiałem się w szkołę i uzyskiwałem uznanie. Nadal było mi jednak trudno pogodzić się ze śmiercią mamy.

Uwagę i siły podporządkowałem głównemu celowi: utrzymać się w szkole i nie dać zepchnąć na margines. Ewentualność rozstania z liceum przerażała. Zadanie



Musiałem nadrabiać zapóźnienia, a jednocześnie dotrzymywać kroku bieżącym obowiązkom. Ponadto zaszła potrzeba eliminowania jaskrawych braków i niedociągnięć w zakresie ogłady ogólnej, poprawnego wyrażania się i zachowania.

Pracowałem za trzech. Pilnowałem zwłaszcza, aby nie zaniebywać niczego, co odbywa się podczas lekcji i czego wymaga się od uczniów na bieżąco. Nastawiłem się na rozumowe pojmowanie tematów i zagadnień, działań czy ćwiczeń, a nie na wyklepywanie ich na pamięć. Czego sam nie byłem w stanie zrozumieć, tego dociekałem u nauczycieli i kolegów. Kierowałem się zasadą: pojąć i zrozumieć, utrwalić i zapamiętać - to najważniejsze w nauce.

Na naukę przeznaczałem każdą chwilę. Zamiast spędzać beztrudnie czas, brałem do ręki zeszyty, podręczniki i książki objęte lekturą. Gdy koledzy zabawiali się grą w piłkę, ja ślęczałem nad książkami. Dużo czasu pochłaniały mi przyjazdy do szkoły i powroty do Jagodnicy. Często dukał głód. Po byle jakim śniadaniu, którym była najczęściej cienka zupa, następny posiłek spożywałem dopiero po powrocie ze szkoły, jeżeli Janek zdążył go przygotować. Zazwyczaj nie zabierałem ze sobą kanapek. Inna sprawa, co było mi na rękę, że Antek oszczędzał mnie w gospodarstwie. Pomagałem mu jedynie wtedy, kiedy w polu albo na podwórku było coś pilnego do wykonania. Dzięki temu nauka także w domu była na pierwszym miejscu.



*Zabawa mnie nie pociągała. Ślęczałem nad książkami, a i daru do popisów scenicznych nie posiadałem. To zespół „Krakowiaków i Górali” z mojej klasy.*

Często i długo siedziałem przy kopcącej lampie naftowej. Na szczęście nauka sprawiała mi satysfakcję. Jeżeli coś przeszkadzało, to nie ból głowy albo zmęczenie, ile pieczenie oczu wskutek słabego światła. Jagodnica doczekała się elektryczności dopiero w 1957 r.

Pierwsze tygodnie w szkole okazały się trudne i niepewne. Świadomy braków, starałem się unikać kompromitacji i nie ujawniać słabości. Wypowiadałem się jedynie wtedy, kiedy wzywał mnie do tego nauczyciel albo gdy byłem absolutnie pewny, iż się nie mylę.

Stawałem się uczniem solidnym i pewnym siebie. Zorientowałem się, że bliższe są mi przedmioty humanistyczne i społeczne, zaś odczuwalnie mniej ściśle. Najgorzej, od samego początku, wychodziło mi ze śpiewem. Brakowało wycucia rytmu i melodii, także odczytywania nut, nie mówiąc już - wskutek wrodzonego braku dobrego głosu i słuchu - o poprawnym śpiewaniu.

Gdy nauczyciel muzyki, Józef Wyszyński, człowiek delikatny i ujmujący, który spędził długie lata wśród mandżurskich Chińczyków w Mukdenie, podsuwał mi pod ucho kamerton, by ułatwić mi tym sposobem pochwylenie melodii, głos wiązał mi w gardle i wydobywało się z niego coś zupełnie niewyartykułowanego. „Bemol”, jak go nazywaliśmy, z niedowierzania kręcił głową i podchodził natychmiast do którejś z dziewcząt, bym brał ją za wzór. Pocieszające było jedynie to, że nie byłem pod tym względem osamotniony. Muzycznych analfabetów było wśród chłopaków więcej. Z rysunkami - dla odmiany - radziłem sobie nieźle.

Pamiętając o warunkowym pobycie w liceum, chciałem za wszelką cenę uniknąć ocen niedostatecznych. Zdarzały się co prawda oceny słabsze i marne, szczęśliwie jednakże udawało się unikać „dwójek”, których obawiałem się najbardziej. W miarę jak wzrastało we mnie poczucie pewności - mijały i te obawy. Ustabilizowały się też koleżeńskie kontakty.

## *Krzyże i ideologia*

Wkrótce okazało się - co dla mnie było dużym zaskoczeniem - że istotnie są nie tylko postępy w nauce, bo ważna stała się także ideologia. Z jej drapieżnością zetknąłem się po raz pierwszy w życiu. Towarzyszyła mi ona aż do matury. Przybierała różne formy i oblicza, kierując się wątlymi w istocie zasadami. Zaczęło się od zwalczania religii. Zrazu niepozorna i podstępna, z czasem stała się ta walka jednoznaczna i drastyczna.



Przyszło nam oto odstąpić od religii na rzecz hymnu ZMP. Kiedy jeszcze obowiązywała religia, lekcje rozpoczynały się każdorazowo od głośnego odmawiania pacierza. Teraz stało się inaczej. Ze ścian pozni-kały krzyże. Ktoś ustalony, gospodarz klasy czy lider ZMP, intonował głośno - gdyśmy stali, jak w przypadku modlitwy - śpiew rozpoczyna-jący się od słów: „Naprzód młodzieży świata...”

Zamiana modlitwy na młodzieżową „Międzynarodówkę” nie przebiegała bezkonfliktowo. Na początku przybrała formę licytacji: gdy jedni uczniowie pozostawali wierni modlitwie, drudzy bezcere-monialnie obstawali za piosenką ZMP. Licytacja podlegała głównie na przekrzykiwaniu się obu stron. Nie rzutowało to na wzajemne stosun-ki młodzieży, choć wyglądało komicznie, ale aktywiści skrzętnie notowali w pamięci kto jaki jest. Zaliczałem się do odmawiających modlit-wę. Nie tyle, jak się wydaje, z uwagi na mocne zakorzenie wiary, ile z przekory, która była mi zawsze bliska.

Stawiało to w głupiej sytuacji nauczycieli. Sterczeli przed drzwia-mi klas lekcyjnych, trzymając w rękę dzienniki. Czekali aż ustana namiętności, by wejść do środka, kiedy zapanuje spokój. To przeko-marzanie się trwało może dwa lub więcej lat. Aż do dnia, w którym zapadło postanowienie dyrekcji szkoły, być może pod naciskiem or-ganizacji ZMP, albo dla zachowania powagi, że oto następuje koniec dowolności postaw i odtąd śpiewanie hymnu ZMP staje się obowiąz-kiem. Było to ustępstwo na rzecz laicyzacji liceum i pozycji ZMP.

Umacnianiu tej tendencji sprzyjało przyjsie do szkoły kilku świeżo upieczonych absolwentów warszawskiej Wyższej Szkoły Pe-dagogicznej, wśród których byli też aktywiści ZMP. Opiekując się uczniowskimi kołami tej organizacji, zachęcali i mobilizowali do bar-dziej stanowczej aktywności ideologicznej, jak też klarownych postaw ideowych.

Młodzi nauczyciele, w tym mocno napaleni, zastępowali starszą kadrę pedagogów i wychowawców, mających wieloletnie doświadcze-nia i poważanie wśród uczniów. Już przed wojną byli wykładowcami i wychowawcami istniejącego tutaj Seminarium Nauczycielskiego, na bazie którego powstało Państwowe Liceum Pedagogiczne. Semina-rium Nauczycielskie powstało już w 1919 roku i odegrało bardzo waż-ną rolę edukacyjną i kulturotwórczą w Leśnej Podlaskiej, promieniu-

jąc na całą okolicę. Pedagodzy i absolwenci tej placówki, wychowani w patriotycznym duchu, zdali pomyślnie egzamin - czasem za cenę życia i utraty zdrowia - podczas wojny i hitlerowskiej okupacji.

Wśród uczniów cieszyli się dużym autorytetem i uznaniem. A odchodzili nie dlatego, że sami rezygnowali z pracy, gdyż byli zmęczeni, lecz wskutek nacisków. Zostali do tego przymuszeni przez ówczesną władzę. Był to bowiem, a właściwie dopiero się rozpoczął, okres, kiedy wszystko co dawne i stare, tak idee, jak i ludzie, było źle widziane i traktowane. Chodziło o to, by pojawili się ci, którzy inaczej - to jest wedle socjalistycznych zasad - widzą świat. Otworem stanęły szkolne drzwi przed młodymi nauczycielami, których określałem mianem janczarów.



*Na szkolnym dziedzińcu chłopcy z mojej klasy przed pierwszomajowym pochodem. Na tę okazję niektórzy włożyli zielone koszule i czerwone krawaty. Ja też - stoję jako drugi od prawej - należałem do ZMP.*

Każda władza ma zaś takich janczarów, na jakich zasługuje. A ci młodzi ubodzy w doświadczenia, ale pewni ideowo, nie znali ani taktu, ani ustępstw. Potrafili z butami wdzierać się do sumień młodzieży.

Uczniowie starszych klas, bardziej rozumni i doświadczeni, żalowali odchodzącą kadrę. Młodzi zaś, chcąc nie chcąc, przystawali na

nowe obyczaje i zaprowadzane porządki. Znalazłem się - wbrew swojej woli - w wirze tych wydarzeń, które przybrały wypaczoną formę kształtowania postaw i poglądów.

Wprawdzie mało kto odważył się wyrażać sprzeciw, stało się jednak praktyką, iż każdy uczeń - wcześniej albo później - stawał się członkiem ZMP. Niewiele było odstępstw od tej normy. Ja też oczywiście należałem do tej organizacji. Sprawilem sobie zieloną koszulę i czerwony krawat. Na szczęście długo nie chodziłem w tym stroju. Przystąpienie do ZMP postawiło mnie zresztą w niezręcznej sytuacji.

Paulina Misiejuk, moja matka chrzestna, troszcząc się o mnie wyjednała w klasztorze ojców paulinów, a była kobietą głęboko wierzącą, zgodę bym spożywał tam darmowe obiady. Po lekcjach przekraczałem dlatego żelazną furtkę w murze oddzielającym licealną od klasztornej i udawałem się do stołówki. Zjadałem ciepłą strawę, jaka na mnie czekała, by następnie powrócić do Jagodnicy.

Była to dla mnie duża ulga. Lecz tylko do czasu, zanim szkolni ZMP-owcy nie podpatrzyli moich codziennych wędrówek do paulinów, które wydały się im podejrzane. Zwrócili więc mi uwagę, że postępuję mało roztropnie, ponieważ stosuję staroświecką praktykę modłów i mogę dlatego stać się łatwo „redakcyjnym zakałą”. A dla takich - podkreślali - w ZMP nie ma miejsca.

Ponieważ przestroga nie poskutkowała, reakcja stała się stanowcza i groźna, gdyż burząca w domyśle moją perspektywę. Powiedziano mi wprost: „ZMP



*Spotkanie ze szkołą, koleżankami i kolegami - 50 lat po maturze. Od lewej: Witold Bondaruk i Stanisław Szotłucha, między nimi Mela, żona Witka. W tle: z lewej internat dziewcząt, w środku internat chłopców, a z prawej - szkoła ćwiczeń. Budynki zajmowane dawno temu przez prawosławne mniszki, obecnie niszczonej.*

może spowodować, iż wykluczony zostanę z liceum pedagogicznego”, które - padało takie określenie - ma obowiązek kształcić wyłącznie nauczycieli postępowych. Ja nie mógłbym uchodzić za takiego, gdybym nie miał się poprawić. Sytuację tę odczuł dotkliwie Józef Gierelko z Witulina, który ukończył wprawdzie leśniańskie liceum pedagogiczne, lecz podstępnie pozbawiony został prawa wykonywania zawodu. I to właśnie z uwagi - jak określono - na swoją klerykalną postawę.

Tak oto pojawiły się przede mną marne widoki. Chcąc ich uniknąć, zaszarżowałem ostro mówiąc, iż przestanę chodzić do paulinów wtedy, kiedy zapewnione zostaną mi posiłki w szkolnej stołówce. I do prawdy nie wiem, co zadziało, ani też kto upomniał się o mnie, ale szkoła umożliwiła mi korzystanie z nich.

### *Furtkę do internatu*

Gdy zima zaczęła dawać się we znaki, często spóźniałem się na lekcje, gdyż nie sposób było jeździć rowerem, a wyprawa piechotą była uciążliwa. Odezwało się wtenczas nowe zagrożenie. Na lekcje wpadałem zmęczony i spocony, co negatywnie odbijało się także na nauczaniu. Lecz, dzięki Bogu, szczęście znowu uśmiechnęło się do mnie. Zaproponowano mi bowiem pobyt w internacie, co zaakceptowałem ochoczo, gdyż zapewniało to więcej czasu na naukę i łatwiejszy dostęp do biblioteki.

Antek, mój starszy brat, zdążył już się ożenić, chociaż trwała jeszcze żałoba po śmierci mamy i nie ukończył 18. roku życia. Sytuacja zmusiła go jednak do tego, by odstąpił od ograniczeń, ponieważ w domu i gospodarstwie brakowało kobiecych rąk. Za żonę wziął dziewczynę ze Sławacinka Starego, odległego o kilka kilometrów od Jagodnicy.

Franciszka Dmitrukówna odznaczała się urodą i dobrym usposobieniem, a była do tego pracowita i umiała szyć na maszynie, co wzbogacało jej zalety. Byli tacy, którzy powątpiewali czy dobrze czyni, przystając na harówkę.

- Ja też się obawiałam - wyznała po latach - bo wiedziałam przecież, co mnie czeka. Bałam się nadmiaru obowiązków, które spadną na mnie, gdyż to było nie tylko gospodarstwo, całkiem niemałe, ale na-

leżało jeszcze poprowadzić dom, w którym znajdowali się dwaj bracia Antka, młodzi i wymagający opieki. Postanowiłam jednak, że muszę dać sobie radę.

I, bo co do tego nie pozostawała żadna wątpliwość, Franja sprostowała obowiązkom. Zapewniała nam wikt i opierunek. Obszywała nas, wyrabiała nam swetry i łątała dziury. Uzyskaliśmy od niej dużą pomoc. Bieg wydarzeń ulżył jej w obowiązkach. Pojawiły się natomiast swoje dzieci. Najpierw Zbyszek, potem Marysia i na końcu Urszulka.

Z rodzinnego domu - na razie tylko okresowo - pierwszy wyprowadziłem się ja. Po dwóch latach na taki sam krok zdobył się Janek. Odszedł po ostrej awanturze z Antkiem.



*Koledzy z klasy „C” leśniańskiego Liceum Pedagogicznego w 50 lat od zdania matury. W środku Michał Piasecki, przez cały okres nauki będący samorządowym gospodarzem klasy. Pierwszy z lewej - Stanisław Szotucha, pierwszy z prawej - Witold Bondaruk.*



*Franciszka Dmitruk (z prawej, pierwsza od góry) wtedy jeszcze nie wiedziała, czyją żoną zostanie. Znajduje się w gronie młodzieży ze Sławacinka podczas wesela.*



Poza żelaznymi łózkami, pamiętającymi zapewne prawosławne mniszki, w internacie brakowało wszystkiego. Najważniejsze było jednak miejsce, które zostało mi zapewnione. Frania utkała na krosnach, należących uprzednio do mamy, płótno z lnianego włókna, z którego uszyła także prześcieradła i poszwę na siennik oraz kołdrę. Zrobiła poduszkę i ręczniki. Poszwę Antek wypchał słomą - i tak powstał siennik zastępujący materac.

To wszystko włożyliśmy na furę. Antek zaprzął do wozu pocztowego „Siwka”. I tak - turlając się po grudach wyboistej drogi, turkocząc po kamiennym bruku - zajęchaliśmy na przyszkolny dziedziniec. Pościel wnieśliśmy do pomieszczenia w internacie, które było obszerne i mieściło się na piętrze budynku przylegającego do klasztornych murów. Podczas zaboru zajmowały go prawosławne mniszki. Kościół zamieniono wtedy na cerkiew, zaś żeński zakon prawosławny oprócz sławienia prawosławia zajmował się wszechstronną działalnością oświatową i gospodarczą.



*Zanim się pobrali: Franciszka Dmitruk i Antoni Maziejuk.*

Nawet nie przypuszczałem, że to początek trwałego rozstania z rodzinną chałupą. Zakładałem wprawdzie, że gdy minie zima i zacznie przygrzewać słońce, opuszczę internat, żeby znowu wsiąść na rower, lecz tak się nie stało. Powracałem do Jagodnicy na święta i ferie, zwłaszcza wakacyjne, zawsze były to przerwy w marszu ku górze.

Z czasem przywykłem do rozstań, jakkolwiek przyprowadzają mnie one dotąd o niemiłe wrażenia.

Związałem się z grupą rówieśniczą - i było mi z tym dobrze. Jednakże, będąc nawet daleko od Podlasia, nie zrywałem kontaktów z rodzinną wioską. Wpadałem tam na święta, pisałem listy, odwiedzałem krewnych.

Chodząc do szkoły w Witulinie, Janek jeszcze dwa kolejne lata mieszkał w rodzinnym domu. Przeniósł się następnie do szkoły zawo-

dowej w Białej Podlaskiej, uzyskując tam miejsce w internacie. Gdy ją skończył, opuścił Jagodnicę na zawsze przenosząc się na Pomorze Środkowe.

Los Janka, od mojego bardziej skomplikowany, toczył się wielotorowo. Pozostało nam na zawsze poczucie więzów krwi. Nigdy nie zapominaliśmy o sobie, jak też o swoich rodzinach. Tak było - i tak pozostało. Każdy z nas - na miarę swoich potrzeb i możliwości - po swojemu budował od początku rodzinne szczęście, starając się zre-kompensować to, czego myśmy zostali pozbawieni w dzieciństwie.

### *Nowe zagrożenie*

Nauka szła mi coraz lepiej. Gorsze, słabsze stopnie zamieniały się na lepsze i dobre, a nawet bardzo dobre. Stawałem się pewniejszy siebie, otwarty i aktywny społecznie, wykazując się także inicjatywą. Bo też, taka jest prawda, samopoczucie współzależy od kształtującej się opinii o sobie. Ta zaś, gdy chodzi o mnie, zyskiwała na wartości.

Przyjąłem z dużą ulgą fakt, iż wśród stopni wystawionych na półroczu nie znalazła się ani jedna „dwójka”. Było trochę „czwórek” i „piątek”, przeważały jednak „trójki”. Tym samym zniknęło zagrożenie. Upewniłem się, że jednak skończę maturę i zostanę nauczycielem.

Młodzi cenili założenia ustrojowe. Kto chciał i miał taką ambicję, tam mógł zdobyć wykształcenie i poszukiwać szczęścia poza wsią. Liczyło się pochodzenie społeczne. Ja ze swego byłem dumny. Zostawszy sekretarzem koła klasowego ZMP - najwyższe wyróżnienie, jakie spotkało mnie w tej organizacji - sporządzałem i wywieszałem na ścianie graficzny wykaz pochodzenia klasowego uczniów. Dominował „słupek” osób z rodzin chłopskich, a dalej inteligenckich i urzędniczych. Przedstawiciele robotników, ponieważ Podlasie nie było uprzemysłowione, brakowało. I nie było nikogo, kto pochodził z warstw „próżniaczych”, ziemiańskiej czy fabrykanckiej, bądź sklepiarskiej.

My - uczniowie wywodzący się z chłopów czuliśmy się pewniej i lepiej od innych. Reprezentowaliśmy zdrowe i postępowe siły społeczne narodu. Wiedzieliśmy, że jako nauczyciele, co wmawiano nam przy każdej okazji, poniesiemy w lud kaganek oświaty i kształtować będzie-



my nowe oblicze wsi. A mówiąc inaczej, wyjść z niej będąc nikiem, by wrócić kimś nieporównanie wartościowym.

Lecz niewiele brakowało, by los mój i tym razem się skomplikował. Poszło o opłatę za pobyt w internacie i wyżywienie. Nie miałem z czego regulować tych należności, a mój starszy brat - ten z gospodarstwa - też klepał biedę. A księgowy naciskał, dając mi do zrozumienia, że jeżeli nic się nie zmieni, będę musiał rozstać się z internatem i stołówką. Poszukując rozpaczliwie rozwiązania, odbyłem rozmowę z Kazimierzem Horbowcem, który był nadal zastępcą dyrektora i dyskretnie, jak mi się zdawało, opiekował się mną.

- Byłoby bardzo źle, gdybyś musiał zrezygnować z tych wygód - mówił z troską. - Żal byłoby ciebie stracić.

Znał moje położenie. Cieszyły go moje postępy w nauce, których on był jakby zakładnikiem.

- A może byś napisał list do Warszawy? Wprost do prezydenta Bieruta - mówił ku memu zaskoczeniu. - W tym liście - dodał - przedstaw szczerze swoje trudne warunki i poproś o pomoc. Napisz, że bardzo pragniesz zostać nauczycielem i służyć dobrze Ludowej Polsce, ale na przeszkodzie stanąły trudności materialne...

Napisałem list. Zmieściłem go na dwóch stronach podaniowego papieru. Na kopercie, nie znając adresu, napisałem: Prezydent Bolesław Bierut, Warszawa. Tyle i aż tyle!

Czekałem cierpliwie na odzew i reakcję, które nie nastąpiły od razu.

Kiedy opowiadałem o tym fakcie, byli tacy, którzy nie ukrywali zdziwienia, a może i potępienia, że mam śmiałość przyznawać się do swego postępowania. Jak - pytali - można było pisać do satrapy, agenta KGB?

I dodawali: - Czy nie masz wyrzutów sumienia?

Odpowiadałem: - A co miałem zrobić, kiedy walił mi się świat? Gdybym miał wystąpić do diabła, ufając, iż pomoże mi on, też poszukiwałbym u niego wsparcia...

Co okazuje się teraz jasne i oczywiste, negatywne i bulwersujące - wtedy wcale takim nie było. Cóż mogłem wiedzieć - i skąd? O tym człowieku, na którym później nie pozostawiono suchej nitki, a którego portrety wisiały wówczas na ścianach i był on dla mnie, jak dla

większości moich rówieśników, ludzi młodych i ufnych propagandzie, synonimem dobra.

Po kilku tygodniach oczekiwania, gdy już traciłem nadzieję na powodzenie, nadeszła odpowiedź. Przesyłka z kancelarii prezydenckiej, polecona, opatrzona etykietą, wzbudziła sensację. Nikt inny dołąd podobnego listu nie otrzymał.

Najważniejsza była treść. Prezydent pisząc odręcznie, co mnie bardzo rozczuiliło, informował, iż prośba rozstała uwzględniona. Na drugiej urzędowej kartce, doręczonej do listu, a przeznaczonej dla dyrekcji szkoły, znalazło się stwierdzenie mówiące o tym, że długi mojej osoby zostają anulowane, gdyż przechodzę pod opiekę Państwowego Domu Dziecka w Sitniku. Zobowiązany on został do sprawowania nade mną opieki, aż do zakończenia nauki. Cóż lepszego mogło mnie spotkać?

- Pewnie zachowałeś ten list? - zareagował Jan Bijak, wtedy redaktor naczelny tygodnika „Polityka”, gdy mu o tym opowiadałem.

- Zapodział się gdzieś - odrzekłem ze skruchą.

- Szkoda, byłby to rarytas w twoich hobbystycznych zbiorach - uznał autorytatywnie Janek, sam zamiłowany szperacz, z którym - a było to już bardzo wiele lat później - chodziłem często na „pchli targ”.

Zainteresowania te były mi w liceum obce. Ważne było jedynie to, żeby utrzymać się na powierzchni. Nawiązałem natychmiast kontakt z sitnickim PDD. Udałem się tam piechotą. Była jesień. Sitnik dzieliła od Leśnej Podlaskiej odległość około 10 kilometrów.

Poszedłem na skróty, znanymi sobie ścieżkami i drózkami. Poprzez Ludwinów, lasek zwany „Krówką”, Zaberbecze, Worgule i Łukowice. Sitnik był przed wojną i podczas okupacji siedzibą władz gminy, do której należała także Jagodnica.

Szło się ciężko. Pamiętam tę wyprawę dlatego, że tuż za lasem, kiedy w całkowitej ciszy i samotności wyszedłem z niego, na polu spowitym lekką mgłą ujrzałem duże stado żurawi. Skubały zieloną ruń młodziutkiego żyta. Zamarłem z wrażenia. Byłem blisko nich i onie miały z wrażenia syciłem swój wzrok. A w sitnickim PDD przyjęto mnie oschle. Placówka borykała się z nadmiarem wychowanków, każda dodatkowa osoba, a ja taką byłem, stanowiła kłopot. I dlatego moja wola, żebym przynależąc do PDD nie musiał w nim stale przebywać

- wywołała ulgę. Zapewniłem, iż pojawiać się będę jedynie okresowo, ponieważ mam zapewnione miejsce w internacie, a wakacje będę spędzać u brata.

Zaopatrzony w wyprawkę, nazbyt obszerny płaszcz, sweter i dwie koszule oraz żołnierskie buty z demobilu, jak też skarpety, udałem się pieszo w powrotną drogę. Zameldowałem się w internacie nocą. Leżłem na łóżko i spałem aż do dzwonka na pobudkę.

### *Stara kadra, stare książki*

Nauczyciele nabrali do mnie zaufania. Uznali za ucznia solidnego i ambitnego, zdolnego, co znajdowało potwierdzenie w ocenach wpiisywanych do dziennika. Nadal odbywała się wymiana kadry.

Pojawił się m.in. Stanisław Kępka, któremu przypadło w udziale nauczanie przedmiotów społecznych, w tym historii i nauk o Polsce i świecie współczesnym. Odszedł Franciszek Fass, też młody gniewny, manifestujący otwarcie swe laickie poglądy i przywiązanie do PZPR, w której, nawiasem mówiąc, zrobił potem karierę.

Przybył Leonard Turkowski. Uczył nas pedagogiki, psychologii i logiki. Wiedzieliśmy, że ma dużą rodzinę i pisze wiersze. Opiekował się Teresą Ferenc z klasy żeńskiej, która też pisała wiersze i została, gdy osiadła we Wrocławiu, a potem w Gdańsku, wybitną poetką. Turkowski pochodził z Poznania. Był także ideowcem i angażował się otwarcie w sprawy ZMP. Potrafił zjednywać młodzież, zwłaszcza dziewczęta, wykazując wiele taktu i rozsądku. Zajmował się także upowszechnianiem amatorskiego ruchu artystycznego i działalnością kulturalną. Traf chciał, że długo później, kiedy znalazłem się w Olsztynie, spotkały się znowu nasze drogi.

Przybył do naszego liceum młody Władysław Konstantynowicz, będący przez dwa lata wychowawcą klasy „c”, to jest mojej. Nie był on kąpany w gorącej wodzie.

Na rok przed rozpoczęciem przeze mnie nauki odszedł z liceum Stanisław Malik. Postać nietuzinkowa. Wybitny pedagog z długoletnim stażem, który przed wojną dyktował w tutejszym seminarium. Los ten spotkał także Józefa Perzynę, cenionego matematyka i wychowawcę, który - mając uznanie i szacunek - pracował w leśniańskim semi-

narium i prowadził w okresie okupacji komplety tajnego nauczania. Podobnie stało się z Franciszkiem Kędzierzawskim, nauczającym muzyki i śpiewu, również mającym staż przedwojenny. Kędzierzawski działał w AK-owskim podziemiu i brał udział w tajnym nauczaniu.

Nie wszyscy, muszę to podkre-

ślić, przybывая do naszego liceum pedagogicznego prezentowali agresywną prosocjalistyczną postawę, kontrastującą z doświadczeniami i autorytetem „starej kadry”. Byli też tacy, którzy umieli zachować umiar i rozsądek, inne pola aktywności znajdując dla siebie. Na przykład Marian Radzikowski, zajmujący się rysunkiem i robotami ręcznymi, był absolwentem przedwojennego Leśniańskiego Seminarium Nauczycielskiego, zaś podczas okupacji działał konspiracyjnie w AK na Podlasiu. Po wyzwoleniu został za to aresztowany przez NKWD i deportowany do obozu w głąb Związku Radzieckiego.

Bolesław Żaczek przybył do nas też jako absolwent warszawskiej WSP. Był wicedyrektorem i krótko dyrektorem szkoły. Miał długi staż nauczycielski, także w tajnym nauczaniu. Był powszechnie lubianym i cenionym pedagogiem i wychowawcą. Posiadał duży autorytet. Stronił od ideowych „zagrań” ZMP.

Stanisław Skolimowski, od 1920 roku woźny szkoły, nie będąc pedagogiem - w istocie rzeczy był cenionym i poważanym wychowawcą. Na swój sposób pomagał młodzieży. Przeżywał jej rozterki, radości i porażki. Współczuł. Pocieszał, radził. Znał każdego z nas. Wszyscy go lubiliśmy.



*Nasz wychowawca klasowy Władysław Konstantynowicz (w środku, pod rękę) był niewiele od nas starszy. Na zdjęciu chłopcy z klasy „C”.*

Inną osobą, jaką wspominam z sympatią i uznaniem, był Wincenty Banaszkiewicz. Tutaj - jak się mówiło w Zakładzie Kształcenia Nauczycieli - był on „od zawsze”. Zajmował się wychowaniem fizycznym i sportem. Zainteresowaniom tym oddawał się niemalże całkowicie.



Uplłynęło 20 lat od zdobycia matury, gdy spotkaliśmy się na zlocie „leśniaków”. Pracowałem wtedy w tygodniku „Zarzewie”. Na zdjęciu jestem w pierwszym rzędzie pierwszy z prawej obok Eugeniusz Korniuk, a za moimi plecami - jako pierwsza - stoi żona Gienka, Zofia z domu Gomółka. W środku (z wąsem) trzymany pod rękę przez Zosię Jakimiuk i Berkę Kuzawską (po mężu Maruszczak) stoi Wincenty Banaszkiewicz. Obok B. Kuzawskiej - po jej lewej ręce - Zofia Jajus, nasza polonistka, po mężu Jędrzych. Wśród stojących - w pierwszym rzędzie drugi z lewej - Bolesław Zaczek, dawny wicedyrektor naszego liceum.

Jakby pracując na uboczu, gdyż nie w głównym nurcie, miał na uczniów duży pozytywny wpływ. Liczni z nas właśnie od niego zarazili się bakcyłem sportu. Uprawiali go z ochotą i odnosili duże sukcesy. Leśniańskie liceum słynęło w regionie z osiągnięć sportowych. Być może ów „boczny tor” pozwalał mu skutecznie separować się od mało rozsądnych, a czasem zupełnie głupich i nieodpowiedzialnych zagrywek politycznych i ideowych. Później, kiedy sam już należałem do ZSL, dowiedziałem się - ku miłemu zaskoczeniu - że Wincenty Ba-

naszkiewicz był cenionym ludowcem i odcisnął na tym polu swe pozytywne piętno.

Sport pociągał również mnie. Polubiłem zwłaszcza grę w siatkówkę i piłkę nożną, występując nawet w szkolnej drużynie, chociaż największy sukces odniosłem w szachach, zostając wicemistrzem liceum. Zwyciężył wówczas Kazimierz Więch, kolega z młodszej klasy, z którym wiele lat później spotykałem się w Warszawie. Kazik, będąc członkiem PZPR, pracował w redakcji „Życia Warszawy”. Po przemianach ustrojowych próbował założyć własne pismo, korzystając z kapitału pewnego biznesmena. Proponował, bym włączył się w tę działalność, ale mnie to nie odpowiadało.

Dużą uwagę zwracałem w szkole na książki. Jednocześnie, ale był to flirt krótkotrwały, zaangażowałem się w Ligę Morską. Były to zajęcia pozalekcyjne. Dlaczego pociągała mnie akurat marynistyka? Tego nie wiem, faktem było natomiast, że wtedy nie widziałem na oczy morza, ani nawet jeziora! Być może wzięło się to z lektury książek. Lubiałem czytać podróźnicze i przygodowe. Fascynowały mnie dalekie morza i oceany, egzotyczne porty. Kolorowi ludzie. Współczułem losowi amerykańskich Indian.

Podczas zajęć w Lidze Morskiej nauczyłem się splatać węzły marynarskie z konopnych lin i posługiwać się alfabetem Morsa. Potrafiłem odczytywać - specjalnie ustawiane w tym celu - barwne sygnałowe flagi na statkach i odbierać oraz nastawiać informacje poprzez znaki świetlne oraz ruchy rąk i układ ciała. Zainteresowania te jednak szybko minęły. Na zawsze pozostała zaś miłość do książek. I nie były to wyłącznie lektury szkolne, wówczas najczęściej pisarzy radzieckich, lecz także - by tak określić - pozycje zakazane. Zdjęte z półek biblioteki i nie udostępniane uczniom. W tamtych latach pozycji takich było bardzo wiele.

Książki zakazane trafiały „za karę” na strych. Spotykało to nie tylko pozycje wydawane przed wojną i wcześniej, sędziwe i przestarzałe, ale także powojenne, wykreślane z zestawu ogólnie dostępnych, jako „ideowo szkodliwe”. Księgozbiór szkolny był bogaty. Obejmował również książki, które udało się szczęśliwie uratować przed hitlerowcami, ponieważ w porę zostały wywiezione do Witulina i tam przechowane. Proboszcz tej parafii ks. Paweł Zubko przechował ich ponad 6000 tomów.





*Zostałem prezesem koła LZS, które zorganizowałem z Tadeuszem Maziejukiem z Terebeli. Stoimy tu obaj (ja z lewej) tuż po zakończeniu powiatowej spartakiady sportowców wiejskich w Białej Podlaskiej, która odbyła się krótko przed maturą. Tadeusz skakał i rzucał granatem, ja biegałem na krótkich dystansach.*

wrażliwa, wyrozumiała i nie narzucająca swoich zapatrywań. Jak mi się wydaje, lubiła mnie. Zaufała mi, kiedy zorientowała się, że poszukuję książek trudno dostępnych, a nawet zakazanych. Udostępniała mi takowe - pewna, że nikomu tego nie wyjawię.

Czytałem i wertowałem takie książki, przeważnie na miejscu, gdy jeszcze leżały - odłożone na bok - na półkach biblioteki. A należą zaś do takich osób, uznając to za błąd lub cnotę, które książkami się delectują, ale ich nie pochłaniają. Czytam uważnie, by jak najwięcej zapamiętać, lecz powoli.

Na niebyt skazywane były książki cenionych autorów, jak Henryk Sienkiewicz, Władysław Reymont, Kazimierz Wierzyński, Maria Dąbrowska czy Tomasz Jeż lub Maria Konopnicka, nie mówiąc już o Kadet-Bandrowskim czy Syrokomli. Ich miejsce zajmowały książki „ideowo słuszne”, zwłaszcza Wandy Wasilewskiej.

W swoich wspomnieniach odnoszę się z wielką wdzięcznością do pani profesor Zofii Jajus, po mężu Jędrych, która była wtedy młodą i cenioną polonistką.

Też nie zaliczała się do zapiekłych ZMPowców. Zofia Jajus była bardzo ludzka, ciepła i delikatna, a ponadto



## II. Z PRZEPUSTKĄ W ŚWIAT

### *Zostać nauczycielem*

Pomimo krytycznych uwag, leśniańska szkoła była lubiana i ceniona. Promowała awans i sukces. Choć znajdowała się na wsi, stwarzała - jak na tamte czasy - dobre warunki do nauki. Pozwalała zdobyć zawód nauczyciela, wtedy powszechnie szanowany i ceniony. Dbała o wszechstronny rozwój uczniów. Wspominając jak najlepiej, obdarzam ją sentymentem. Spełniła moje oczekiwania i marzenia. Wyróżniała się wysokim poziomem nauczania i pełnieniem ważnej funkcji kulturotwórczej. Była chlubą Leśnej Podlaskiej. Najlepszą szkołą średnią na Podlasiu.

Od zarania istnienia opuściło ją prawie 3000 nauczycieli. Poza nielicznymi przypadkami sprawdzili się oni w zawodzie i pracy społecznej. Nazywani leśniakami - wyróżniali się korzystnie wśród innych pedagogów. Uważam, że władze państwa popełniły duży błąd, likwidując w roku 1970 licea pedagogiczne.

Funkcjonując zrazu w cyklu 4-letnim, potem zaś 5-letnim, szkoły te sposobiły uczniów do wykonywania trudnego i odpowiedzialnego zawodu. Szczególnie w zakresie klas I-IV szkół podstawowych. Czy decyzja o likwidacji wynikała z przekonania, że robić to będą lepiej absolwenci Studiów Nauczycielskich, zwykle absolwenci ogólniaków, a nierzadko również techników zawodowych? Uczniowie liceów pedagogicznych byli natomiast przekonani od początku, iż zostaną nauczycielami. A bardzo wielu z nas, choć pewnie nie wszyscy, marzyło o takiej perspektywie.

Ucząc się w leśniańskim PLP zdobywaliśmy wiedzę ogólną i zawodową oraz kwalifikacje nauczycielskie. Robiliśmy to w przekonaniu, że to profesja piękna, ambitna i ważna. Szkoła rozbudzała i kształtowała takie przekonanie. Wpajała na każdym kroku, że nauczyciel, zwłaszcza wiejski, musi umieć uczyć i podsycać łaknienie wiedzy oraz kształtować umysły i serca dzieci. Prócz tego włączać się aktywnie w rozwiązywanie problemów środowiskowych i wśród osób starszych wdrażać postawy zaangażowane. Wierzyliśmy święcie w swoje posłannictwo. I w to, że mamy obowiązek być inżynierami ludzkich dusz.



*Na frontonie gmachu leśniańskiego liceum pedagogicznego widnieją tablice z nazwami mieszczących się w nim szkół rolniczych. Natomiast w szczycie, obok wejścia, znajduje się tablica poświęcona profesorom, pracownikom i wychowankom funkcjonujących tutaj przed laty szkół: Seminarium Nauczycielskiego w okresie 1919-37, Liceum Pedagogicznego w latach 1937-39, Tajnego Nauczania w latach okupacji niemieckiej 1939-44 i Państwowego Liceum Pedagogicznego z lat 1944-70. W podzięce za ich mądrość i trud ufundowali ją 2 lipca 2006 r. wdzięczni absolwenci. Motyw przewodni tablicy stanowi myśl papieża Jana Pawła II: „Czuwajcie przy wszystkim, co stanowi autentyczne dziedzictwo pokoleń”.*

A było to nauczanie i teoretyczne, i praktyczne. W starych pomieszczeniach dawnego żeńskiego zakonu prawosławnego, chylących się dziś ku ruinie, mieściła się Szkoła Ćwiczeń. Pozostając normalną szkołą podstawową, była też „warsztatem ćwiczebny” dla uczniów PLP. Poczynając od drugiej klasy liceum odbywaliśmy tam praktykę zawodową. Najpierw prowadząc lekcje z pomocą i udziałem nauczycieli podstawówki, a później baczna i życzliwa kontrolą profesorów liceum. Na końcu zaś całkowicie samodzielnie.

Kiedy stanąłem po raz pierwszy przed klasą trzecią tej szkoły, by poprowadzić lekcję z języka polskiego, drżały mi ze strachu ręce i nogi, a głos wiązał w gardle. Zgodnie z su-

gestią pedagogów, uchwyciłem się mocno oparcia krzesła - i po kilku minutach emocje opadły. Na tyle, żeby dzieciaki nie wzbudzały we mnie przerażenia, a prowadzenie lekcji - wcale nie przesadzam - stało się przyjemnością.

Praktykę zawodową odbyłem w Witulinie. Był wraz ze mną Józef Filipiuk z Kornicy, który zamieszkał na ten czas w moim rodzinnym domu w Jagodnicy, korzystając z gościnności Frani i Antka. Jeszcze nie tak dawno sam siedziałem w ławkach tej szkoły. Zapowiadałem się podobno na dobrego nauczyciela. A jednak - już właśnie wtedy - pojawiły się u mnie wątpliwości, czy robię dobrze, czy tylko na tym miały kończyć się moje możliwości? Marzenia lokowały mnie wyżej i dalej. Myślałem nieśmiało o studiach.

### *Wariacje ZMP*

Czas był trudny i mętny. Szczyt stalinizmu. Byłem nazbyt młodym i głupim, pozbawionym rodzinnej korekty, bym mógł sam formułować zastrzeżenia. Z tego, co było wówczas upiorne i okrutne, fasadowe, niewiele docierało do mojej świadomości. Szkoła też milczała na temat wynaturzeń władzy i bezprawia służb specjalnych, unikając skrętnie wszystkiego, co mogłoby okazać się kłopotliwe. Otwarcie nikt socjalizmu nie kwestionował.

Raczej, to pewne, było odwrotnie. Szkoła deklarowała poparcie dla nowej rzeczywistości i akceptowała agitki wychwalające ustrojowe dokonania. Podobnie postępowały też gazety, po które zacząłem już sięgać, a radio skoczną muzyką ludową zachęcało do nauki i pracy.

Trzeba było bezrefleksyjnie uznawać i akceptować narzucone poglądy. I w żaden sposób nie zestawiać ich z realną rzeczywistością. A mnie, pozbawionemu rodziców, nie było komu wyprowadzać z błędu i nakłaniać do trzeźwego osądu.

Z niewiedzy i nieświadomości zdałem sobie sprawę dopiero potem. Jak zresztą można było wątpić, że chodzi tu o dobro młodzieży? Dla ówczesnych ideologów stanowiłem przecież doskonały materiał do wykreowania mnie - chłopaka z awansu społecznego - na żarliwego „hunwejbina”.

Starszy ode mnie brat Antoni zdany był na opinię swoich sąsiadów, która funkcjonowała poza mną. On usiłował nawet prostować to czy tamto w moich poglądach, lecz nie był dla mnie autorytetem. Przed popełnieniem jakiś zasadniczych błędów, których później bym się wstydził, ustrzegł mnie wrodzony sceptycyzm i krytycyzm. Z przekory ustawiałem się bokiem do tego, co wydawało mi się nieprawdziwe lub mało prawdopodobne.

A jednak, przyznając otwarcie, idealizowałem założenia programowe nowego ustroju, których teraz do końca bym nie przekreślał. Odpowiadała mi zwłaszcza - prawdę mówiąc - zasada równości społecznej i sprawiedliwości oraz dostępu do oświaty. Opowiadałem się za wyrównaniem szans rozwojowych młodzieży.

Wierzyłem z młodzieńczą szczerością i naiwnością, że w Polsce zapanuje dobrobyt. A dla mnie, wyrosłego z ubóstwa, niewiele trzeba było, by uznać poprawę warunków bytu za wielką. Byłem świadomy tego, że moja rodzina ze strony mamy, mająca rodowód fornalski, dworski, była w przeszłości krzywdzona. Nie wiedziałem natomiast nic albo bardzo niewiele o karygodnych poczynaniach Urzędu Bezpieczeństwa. Tak samo, jak o sprzeciwie i buncie ludzi, którzy byli przeciwko wprowadzaniu nowych porządków.

Więcej wiedziałem o przymuszaniu chłopów do spółdzielni produkcyjnych, nazywanych „kołchozami”, jak też o obarczaniu ich dotkliwymi obowiązkowymi dostawami ziemiopłodów i zwierząt rzeźnych oraz płaceniem progresywnych podatków. W sprawy takie wtajemniczał mnie Antek, którego naciski władzy dotyczyły osobście.

A więc żyłem jakby pod kloszem, odizolowany od otaczającej rzeczywistości. Wszystkiego nie udawało się jednak ukryć. Wypaczenia dotyczące wsi, bo bliższe mi w odbiorze, tak czy inaczej docierały również do mnie. Zdarzyło się kiedyś, już pod sam koniec licealnej nauki, że do uregulowania obowiązku dostarczenia żyta zabrakło Antkowi 17 kg ziarna. Antek odwiózł wprawdzie dobrze zważone worki ze zbożem, lecz waga wyraźnie wskazywała co innego. A że przyszło surowe upomnienie, zagrożone karą, żądające natychmiastowego dostarczenia brakującego ziarna, będąc w Białej zaszedłem na punkt skupu, żeby powiedzieć, iż brat przy okazji wyrówna wagę.

Jakiś facet obruszył się na mnie, że śmiem lekceważyć obowiązek wobec państwa.

- A co się takiego stało? - zareagowałem ostro, już jakby z pozycji nauczyciela. - Za miesiąc czy półtora brat dowiedzie tę brakującą część żyta - powtórzyłem. - Szkoda konia specjalnie pędzić kawał drogi!

- To lepiej sam weź worek na grzbiet i zboże przytargaj tutaj - tamten odrzekł.

Zaburczałem pod nosem, ale w gruncie rzeczy położyłem uszy po sobie i odszedłem, zaszokowany reakcją. U byle urzędnika chłop był niczym. Może jednak zależało włożyć zieloną koszulę i czerwony krawat?

Tupetu nie brakowało też ZMP-owcom w PLP. Zwłaszcza gdy idzie o aktyw, który pozwalał sobie na bulwersujące zagrania. Bez sprzeciwu, o który było trudno, podejmował się on rewolucyjnych - w swoim mniemaniu - działań. Jednych nauczycieli jawnie lekceważył, ingerując nawet w ich oceny, podczas gdy drugich, swoich patronów i zwolenników, wywyższał. Mając ich poparcie, czy też zachętę, wkroczył tam, gdzie nie powinien.

Czasem były to „uderzeniowe” agitki, a kiedy indziej okazjonalne imprezy, przesycone ideologią - napuszoną i uproszczoną, sztuczną i niewiarygodną. Były też zgoła głupie popisy.

Z inspiracji ZMP nasza szkoła stawała się kuźnią laickich kadr. Taka nadgorliwość kłóciła się z poglądami i osobowością patrona szkoły, którym był ks. Stanisław Staszic, co jednak nikogo nie dziwiło i zastanawiało.

Aktyw ZMP wkraczał z buciorami do sumień uczniów, ingerując brutalnie w ich wiarę. Gdy uczniowie siedzieli w ławkach, dokonywał on - za zgodą kierownika internatu, a może wbrew niemu? - rewizji w internackich pomieszczeniach. ZMP-owcy zaglądali do szafek i kufrów, pod poduszki i do sienników, tropiąc modlitewniki, krzyże i różańce oraz obrazki święte. Jak też poszukując zakazanych książek.

Podczas zebrań, czasem bezimiennie, czasem po nazwisku, wywlekano publicznie istnienie tych rzeczy w internacie, uznając, iż „świadczą one o hołdowaniu przeżytkom”. Były nawet próby publicznego palenia ich na stosie. Prowadzono też „rozmowy po-

uczające i wyjaśniające”. Aktyw ZMP atakował młodzież ze dwulicowość i chwiejność ideologiczną. Praktyka taka wydawać się może obecnie śmieszna i niepojęta, wtedy była jednak autentyczna i groźna.

Nazbyt gorliwi ZMP-owcy odważali się wynosić ponad nauczycielski autorytet, Ich bezczelność sprowadzała się nawet do ingerowania w oceny i proces nauczania. Upominali się otwarcie o korzystne stopnie dla siebie i swoich podopiecznych. Inna sprawa, że ZMP stosował także samopomoc koleżeńską.

Występując w roli nadzorców ideowych, aktywiści ZMP nie zgadzali się z interpretacją albo strojami dziewcząt. Jedni nauczyciele mieli odwagę sprzeciwić się panoszeniu ZMP-owców, drudzy cichli, obawiając się kłopotów. Młodzi impertynenci nie ukrywali zresztą, przeciwnie mówili o tym otwarcie, iż w każdej chwili są w stanie odwołać się do władz zwierzchnich ZMP mogących „zaprowadzić w szkole porządek”.

Bardzo nie odpowiadało im sąsiedztwo klasztoru ojców paulinów. Posesje przedzielał stary mur. Przedtem nie stwarzało to problemów, te pojawiły się za czasów ZMP. Młodzież uprzednio chodziła zbiorowo na msze święte, a zakonnicy prowadzili w szkole lekcje religii. W czasach stalinowskich praktyka ta została zaniechana.

Formalnie nie było zakazu indywidualnego chodzenia do kościoła, w rzeczywistości istniał on. ZMP dla swoich śledczych potrzeb powołał tzw. „lotne kawalerie”, które tworzyli najbardziej zaufani członkowie tej organizacji. Jeden z obowiązków polegał na śledzeniu i wciąganiu na „czarną listę” uczniów chodzących do kościoła. Pokoik śledczy ZMP mieścił się w szczycie drugiego piętra gmachu, skąd przez okno można było obserwować przykościelny teren. Apogeum zuchwałości i bezczelności stało się ostre strzelanie z karabinka do wież kościelnych. ZMP-owców rozgrzeszało to, że w tej głupiej zabawie brał udział młody dyrektor liceum. Kule podziurawiły połączaną kopułę i to wywołało oburzenie parafian. A że nie skutkowały rozmowy, udała się z interwencją delegacja do prezydenta Bieruta, który przyjął ją i obiecał, że ukróci „karygodną praktykę walki z kościołem”. I tak też się stało. Marcin Kosiński karnie rozstał się ze swoją funkcją.



## *Czerwony krawat, zielona koszula*

Pochody 1-majowe uczniów mogą budzić obecnie uśmiech politowania. Inaczej było - co teraz rodzi zdumienie - z wyjazdami ekip agitacyjnych do pobliskich wiosek. Głównie po to, żeby zachęcać chłopów do terminowego dostarczania żywności w ramach obowiązkowych dostaw czy też nakłaniania ich do tworzenia „kolchozów”.

Ubrani w zielone koszule i czerwone krawaty, chodziliśmy w czwórkach ulicami osady, niosąc szturmówki i transparenty z hasłami oraz różnego rodzaju emblematy, w tym sierp i młot. Skandowaliśmy pełną pierśią hasła propagandowe i śpiewaliśmy piosenki. Były to wyłącznie słuszne hasła. Jak na przykład: „W odpowiedzi na atomy budujemy nowe domy!”. Wprawdzie w Leśnej Podlaskiej, ani w okolicznych wsiach nic się wtedy nie budowało, waliło się raczej to, co było stare i zmurszałe, ale my byliśmy dumni z odbudowy Warszawy.

Jak zaś mogła przedstawiać rozmowa młodziutkich agitatorów z wąsatymi chłopami? Były to bardzo zabawne sceny, bądź w ogóle do nich nie dochodziło. Kobiety przepędzały czasem miotłami, jak diabłów, „czerwonych agitatorów”, na czele których stał zwykle nauczyciel. Innym razem mieszkańcy chowali się do stodół i chlewów, by uniknąć nachalnych agitatorów. Zdarzało się i tak, że gospodarze sięgali po gorzałkę, żeby „rozmiękczyć” trudny problem albo nabrać odwagi. Poszczute psy wielokrotnie załatwiały kłopotliwą sprawę.

Józef Paluch, rodem z Cicibora Dużego, jeden z najbardziej gorliwych agitatorów, przez jakiś czas szef szkolny ZMP, został poturbowany na zabawie wiejskiej. Za to właśnie, że był natarczywy i uparty. Gdy inni miękli, on srożył się i groził.

Troska o laickie wychowanie licealistów przybierała czasem komiczną formę. Jak wtedy, kiedy doszło do walki o żelazną furtkę w granicznym murze, którą prowadziła najkrótsza droga ze szkoły do świątyni paulinów. ZMP-owców niepokoiło, że znajdowała się poza polem ich podglądu. Lecz i na to znalazło się rozwiązanie. Jednego ranka zauważyliśmy, idąc do stołówki, że przejście zostało zamurowane.

Po upływie paru dni ktoś inny - znowu pod osłoną nocy - rozebrał ów mur i przejście znowu było otwarte. W kolejną noc ktoś inny zamurował ponownie furtkę cegłami, by w którąś następną

została ona udroźniona. Zabawa „udry na udry” trwała dłuższy czas, aż w końcu znudziła się - i furtka stanęła otworem: i tak już pozostało.

Podobne popisy ZMP były na porządku dnia. Wspominam o nich dlatego, że często uważa się je za kpinę lub bagatelizuje, podczas gdy - a wiem to po sobie - odegrały one fatalną rolę w kształtowaniu poglądów i postaw młodzieży. I nie były to wtedy niewinne żarty.

Niemniej, żeby było jasne, leśniańskie liceum wspominam z rozrzewnieniem i sentymentem. I nie tylko dlatego, że były to moje młodzieńcze lata, chociaż nie całkiem beztroskie, które zapisały się barwnie w mej pamięci, ile z uwagi - mimo owych wygłupów - na atmosferę serdecznej i szczerzej przyjaźni, która utrzymywała się w szkole. Ze względu na uznanie i głęboki szacunek dla nauczycieli i wychowawców. I dlatego również, że to ona, ta leśniańska szkoła, otworzyła mi drogę w przyszłość.

### *Echa koreańskiej wojny*

Czas zatarł, niestety, w pamięci szczegóły. W pół wieku po zdaniu matury, w lipcu 2004 roku, spotkaliśmy się na zlocie absolwentów leśniańskiego PLP. Już jako ludzie mocno zaawansowani wiekowo. Podczas namiętnych rozmów zeszyły w cień sprawy przykre, ustępując miejsca wesołym i miłym, których przecież było więcej.

Z wyrozumiałością i dużym sentymentem wspominaliśmy naszą młodość. Dawne miłostki i umizgi, spacerzy wieczorne i przytulanki, randki w parku i lesie oraz tam, gdzie rósł legendarny „dąb mądrości”. Przypominały się nam grupowe spacerzy w stronę Witulina i Ludwinowa. A cóż mogliśmy począc, że nasza młodość, której nie da się powtórzyć, przypadła na tak niefortunny czas?

Pozostały tylko wspomnienia. Im bardziej odległe w czasie, tym bledsze. Witek Bondaruk przybył na spotkanie z żoną Melą. Staszek Szołucha z żoną Teresą. Był też rodak z Jagodnicy, wcześniejszy absolwent Jan Kawecki, który zdążył obkoczyć pół świata. Witek i Staszek utrzymali dotąd przyjaźń. A na Michała Piaseckiego, zamieszkałego w Białej Podlaskiej, nie mówiliśmy inaczej, jak „gospodarz”, bo też przez cały okres nauki pełnił on funkcję klasowego gospodarza.



*Stanęliśmy w miejscu (ja trzeci od lewej), gdzie w pół wieku wcześniej prezentowałem „prasówki” podczas porannych apeli uczniów liceum. Inne czasu, inne problemy i zmienione otoczenie. A nam wydawało się, iż wciąż jesteśmy młodzi...*

Gdyśmy stali dużą grupą na dziedzińcu, śpiewając dawne piosenki, ktoś przypomniał odbywane w tym miejscu apele szkoły. Jeżeli było ciepło i nie padał deszcz, ustawialiśmy się czworobokiem - klasa za klasą - by wysłuchać komunikatów i krótkich wypowiedzi dyrektora lub szefa ZMP, a przede wszystkim zaśpiewać hymn młodzieży. Zabierało to trochę czasu, ale integrowało szkolną społeczność. Nad głowami łopotała narodowa flaga.

Ja odgrywałem również skromną rolę. Zaczęło się jednak nie najlepiej. Zygmunt Mikołajuk, też z mojej klasy, dobry uczeń, który zdradzał społecznikowskie zacięcie i nic dziwnego, że potem robił partyjną karierę, odwołał się w pamięci do apelu, który wypadł na czas śmierci Józefa Stalina. Był marzec 1953 rok; byłem uczniem III klasy PLP.

Pean na cześć „wielkiego Stalina” wygłosił Leonard Turkowski, dobry mówca znający psychikę młodzieży. Mówił emocjonalnie i z tak dużym zaangażowaniem, że wielu uczniów płakało rzewnymi łzami.

Innym miękło serce. Była to autentyczna żaloba, jakby umarł ktoś rzeczywiście nam bliski.

Nie mogę uznać, by tamta atmosfera i mnie się nie udzieliła, jednak nie uroniłem ani jednej łezki. Władek Klimiuk, skory do żartów, akurat wtedy zdobył się na wygłup, ponieważ w tym podniosłym momencie - chyba dla draki - dał mi pstryczka w ucho. Stał za mną. Gdy zaś nie zareagowałem - szturchnął mnie łokciem w bok. Odwzajemniłem się mu kopniakiem powyżej kolan. I tak zaczęła się między nami szarpanina. W porę na szczęście powstrzymana przez kolegów.

Władka Klimiuka na zlocie zabrakło. Czesiek Semeniuk, drugi o takim nazwisku - obok Janusza znad Buga - opowiadał, że Władek nie pojawił się dlatego, że obawiał się półwiecznej konfrontacji. Nie on jeden z resztą. Bo też należało wykazać się jakąś odwagą, by po tak długim czasie spotkać się z tymi, których w międzyczasie w ogóle się nie oglądało. Spotkanie okazało się natomiast bardzo interesujące.

Władek Klimiuk, uzyskawszy relację z jego przebiegu, zapewniał, że nie opuści już żadnego kolejnego zlotu leśniaków. Cóż, zmarł kilka miesięcy potem.

Myślałem, że moje dawne prasówki, wygłaszane codziennie podczas apelu wobec całej szkoły, zostały zapomniane. Ale wcale nie! Zostały mi one dowcipnie przypomniane. Posiłkując się głównie „Sztandarem Młodych”, dokonywałem krótkiego przeglądu wydarzeń międzynarodowych. Najważniejsza wydawała mi się wojna koreańska i jej poświęcałem najwięcej uwagi. Była to przecież bardzo groźna militarna konfrontacja między Zachodem a Wschodem. Ja optowałem, to oczywiście, za bohaterskimi zmaganiem - jak się wtenczas określało - Armii Czerwonej i ochotników chińskich, a negatywnie - mówiąc oględnie - odnosiłem się do udziału USA w tej wojnie.

Staszek Szołucha wspominał z uśmiechem, bo wygląda to tak z dystansu czasu, że kończyłem swe wystąpienia słowami: „Nasi trzymają się mocno”. Pewnie tak było, ja tego nie pamiętam. Nawet przez myśl mi nie przeszło, bo nie mogło, że przyjdzie czas, kiedy znajdę się tam, gdzie trwała ta okrutna wojna, pochłaniająca mnóstwo ludzkich istot. I że pojedę do Phenianu jako reporter!

Kierowałem małą grupą polskich dziennikarzy, aby zapoznać się z problemami współczesnej Korei Północnej. Jedną z atrakcji tej wy-

prawy był wyjazd do Pannmundżonu. Czyli dokładnie tam, gdzie w tej wojnie doszło do rozejmu. Nadal stoją tam dawne baraki z drewna, w których dochodzi do między koreańskich kontaktów.

Obie strony przedziela, zarysowany wyraziście na podłodze, wąski pas neutralny, który przekroczyć można jednym susem, co w praktyce okazuje się jednak niemożliwe. Po obu stronach tej „granicy” stoją sztywno, dysponując krótką bronią, żołnierze północno-koreańscy i południowo-koreańscy, wspierani przez Amerykanów. Jedni i drudzy, spięci do granic możliwości, poważni i wobec siebie pełni nieufności. Obserwują bez przerwy bacznie siebie nawzajem, gotowi do interwencji. Powaga i atmosfera tego szczególnego miejsca udzieliła się także dziennikarzom.

Chcąc przyjrzeć się linii demarkacyjnej, weszliśmy do okopu ziemnego, usytuowanego po stronie KRLD. Przed nami rozciągał się szeroki na około 2 km teren bezpieczny. Zupełnie pusty, bezludny. Pozostający pomimo to pod nieustanną obserwacją z ładu i nieba.

W powietrzu unosił się zapach prochu. Z oddali, skąd zapewne byliśmy wnikliwie obserwowani, docierał do nas mocny głos wypowiedzi, przeplątanych muzyką i śpiewem.

- Co to oznacza? - zapytałem tłumacza, który odpowiedział, usłyszawszy wpierw odpowiedź naszego opiekuna:

- To coś takiego jak agitacja i jednoczesne przekomarżanie się. Tamci z południa usiłują nas zdemobilizować. Ci, co przedostali się z KRLD do Korei Południowej opowiadają, jak teraz im dobrze i zachęcają, aby nasi ludzie też uciekali. Kierują słowa także wprost do naszych żołnierzy, by pozbawić ich stanowczości i zdemoralizować. Celowi temu służą nagrane wypowiedzi znanych polityków i pisarzy, a poza tym nadają piosenki zaprawione seksem oraz wprost nam urągają...

- A wy? - spytał Stanisław Gleń zastępca kierownika pracy KC PZPR, z zawodu dziennikarz.

- My nie pozostajemy dłużni! - padła odpowiedź.

- Wojna psychologiczna - skomentowała Ania Woźniak z katowickiej „Trybuny Robotniczej”.

Tyle, że przybiera ona czasem formę ostrego strzelania. I to z obu stron. Kule, też armatnie, padają przeważnie na teren bezpieczny; zryty

mocno lejami po wybuchach. Czasem nadlatują bojowe samoloty ze strony Korei Południowej. Na dużej wysokości, przede wszystkim dla potrzeb prowokacyjnych. Straszą. Potęgują napięcie.

Gospodarze postawili nam już wcześniej dwa warunki naszego pobytu w tej strefie: Żebyśmy absolutnie unikali podawania rąk do uścisku tutejszym żołnierzom. Ponieważ zabrania się noszenia broni, a i tak czasem dochodzi do zwarć i walki z przeciwnikiem, opanowali oni dosłownie walkę wręcz, wskutek czego - bo dużo ćwiczą - mają „żelazny uścisk dłoni”. Zapominając o tym, mimowolnie mogą zgruchotać ręce nawet gościom. Trzeba dlatego traktować ich z dużym respektem. Ponadto zalecili nam, żebyśmy poruszali się w okopach nisko pochyleni. Gdy zaterkotał karabin maszynowy, jeden z koreańskich opiekunów bez pardonowo pociągnął mnie siłą do dołu. Nad głową usłyszałem charakterystyczny świst kul i zdławione „pacanie” ich w nasyp okopu. Przeprosił mnie grzecznie za swoje zachowanie dopiero wtedy, kiedy ucichła strzelanina. Zauważył, że jesteśmy znacznie wyżsi od nich i tamci mogą dlatego łatwo nas dostrzec i strzelać niczym do kaczek. Poczułem, słysząc to, na plecach zimne ciarki. Złąkłem się na chwilę tak, jakbym rzeczywiście był na froncie.

### *Byłem korespondentem*

Zapraǳiałem - jeszcze w liceum - zostać dziennikarzem. Pociągały mnie dalekie wyprawy, o których czytałem w reportażach, chciałem obsługiwać zagraniczne imprezy sportowe.

W rodzinnej wsi, występując razem z Tadeuszem Maziejukiem, powołałem Ludowy Zespół Sportowy, uznawany w powiecie bialskim za silny i aktywny. Silną była zwłaszcza siatkarska drużyna. Często, głównie na rowerach, wyjeżdżaliśmy na mecze i turnieje do bliższych lub dalszych wiosek oraz miasteczek.

Wracaliśmy stamtąd jako zwycięzcy. Na nas nie było mocnych. Jakkolwiek występowali w drużynie także zawodnicy z Witulina i Terbeli, jak bracia Kornilukowie, głównie Eugeniusz, ale też Czesław, czy Tadeusz Maziejuk, to jednak - bo stąd rekrutowało się najwięcej graczy - chwałą okrywała się przede wszystkim Jagodnica.



Zacząłem pisać do gazet. Zostałem korespondentem „Nowej Wsi”. Byłem dumny jak paw, gdy po raz pierwszy ona wydrukowała krótką notatkę z moim nazwiskiem, a do szkoły przychodziły z redakcji adresowane do mnie listy. Zamiast nauczycielem miałbym zostać dziennikarzem? Bardzo tego chciałem!

Gdy kończyliśmy liceum, mieliśmy po 18 lat. Szczawiki. Młokosy. A jednak dojrzały i dobrze przygotowani do zawodu. Ufni w swą przyszłość.

Zresztą prawdę mówiąc, młody wiek nikogo wtedy nie zrażał, ani nas samych, ani przełożonych. Cieszył przede wszystkim awans społeczny.



Był czerwiec 1954 r. Fotograf ustawił nas, uczniów klasy IV „C” tuż przed dopuszczeniem do matury, by zrobić pamiątkowe zdjęcie. Pierwsze były dziewczęta, z którymi uczyłem się przez cztery lata. W górnym szeregu stoją od lewej: Krystyna Adamiak, Alina Wideńska, Irena Grzesiuk, Krystyna Łozak, Zofia Szejna, Emilia Gajda, Czesława Grzesiuk, Anna Laszuk, Halina Goławska, Janina Łukasik, Maria Goławska i Feliksa Tymoszuć. Na dole od lewej przysiadły: Teresa Łopacka, Halina Rosa, Bernarda Kuzawska, Halina Terpiłowska, Zofia Gomółka, Maria Trochonowicz, Wiesława Dąbrowska, Regina Weremczuk, Zofia Wąsiewicz, Zofia Jakimiuk, Maria Łojewska i Michalina Gajda.



*A to moi koledzy z klasy „C” przed maturą. Stoją od lewej: Czesław Nowak, Stanisław Szołuchna, Witold Bondaruk, Mieczysław Szpyruk, Eugeniusz Korniluk, Franciszek Sawczuk, Henryk Maziejuk, Jerzy Nowosielski, Władysław Klimiuk i Henryk Mierzwiński. Siedzą od lewej: Stanisław Sidorowicz, Czesław Semeniuk, Zygmunt Mikołajuk, Michał Piasecki, Stefan Sęk, Tadeusz Marczuk i Mieczysław Krysko.*

Partia jeszcze przed maturą zagięła na nas parol. Poprzedzając krótkim przeszkoleniem, zastosowała nabór w swe szeregi prawie już nauczycieli, zwłaszcza aktywistów ZMP. Chodziło zaś o to, żeby nauczyciel wiejski był upartyjniony i w imieniu PZPR działał w środowisku zamieszkania. Na odebranie czerwonej legitymacji zdecydowało się jednak niewiele osób. Jedni dlatego, że identyfikowali się z ideologią PZPR, a drudzy - szczególnie słabsi - czynili to, żeby nie oblać matury. Warunku takiego nikt co prawda nie sformułował, dominowało niemniej przekonanie, że członkowie partii zostaną lepiej potraktowani. Na odmowę zdecydowali się przeważnie lepsi uczniowie, pewni zaliczenia matury. Ja też odrzuciłem tę propozycję. Głównie dlatego, że - chcąc pozostać wiernym wsi i jej tradycji - już wtedy interesowałem się Zjednoczonym Stronnictwem Ludo-

wym. Jeżeli - kalkulowałem - związać się z jakąś partią, to właśnie tylko z „zieloną”, która wprawdzie znaczyła niewiele, miała jednak odwagę bronić chłopów.

Z klasy „c” maturę zdali wszyscy. Absolwentów PLP obowiązywały wówczas urzędowe nakazy pracy. Odstąpienie od nakazu każdorazowo przysługiwało trójce najlepszych absolwentów z poszczególnych klas. Znalazłem się w gronie wyróżnionych. Na moim świadectwie figurowały wyłącznie „piątki” i „czwórki”. Zatem osiągnąłem to, czego bardzo pragnąłem.



*Egzamin maturalny zdaliśmy w tym samym czasie, nic nie wiedząc o sobie. Ja kończyłem Liceum Pedagogiczne w Leśnej Podlaskiej na Podlasiu, a Halina Mierczyńska LO w Ornecie na Warmii. Ja zdecydowałem się na studia dziennikarskie na UW, a ona wybrała rolnictwo na WSR w Olsztynie.*

Zachęcano mnie, bym ubiegał się o studia w Moskwie. Odmówiłem. Jako jedyny z leśniańskich absolwentów zdecydowałem się na studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. Liczyłem na powodzenie, choć byłem świadomy dużej konkurencji. Gdyby jednak powinęła mi się noga, zostałbym nauczycielem.

### III. POD PRĄD, ALE DO PRZODU

#### *Brama nadziei*

Na egzamin wstępny, który przypadł na początek lipca, jechałem z duszą na ramieniu. Spodziewałem się wszystkiego, od pomyślnego sprostania wymogom, aż do klęski. Nadzieja mieszała się ze strachem. Czułem się tym bardziej niepewnie, że - w co trudno uwierzyć - była to moja pierwsza w życiu wyprawa do Warszawy i w ogóle podróż pociągiem! Jeździłem już co prawda koleją wąskotorową, tak zwaną „ciuchcią”, ale to przecież nie to samo.

Chłonąc widoki, jakie przesuwały się przed oknami wagonu, przyrównywałem je do okolic sobie znanych. A więc te same wąskie paski pól, na których rosły zboża i ziemniaki, przemieszane z lasami i łąkami. Jak na Podlasiu. Dworzec kolejowy w Łukowie, gdzie pociąg zatrzymał się po raz pierwszy, okazał się zbliżony do białskiego, ruch był tutaj jednak większy. Zaraz za Siedlicami usnąłem twardo. Ocknąłem się na wpół przytomny, kiedy pociąg gwałtownie zahamował w Rembertowie. Spytałem sąsiada czy to już Warszawa? Powiedział, żebym się nie denerwował, gdyż stolica jeszcze przed nami, a gdy będzie już blisko - wpierv ukaże się widok powstającego Pałacu Kultury i Nauki. I tak było.

Wysiadłem z wagonu na Dworcu Wschodnim, skąd tramwajem - mostem ponad rzeką - doturlałem się do śródmieścia. Wisła wywarła na mnie duże wrażenie. Zobaczyłem ją po raz pierwszy, znając przedtem z mapy. Kiedy znalazłem się na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu, opuściłem tramwaj, jak mi poradzili dobrzy ludzie, aby skierować się w stronę Uniwersytetu Warszawskiego. Przystawałem przed witrynami sklepów. Musiałem wyglądać zabawnie, jak prawdziwy prowincjusz, ubrany siermiężnie, z kufereczkiem w ręku. Zaskoczyła mnie gwałtowna zmiana otoczenia. Wczesnym rankiem byłem jeszcze na wsi, aż nagle znalazłem się w zgiełku wielkiego miasta. Nie pasowałem do niego. Ani do stukotu i szumu, ani do cuchnących spalin i przelewającego się tłumy przechodniów, z jakim spotykałem się dotychczas jedynie na targu albo odpuście. Przez myśl mi nawet nie przemknęło, nawet mi się nie śniło, iż właśnie w obrębie tego skrawka

stołecznego grodu, zamkniętego ulicą Smolną i Nowego Świata będą mieściły się redakcje czasopism, w których przyjdzie mi przepracować ponad 30 lat. Najpierw w tygodniku ZMW „Zarzewie”, potem w magazynie młodzieżowym „Razem”, a na końcu w prestiżowym tygodniku społeczno-politycznym „Perspektywy”.

Wtedy uparcie zdążyłem do przekroczenia progu nadziei i swoich oczekiwań, którym była wykuta z żelaza brama Uniwersytetu Warszawskiego. Stałem przed nią mocno onieśmielony, widząc u góry uniwersytecki herb. Zaprowadzić miała ona mnie do krainy szczęśliwości, której wtedy nie byłem w stanie wyobrazić sobie.



*Progiem nadziei jawiła się dla mnie brama Uniwersytetu Warszawskiego, która przekroczyłem w lipcu 1954 r.*

Prosiłem w duchu Boga, by poprowadził mnie szczęśliwie i pomógł, a sam poprzysiągłem sobie, że uczynię, co tylko będzie w moich możliwościach, żeby pomyślnie zdać egzamin. Ja, chłopski potomek, uświadomiłem sobie, że wkraczam tam, gdzie wstęp jeszcze nie tak dawno byłby dla mnie niemożliwy. Nie te nogi na te wysokie progi!...

Zapamiętałem to wydarzenie. Jakiś młodzieniec z opaską na ramieniu poinformował, bym udał się na drugą stronę ulicy, gdzie w



narożnym budynku Krakowskiego Przedmieścia, przylegającym do kościoła Świętego Krzyża, mieści się Wydział Dziennikarski.

Świątynia była w trakcie odbudowy wojennych zniszczeń. A że była już otwarta, wszedłem do środka, by zmówić pacierz. Zdumiały mnie dziury w ścianach i suficie, którymi wpadały promienie słońca.

Kandydaci na studentów poszukiwali odpowiedzi na liczne pytania. Informacji udzielali ZMP-owcy. Zachowując spokój i rozsądek,

starałem się niczego nie przegapić. Poznałem godzinę i miejsce egzaminu, to gdzie zostaną zakwaterowani i znajdę stołówkę, żeby cokolwiek zjeść.

Warszawa była dla mnie dżunglą. Ciągle dopytywałem o coś przechodniów, do jakiego tramwaju wsiąść i w jakim kierunku pojechać, by dotrzeć na ulicę Elekcyjną, gdzie na czas egzaminów miałem zapewniony nocleg. Spałem źle, nerwowo. Udawałem pewniaka, wbrew swej naturze, by nie wzbudzać litości, a jedynie szacunek i uznanie, maskując zakłopotanie i niepewność.

Wśród przystępujących do egzaminu było trochę młodych ze wsi. Rozpoznałem ich po ubiorze i zachowaniu, a także mowie. Cisi i nieufni, za to rzetelni i solidni. Byli pozbawie-

*Wydział Dziennikarstwa UW zajmował wówczas narożny budynek, znajdujący się na skrzyżowaniu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Romualda Traugutta, przylegający do kościoła Świętego Krzyża.*

ni sznytu, jakim imponowali miastowi, zwłaszcza stołeczni cwaniacy. Jako jednego z najpierwszych poznałem Jurka Grzybczaka, absolwenta pińczowskiego ogólniaka, a dla kontrastu Andrzeja Kozere z Warszawy, przyszłego spikera telewizyjnego, który odniósł się do mnie z szacunkiem, czym mnie ujął. Żartowałem mówiąc, iż nic złego się nie zdarzy, jeżeli obleję egzamin, bo przecież jestem już nauczycielem.



Pisałem tekst egzaminacyjny ze sportu. Było to sprawozdanie, utrzymane w charakterze reportażu, z wymyślanego meczu piłkarskiego. Poszło całkiem nieźle, a redaktor Bohdan Tomaszewski, wybitny sprawozdawca sportowy, uznał moją pracę za interesującą.

Pisałem także tekst publicystyczny. O sytuacji młodzieży wiejskiej, za przykład biorąc swoją Jagodnicę. Z tej pracy też byłem zadowolony.

## *Uśmiech losu*

Egzaminy ustne odbyły się pięć dni później. Przedział czasu był zbyt mały, by wracać na przeczekanie do wsi. Zostałem w Warszawie, chcąc lepiej ją poznać. Moja łapczywość na nią brała się stąd, że nie byłem pewny powodzenia na egzaminach. Jeżeli - myślałem - obleję egzamin wstępny, to nie wiadomo czy będzie okazja, bym zwiedził miasto.

Szansa na szczęśliwe przebrnięcie przez sito egzaminacyjne była nieduża. Kierunek studiów, jaki sobie wybrałem cieszył się wśród kandydatów największym powodzeniem. Był to wtedy jedyny taki wydział w Polsce. Na każde wolne miejsce przypadało ponad 12 kandydatów. Przegrana w tej sytuacji nie byłaby klęską, ale na pewno pozostawiłaby ślad na zawsze. Pragnąłem bardzo uniknąć zderzenia oczekiwań i pragnień z niepowodzeniem. A może - łudziłem się w duchu - będzie jednak dobrze i zdam egzamin? Przecież leśniańskie liceum pedagogiczne prezentowało wysoki poziom nauczania.

Wędrowałem ulicami Warszawy od wczesnego ranka do późnego wieczora. Wracałem na noc mając opuchnięte i zdrętwiałe nogi, a głowę pełną wrażeń. Zetknąłem się z Warszawą starą i nową. Tej pierwszej pozostało niewiele, zaś ta druga była w powijakach. Z podziemnych czeluści wyrastał Pałac Kultury i Nauki. Jego potężna sylwetka budziła podziw i respekt. Podchodziłem doń tak blisko, jak się dało. Wokół rozciągało się morze ruin. Zgliszcza w Alejach Jerozolimskich zachowało się trochę starych kamienic. Ulica Marszałkowska, szczególnie w kierunku Placu Unii Lubelskiej, wyglądała jakby był to tunel pośród gruzowisk. Zamiast chodników - ścieżki, niczym śródpolne dróżki. Jezdnia wąska. Samochodów mało; ludzie jak ja, chodzili najczęściej pieszo.

Nowe osiedle, odmienne od otoczenia, będące symbolem socrealizmu, wyłaniało się tam, gdzie powstał MDM. Przyznam szczerze, że mnie nie raziły ani duże kandelabry, ani kamienne figury ludzi pracy i nauki, do których nabrałem nawet sympatii.

Powstawał też, bo i tam dotarłem, Muranów i Mirów, Mariensztat. Najbardziej pociągała mnie jednak Starówka. Z dużym impetem dźwigał się z ruin stary rynek, odzyskując dawny styl. Wąskie i trochę szersze kamieniczki, których fundatorów, gdy idzie o majątność, poznawało się po liczbie okien. Niektóre zostały przyozdobione freskami i sztukaterią, co nadało im osobliwy wyraz.

Polubiłem odtąd, a ta miłość trwa nadal, urokliwy i przytulny zakątek dawnej Warszawy. Dźwignięty z ruin i zgliszcz, na przekór Niemcom, stał się wizytówką stolicy. Gdy bywam tam teraz, przypominając dawne widoki, trudno oprzeć się przeświadczeniu zagranicznych turystów, że to, co oglądają jest starodawne, a nie dopiero po wojnie odbudowane. Zatarły się granice czasu, ponieważ nowe stało się starym.

Zwiedzałem stołeczne świątynie. Poczynając od kościoła św. Anny przy trasie W-Z, a na św. Jakuba kończąc. Trasa mostowa była już czynna. Pierwszy w życiu znalazłem się na ruchomych schodach, które się tam pojawiły, dlatego nie odmówiłem sobie przyjemności żeby kilkakrotnie przejechać się nimi.

Zatrzymałem się dłużej w archikatedrze. Na trasie był też Zamek Królewski. Leżał w gruzach. Poza częścią ściany wschodniej, gdzie mieszkał Stefan Żeromski, która sterczała jakby wyrzut sumienia. Pomstowałem na hitlerowców, tak okrutnie obeszlą się z naszą stolicą. Jak mogłem przypuszczać, że po upływie kolejnych lat będę świadkiem wskrzeszenia Zamku?

Imponowała mi Warszawa wielkością i rozmachem, choć zarazem przytłaczała. Chciałem tutaj studiować. Gdyby nie nastąpiła mobilizacja sił Polaków na rzecz odbudowy i restauracji zabytków, takich jak Zamek Królewski, także w okresie rządów Edwarda Gierka - dotąd nie mielibyśmy go. Tak samo jak Teatru Wielkiego czy Zamku Ujazdowskiego. Zapewne również Dworca Centralnego, który wielu ludzi - a ja nie rozumiem dlaczego - chciałoby zburzyć. Podobnie jak PKiN, gdyż natarczywie przypomina im PRL. Aż dziw ogarnia, skąd wzięło

się tak wielu ludzi gotowych za wszelką cenę zniszczyć ślady przeszłości, które przecież milczą i same niczego nie żądają.

Im było bliżej do egzaminu ustnego, tym bardziej topniały - ku memu zaskoczeniu - skromne zasoby pieniężne, które mi podarował Antek. Zabezpieczyłem na powrót niezbędną kwotę. Mogłem pozwolić sobie jedynie na najtańsze posiłki, poza tym coraz rzadsze. Nie mogłem zdobyć się na zakup pamiątek. Narastał we mnie niepokój.

Jednak los znowu okazał się zaskakująco przychylny. Znalazłem się oto w katedrze, aby wejść do jej podziemia, gdzie znajdują się szczątki dawnych władców Mazowsza. Wchodziliśmy w grupach. Dołączyłem do jednej z nich. Przewodnik mówił krótko i beznamiętnie, uważając chyba, że uczestnicy wycieczki znają się na historii. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, zatrzymałem się na dłużej w podziemiach.

W którymś momencie dałem się wciągnąć do dyskusji o Księstwie Mazowieckim, wykazując się jakąś tam wiedzą. Coś mówiłem, odpowiadałem na pytania, z czymś się nie zgadzałem.

Wracając na górę, stanąłem przed schodami, by przepuścić osoby starsze, z którymi zwiedzałem podziemia. Biorąc mnie być może za przewodnika, uczestnicy tej grupy poczuli wciskać mi do kieszeni pieniądze. Zdumiony nie zareagowałem, tknęło mnie jednak coś, że datki te mogą być dla mnie manną z nieba, bo pozwolą mi bezpiecznie przetrwać do końca egzaminów.

I tak się stało. Klęcząc w katedrze, przeprosiłem Boga za postawę i poprzysiągłem, że zwrócę kiedyś - wkładając do ofiarnej skrzynki - zdobyte tak pieniądze. Będąc już studentem tak postąpiłem: odjąłem pieniądze od stypendium. Sumienie moje nie doznało więc uszczerbku.

Egzamin ustny przebiegł pomyślnie. Odpowiadając na pytania, mówiłem dużo także o sobie i Podlasiu, nie przemilczając kłopotów, ale też nie ukrywałem nadziei na przyszłość. Zadawane pytania nie sprawiały mi trudności, odpowiadałem poprawnie i pewnie. Powiem nawet, że oczekiwałem, iż będzie gorzej.

Byłem niemal pewny powodzenia. Podczas końcowego spotkania komisja sugerowała, żebym podjął studia na warszawskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Byłoby to - padł argument - właściwe i logiczne. Przecież skończyłem liceum pedagogiczne, więc wybrałem zawód nauczyciela...

Zaświtała mi wtedy myśl, że skoro miałbym bez zdawania egzaminu dostać się na WSP, to znaczy, że ja go nie oblałem!

- Wolę jednak Uniwersytet Warszawski - zareagowałem odważnie, ustosunkowując się negatywnie do złożonej przez prof. Jana Halperna propozycji.

- Pragniesz koniecznie zostać dziennikarzem, a nie nauczycielem? - prof. Mieczysław Kafel nie dawał za wygraną. - A to dlaczego?

- Bo ja marzę o tym! - odpowiedziałem. - Chcąc służyć Polsce i wsi, z którą jestem mocno związany - odpaliłem następnie „z grubej rury”.

- Może i tak się stanie... - usłyszałem na odchodne.

Podbudowany, ściskając dłonie egzaminatorów, odszedłem przekonany, że chyba jednak będę studentem.

## *Czas oczekiwania*

Wracalem do Jagodnicy z dużą ulgą. Na polach zaczęły się żniwa, które - byłem tego pewny - staną się również moim udziałem. Głównie w soboty i niedziele, wykorzystywałem czas wolny na spacer do kościoła w Leśnej lub Witulinie i grę w piłkę. Graliśmy w siatkówkę, przeważnie na podwórku Mietka Kawki, ale też w sąsiednich wioskach, które zapraszały nas do siebie.

Rada Powiatowa Zrzeszenia LZS zafundowała nam w nagrodę wyjazd do Lublina - związany z kilkudniowym pobytem w tym mieście - na uroczystości X-lecia Polski Ludowej. Poczytaliśmy to za duży zaszczyt.

Na wyprawę udaliśmy się kilkuosobową grupą. Pociągami, przez Łuków i Lubartów. Lublin, uznawany za pierwszą stolicę odrodzonej Polski, na czas jubileuszu przystroił się odświętnie. Miasto zostało wypucowane. Był to mój pierwszy kontakt z Lublinem. Nabrałem do niego wiele sentymentu i później związałem się z nim emocjonalnie.

Spodobała się nam zwłaszcza świeżo odrestaurowana starówka, ciasna i urokliwa, spokojna. Weszliśmy na wieżę Bramy Krakowskiej, skąd rozciąga się widok na Lublin. Poznaliśmy Zamek Lubelski, w którym Niemcy urządzili kazamaty dla opornych Polaków, skąd zwykle się nie wracało. Nic nie powiedziano nam, nawet słowem, że po

wojnie w tych samych pomieszczeniach mordował ludzi Urząd Bezpieczeństwa.

Oblicze martyrologii zeprezentował nam podlubelski Majdanek. Duże wrażenie wywarły na mnie ustawione w szeregu drewniane baki, wyposażone w prymitywne prycze. Zachowały się place odpraw, gdzie - bez względu na pogodę - odbywały się apele więźniów. I poruszająca wyobraźnię ściana rozstrzeliwań, jak też szubienice, rowy wypełnione popiołem oraz szczątkami spalonych ludzkich ciał. A piece krematoryjne zdawało się, dopiero co wygasły...

Był też czyn społeczny. Myśmy porządkowali miejski park niedaleko dworca kolejowego, sadzili drzewa i krzewy. Bywałem później w nim wielokrotnie, nijak nie byłem jednak w stanie ustalić, do sadzenia których z rosnących tam drzew przyłożyłem rękę.

Wróciliśmy do Jagodnicy pełni doznań i zadowoleni. Z osobami, które mogły pojechać z nami, lecz nie chciały lub nie mogły, dzieliłem się chętnie wrażeniami; podobnie jak z tymi, które o to prosiły. Było czego żałować.

Myślamy byłem jednak zupełnie gdzie indziej. Niepewny tego, czy zostanę studentem, czy też może nauczycielem, starałem się odpędzić od siebie wątplenia. Nawet randki, do których - przyznam - specjalnie mnie nie ciągnęło, nie były tak beztrioskie, jak być powinny.

To, co jeszcze niedawno, a więc praca w szkole, miało stanowić dla mnie powód do chwały i dumy, stawało się wątpliwe i blade, a ponadto wcale nie oczekiwane. Marzeniem stały się studia. Przeciągało się natomiast nadejście z UW powiadomienia o wyniku egzaminów. Nie mając pewności, wziąłem udział w sierpniowej konferencji nauczycieli powiatu bialskiego. Była ona poświęcona przygotowaniom do rozpoczęcia nowego roku szkolnego.

Podświadomie bagatelizowałem to wydarzenie, licząc w skrytości ducha na początek roku akademickiego. Dowiedziałem się od Tadeusza Maziejuka, że Krzywówka, w której miałem zadebiutować, to mała wioska w pobliżu nadbużańskich Sławatycz. A do tego mocno zukraizowana, co mnie niepokoiło. Tam miałbym wystartować samodzielnie w zawodzie. Sam! Pan i sługa.

Tadeuszowi przypadła w udziale Studzianka. Wioska o tradycjach tatarskich, położona w pobliżu Łomaz niedaleko Białej Podlaskiej.

Tych atutów była pozbawiona „moja” Krzywowólka. Zastanawiałem się, co stanie się ze mną, jeżeli utknę tam na dobre?

Konferencję prowadził powiatowy inspektor oświaty Franciszek Sęczyk. Otrzymałem materiały niezbędne do rozpoczęcia nauki, dzienniki obecności i ocen oraz programy nauczania. Być może - pomyślałem - staną się one dla mnie „kotwicą”, która zadołuje mnie w Krzywowólce, o której dotychczas nawet nie słyszałem. Zapał do belfrowania topniał z każdym dniem.

Konferencję zaplanowano na trzy dni. Noclegi przypadły mi w internacie technikum ekonomicznego. Drugi dzień, przeznaczony w całości na referaty i dyskusję, jak też luźne rozmowy, przebiegał tak, jakby mnie w ogóle to nie dotyczyło.

Zmiana w uosobieniu zaszła po południu trzeciego dnia. Była akurat przerwa. Antek wpadł zziębnięty, by powiedzieć mi, żebym wracał do domu, gdyż zostałem przyjęty na studia. Gdy listonosz dostarczył kartkę z Uniwersytetu Warszawskiego, informującą, że zostałem przyjęty na pierwszy rok studiów dziennikarskich i mam zapewnione miejsce w akademiku oraz stypendium - brat zaprzągnął Siwka do wozu i popędził czym prędzej do Białej. Boże, cóż lepszego mogło mnie spotkać!

Czytałem po trzykroć szczęśliwą kartkę, by się upewnić, że to prawda. Jestem studentem!

Uścisnąłem brata, który cieszył się razem ze mną, widząc łyzy szczęścia w moich oczach. Wstrzemięźliwy w reakcjach, tym razem Antek też się rozczulił.

- Och, bracie, gdybyż widziała to nasza matula! - wyłkał.

Wszystko co zaprzętało dotąd moją głowę, co niepokoiło i martwiło nagle zniknęło...

Poszedłem do inspektora, by oddać mu dzienniki lekcyjne oraz inne materiały szkolne. Powiedziałem, że na pewno nie zostanę nauczycielem w Krzywowólce.

Sęczyk przeczytał moją kartkę z UW i zakłopotany zareagował:

- Sprawileś mi, bratku, wielki kłopot, bo co ja pocznę teraz z tą Krzywowólką? Kogo znajdzie na twoje miejsce?

Przeprosiłem grzecznie. Wracaliśmy furmanką do Jagodnicy szczęśliwi jak nigdy. Nazajutrz wiedziało pół wsi, że Heniek Maziejuków będzie studentem.



## IV. W POKŁONIE WIEDZY I PRAWDZIE

### *Siła kolektywu*

Zamieszkałem w akademiku przy ul. Kickiego na Grochowie. Naprzeciw siebie, po obu stronach ulicy, stały dwa długie 4-piętrowe bloki mieszkalne. Jeden żeński, drugi męski. Podzielone były na nieduże pokoje, w których stała szafa na ubrania, był stolik z krzesłami i regał na książki, a przy ścianie - dwie pary piętrowych metalowych łóżek.

Łazienka, ubikacja i kuchenka - wszystko wspólne - ulokowane zostało na zewnątrz, po obu stronach środkowej klatki schodowej. Jeżeli ktoś posiadał wiktuały, był zmuszony trzymać je w walizce pod łóżkiem, obok butów, albo za oknem. O lodówkach nikt nawet nie słyszał. Na dole była stołówka i był też skromny bufet.

Przez cztery lata, od października 1954 do lipca 1958, akademik zastępował mi dom. Dobraliśmy się do kompletu zupełnie przypadkowo, a pomimo to nie dochodziło między nami do kłótni. Koleżeńskie zaufanie, wzajemny szacunek i tolerancja ukształtowały się samoistnie i uzyskały naszą aprobatę.

Jakkolwiek, jeśli się przyjrzeć bliżej, każdy z nas był inny i dźwigał odmienny bagaż doświadczeń oraz miał swoje przyzwyczajenia. Na swój sposób każdy był oryginalnym.

Marian Filanowicz, którego nazywaliśmy - za jego aprobatą - Markiem, był od nas nieco starszy. Przybył z Łodzi. Syn robotnika. Nerwus. Bawidamek. Uganiał się wytrwale za spódniczkami. Datujące się od czasu wojny, szkolne braki i zaległości w nauce, nadrabiał mozolnie. Marian Filanowicz, jak w przypadku kilku innych osób, studia wyższe poprzedził nauką w łódzkim Studium Przygotowawczym.

Tak jak Andreas Sterojanos, który co prawda mieszkał w innym pokoju, ale był związany z nami, podobnie jak Karol Badziak, także z Łodzi. Już nie pomnę czy Sterojanos był Grekiem czy też Macedończykiem, w każdym razie trafił do Polski uciekając z Grecji, by uniknąć prześladowań za udział w niedawnym powstaniu Melojanisa. Sterojanos, bardzo koleżeński, zawzięty i uparty, popadał łatwo

w nerwy; gdy tylko coś nie układało się po jego myśli albo kiedy pojawiał się trudny problem. Klął, złorzeczył. Kiedyś zrugął niemilośnie polonistkę tylko dlatego, że ta zwróciła mu uwagę, iż mówi źle po polsku.

- A ty myślisz - tłumaczył - że ja k... miałem czas na naukę? Ja nauczyłem się zabijać ludzi, zamiast pióra w ręku miałem karabin. Ja nie siedziałem w ławce szkolnej, jak ty paniusiu, a wysoko w górach, głodny i przemoknięty... Jak ty będziesz mówić w moim języku, też łatwo się nie dogadamy!

Adam Orłowski wybrał łóżko pod Marianem Filanowiczem. Przybył na studia ze wsi Strącze Wielkie pod Wschową na Ziemi Lubuskiej, gdzie była spółdzielnia produkcyjna, której przewodniczył jego ojciec. Rodzina Adama wywodziła się zza Buga, a na Ziemi Zachodnie przybyła w ramach repatriacji.

Czasem pokpiwaliśmy dobrodusznie z kołchozowego rodowodu Adama. Był gorącym zwolennikiem „kołchozów”, podczas gdy ja sprzeciwiałem się im, obstawiając zdecydowanie za gospodarstwami chłopskimi. Między nami dochodziło na tym tle do częstych sporów, które śmieszyły kolegów.

Istotne dla nas było to, że rodzice Adama przysyłali raz w miesiącu dużą paczkę z żywnością. A on, chociaż wspólnotowy, hołdował nawykowi sobkowskim, nie chcąc dzielić się z nami smakolękami. Ale na to znalazł się sposób, bo - skoro sam tego nie chciał - ukradkiem podkradaliśmy mu co się dało, a szczególnie podsuszoną kiełbasę palcówkę, smalec z cebulą oraz kruche ciastka domowego wypieku. Adam, spostrzegając topniejące zapasy, podejrzewał, że to my podbieramy mu zapasy, lecz niczego nie był w stanie udowodnić. Walizki nie zamykał na klucz, bośmy go wcześniej wyrzucili za okno. Zabezpieczał ją po swojemu, zastawiając pułapki, by się upewnić czy ktoś tam nie grzebał. Mietek Pisarek odkrył podstęp i dobierał się do zapasów tak, aby nie zostawiać śladów. Adam kręcił z niedowierzania głową i nadal sporządzał sprytne pułapki. Aż w końcu przemógł się i gdy przychodziła paczka ze wsi, mieliśmy darmową wyzerkę.

- I jak tu - tłumaczył Pisarek - nie ufać w siłę kolektywnego oddziaływania?

Jednakże nie udało się nakłonić Adama do gry w karty. Czy to w brydża, czy też - na pieniądze oczywiście - w pokera. Zawział się w swoim sprzeciwie. Postępował słusznie, gdyż ponad karty przekładał książki i podręczniki. Zaglądał natomiast do nas bardzo chętnie Tadeusz Ceglarski, rodem z Gdyni, który objawiał dużą namiętność do hazardu. Zgarnął kiedyś trzecią część mego stypendium.

Największym kujonem, jak się nam wydawało, był Longin Pastusiak, też z łódzkich Baut. Sympatyczny i miły, ale stanowczy i uparty. Gdy inni już spali, albo rżnęli w karty, Longin przechadzał się po długim korytarzu i wkuwał angielskie słówka. Byli i tacy, którzy kpili z jego postawy, bo też wtedy języki obce były nam prawdziwie obce i zdawały się zbędne. Lecz to Login miał rację i wyobraźnię. Już wtedy myślał serio o swojej przyszłości, którą sobie znakomicie wykuł. Stał się profesorem, wybitnym amerykańistą, autorem cenionych książek o prezydentach USA i w ogóle o Ameryce. Był marszałkiem Senatu i posłem. Niektórzy uważali, że to raczej efekt trafnego doboru żony, którą była córka Edwarda Ochaba, ale źródła powodzenia szukać trzeba w głowie.

### *Bloczek skąpany w kawie*

Mietek Pisarek, sprytny i obrotny, pochodzi z Pawłowa Starego koło Janowa Podlaskiego; jest więc moim krajanem. Lecz na studia startował z Dolnego Śląska, dokąd wywędrował z zamiłowania do tego regionu. Kończył Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu. Wzięły się stąd u niego zainteresowania sztuką.

Janek Toniak, rodem z Józefowa na Lubelszczyźnie, też kończył zamojskie Liceum Sztuk Plastycznych. Był dobrym rysownikiem, co potwierdzał na łamach gazety studenckiej „Horyzont”. Takich, którzy dostali się na dziennikarkę kończąc szkoły inne niż ogólniaki, było więcej. W niczym nie przeszkadzało to, żeby zostać dziennikarzem, a nawet wzbogacało ten zawód.

Pisarek, nie wiedzieć dlaczego, wstydził się końcówki „uk” w swoim nazwisku, które nosił jego ojciec, dziad i pradziad. Poznałem jego brata i był to Pisaruk. Mietek zamienił Pisaruk na Pisarek.

Uzdolnienia plastyczne Mietka przydawały się nam. I to nie tylko przy redagowaniu wspomnianej gazetki, którą on - podobnie jak Toniak - ilustrował, ale również w okolicznościach niestosownych.

Byliśmy biedni i głodni. Brakowało nam ciągle pieniędzy na książki, gazety, kino i teatr. Na atrakcyjne imprezy rozrywkowe czy też sportowe, jeśli kogoś - jak mnie - interesował sport. Na posiłki, także alkohol, mówiąc szczerze, bo na kieliszek czegoś mocniejszego też wypadało się czasem zdobyć.

Kiedy stolicę odwiedzał okrzyczany zespół śpiewaczy, chociażby radziecki, albo głośny balet czy teatr, lub gdy rozgrywany był atrakcyjny mecz piłkarski bądź hokejowy - ciągnęło na widownię.

Sztuka oszustwa polegała na tym, żeby zdobyć wcześniej - a były przedsprzedaże - choćby jeden oryginalny bilet. Prawdziwy bilet wstępu i dokładny plan widowni. Z całą resztą Mietek Pisarek radził sobie doskonale.

U kolegów z ASP zdobywał papier i odpowiedni tusz, farby, a bilety podrabiał tak doskonale, iż było trudno odróżnić fałszywkę od oryginału. W dniu imprezy taktyka sprowadzała się do tego by odpowiednio wcześniej dotrzeć na widownię i zająć miejsce zgodnie z numerem. Gdy pojawił się posiadacz biletu firmowego, nie sposób było wyprosić kogoś, kto tam już siedział gdyż on także miał bilet odpowiadający temu miejscu. Interwencja okazywała się nieskuteczna. Jedyne co mogła uczynić służba porządkowa, to przydzielić poszkodowanej osobie miejsce zastępcze, zazwyczaj gorsze.

Metody tej nie nadużywaliśmy. Głównie, chociaż nie tylko, z uwagi na niedostatek wolnego czasu, którego studentom - wbrew pozorom - nigdy nie zbywało. Wpadka, bo w końcu doszło do tego, nastąpiła w okolicznościach szczególnych. I nie w teatrze czy na stadionie, ale w stołówce.

Bo też doszło do tego, że niektórzy bardziej bezczelni posługiwali się także podrobionymi bloczkami posiłkowymi, które każdorazowo należało wręczać w stołówce. Personel przestrzegał ściśle, by odbierając posiłek zdawać bloczki, gdyż służyły do rozliczania kosztów stołówki.

Pewnego razu jeden z kolegów podał kucharce bloczek tak niefortunnie, iż ten wpadł do kubka z zabieloną kawą, to jeszcze - zdawa-

łoby się - niczego złego nie zapowiadało. Nie chcąc jednakże stracić go, kucharka przypomniała sobie o bloczku zatopionym w odstawionej obok kawie. Wydobywając go stamtąd łyżeczką, wzięła bloczek do rąk i okazało się, że spłynęły z niego literki i cyferki. Zrobił się rwetes. Kierownik akademika, zwany „Rudym Wąsem”, stawał na głowie, by znaleźć sprawcę sfałszowanego bloczku. Jednak, co rozumiały, prawdy nijak nie udało się odkryć.

Wpadka przestraszyła nas jednak na tyle, że brakowało odważnego, kto by ryzykował uzyskanie kary, a Mietek Pisarek też dał spokój swoim zdolnościom.

### *Metoda sprytu i podstępu*

Spałem na łóżku dolnym, której górę zajmował Mietek Pisarek. Wówczas, czego teraz nie da się powiedzieć, wszyscy byliśmy mniej więcej podobnej postury. A było to ważna okoliczność. Pojawiały się bowiem takie sytuacje, kiedy wypadało ubrać się lepiej niż zwykle, udając się na randkę z dziewczyną albo do teatru czy na ważną rozmowę. Chodziło o to, żeby się dobrze zaprezentować. Koledzy wypożyczali chętnie marynarki, buty, spodnie, płaszcze, a nawet koszule. Przysługi takiej nie wypadało odmawiać.

Spyt, jak to w życiu, przydawał się często. Także w podróży, z którą były duże tarapaty. Trudno było dopchać się to autobusu czy też tramwaju. Zajęcia odbywały się nie tylko w pomieszczeniach uniwersyteckich. Czasem gdzie indziej. A później dziennikarka wyniosła się w ogóle z UW do Pałacu Kultury i Nauki. Mogę uznać, że odbywało się to po części także na moich plecach. Znalazłem się w zespole, który odpłatnie - pod kierownictwem Jurka Grzybczaka - przenosił meble i książki oraz inne przedmioty z dawnej siedziby dziennikarki do nowej. Tym chłopskim sprytem, nie bacząc czy i na ile to czynić wypada zarobiliśmy niezłe pieniądze. Panował ścisk w autobusach i tramwajach. Ci, którzy narzekają obecnie na MZK nie mają pojęcia, jak było wtedy, kiedy myśmy jeździli. Jeszcze na początku studiów, co wydawać się może nieprawdopodobne, na przystanki podjeżdżały ciężarówki bez plandek zaopatrzone w ławy. Byliśmy zdani na działanie deszczu i mrozu, jak również na wątpli-

we kwalifikacje kierowców, zapominających czasem, że na pokładzie mają ludzi, a nie worki z ziemniakami.

Pojawiła się potem regularna linia autobusowa 102, łącząca Grochów z PKiN. Posługując się przenośnią, jazda nie była wcale „na 102”. Jeżeli udało się wcisnąć między pasażerów - a studentom wiele uchodziło, nawet przyłgnąć do kobiety - to pojawiały się problemy z wyjściem.

W autobusach, których notorycznie brakowało, drzwi musiały być zamknięte, gdyż kierowca nie ruszał. Inaczej w tramwajach. Ryzykując dużo, musiałem stać na zderzaku wagonu albo ucześcić się - niczym pnącza winorośl - do skrawka drzwi i schodów, podskakując w rytm nierówności torowisk; z reguły na jednej nodze. Pół biedy, jeżeli odległości między przystankami były krótkie, gdyż za każdym razem należało odcześcić się i przepuścić wchodzących pasażerów.

Ręce i nogi drętwiały w miarę upływu czasu, coraz bardziej i bardziej, że trudno było to zdzierżyć. Na przykład między Rondem Waszyngtona a ulicą Grenadierów na Pradze, którą tramwaje kolebiąc się niemilosiernie przejeżdżały szybciej niż gdzie indziej, należało liczyć się z możliwością, iż ktoś - z jakiegoś „grona” - odpadnie. By uniknąć tego, wyskakiwałem czasem na pobocze, a niekiedy do rowu, gdy tylko tramwaj na chwilę zwalniał bieg.

Koleją też podróżowało się z trudem. Między Białą Podlaską a Warszawą kursowało mało pociągów i były one z reguły zatłoczone. Przejeżdżały częściej pociągi międzynarodowe, głównie radzieckie, do których tubylcy nie mieli wstępu. Czasem udawało się dostać - za wódkę czy papierosy - do pociągu towarowego i wysiąść na bialskiej bocznicy, co było ryzykowne, gdyż zestaw taki równie dobrze mógł zatrzymać się dopiero w Terespolu.

I był też pociąg mieszany, rosyjsko-polski, który kursował między Terespołem a Legnicą, poprzez Warszawę i Wrocław oraz Wałbrzych. Podróżowali nim prawie wyłącznie żołnierze Armii Czerwonej oraz ich rodziny. Jedynie dwa lub trzy wagony były przeznaczone dla Polaków. Zdarzało się nieraz i tak, że całą podróżną trasę, to jest z Białej do Warszawy, albo odwrotnie, musiałem przestać. A do Jagodnicy przyjeżdżałem często.



Jednakże i ten problem udawało się nam jakoś rozwiązywać. W sposób mogący wśród estetów budzić oburzenie, albo nawet odrazę, bo chodziło o... czochranie. Ponieważ na terespolskiej trasie podróżyowało wielu studentów, należało ich wtajemniczać w taktykę. Sztuka polegała na tym, by jeden z nas, sprytem albo bezczelnie, wcisnął się do wnętrza przedziału. A gdy już tam był, miał obowiązek posługiwać się łamaną ruszczyzną, unikając starannie języka polskiego, by w ten sposób uwiarygodnić swe postępowanie. Które polegało zwłaszcza na tym, by drapać się ostentacyjnie po całym ciele, nie unikając miejsc intymnych, a więc wszędzie dokąd sięgały ręce, co miało sugerować, iż tną go wszy.

Podróżni bali się wszawicy, wiedząc, iż łatwo się jej nabawić w tym właśnie pociągu. Efekt był więc taki, że pasażerowie siedzący obok odsuwali się dyskretnie od „zarażonego, zwalnając” tym samym miejsce. I o to właśnie chodziło, gdyż po jakimś czasie przedział wagonu przersedzał się na tyle, że mogli wchodzić do niego nasi koledzy.

## *Odwrót polonusów*

Najważniejsze były oczywiście studia. Grupy studenckie były nabyt liczne, stąd brało się przekonanie, że dziekan postara się o to, by już w trakcie pierwszego roku nastąpiła redukcja studentów. Odpadną - to oczywiste - ci, co nie mogą sprostać wymogom studiów wyższych, bądź zorientują się sami, iż popełnili błąd, wybierając kierunek dziennikarski, czy też skutek przypadłości losu. Tak było. Z mojej grupy odeszły trzy osoby.

Wiedziałem, że jeśli mam oczekiwać powodzenia, a na tym mi zależało, muszę zadbać o samodyscyplinę. Ponadto wykazać się samodzielnością myślenia, otwartością, inicjatywą i inteligencją oraz opanować zasady pracy umysłowej. Nauczyłem się też formułować prawidłowe odpowiedzi podczas egzaminów.

Pierwszy egzamin, a była to historia powszechna, wypadł blado. Trafił mi się trudny temat. Pytanie dotyczyło powstania „żółtych turbanów” w Japonii. Cóż mogłem o nim powiedzieć? Niewiele. Pani profesor Irena Pietrzak-Pawłowska, osoba miła i wrażliwa, delikatna,

choć z pozoru oschła, mająca przedwojenny rodowód, naprowadzała mnie jak tylko mogła na właściwy trop. Sugerowała, podpowiadała, niewiele to jednak dało. Z zażenowaniem uznała, że zasłużyłem ledwie na mocno naciąganą „trójczkę”.

Później już nie było tak źle. Z wyjątkiem marksizmu. Pamiętam, że prof. Bolesław Litwin poprosił, żebym porównał poglądy Bakunina i Waryńskiego. Uznałem, po trosze na zasadzie przekory, wyższość tego drugiego nad pierwszym. Naraziłem się tym profesorowi, będącemu wtedy prodziekanem, o którym wiedziałem, że lubi gloryfikować wszystko, co rosyjskie. Uznał, że forsuję bezpodstawnie Ludwika Waryńskiego, twórcy „Proletariatu”, powstańca, przedkładając jego poglądy i zasługi ponad Bakunina, rosyjskiego teoretyka i rewolucyjnego myśliciela.

Wolałem wywyższać Polaka, aniżeli gloryfikować Rosjanina, trudnego do zrozumienia i nie postulującego istnienia niepodległej Polski. Broniałem swoich racji i nie zamierzałem ustąpić pod naciskiem poglądów, jakimi zasypywał mnie prof. Litwin. W końcu wpisał mi ostentacyjnie dwójkę i cisnął ze wściekłością indeksem w kąt...

Wyskoczyłem z pokoju, jak z ukropu. Poprosiłem sekretarkę, panią Anię, osobę dla studentów bardzo życzliwą, by zechciała zaopiekować się moim indeksem. Zaznaczę, że nie byłem wcale jedynym studentem, któremu przytrafiło się takie zdarzenie. Temu antypatycznemu człowiekowi naraziło się wielu. Swoją obecnością wywoływał on wśród studentów popłoch. Wkrótce zresztą Litwin opuścił dziennikarkę, a ja bez problemu zdałem u kogo innego egzamin poprawkowy.

Największe trudności napotkałem w rozumieniu ekonomii socjalizmu i ekonomicznych zasad marksizmu. Pochodząc logicznie do tematu, nie pojmowałem wydumanych teorii, które nijak nie sprawdzały się w życiu.

Dziennikarka miała niewielu swoich profesorów. Najbardziej znanym i cenionym był prof. Mieczysław Kafel, zajmujący się techniką wydawniczą, o którym długo potem dowiedziałem się, iż działał przed wojną w „Wiciach” i pozostał ludowcem. Ukrywał swoje zapatrywania, gdyż nie odpowiadały one poglądom odgórnie narzuconym. Inna sprawa, że on stronił od polityki.

Nasz wydział sięgał po profesorów z zewnątrz. Ich wykłady cieszyły się dużym zainteresowaniem dlatego, że mogli u nas pozwalać sobie na większą swobodę i tolerancję w głoszeniu poglądów, aniżeli w macierzystych uczelniach. Wynikało to z założenia studiów dziennikarskich, bo chodziło o to, żeby przyszli adepci tego zawodu byli bardziej elastyczni i otwarci, mniej skostniaли, toteż powinni posiadać wiedzę na możliwie wysokim poziomie. Bo też dziennikarze, jak rozumowano, z racji wykonywania zawodu będą kontaktować się z najrozmaitszymi ludźmi i do tego niekoniecznie zdeklarowanymi obrońcami socjalizmu.

Powinni mieć co prawda twarde kręgosłup ideowo-polityczny, lecz jednocześnie być na tyle wrażliwi i kompetentni, elastyczni, by mogli wzbudzać zaufanie i nawiązywać kontakty. Wreszcie - zakładano - to oni mają tworzyć opiniotwórczą część środowiska polskiej inteligencji. Założenia takie, jakkolwiek realizowane niekonsekwentnie, w praktyce zdały egzamin.

Podczas studiów uczyliśmy się tolerancji. A wśród studentów dziennikarki, szczególnie naszego rocznika, stały się ze sobą - przypadkowo czy wedle założeń? - dwa żywioły. Była to z jednej strony młodzież pochodzenia żydowskiego, lgnąca do tego zawodu, a z drugiej chłopska. Pierwsi rekrutowali się z rodzin, które uniknęły zagłady, często przechowani - z narażeniem życia - przez mieszkańców wsi. Z czego - zaznaczę - nie wynikała bynajmniej ich sympatia do chłopów.

Zgrzytów między nami nie było, lecz wyraźnie brakowało zażyłości. Chodziliśmy bokiem wobec siebie. I była, zwykle starannie skrywana, wzajemna nieufność. Czy mogło zresztą być inaczej?

Studenci wywodzący się spośród polskich Żydów przejawiali nierzadko wobec osób pochodzenia chłopskiego wyższość. Czasem uważali się ostentacyjnie za lepszych i predysponowanych do odgrywania kierowniczych ról. To zaś drażniło naszą chłopską dumę, zarazem przywodząc ku pamięci - zasłyszane w rodzinach, opowiadane w środowisku - postawę żydowskiej niełojalności wobec Polaków. Jedni i drudzy potrafili jednakże wykazywać się poprawnością.

Echa skrywanych uprzedzeń i pretensji było można odnaleźć później w twórczości literackiej i dziennikarskiej. Na przykład zna-

ny i ceniony obecnie pisarz amerykański, bardzo chętnie wydawany w Polsce, Henryk Grynberg, studiujący razem ze mną, z którym nie było wtedy problemów, okazał się zwolennikiem antychłopskich postaw. Jego rodzinę wymordowali hitlerowcy, a on uniknął szczęśliwie tego losu tylko dlatego, że trafił pod opiekę pewnej chłopskiej rodziny pod Mińskiem Mazowieckim. Pomimo to nie ustrzegł się on złośliwości i pretensji wobec tych, którym powinien wiele zawdzięczać.

Pani prof. Halina Kurkowska zaliczała się do tych wielkich autorytetów, wobec których student pokorniał. Ja w każdym razie tak to odczuwałem. Słuchanie jej wykładów w języku polskim należało do dużej przyjemności, a już byłoby nieprzyzwoitością pójść do niej na egzamin bez dobrego przygotowania. Ceniliśmy ją nie tylko z uwagi na erudycję, ale też dlatego, że była piękną kobietą.

Zaszczycem było też słuchać popisów wielkiego erudyty i wybitnego znawcy polszczyzny, językoznawcy prof. Witolda Doroszewskiego. Był autorytem w każdym calu. Klasyczny polonus.

Były też na wydziale inne wybitne postacie. Największym bodaj prof. Tadeusz Kotarbiński. Filozof, logik, prakseolog, człowiek wielkiej godności. Tak samo jak prof. Władysław Tatarkiewicz. Polonusi z krwi i kości. Tęgie umysły, wielkie autorytety. Na studentach, zwykle skorych do żartów i kpin, robili wrażenie. Byłem nimi zauroczony.

Znaleźli się też tacy, którym to przeszkadzało. Których wielkość onieśmiała i denerwowała. Wśród nich był, niestety, Bronisław Geremek. Przyszły mędrzec i dla wielu niepodważalny autorytet. Specjalista od francuskich dziadów (pisał na ten temat pracę doktorską). Pełniąc funkcję sekretarza POP w PAN, gdzie pracował jako historyk, miał za złe luminarzom polskiej nauki, że nie wykazują dostatecznego zainteresowania budową socjalizmu i nie hołdują kierowniczej roli PZPR. Toteż, co jest teraz skrzątnie pomijane, nazwisko Geremka znalazło się wśród osób, które wystąpiły z wnioskiem o odsunięcie obu wspomniałych profesorów od zajęć ze studentami.

Kotarbiński i Tatarkiewicz zaprzestali także prowadzić zajęcia ze studentami. Wiedzieliśmy kim jest Bronisław Geremek, ale nie mogliśmy przewidzieć, jak wielką karierę polityczną, bo przecież nie nauko-

wą, będzie on robił w przyszłości. Chociaż najpierw, bo w 1946 roku, wstąpił do PSL, lecz wśród ludowców długo nie zagościł.

Nawet i wtedy, kiedy dogmaty ustrojowe i ideowe, jak też polityczne i naukowe, zaczęły murszeć i kruszeć - lecz tylko przejściowo - studenci byli tymi, którzy mogli pozwalać sobie na luksus ograniczonej krytyki. Przeważnie robili to jednak pokątnie lub w zaufanym gronie. Nasze obiekcje dotyczyły również uznanych autorytetów. A taką osobą był w naszym przekonaniu prof. Stefan Żółkiewski, historyk literatury i jej krytyk, marksista, powszechnie uważany za obrońcę dogmatów.

Studenci bali się go. Zwłaszcza z uwagi na jego postawę w marksistowskim podejściu do literatury, szczególnie oczywiście polskiej. Był przy tym niemiły.

Zdarzyło się tak, że w toku egzaminu z literatury nieoczekiwanie pojawił się u nas ten człowiek, jako nadzorca i ministerialny obserwator. Padł na nas blady strach. Tym bardziej dlatego, iż S. Żółkiewski był znany także z tego, że lubił ingerować w oceny egzaminatorów i demonstrować swoją przewagę.

Podziałała ta okoliczność zwłaszcza na Bronka Banaszczyka. Siedział w przedpokoju, w którym odbywał się egzamin, czekając w kolejce na wejście. Gdy pojawił się S. Żółkiewski. Broniek znalazł się w potrzasku. Chciał się wycofać, ale nie mógł tego uczynić bez powodu, toteż zdobył się na fortel. Najprostszy, jaki wpadł mu wtedy do głowy.

Gdy już usiadł na krześle naprzeciw prof. Żółkowskiego, a następnie usłyszał pytanie, wydające się mu jako trudne i podchwytliwe, Broniek osunął się nagle z krzesła i legł na podłozde.

Wtedy my, będący za nim w kolejce ruszyliśmy w te pędy cucić Bronka. Marek Cichoń, Mietek Kujawa, Tadek Hozer i ja, a bodaj także Jurek Grzybczak. Za dużo było nas jak na ratunek jednej osoby, lecz nad tym nikt się nie zastanawiał.

Wzięliśmy Bronka pod pachę, autentycznie omdlałego czy też udającego omdlenie, aby wynieść go na korytarz i cucić zimną wodą oraz wachlowaniem powietrza. Broniek doszedł do wkrótce do siebie, a my - chcąc uniknąć podejścia do egzaminu - zdezerterowaliśmy. W następnym podejściu do egzaminu prof. Żółkiewskiego zabrakło, to też nie było problemu.

## V. PAŹDZIERNIKOWY POWIEW WOLNOŚCI

### *Pierwsze ostrogi*

Praktykę dziennikarską odbyłem we Wrocławiu w reakcji dziennika PZPR „Gazeta Robotnicza”. Chciałem poznać miasto, o którym Mietek Pisarek mówił w samych superlatywach. Zdecydowałem się na dział sportowy, którym kierował Tadeusz Doliński. Miły, sympatyczny redaktor, niewiele starszy ode mnie, który był jednakże mało zainteresowany zlecaniem mi zadań. Jeżeli już, to przede wszystkim zaprezentowaniem działalności i problemów LZS. O wielkim sporcie nie było mowy. Karty wstępu na takie imprezy otrzymywałem jednak bez najmniejszych kłopotów.

Dziennikarze sportowi, znana to prawda, tworzą zamknięte kręgi. Prawdę mówiąc nie zależało mi, żeby wejść do takiego klanu, gdyż zdawałem sobie sprawę, iż brakuje mi doświadczenia. Poza tym słabła już moja sympatia do tej specjalności.

Postanowiłem więc poznać Wrocław, poczynając od dzielnicy Krzyki, gdzie zamieszkałem na czas praktyki. Zapuszczałem się w dalsze rewiry miasta, poznając jego uroki, historię i zabytki. Chodziłem do muzeów. Odwiedzałem kościoły. Byłem w teatrze i na imprezach rozrywkowych.

Wrocław przypadł mi do gustu. Jak i region dolnośląski, zwłaszcza takie miasteczka, jak Świdnica, Bolków, Jelenia Góra czy Kłodzko, dokąd dotarłem. Zetknąłem się tutaj pierwszy raz z problematyką Ziemi Odzyskanych, dotychczas całkowicie mi obcą. Zaskoczyła mnie mieszanka ludnościowa, z którą zetknąłem się potem na Warmii i Mazurach.

W końcu odstąpiłem w swoich dziennikarskich zapędach od sportu. Uznałem, że to dziennikarstwo mało ambitne i mało samodzielne, a ponadto nazbyt sztampowe. Dawne marzenia rozpadły się jak porcelanowa filiżanka.

Drugą praktykę odbyłem w lubelskim „Sztandarze Ludu”. Tym razem zdecydowałem się na problematykę terenową, która pozwalała na częste wyjazdy służbowe do miasteczek i wsi. Kontakty z ludźmi społecznie aktywnymi i zaangażowanymi oraz zwyczajnymi zjada-



czami chleba, wydawały mi się autentyczne i pouczające. Poznawcze. Przekonałem się, że można dowiedzieć się dużo od takich ludzi. Pod warunkiem, że umie się ich zjednać i nakłonić do szczerych wyznań, zapewniając tajemnicę. To, wbrew pozorom, duża sztuka, której nie daje się niczym zastąpić. Każdy człowiek posiada wewnętrzny zapis i jest lustrem swego środowiska.

Reporterskie tropy okazały się interesujące i wzbogacały mnie. Wracałem do redakcji z materiałem kwalifikującym się do napisania



*Podczas praktyki wakacyjnej wyjechałem z pracownikami redakcji lubelskiego „Sztandaru Ludu” na wycieczkę do Krakowa. Było to moje pierwsze spotkanie z tym miastem. Kraków zaimponował mi swoimi zabytkami i klimatem. Na zdjęciu stoję na końcu (pierwszy z prawej).*

kilku notatek. Na plus penetracji terenu dodać mogłem też to, że poza powierzaniem mi przez redakcję tematów, ustalałem sam, co jest ważne i interesujące, doskonałym w ten sposób samodzielnością, która mnie zawsze charakteryzowała.

Zdobyte doświadczenia długo przydawały mi się w pracy. Wtedy właśnie poczułem po raz pierwszy sens prawdziwego dziennikarstwa. Byłem dumny jak paw, gdy - wybite wersalikami - ukazało się pod artykułem moje pełne imię i nazwisko. Tekst został dobrze przyjęty, a dotyczył miasteczka Bychawa; bardzo zapyziałego i wschodniego, ale z dużymi tradycjami. Sporządzałem jednak zwykle małe i większe notatki, niezrządkiem krytyczne, które sygnowałem inicjałami. Próbowiałem także pisać żartobliwie felietoniki.

Imponowało mi, że obracam się w towarzystwie znanych lubelskich dziennikarzy, jak Leszek Siemion, Wiesława Jankowska, zwracająca uwagę urodą, Adam Potasz, Bogusław Szykuła czy Matylda Wełna, która wybiła się potem na cenioną literatkę. Pracowali tam również dziennikarze młodzi, absolwenci Wydziału Dziennikarskiego UW, na przykład Józef Kuźnicki i Henryk Kwiatowski, będący już wtedy sekretarzem redakcji. Jak też Piotr Goch, z którym pracowałem później - on w Szczecinie, ja w Olsztynie - w tygodniku ZSL „Gazeta Chłopska”.

Poznałem Romualda Karasia, zdolnego i niepokornego reportażystę. Jednego z najlepszych w kraju, który wywoływał szal u włodarzy regionu krytycznym stosunkiem do trudnych spraw. Z tego powodu - chociaż także środowiskowej zawiści - Romek popadł w konflikt. Zadarł z Władysławem Kozdrą, bardziej watażką, niż pierwszym sekretarzem KW PZPR, znanym z dyktatorskich zapędów. Karaś naraził się krytyką zlokalizowania pod Puławami wielkich zakładów azotowych, co - jego zdaniem - kolidowało z ochroną środowiska przyrodniczego. Był to główny powód, dla którego Romuald Karaś musiał uciekać z Lublina.

Byłem wtedy zastępcą redaktora naczelnego tygodnika ZMW „Zarzewie” w Warszawie. Karaś otrzymał tutaj etat dziennikarski, pozwalający mu na dużą swobodę twórczą. W stolicy rozwinął i zdyskontował swój talent. Wydał drukiem wiele głośnych reportaży i książek reporterskich, stając się powszechnie docenianym autorem tej formy dziennikarskiej wypowiedzi. Później awansował na prezesa warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Pisał scenariusze.

Wspominam z czułością lubelską praktykę dziennikarską. Zdo byłem tutaj doświadczenia, które potem bardzo mi się przydały. Przy okazji poznałem mój rodzinny region, po którym wiele sobie obiecywałem. Ponadto, co było dla mnie istotne, zbierałem trochę pieniędzy za wierszówkę. Zamiast jednego, spędziłem na praktyce dwa wakacyjne miesiące. Był to okres urlopów, sekretarz redakcji uskarżał się na niedostatek materiałów do druku, prosząc bym mu pomógł.

Zasmakowałem w urokach dziennikarstwa, czekając końca studiów, by czym prędzej podjąć pracę zawodową. Często zdarzało się tak,

że z braku możliwości dotarcia pociągiem czy autobusem do wybranej miejscowości, szedłem kilometrami piechotą, jakby średniowieczny skryba, co wtedy nikogo nie dziwiło. Korzystałem z chłopskich furmanek, a sołtys w razie potrzeby wyznaczał mi nocleg w chłopskiej rodzinie.

Któż teraz w to uwierzy? W to, że w ramach poniesionych kosztów rozliczało się także kilometry przebyte piechotą? Delegacyjne blankiety zawierały także rubrykę tego rodzaju kosztów, Przewidując zapłatę 30 groszy za każdy kilometr przebyty pieszo. Płaciło się wówczas za służbową dobę 18zł, akurat tyle, ile kosztowała ćwiartka wódki.

### *Lewą piersią w prawe ucho*

Okres moich studiów uznać mogę za interesujący. Szczególnie gdy weźmie się pod uwagę wielką politykę, która pod różną postacią wciskała się na uczelnię oraz wpływała na studentów, wzmagając ich zaangażowanie.

Jednak nie upatrywałem w tym niczego szczególnego. Przecież dziennikarstwo - czy się tego chce, czy nie - jest zawodem politycznym. A w każdym razie związanym z polityką, toteż przyjmuję z uśmiechem składane często - zwłaszcza obecnie - deklaracje, głównie przez młodych adeptów tego zawodu, jakoby nie mieli oni nic wspólnego z polityką i w dodatku nikomu nie podlegali i nikomu nie służyli. Ponieważ rzekomo są niezależni. Bzdura!

Dziennikarstwo żywi się polityką, postrzega polityków i ich działalność, lecz unika odpowiedzialności za słowa, jak też za urabianie poglądów społeczeństwa. Polityka, wiem to po sobie, wciąga dziennikarzy i poddaje ich trudnym wyborom.

O ile stalinizm, w pierwszym okresie moich studiów, uwzględniając także przyzwyczajenia sługusów i zwolenników, trwał i trzymał się mocno, dając się we znaki społeczeństwu, jak miało to miejsce również w leśniańskim liceum pedagogicznym, to w drugim okresie wyraźnie słabł.

Studenci byli nie tylko świadkami ustępowania dogmatów i deklaracji bez pokrycia, ale także uczestniczyli w tym procesie. Zapa-

miętałem, ponieważ wydawało mi się to zabawne, pewne zebranie koła ZMP w mojej grupie studenckiej. Pod ocenę poddano, dokonując kolektywnego sądu, zachowanie Ewy Ostrowskiej. Podczas egzaminu z geografii - co uznano za naganne - „trącała profesora Kubiатовicza lewą pierśią w jego prawe ucho, by tym sposobem wymóc na nim lepszą ocenę”.

Ewa miała wydatny biust, nosiła skąpe bluzeczki, była ponadto frywolna i bezpośrednio. Prowokując profesora, zapewne liczyła na jego przychylność. Nie było też tajemnicą, że ów nauczyciel akademicki lubił dziewczęta kształtne i kuso ubrane. Na czas egzaminu wieszał mapę wysoko pod sufitem, a zwykł wymagać od dziewcząt pokazywania górnych jej partii. Pod mapą stała metalowa drabinka, na którą należało wejść i wspinając się na dybkach wskazywać określone miejsca. Dziewczęta napinały mięśnie, uwypuklając kształty swego ciała, co na lubieżnikach robiło wrażenie. Ewa wiedziała o tej słabości profesora...

Stawka debaty była duża. ZMP postawił jedno pytanie: uznać zachowanie studentki Ewy za niegodne członka organizacji i postawić wniosek o jej usunięcie ze studiów, czy jedynie ukarać naganą?

Poważna sprawa - w każdym razie w założeniu ZMP - przybrała formę aluzji i kpin. Popisywał się zwłaszcza Mietek Pisarek. Z kolei Mietek Kujawa swoim zwyczajem filozofował, a Zdzisław Strzępek, jak zwykle, był nad wyraz zasadniczy. Basia Grochulska broniła Ewy. Inna z dziewcząt, która nazywać by można teraz „ciotką rewolucji” naciskała jak mogła, żeby Ewa złożyła samokrytykę. Lecz nie doszło do tego.

Jerzy Szymanek, szef naszego koła ZMP, późniejszy działacz ZSL, sekretarz i wiceprezes NK, członek Rady Państwa, dwoił się i troił, żeby uniknąć drastycznej decyzji, na którą się zanosilo. Szkoda, że nie zachował się protokół z tego zebrania, gdyż miałby kuriozalny posmak.

Skończyło się na upomnieniu. Górę, pomimo wszystko, wziął rozsądek, który przebił się z dużym trudem przez twardą, chociaż słabnącą, doktrynalną skorupę i pojmovaną opacznie etykę. Ewa porzuciła potem studia i zrobiła literacką karierę.

## *Rozterki naiwnych*

Były to już podrygi konającego ZMP. Studia toczyły się jeszcze na pozór normalnie, utrzymywała się dyscyplina i nie słabły wymagania, trzeba było nadal w terminie zdawać egzaminy i zaliczać semina. Jednakże studenci ze zdwojoną uwagą nasłuchiwali wieści politycznych. Zwłaszcza z zakresu krytyki ustroju i systemu rządowego PRL, jak też narastającego kryzysu państwa i gospodarki krajowej oraz wychodzącej bokiem wymiany handlowej ze Związkiem Radzieckim.

Na nastroje wpływały rewelacje dotyczące stalinizmu, ujawnione na XXII Zjeździe KPZR i w szokujących wystąpieniach, także na forum ONZ, Nikity Chruszczowa. PZPR robiła wiele, by ukryć przed społeczeństwem treść referatu programowego sowieckich komunistów, odbywając zamknięte zabrania partyjne, broszurę z tekstem referatu okazało jednak się kupić na targowisku za niewielką opłatą.

Targały nami czerwcowe wydarzenia poznańskie z 1956 roku. Z trudem, ale jednak, docierały wiadomości o rozruchach i manifestacji robotników z zakładów Cegielskiego, które uzyskały poparcie innych fabryk i mieszkańców Poznania, przeistaczając się w groźną dla władzy rewoltę. Podpalenie gmachu KW PZPR wskazywało, przeciwko komu kieruje się sprzeciw Polaków.

Gniew wzbudzały brutalne poczynania Urzędu Bezpieczeństwa i MO, ukierunkowane na obronę interesów rządzących. I gdy wystąpiła obawa, że poznański sprzeciw może przenieść się do innych wielkich miast, władza ludowa rozprawiła się krwawo z buntownikami.

Dowiedziałem się potajemnie o wielu szczegółach związanych ze sprawowaniem władzy PZPR. Szokująco wpłynął na mnie fakt, iż za sprzeciw wobec kolektywizacji rolnictwa siedziało w aresztach jedynie w Wielkopolsce kilkadziesiąt tysięcy chłopów.

Lecz ani wtedy, ani potem, nawet początkowo w okresie działalności i zwycięstwa „Solidarności”, nie chodziło o rozstanie z socjalizmem, jak się to opacznie określa obecnie, upraszczając ów proces, a tylko o surową krytykę wypaczeń ustrojowych oraz ograniczenie hegemonistycznej pozycji PZPR na rzecz prawdziwie wielopartyjnego systemu. Nawet w najostrzejszych wystąpieniach było to podkreślane.

Ja również wierzyłem głęboko, niemalże do końca istnienia PRL, że jest możliwe i uzasadnione uzdrowienie socjalizmu i nadanie mu demokratycznego oblicza.

Optowałem za tym swoim piórem. Zakłamując ogół Polaków, także prawdę i obiektywne zasady rozwoju, liczni politycy - świadomie albo cynicznie - uważają obecnie, iż wszyscy odnosiliśmy się z nienawiścią do socjalizmu, żądając restytucji kapitalizmu. Wcale tak nie było. Ludzie w dużej części dali się otumanić. Bo tak naprawdę kapitalizm, przy aktywnej pomocy Zachodu, został Polakom narzucony podstępnie. Większość z nas optowała za zmianami, lecz pod innymi hasłami, wskutek czego liczne praktyki nowego ustroju spotykają się z surową, lecz bezskuteczną krytyką i dezaprobatą. Ludzie oczekiwali czego innego, aniżeli to, co otrzymują.

Wiara w omnipotencję i sprawiedliwość kapitalizmu, musiała bo inaczej być nie mogło, rozminąć się z zapowiedziami. To nie jest i nie może być ustrój idealny. Tak w zakresie celów, jak i praktyki oraz zasad funkcjonowania. A u nas, w Polsce, szczególnie, gdyż odrodził się wedle najbardziej drapieżnego wzorca. Odkąd brakuje „czerwonego diabła”, jakim był niewątpliwie ZSRR, przynajmniej programowo i hasłowo przedkładającego inne rozwiązania - kapitalizm jest pozbawiony ideowego przeciwnika i będzie sięgał do takich rozwiązań, która zapewnią mu maksymalizację zysków i panowanie nad tymi, którzy mieliby chęć wystąpić przeciwko niemu.

Jeżeli pominąć globalizację, która zrodziła się też dla tego celu, trwa nawrót do maksymalizacji zysków wedle najgorszych wzorców. A osiąga to tym łatwiej, że dysponuje swoimi mediami, których celem jest ogłupianie ludzi. Im człowiek głupszy i bardziej naiwny, tym łatwiej nim manipulować.

Polska, niestety, potwierdza to i potwierdzać będzie coraz bardziej. PRL-u oczywiście nie żałuję, żal natomiast zmarnowanej szansy, jaką mógł być tamten ustrój, gdyby się zrodził gdzie indziej, a nie w Rosji. Powszechna czkawka posocjalistyczna będzie bardzo długo zniechęcać ludzi do podjęcia kolejnej próby poszukiwania lepszego ustroju.

Pamiętam wcześniejsze zrywy i bunty naszego społeczeństwa, które pragnęło udoskonalenia socjalizmu, a nie jego obalenia. Pamię-



tam groźne pomrukiwania stalinistów, gotowych bronić nie tyle ustroju, ile swoich stanowisk i przywilejów, za wszelką cenę. Gotowi byli przelać cudzą krew dla wyznawanych dogmatów.

Złowróżbnie zabrzmiało, jak dobrze to sobie przypominam, wystąpienie premiera Józefa Cyrankiewicza, podczas poznańskiego wzburzenia. Podobno uczynił to wbrew swej woli, ulegając naciskom Władysława Gomołki, który wymusił na nim owe oświadczenie. Stwierdził on wprost, że „władza ludowa utnie rękę każdemu, kto podniesie ją na nią”. Na władzę, czyli na kogo? Bo oni uznawali siebie za prawowitą władzę. A jak zachowaliby się ci, co teraz w RP sprawują władzę, gdyby doszło do podobnego wybuchu społecznego?



*Gdy czas pozwalał zwiedzałem stolicę, poznając jej ulice i zabytki. Na rynku Nowego Miasta sfotografowałem się przy dawnej studni.*

Po tej wypowiedzi J. Cyrankiewicza, wykpiwanej jedynie w ukryciu, było można oczekiwać najgorszego. A jednak, jak się okazało, buńczuczne zapewnienia nie świadczyły o sile, ale o słabości sfer rządzących Polską.

Sercem i rozumem byłem za odmową, ale bynajmniej nie przeciwko ustrojowi, który - jak dla większości ludzi mego pokolenia - stworzył szansę rozwoju i awansu. W innych warunkach

ustrojowych bym jej nie uzyskał. A ja przecież z tej szansy skorzystałem.

Byłem za usunięciem tego, co nosiło znamiona zła i niedorzeczności, co okazało się szkodliwe i niesprawiedliwe, czasem okrutne, chociaż w założeniach uchodziło za słuszne i optymistyczne. Naprawdę uważałem za możliwą i niezbędną. Wydawało mi się wtedy - także później - że Polskę można pod każdym względem ulepszyć. Jednakże myliłem się, tym bardziej więc dotkliwie odczuwałem rozczarowanie.

Na uczelni z chrobotem ścierały się poglądy polityczne studentów. Gdy jedni opowiadali się - chociażby ostrożnie - za odnową, drudzy naciskali, żeby iść szybciej do przodu, niż mogłoby być to realne. Cóż, widać jesteśmy tacy, że bardzo lubimy burzyć i rujnować to, co inni zrobili dużym wysiłkiem - aniżeli naprawiać i doskonalić. Ci byli i wtedy gotowi wywrócić wszystko do góry nogami, by dopiąć swego. Na szczęście byli też tacy, także w mniejszości, którzy mieli odwagę sprzeciwiać się tej tendencji, uważając, że nikomu nadmiar rozsądku i roztropności nie zaszkodził. I byli tacy, którzy niechętnie ujawniali swe poglądy, kibicując rozgrywce.

Pomny swoich doświadczeń, nie ukrywając poglądów, świadomie zachowywałem umiar i rozsądek. Uważałem by nie dać się porwać niepewnym prądom, ale też nie występować w roli hamulcowego przemian, gdyż optowałem za nimi. Był to więc, mówiąc w skrócie, tyłż przejaw mego realizmu, co i sceptycyzmu.

Byłem człowiekiem zbyt młodym i naiwnym - nie znającym dobrze realiów życia - żebym mógł odnosić się racjonalnie do tego wszystkiego, co wtenczas się działo. Czyli także do spraw, jakie rozgrywali cwaniacy, cynicy i oportuniści oraz starzy wyjadacze partyjni. Powiązani nierzadko z ciemnymi siłami, także międzynarodowymi, chcącymi zachować wpływy i dotychczasowe pozycje. A takich jak ja, prostodusznych idealistów, było wielu i łatwo dawało się nami manipulować, mącić w głowach i wypuszczać nas na fałszywe tropy.

Nieraz - tak wtedy, jak i później - byłem w stanie zorientować się, iż ktoś z moim udziałem chce rozgrywać obce mi interesy. I wcale nie byłem odosobniony, podobnie myślących i postępujących w okresie październikowego wzburzenia było bardzo wielu.

## *Chłopcy z demobilu*

Realiści uważali, że podniecenie minie i pozostaną niespełnione oczekiwania, zaś surowa krytyka partii i państwa rozmyje się w nic nie znaczących ogólnikach. I wszystko wróci do normy. Ja byłem natomiast nastawiony bardziej optymistycznie co do skutków październikowej odnowy. Z takim przekonaniem, pomagając bratu w gospodarskich zajęciach, wakacje spędziłem w Jagodnicy. Na początku października, głównie z powodów poznawczych, wziąłem udział z kolegami w wykopkach buraków cukrowych. Pracowaliśmy na polach PGR Cierpięta i Minięta. To gdzieś na Pomorzu. Pociąg doturlał nas nocą do stacji kolejowej Mikołajki Pomorskie, skąd okrytą ciężarówką zostaliśmy przewiezieni na miejsce. Zamieszkaliśmy w świetlicy.

Zetknąłem się tutaj po raz pierwszy z realiami PGR. Odniosłem bardzo złe wrażenia, które umocniły we mnie przekonanie, iż to błędna koncepcja rolnictwa. Wszędzie, na polach i w obejściach, panował bałagan, zewsząd wyzierała niegospodarność. Nędza i prymitywizm. Załogę tworzyli ludzie niezaradni, którym gdzie indziej się nie powiodło.

Przyjęto nas nie jak studentów spieszących z pomocą, ale aresztantów z karnej kompanii wojskowej. To wzięło się stąd, że byliśmy ubrani w stare - pobrane z demobilu - żołnierskie szynele, czapki i buty podbijane gwoździami. Na swoim wyposażeniu - zatykane zwykle za parciane pasy - mieliśmy metalowe widełki o krótkich trzonkach, służące do podważania buraczanych korzeni. W razie potrzeby - widełki mogły być użyte jako broń.

Chodząc czwórkami, śpiewaliśmy wesołe i sprośne piosenki, układane nierzadko na miejscu. Wykazywaliśmy się anarchistycznymi skłonnościami. Które - dodam - brały się stąd, że byliśmy fatalnie karmieni. Zazwyczaj chlebem z marmoladą i kawą zbożową oraz śledziami wprost z beczki. Lecz i z tej sytuacji jakoś wybrnęliśmy.

Żłódzieja czyni przecież okazja, sprzyjająca również rozbudzaniu wyobraźni. Otóż pegeerowskie rodziny chowały na przydomowych działkach dużo drobiu, w tym kaczki i gęsi, które myśmy im podkraдали. Byłoby niemądre, gdybyśmy ptaki z urwanymi głowami dostarczali kucharkom do sporządzania posiłków. Zajęliśmy się tym sami.

Zabieg był prosty. Należało ukraść kaczkę albo gęś, najlepiej z sąsiedniego gospodarstwa, potem wypatroszyć wnętrzności, całą tuszkę oblepić gliną i włożyć do ogniska. Po wyjęciu z ognia, pieczeń wyglądała nie najlepiej, lecz po zdjęciu glinianego pancerza, wraz z którym odchodziło pierze, w polu unosił się apetyczny zapach. Mogliśmy w ten sposób pozwalać sobie od czasu do czasu na porządną wyżerkę.

Podjezwano, że za naszą sprawą, a nie lisów, znikają domowe ptaki, tubylcy bali się jednak zadzierać z nami. Nie wiedzieli kim jesteśmy naprawdę, gdyż wiedzę taką posiadał wyłącznie dyrektor PGR. Lecz nam, a chyba również jemu, było na rękę podtrzymać mit o karnej kompanii, ponieważ sprzyjało to umacnianiu dyscypliny. Swoją drogą pożytek z nas był dla PGR niemały. Nie licząc czasu, a do tego za darmo, pracowaliśmy solidnie.

Jak zjawiliśmy się nieoczekiwanie, tak też zniknęliśmy ciemną nocą, odwiezieni ciężarówką na stację. Z braku miejsc, zalegliśmy pokotem na korytarzu, leżąc w płaszczach z demobilu.

Zarośnięci i ubrudzeni i tutaj wzbudzaliśmy przestrah. Konduktor nas nie zaczepiał. Spaliśmy twardym snem aż do Warszawy od której oderwani byliśmy przez dwa tygodnie, nie słuchając radia i nie czytając gazet. Październikowe wrzenie wzrastało. Rzuciliśmy się od razu w wir wydarzeń.

Nad rozdyskutowanymi studentami trudno było zapanować, by skłonić ich do przestrzegania toku studiów. Nie sprzyjała temu atmosfera podniecenia. Trwało niemal ustawiczne wiecowanie. Na wydziale i na uczelni. Wiece odbywały się na uniwersyteckim dziedzińcu i także w pomieszczeniach Politechniki Warszawskiej, SGPIŚ i SGGW. Z udziałem robotników z Żerania. Jeden wielki rejwach.

Górę, to oczywiste, brały emocje. Pamiętam wielki pochód zdążający z dziedzińca UW pod sowiecką ambasadę. Uznaliśmy go za prowokację przeciwników odnowy, z której wyniknąć mogłaby wielka awantura, gdyby pochód dotarł do celu. Draka mogłaby przeistoczyć się łatwo w bijatykę i doprowadzić do użycia broni, co stanowiłoby koniec odnowy i nadziei na lepszą przyszłość.

Pochód wkraczał w miasto i coraz więcej osób przyłączało się do niego. W tym, stara to praktyka, niemało chuliganów, opryszków, pijaczków i prowokatorów. Wykorzystując tę okoliczność tak manewro-

waliśmy pochodem, żeby nie dotarł on pod ambasadę. Należało włączyć się w tłum i wznosić hasła nie tyle polityczne, co demagogiczne, które by odwracały uwagę i porywały tłum. Stąd nasze okrzyki: „Chcemy taniej wódki”, „Żądamy kiełbasy i chleba”, „Precz ze zwolnieniami”, „Postawcie nam obiad”... zyskiwały poklask i poparcie.

Czoło pochodu, do którego wdarli się studenci, miało do odegrania jeszcze inne zadanie. Chodziło o to, by tak manewrować pochodem, iżby zmęczony się on i nie był w stanie dowieść się do celu. Tak też się stało.

ZMP sądził mylnie, iż jest w stanie odgrywać tonizującą rolę. Zawiódł się na złudzeniu. Łatwo było poddawać się emocjom, trudno natomiast zapanować nad nimi.

Na dziennikarce, której polityczny charakter był oczywisty, temperatura wrzenia była wysoka. Zebranie zwołane przez kierownictwo wydziałowe tej organizacji zamieniło się w żywiolowy wiec. Szef ZMP, a była nią asystentka, urodziwa blondynka, żona dziennikarza „Trybuny Ludu”, została bezceremonialnie wygwizdana i przepędzona.

Marian Filanowicz, stroniący uprzednio od życia publicznego, zagalopował się w podnieceniu. Nie panując nad reakcjami, zwymyślał szefową od najgorszych, nazywając ją polityczną ladacnicą i został za to nagrodzony brawami, podczas gdy sponiewierana asystentka ocierała łzy. Zabrakło w aktywie ZMP kogoś, kto miałby odwagę stanąć w jej obronie.

### *Gotowi pójść na czołgi*

Między studentami a robotnikami, którzy tak samo manifestowali, doszło do zwania szeregow. Czuliśmy się silniejsi i byliśmy przekonani, że teraz stać nas na przenoszenie gór.

Napięta i wybuchowa była atmosfera, granicząca z euforią i paniką jednocześnie, kiedy przywódca żerańskich robotników Lechosław Goździk przemawiając na wiecu mówił o grożącej inwazji wojsk Armii Czerwonej. Była ona gotowa, jak wynikało z plotek, zdławić siłą trwający w Polsce proces odnowy, zagrażający destabilizacją w ZSRR. Byliśmy gotowi stanąć w obronie październikowej odnowy, przekonani, że nie wolno zmarnować szansy na lepszą przyszłość.



*Janek Maziejuk, mój brat, odbywał wtedy kurs kulturalno-oświatowy w ośrodku szkoleniowym CRZZ przy ul. Grenadierów na Pradze. Przechodził szkolenie jako pracownik PGR pod Miastkiem na Pomorzu Środkowym. Janek ustawił aparat - a miał już pierwsze doświadczenia fotograficzne - z samowyzwalaczem i zrobił zdjęcie nam obu. Informował mnie w tajemnicy, że partia i ORMO przygotowują robotnicze bojówki przeciwko studentom.*

dzenia zwolenników odnowy, manifestowałem pod Pałacem Kultury i Nauki. Manifestacja była spontaniczna i dobrowolna, ale z pewnością inspirowała. Wziął w niej udział Władysław Gomułka, cieszący się wtedy autorytetem i prestiżem, który miał odwagę upomnieć się o równoprawne stosunki gospodarcze i polityczne ze Związkiem Radzieckim, a także chciał budować socjalizm na polską modłę.

Tłum falował, oczekując jednoznacznych deklaracji, toteż słowa Gomułki robiły na uczestnikach manifestacji ogromne wrażenie. Zachęcały tłum do oklasków i poparcia dla rodzącej się zmiany. Jednocześnie syczał on z nienawiścią do tych, którzy sprzeciwiali się odnowie i zagrażał jej. Tłum deklarował poparcie dla Gomułki, skandując najgłośniejszym, jak można „Wiesław, Wiesław, Wiesław...”.

Kiedy gruchnęła plotka, że spod modlińskiej twierdzy na zbuntowany Żerań ruszyły sowieckie czołgi, studenci zgłosili pomysł, iż pójdą na Pragę drążyć na ulicach rowy przeciwczołgowe i stawiać zapory. I nie było to żarty, naprawdę udaliśmy się tam dużą grupą, także z moim udziałem, otrzymując od robotników łopaty i łomy. Czołgi się jednak nie pojawiły.

Jako jeden z blisko 300 tys. uczestników największego w Polsce zgroma-



Trzepotały flagi, transparenty. I tłum także nawoływał: „Wolność Wyszyńskiemu”, „Kardynał do kościoła”...

Kardynał Stefan Wyszyński był więziony w Bieszczadach. Cieszył się wielkim zaufaniem, będąc symbolem oporu przeciw zniewoleniu kościoła i wiary. Ja także wrzeszczałem jak oszalały, by przywrócona została mu wolność. Był podlaskim rodakiem, uważałem - a zdania nie zmieniłem dotąd - że to wielki patriota i święty człowiek. Głos mój, jak wszystkich, wiązał w tumulcie. Na chwilę ginął, żeby znowu odezwać się siłą setek tysięcy gardeł. U większości wzbudzało to entuzjazm. Jednak tych, którym powiew wolności nie odpowiadał, a których nawet przerażał, bo oznaczał utratę przywilejów i pozycji, było w Polsce bardzo wielu.

Mam satysfakcję, że brałem udział w tych wydarzeniach. Przeżyłem mocno i szczerze tę ozdrowieńczą atmosferę. Tamtą, jak również następne. Bolałem później nad tym, że tak mało wynikło z tamtych prób, lecz złudzeń nie wyzbywałem się nadal. Aż do 1968 roku, kiedy to zdławiona została siłą próba zreformowania socjalizmu w Czechosłowacji. Inwazja wojsk Układu Warszawskiego na ten kraj złamała mnie. Płakałem łzami bezradności, widząc żołnierzy, także polskich, utrwalających nadwyrężony socjalizm, żeby przywrócić go do poprzedniego stanu. I teraz uważam, że właśnie wtedy porzebrana została ostatecznie szansa uczynienia z tego ustroju czegoś,



*Poznawaliśmy Warszawę, odbywając spacer. Zrobiłem Jankowi - jego aparatem - zdjęcie przy Pałacu Kultury i Nauki.*

co cieszyłoby się uznaniem i poparciem narodów. Był to koniec złudzeń, jakie miałem, a zarazem początek procesu, który doprowadził to tego, co jest obecnie.

### *Nadzieja i gorycz*

Byłem, to prawda, za sprawiedliwością i równością społeczną, uważając, że sprostać może im socjalizm, a nigdy kapitalizm, mający już w założeniu odmienne cele. Zdawałem sobie sprawę, iż są to wartości ponadczasowe, w dużym stopniu iluzoryczne, o których zwyczajni ludzie marzą i nie wyzbędą się ich nigdy.

Miałem - i ciągle mam - wiele wątpliwości. Czyżby dlatego, że jestem naiwnym idealistą? Możliwe. Zdobyte doświadczenia życiowe



*A co mogło mnie zainteresować? Witryna wystawowa, czy może efekt lustrzanego odbicia w szybie? Ale Janek utrwalił ten widok na kliszy fotograficznej.*

nauczyły mnie wstrzeмиężliwości. Także w zakresie deklaracji tak chętnie składanych przez polityków. Z rezerwą odnosiłem się dlatego także do zwycięstwa „Solidarności”. Piękna, wspaniała idea, ale cóż z niej zostało?

Pomny zasady, że każda rewolucja pożera najpierw swoje dzieci, byłem pewny, że szczytne ideały, hasła i zasady „Solidarności” będą topnieć i karleć w miarę, jak zaczną dochodzić do głosu ludzie nienawistni i cyniczni. Pozbawieni ideałów, pa-

miętający w pierwszym rzędzie o swoich materialnych interesach. Nie dziwi więc mnie to, co dzieje się obecnie w Polsce i jakie są rzeczywiste oblicza naszych polityków i ludzi sprawujących władzę. Wyzbyłem się całkowicie wszelkich złudzeń. Wiem, że kłamią na każdym kroku. Są zaprzeczeniem tego co mówią o sobie. Brakuje im klasy, choć uważają siebie za klasę. Ja im w każdym razie za grosz nie wierzę. Czym oni - mam też tę świadomość - w ogóle się nie przejmują, bo przecież nie należą do grona takich, jak ja. Kreują ich media, które są w stanie - wobec bezkrytycznej oceny społeczeństwa, z reguły naiwnego i wiedzącego niewiele - wmówić ludziom praktycznie wszystko. Bo też i u dziennikarzy niełatwo doszukać się etyki i obiektywizmu. Prawdy. Są zakłamani często tak samo jak politycy.

Tak jak kiedyś, tak i teraz górę biorą jednostki mierne i bezideowe. Zdyscyplinowane i posłuszne. Wierne swoim układom. Układom, a nie tym, którym zobowiązali się służyć. Nie mogę być entuzjastą tego, co dzieje się w moim kraju, gdy brakuje mi argumentów, abym mógł oceniać to pozytywnie.

Nieraz sparzyłem się i zawiodłem na tym, co wydawało mi się dobre i optymistyczne. Przekonałem się po wielokroć, że deklaracja ma bardzo niewiele wspólnego z praktyką. Hołubione nadzieje i oczekiwania słabną i rozplývają się jak we mgle.

Im dalej było od gorących wydarzeń Października 1956 roku, gdy byłem młody i naiwny, tym bardziej władza odstępowała od przyrzeczeń i zobowiązań, wpadając w stare koleiny. Czy współczesna rzeczywistość odbiegła daleko od tego? Co prawda władza zmienia się szybciej, jest wielopartyjna, ale zaprzecza podobnie zapewnieniom. Być może źródła tego stanu szukać trzeba w naturze Polaków.

Gierkowi też udało się poderwać naród, który mu uwierzył, dał poparcie, a później go opluł, gdyż zawiódł. Jakkolwiek był lepszy od swoich poprzedników. System pozostał jednak ten sam. Tak jak wtedy, również obecnie nadzieja przeradza się w zawiedzenie lub gorzkość, a wielu ludzi ma skutek tego zwyczajną czkawkę. Jak inni z mego pokolenia, które w międzyczasie mocno się zestarzało, tak i ja czekałem na zmiany, które nie następowały, albo były niekorzystne, na co nie miałem wpływu, chociaż pozostałem krytyczny. Czekam

wciąż - i teraz - na takie zmiany, które byłyby dobre dla ogółu. Te, jakie zaszły sprzyjają niemal wyłącznie bogatym, biednych pograżając w biedzie.

## *Zidentyfikowany po latach*

Już po roku uwielbiany Władysław Gomułka wydał zakaz wydawania tygodnika „Po prostu”, którego publikacje odgrywały szczególnie ważną rolę. Budziły świadomość zakresu i charakteru niezadowolenia. Gazeta cieszyła się szczególną popularnością wśród studentów

Zrodziły się wówczas i we mnie wątpliwości, odnoszące się do możliwości znalezienia pracy. Nakazy obowiązku podjęcia zatrudnienia zostały zniesione, stawiając nas w trudnej sytuacji, co spowodowało, że następnego roku pojawił się w pochodzie 1-majowym wielki studencki transparent z napisem: „Nie chcemy być bezrobotnymi magistrami”. Którego Wł. Gomułka nie mógł dostrzec, gdyż jeszcze przed honorową trybuną milicja odebrała go i zniszczyła.

Jak wielu, także ja nie mogłem się pogodzić z odchodzeniem od październikowej odnowy, która absolutnie była nie na rękę twardemu rdzeniowi PZPR i wszelakim dogmatykom. „Poszumiełiście, napędziliście nam strachu - i wystarczy już”, tak tłumaczył nam partyjny prelegent na zebraniu. „Czas się uspokoić” - dodał.

Stałem w obronie zamkniętego tygodnika. Zaczęło się od manifestacji studentów pod Politechniką Warszawską. A kiedy w ruch poszły milicyjne pałki, studenci - wśród których i ja byłem - chwycili kamienie i cegły, kawałki płyt chodnikowych. Milicja odpowiedziała gazem łzawiącym, który okazał się niezbyt groźny. Nauczyłem się odbijać nogą gazowe pojemniki w stronę interweniującej milicji.

Przepędzeni spod PW, przenieśliśmy się na Plac Narutowicza, gdzie znajduje się dom akademicki tej uczelni. Przez kilka dni spotykali się tam protestujący studenci z całej Warszawy. Trwała, jak na tamte czasy, bezpardonowa walka. Znalazłem się w grupie „Kiosk”, która atakowała milicję szturmującą akademik, chcąc nie dopuścić jej do wejścia do wnętrza. Kiedy milicjanci usiłowali wejść tam siłą, z okien akademika posypały się na ich głowy krzesła i książki.

Naszą grupę milicja przepędziła. Ratowaliśmy się ewakuacją do kościoła św. Jakuba, dokąd ona nie wchodziła. Kościelny azyl okazał się bezpieczny. Jednak wyjść na zewnątrz nie było można, bo milicja czekała na nas poza kościołem. Gdy się ściemniło, wychodziliśmy bocznymi drzwiami.

Lecz i tak protest okazał się bezskuteczny. Zapomniałem nawet o nim, bo i po cóż miałbym rozpamiętywać klęskę, ale tylko dopóki epizod ów nie został mi przypomniany.

Byłem w roku 1960, instruktorem do spraw prasy Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Olsztynie. Wezwano mnie na rozmowę do KW MO, a ja nawet nie domyślałem się o co może chodzić. Odsiedziałem dobry kwadrans w przedpokoju, zanim zaczęła się rozmowa.

Śledczy obrzucił mnie uważnie wzrokiem i spytał oschłym głosem:

- A gdzie jest ta Jagodnica?

Wy tłumaczyłem, a kiedy poprosiłem o szczegółową mapę, żeby oznaczyć dokładnie to miejsce, uznał, iż to zbędne. Przy czujnych uszach i oczach spytał bezbarwnym głosem:

- Kim był pana ojciec?

Usłyszawszy odpowiedź, zagłębił się w szpargałach, jakie leżały przed nim. Pomyślałem, że nudzi się albo konfrontuje moje zeznania z tym, co zostało tam zapisane. Padło wiele podobnych pytań, z których nic dla mnie nie wynikało. A gdy inspektor zaczął dopytywać się o babcię i dziadka zareagowałem zdenerwowany:

- Ja nie pamiętam ojca, a pan wypytuje mnie o dziadka? O co tu chodzi?

- Dowie się pan w swoim czasie - odrzekł spokojnie, przyglądając się mi uważnie.

Zmienił temat i spytał o moją współpracę z dziennikarzami. Powiedziałem, że znam ich wielu. Jestem przecież dziennikarzem z wykształcenia, a ponadto charakter mojej pracy polega na współdziałaniu z prasą. Utrzymuję - dodałem - kontakty z kilkoma redakcjami.

- Czy to już koniec tej rozmowy? - zagadnąłem, korzystając z chwilowego milczenia i - zdawało mi się - roztargnienia śledczego.

- Na dzisiaj wystarczy - odburknął, dodając - O tej samej porze przyjdzie pan do mnie pojutrze.

Podobne pytania padały za każdym razem, z których nie byłem w stanie niczego wywnioskować. Traciłem niepotrzebnie po dwa lub trzy poranki każdego tygodnia, co mnie intrygowało i niepokoiło. Znowu powtórzyłem więc podniesionym tonem:



*Czesław Sadowski, prezes olsztyńskich ludowców (z prawej, w rozmowie z Tadeuszem Gączawskim, zastępcą przewodniczącego Prezydium WRN w Olsztynie), który poręczył za mnie w KW MO.*

- Proszę mi powiedzieć, o cóż chodzi w tej zabawie? Czy jestem o coś posądzany?

- Ee, nic wielkiego, chcę coś wyjaśnić... Proszę przyjść do mnie we wtorek - usłyszałem beznamietną odpowiedź.

Zrozumiałem, że jestem „zmiękczaany”, ale dlaczego i po co? Zamówiłem się wtedy to prezesa WK ZSL Czesława Sadowskiego, który był osobą przystępną i dobrze zorientowaną w ówczesnych układach kadrowych. Sadowski odnotował w swoim życiu znamienny epizod radzieckiego skoczka spadochronowego, odczuwając ciągle tego skutki w kręgosłupie. Skakał z kukuruźnika na tyłach frontu niemieckiego opodal Borów Tucholskich.

Powiedziałem mu, że jestem wzywany na komendę MO, ale nie wiem po co.

Będąc w dobrym nastroju, Czesław Sadowski zareagował ciepło:

- Czym się martwisz? Jak zarzucą ci coś konkretnego, wtedy dowiemy się w czym rzecz.



Nie dałem się zbyć niczym.

- Jednak nie musi to wyglądać na to, że w grę wchodzi tylko moja osoba - tłumaczyłem. - Jeżeli ktoś ze znajomych zauważy, że tak często odwiedzam komendę MO, będzie miał prawo podejrzewać, że widocznie donoszę. A jakby kolego prezesie wyglądało, że to ja, pracownik aparatu stronnictwa ludowego, składam donosy? I na kogo? Po co?

Przerwałem i spytałem wprost:

- Czy w tej sytuacji nie mógłby kolega prezes podjąć interwencję w mojej sprawie?

- Skoro tak bardzo zależy ci na tym, to ja spytam kogo trzeba, o co chodzi w twojej sprawie - pocieszył mnie Czesław Sadowski.

Po paru dniach zaprosił mnie do siebie. I od razu zadał pytanie:

- Co masz niedobrego na swoim sumieniu?

Zabrzmiało to wieloznacznie. Odparłem, że nic takiego, co byłoby karalne. Jestem czysty - powiedziałem.

- A co robiłeś jesienią 1957 roku? - zaskoczył mnie.

Szybciutko tasując karty pamięci, przypomniałem sobie echa walki z milicją po zamknięciu tygodnika „Po prostu”. I opisałem pokrótce tamte wydarzenia.

- I właśnie o to chodzi! - powiedział, potrząsając głową. - Dopiero teraz udało się milicji zidentyfikować twoją osobę na podstawie filmu z tamtych wydarzeń oraz zlokalizować obecny twój pobyt. Ponieważ nie byli w stanie - zaznaczył - zarzucić ci czegoś konkretnego, co kwalifikowałyby się do ukarania, macali cię po swojemu, licząc, iż podłożysz się im sam. Ale - dodał - nie martw się już, będziesz miał spokój. Zaręczyłem im za ciebie.

Nawet nie przypuszczałem, że władza może mieć tak długie ręce. Ani tego, że bezpieczniecy potrafią z takim uporem węszyć.

### *Bilet dla Kostii*

Manipulacja październikowymi wydarzeniami trwała długo, a zaczęła się od razu, wtedy kiedy miały one miejsce. Byłem zbyt naiwny i łatwowerny, aby im nie ulegać.

Brałem udział w studenckiej ekipie, która zajmowała się bezpłatnie rozprowadzaniem bezpłatnego dodatku nadzwyczajnego „Życia Warszawy”. Krążyły różnego rodzaju plotki, zapewne świadomie puszczane w obieg, także o bliskiej interwencji wojsk sowieckich i otwartym sprzeciwie Chin ludowych, których lider Mao Zedong miał oświadczyć, iż bierze Polskę pod swoją opiekę.

Powtarzano wieści o moskiewskim samolocie na pokładzie którego był Nikita Chruszczow, mającego przez długi czas krążyć nad Okęciem, gdyż nie uzyskał on zezwolenia na lądowanie. Chruszczow swoją obecnością w naszej stolicy miał jakoby wpłynąć na uspokojenie burzliwych nastrojów i spotkać się z kierownictwem KC PZPR, by podyktować mu, co ma uczynić, żeby uniknąć skrajnej sytuacji, jaka mogłaby wymknąć się spod kontroli i zrodzić wielkie nieszczęście.

Trwały przygotowania do przełomowego, jak się zakładało, plenarnego posiedzenia KC partii. Przewidywało się, iż dojdzie do istotnych zmian kadrowych. Że odejdą z niego Żydzi, dominujący dotychczas w składzie osobowym Biura Politycznego, żeby zwolnić miejsca dla ludzi z otoczenia Władysława Gomułki. I że pożegna się ze swoją funkcją szef MON marszałek Konstanty Rokossowski; co prawda z pochodzenia Polak, ale zruszczony całkowicie i absolutnie podporządkowany Moskwie.

I doszło do tych zmian. Mając pod pachą plik dwustronnie zadrukowanych pojedynczych płacht „Życia Warszawy” wyruszyłem wieczorem w miasto. Był tam tekst wystąpienia Władysława Gomułki.

Gazetę odbierałem z drukarni, która mieściła się w sąsiedztwie Placu Unii Lubelskiej. Nikt nie kontrolował nas, milicja nie zwracała uwagi, kim jesteśmy i co robimy. Czuliśmy powiew wolności.

Pokrzykując wzorem przedwojennych gazeciarzy, rozdawaliśmy gazetę - trącającą jeszcze świeżą farbą - każdemu, kto wyciągnął po nią rękę. Zainteresowanie było duże. Największe w restauracjach i barach, kawiarniach i na przystankach komunikacji miejskiej.

Wchodząc do zadymionych knajp, wzbudzałyśmy żywą reakcję. Zwłaszcza u podchmielonych biesiadników, którym nie zby-

wało na odwadze w śmiałych wypowiedziach. Studenci cieszyli się mirom i duża sympatią. Nocą następnego dnia kolportowałem drugie nadzwyczajne wydanie „Życia Warszawy” w okolicach MDM. Zawierało skład nowego Biura Politycznego KC PZPR. Cieszyłem się szczerze, że wreszcie z jego składu zniknęły powszechnie nie lubiane nazwiska Żydów, ukrywających się często pod brzmiącymi z polska nazwiskami. W rodzaju Hilarego Minca czy Jakuba Bernmana lub Romana Zambrowskiego. Pojawiły się w ich miejsce nowe postacie, Loga-Sowiński czy Zenon Kliszko, które - panowało takie przekonanie - zostały wcześniej posądzone o nacjonalistyczne odchylenia.

Byłem mocno naiwny. Później, kiedy wgłębiałem się w rodziny nowych ludzi ze składu Biura Politycznego, mających przecież we wszystkich sprawach głos decydujący, stawało się jasne, że w części znowu są to ukryci Żydzi. Jak prezydent Warszawy Zarzycki. Ukrywanie się za plecami Polaków stanowiło wypróbowaną praktykę.

Czyż nie miałem prawa być zawiedzionym? A przecież nie był to koniec zabawy w chowanego. Wchodząc do restauracji nie sposób było odmówić alkoholowego poczęstunku czy wznieść okazjonalny toast polityczny lub zaintonować jakąś zakazaną piosenkę. Na przykład „Czerwone maki na Monte Cassino” czy chociażby „Szablę w dłoń i bolszewika goń, goń”.

Ktoś dowcipny wpadł na pomysł, żeby przy okazji, skoro szło nam tak dobrze, zarobić nieco grosiwa dla siebie. Ale nie za rozdawanie gazety, by były darmowe, lecz w inny sposób. Jaki? Otóż wchodziło się z gazetami między rozpolitykowanych ludzi i wołało pełnym głosem:

- Kto da złotówkę na bilet powrotny do Moskwy dla Kostii Rokossowskiego? Kto da więcej? Im uzbiera się więcej pieniędzy, tym szybciej Kostia wróci do domu...

Rokossowski został wtedy wyrzucony. Nasze słowa przyjmowano radośnie, klaszcząc i dowcipkując. Ludzie pochwalali naszą odwagę. Zmięte banknoty wciskali nam do kieszeń. W takiej atmosferze, na poły żartobliwej, mieli odwagę mówić o wszystkim, co ich gnębiło i przerażało. Był to jednak, jak się okazało, krótkotrwały wybuch radości i entuzjazmu.

## VI. SKOK W NIEZNANE

### *Czas nauki, czas działania*

Wydawać by się mogło, że w atmosferze rozdygotania poglądów i postaw studenci zapomnieli o nauce. Lecz to nieprawda. Nikt nie zwalniał z obowiązków i nie zapewniał nam ustępstw czy też ulg. Ci, co rzucili się w wir wydarzeń i zdobywali społecznikowskie ostrogi, brali udział jak pozostali studenci w zajęciach. Uczestniczyli w wykładach, seminariach, ćwiczeniach i praktykach. Zdawali egzaminy, zaliczali semina.

Program studiów był mocno przeładowany. Zmuszał do wysiłku i dyscypliny, lecz może to dobrze, bo pozostało w nas coś trwałego z tego okresu. Nie podzielałem opinii, chętnie wyrażanej przez wielu kolegów, że studia dziennikarskie niczego nie uczą i nic nie dają, będąc jedynie stratą czasu. Zawodu trzeba się uczyć samemu, to prawda, ale studia przygotowują. Rozwijają, kształtują zainteresowania i zdolności, które w innej sytuacji mogłyby pozostać nie ujawnione. Wyrabiają kulturę i kształtują intelekt.

Na trzecim roku studiów trzeba było zdać aż 27 egzaminów, wliczając w to zaliczenia, a na czwartym - pomimo pisania pracy magisterskiej - zaledwie o trzy mniej. A więc bardzo dużo. Tyle, że im dłużej trwały studia, tym większą rolę odgrywały doświadczenia. I było więcej miejsca na rozsądek, samodyscyplinę i logikę, ponieważ następował rozbrat z dogmatami i schematami, szczególnie ideowymi, które - co niedługo potem okazało się ewidentne - stanowiły zbędny balast. Była również większa swoboda w myśleniu i dokonywaniu indywidualnych wyborów.

Był to ponadto czas - także dla mnie - zwiększonej aktywności społecznej. Patrzyłem z rozrzewnieniem, czasem oburzeniem, na los warszawskiego Stadionu Dziesięciolecia. Miałem do niego stosunek emocjonalny, ponieważ wniosłem skromny wkład w jego budowę. Pomagałem, głównie łopatą i taczka, wznosić ten obiekt. Nasz wysiłek koncentrował się na budowie XVII sektora.

Gdy później siadałem na nim, a zdarzało się to często, obserwując przede wszystkim zmagania sportowe, których w przeszłości było

tam wiele, wzbudzało to we mnie duże emocje. Chociażby w przypadku meczu lekkoatletycznego Polski i USA, kiedy to nasz średniostansowiec Z. Makomaski pokonał słynnego amerykańskiego mistrza Courtneya.

Odbywały się przecież tam wspaniałe imprezy. Widzę dotąd oczami wyobraźni Staszka Królaka, pochylonego nisko nad kierownicą roweru, który wyskoczył w wielkim pędzie z tunelu i ku oszałamiającego entuzjazmowi kibiców pierwszy wpadł na metę, zwyciężając w 1956 roku w Wyścigu Pokoju. Z uwagi na te emocje, jak też wskutek młodzieńczych wspomnień, nie byłem w stanie zrozumieć, w jakiz to sposób stolica zaniedbała bezprzykładnie ów obiekt? Porósł zielskiem, straszyl wyglądem, aż przeistoczył się w ruinę. Za wyraz bezradności i głupoty uznać trzeba, iż stadion stał się największym w Europie targowiskiem. Na szczęście wyrosnie tam Stadion Narodowy.

Był to skromny epizod mojej aktywności społecznej. Zamanifestowałem tę postawę również podczas powrotu repatriantów ze Związku Radzieckiego. O rodaków upomniał się Władysław Gomułka, który jechał pociągiem do Moskwy. Stałem wtedy na stacji kolejowej w Białej Podlaskiej, witając go gromkimi oklaskami i śpiewem. Nikt inny z liderów PRL nie miał odwagi upomnieć się równie stanowczo o interesy Polski i respektowanie praw Polaków zamieszkałych w ZSRR.

Sprowadzenie Polaków do Ojczyzny było zadaniem trudnym i kosztownym. Nasi wschodni sąsiedzi twierdzili stanowczo, że w ZSRR nie ma Polaków, którzy chcieliby przenosić się do Polski. Tymczasem pozostawało tam, zwłaszcza na Syberii, bardzo wiele polskich rodzin, którym wcześniej nie udało się repatriować. Bo albo nie dotarła do nich w porę informacja o takiej możliwości, albo też władza sowiecka nie wyrażała na to zgody. Bądź dlatego, że nasi rodacy wciąż odbywali długoterminowe wyroki.

Do świadomości naszej docierała - wraz z powracającymi Polakami - prawda o rzeczywistych przyczynach ich pobytu w ZSRR. Jak również prawda o tym, jak żyją tam ludzie i co myślą. Prawda smutna i bulwersująca. Nie odpowiadająca deklaracjom i propagandzie.

Lecz i wtedy nie udało się wyrwać stamtąd wszystkich rodaków czekających na to. I dlatego - długo później - nie mogłem zrozumieć dlaczego nie upomniała się o nich wolna Polska. Jeżeli w latach PRL,

pomimo kłopotów, udało się ściągnąć i zagospodarować milion bez mała tych ludzi, zapewniając im jako takie warunki życia, to dlaczego stało się to niemożliwe - bo tak tłumaczyły się władze RP - sprowadzenie kilkudziesięciu tysięcy Polaków chociażby z Kazachstanu?

Kiedy już pracowałem byłem świadkiem wzrastania repatriantów w ojczysty kraj. Powolnego wtapienia się ich w naszą społeczność. Śledziłem przemiany zachodzące w ich zapatrywaniach. W całkowicie odmiennej rzeczywistości. Brałem udział w udzielaniu pomocy repatriantom.

Na dziennikarce zrodził się i zrealizował pomysł powołania Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Repatriantom. Przerósł wszelkie oczekiwania. Naszym reprezentantem, gdy idzie o funkcję, był Karol Badziak, który wykazał się potem dużą aktywnością podczas ekshumowania zwłok radzieckich żołnierzy poległych w Polsce.

Na czele OKPR stanęła znakomita pisarka Maria Dąbrowska, z którą miałem kontakt. Zapamiętałem ją jako osobę bardzo wrażliwą na ludzkie losy, otwartą i uspołecznioną. Cieszyła się wielkim uznaniem i autorytetem. Pomagaliśmy organizować spotkania i dyskusje, w których uczestniczyli członkowie komitetu. Odpowiadaliśmy na apele i listy. Pośredniczyliśmy w przyjmowaniu zagranicznych dziennikarzy. Rozsyłaliśmy biuletyny. W spotkaniach, będących dla studentów dużym wydarzeniem, uczestniczyli także intelektualiści i inni pisarze. Poznałem Tadeusza Konwickiego i Jerzego Putramenta.

## *Złota patelnia*

Odwiedzali nas repatrianci. Zupełnie nie wiedzieli, co mają ze sobą począć, dokąd się udać. Zagubieni. Pochodzili przeważnie z głębokiej prowincji. Byli bezradni, wymagali pomocy.

Więści, jakie przekazywali nam o swoim życiu w Związku Radzieckim, czy też o powodach i warunkach przebywania tam, o doznawanych przykrościach i przygodach były rewelacyjne i otwierały nam szeroko oczy.

Opowieści były wstrząsające. Pamiętam starszego mężczyznę, który dotarł do nas z podróźnym workiem na plecach. Był owłosiony i skrajnie zaniedbany. Mówił, że uciekł z obozu za Uralem, przedziera-



jąc się nielegalnie przez rok bez mała. Piechotą, zimą i latem. Korzystał z pomocy ubogich ludzi. Kradł i żywił się owocami lasu - nim dostał się w pobliże granicy z Polską. Przekroczył ją - z duszą na ramieniu - w rejonie Puszczy Białowieskiej. Jedyne wiara w Polskę dawała mu siłę i odwagę.

Na dworcu kolejowym pojawiali się repatrianci, którzy nic albo niewiele wiedzieli, co mają ze sobą począć i dokąd się udać. Ludzie zagubieni i bezradni. Chcąc im ulżyć, zorganizowaliśmy studenckie dyżury na społecznych dworcach. Kilka dni i nocy spędziłem na Dworcu Wschodnim, dokąd przybywało najwięcej repatriantów. Informowaliśmy, gdzie mają pójść i wypić herbatę, zjeść zupę, u kogo znajdą pomoc i dokąd trafią. Trzeba było przełamać nieufność oraz cierpliwie tłumaczyć najoczywistsze sprawy. Na pożółkłych kolumnach „Życia Warszawy” znajdują się informacje i zdjęcia z tej akcji, które odnoszą się także do mnie. Jestem ubrany w długi płaszcz, gdyż było zimno, z beretem - wtedy modnym - na głowie. Pomagam nosić pakunki.

Od kontaktów z repatriantami odstręczała wszawica. Ludzie obawiali się zawleczenia chorób. Mietek Pisarek nakłonił, byśmy podjęli się w tej sprawie interwencji u władz. Jeździliśmy do Białej Podlaskiej, by przekonać Sanepid o potrzebie zorganizowania sanitarnej służby bezpieczeństwa. W baraku stojącym w poradziwiłłowskim parku udało się urządzić taką służbę. Tam odbywało się zwalczanie wszawicy. Była również izolatka dla osób dotkniętych chorobami zakaźnymi, zwłaszcza świerzbem. Informacje na ten temat, chociaż niemiłe, poprawiały stosunek do repatriantów.

W Białej Podlaskiej aż wrzało od plotek dotyczących „najazdu” repatriantów na Polskę. Jedne mówiły o ludziach całujących polską ziemię i płaczących rzewnie po wyjściu z pociągu. Inne o radzieckich osobach, kobietach i mężczyznach, które by wyrwać się z tamtejszego „raju” wstępowali w fikcyjne, ale płatne, związki małżeńskie z repatriantami. Podstępnie tego dopuszczali się szczególnie Żydzi.

Wracający polscy Żydzi, jak to oni, byli gotowi i na tym robić ge-szefty. Opowiadano o rodzinie związanej z Cajmerem, mieszkającym w Warszawie, który był znany przede wszystkim z dyrygowania orkiestrą grającą w Polskim Radiu.

O ile Polacy wracający do kraju byli z reguły ubodzy, pozbawieni cennych przedmiotów, obdarci, o tyle Żydzi szwarcowali złoto. Czasem udawało się oszukać sowieckich celników, czasami nie - i wtedy było wiele krzyku, płaczu i utyskiwań. Nasi celnicy też zresztą byli na przemyt wyczuleni.

Zainterесowali się przesyłką przeznaczoną dla Cajmera, jaką przepuścili ich koledzy zza Buga. Zwrócili uwagę na trąbkę i masywną patelnię. Po cóż - zastanawiali się - Cajmerowi patelnia? Kiedy poddali ją, jak też trąbkę, wnikliwym oględzinom - okazało się, iż oba przedmioty, dla zmylenia celników, wykonane zostały ze złota i pomalowane farbą. Przedmioty te zostały zarekwirowane.

Sprawą repatriantów zainteresowały się światowe agencje informacyjne. Pojawiły się wypowiedzi, w tym zwłaszcza Marii Dąbrowskiej. Zwrócono uwagę, że ludzie ci przyjeżdżają do Polski w złym stanie zdrowia. Są biedni, źle ubrani, zaniedbani i niedożywieni, pozbawieni środków do samodzielnego życia. Publikacje o tym wzbudziły na Zachodzie odruch solidarności. Podjęta została zbiórka odzieży używanej i konserw z żywnością.

Zaczęły więc przychodzić do Warszawy paczki, przesyłki kolejowe i transporty samochodowe z darami. Należało tę akcję ująć w ramy i zająć się sensownym rozdziałem darów. Z inicjatywy PCK zapelnione zostały darami aż cztery duże magazyny towarowe na Pradze.

Byłem wśród studentów segregujących ciuchy i sporządzających dary dla repatriantów. Grzebaliśmy w ciuchach. Zdarzały się zupełnie nowe swetry, używane ubrania i sukienki, spodnie i nowa bielizna, płaszcze, a także modne buty, skarpety, krawaty... Wszystko, co stało się zbędne dla ludzi na Zachodzie - okazało się przydatne dla repatriantów.

My sami, gdybyśmy chcieli, też mogliśmy zaopatrzyć się w atrakcyjne ciuchy, ponieważ nikt nas nie kontrolował. Można było wynieść co się komu podobało. Siedząc w praskiej knajpce, zwanej „Osiedlanką”, gdy akcja była już zakończona, wypytywaliśmy siebie, co kto przywłaszczył.

Ktoś z zewnątrz mógłby określić nas naiwniakami. A to dlatego, że jedna osoba z naszego grona wzięła sztruksowe i dżinsowe spodnie, druga twarzowy swetr i wzorzystą koszulę letnią, a trzeci buty na grubej słoninie, zaś czwarta modną marynarkę. Ja wyniosłem krawat.

## *Igraszki z polityką*

Październikowa odwilż pozwoliła zdobyć polityczne doświadczenia. Zwiększyła odwagę i zapał. W ruch odnowy zaangażowała się w pierwszym rządzie - co dziwne - młodzież pochodząca ze wsi, której - jak wspomniałem - było na dziennikarce dużo. Chłopski żywioł, jak się nas określało, stał się wtedy wyrazisty i otwarty. Nasze zainteresowania skierowane zostały na obronę interesów wsi i chłopów.

Liderem tej grupy, w której i ja się znalazłem obok Janka Tonika, Adama Orłowskiego, Mieczysława Maciejaka, Zofii Zielińskiej czy Mieczysława Kujawy, także Janka Sochy, pomimo jego przynależności do PZPR - był Jerzy Grzybczak. Wyróżniał się on spośród nas doświadczeniem, które zdobył w liceum, gdzie działał w samorządzie uczniowskim i ZMP, a wykazywał się przy tym wrodzonymi zdolnościami przywódczymi.

Za platformę swej aktywności uznaliśmy ruch ludowy, przede wszystkim młodzieżowy. Pierwsi na UW utworzyliśmy na dziennikarce koło ZSL, nie istniejące dotąd wskutek zakazu, które wpłynęło mobilizująco na inne wydziały. Za nami poszli zwłaszcza studenci filozofii i historii. Stało się też możliwe powołanie uniwersyteckiej struktury ZSL. A to nie odpowiadało doktrynerom, szczególnie kiedy członków PZPR zaczęło ubywać, a ZSL przybywać.

Funkcjonariusze PZPR odnosili się do ludowców z uprzedzeniem i niedowierzaniem, upatrując w ZSL siłę nie w pełni służącą socjalizmowi. Byli jednak wtedy zbyt słabi i mało stanowczy, aby otwarcie sprzeciwić się wzrostowi znaczenia ZSL. Sprzeciw ograniczali do gróźb i utyskiwań.

Za złe mieli ludowcom, iż podważają dominującą pozycję PZPR i chcą zagarnąć więcej władzy. Zdawali sobie sprawę, że to, co robimy i mówimy koliduje z pozycją siły kierowniczej, z hegemonią partyjniaków oraz nawykami i intencjami aparatu. Pewni byliśmy również, że będą podrzucać nam i wciskać do nas dywersantów i rozbijaczy, nie wykluczając ubeków. Dlatego byliśmy ostrożni w dobieraniu kandydatów na członków ZSL. W kilku przypadkach sprzeciwiliśmy się wstąpieniu w szeregi stronnictwa.

Odrzucaliśmy wnioski studentów należących wcześniej do PZPR, którzy rozstawali się z nią po odnowie październikowej. Pomimo to w jednym co najmniej przypadku udało się PZPR wprowadzić do ZSL swojego człowieka. Koło na dziennikarce odrzuciło tę kandydaturę, lecz zieloną legitymację wręczył temu studentowi kto inny.

Nawiązaliśmy kontakty z komitetami ZSL w stolicy oraz miejscu swego pochodzenia. Centrala stronnictwa mieściła się wówczas przy ul. Bagatela. Często spotykał się tam z nami sekretarz warszawski Jan Dąbski, który wysyłał nas na terenową penetrację. Umożliwiało to nawiązywanie kontaktów z kołami ZSL, dzięki czemu mogliśmy wiedzieć, jakie ważne sprawy trapią ludowców i czego oni oczekują.

Wśród nas bywał Stanisław Cieślak, redaktor naczelny „Dziennika Ludowego”. Upatrywał w nas szansę na wzbogacenie autorskie i kadrowe gazety. Przybliżał nam zagadnienia zawodowe i polityczne. Ośmielał. Zachęcał do współpracy z prasą ludową.

Najszybciej zaangażował się Adam Orłowski, który - będąc jeszcze studentem - na łamach „Dziennika Ludowego” prowadził ostrą polemikę - co było czymś niepojętym i wymagało odwagi - z anty chłopskimi publikacjami „Trybuny Ludu”. Zwłaszcza z tekstami K. Klingera gloryfikującymi PGR-y. Miały one zwiększać potencjał i obszar kosztem chłopów. Adamowi przysporzyło to uznania. Lecz długo później, kiedy został redaktorem naczelnym „Zielonego Sztandaru”, organu prasowego ZSL, na łamach którego także ja publikowałem, Adam wykazywał się dużą ostrożnością i przesadną roztropnością. Pilnował, żeby doborem tematów i autorów nie narażać się swoim politycznym pryncypałom. I tym razem potwierdziła się mądra zasada, iż punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia.

Będąc studentami mieliśmy zdecydowanie więcej odwagi i determinacji niż później, kiedy przyszło utrzymywać rodziny i odpowiadać za słowa. Inaczej kształtowała się wówczas dojrzałość, której przedtem mnie często brakowało.

Gdy porównuję jednak siebie i swoich kolegów z wieloma współczesnymi dziennikarzami, szczególnie młodymi - oceniając ich twórczość - muszę przyznać, zdając sobie sprawę ze zgoła odmiennych okoliczności, że chwalebę ich sprawność warsztatową, lecz ganię za niedostatek konsekwencji i odpowiedzialności.

Dziennikarz powinien ponosić odpowiedzialność za słowa i pamiętać o skutkach społecznych przedkładanych poglądów i opinii które mogą budować, ale też skutecznie - nawet bardziej - rujnować i szkodzić. Tak pojętego liberalizmu nie podzielam. Bo też kto, jak nie dziennikarz, poza politykami, kształtuje opinię społeczeństwa i wpływa na jego postawy i zapatrywania?

Wtedy - jeszcze wtedy! - byliśmy niepoprawnymi idealistami. Zbiegaliśmy na przykład o równouprawnienie dla chłopów. O to, by ich gospodarstwa nie były dyskryminowane. Przede wszystkim w stosunku do forowanych PGR i spółdzielni produkcyjnych.

### *Inne spojrzenie*

Zależało nam, żeby kierownicza siła narodu, za jaką uchodziła PZPR, zdecydowała się chociażby w części ustąpić miejsca współpracującym z nią stronnictwom politycznym, to jest ZSL i SD. Gdyby w Polsce funkcjonował rzeczywiście, a nie był wyłącznie atrapą, system wielopartyjny - jak uważałem - byłoby mniej błędów i nadużyć, zaś program rozwoju kraju - nie zbaczając z socjalistycznej drogi byłby dalece bardziej realistyczny. Lecz obowiązująca wówczas doktryna, której uparcie strzegł ZSRR, była temu absolutnie przeciw.

Zagarnięcie pełnej władzy, kierującej się sztywnymi dogmatami, tylko przez jedną partię - podatną na deprawacje - zawierało zło samo w sobie. Zło, które - gdyż inaczej być nie mogło - musiało się zemścić.

Odmienność poglądów dotyczyła również ruchu młodzieżowego. Na zebraniach koła ZSL nuciliśmy często słowa hymnu ZMW RP „Wici”, zaczynające się od słów: „Do niebieskich pował...” Dla postronnych stanowiło to duże zaskoczenie. Podobnie jak w przypadku pieśni ludowych, których znajomość często wykazywaliśmy śpiewem. A najlepszym zapiewająką okazywał się Jurek Grzybczak.

Kiedy rozpadł się ZMP, młodzi ludowcy zajęli się - zresztą nawet wcześniej - tworzeniem organizacji młodzieżowej, nawiązującej do tradycji „wiciowych”. Zakrzętnęliśmy się wokół tej sprawy, goszcząc często w pałacu przy ul. Smolna 40, w którym mieścił się gnijący już ZMP, by optować za utworzeniem ZMW. Młodzi

członkowie PZPR, widząc co się święci, dbali o to, żeby inicjatywę utrzymać w swoich rękach i nie dopuścić ludowców do opanowania nowej organizacji.

I tak w końcu 1956 roku, chociaż formalnie w roku następnym, doszło do utworzenia ZMW i powołania tymczasowego Zarządu Głównego tej organizacji. Na jej czele stanął Józef Tejchma, rodak ze znanej z aktywności społecznej wsi Markowa koło Łańcuta. Ten sam, który w ramach ZMP-owskiego zaciągu budował Nową Hutę, będąc szefem sztabu młodzieżowego. Andrzej Wajda w swoim filmie na ten temat stworzył głównego bohatera w oparciu o ten właśnie pierwowzór. Postać bardzo interesująca, którą znam od dawna.

Był związany z Władysławem Gomułą, który lubił go i cenił, a zawiódł się na nim - wedle własnej oceny - po 1968 roku, kiedy to odsunął go od siebie. Partyjni wyjadacze nakłonili bowiem Tejchmę, by Gomułce powiedział wprost: „Towarzyszu Wiesławie, czas odejść”.

Tejchma, wykazując się tolerancją, potwierdził swój intelekt i charakter, kiedy został ministrem kultury i wicepremierem. Odchodząc zaś od władzy, na podstawie własnej decyzji, bez przymusu, zachował w odróżnieniu od innych polityków rozsądek i umiar. Do jego osoby nie przyległo nic z błota, jakim obrzucani byli dawni działacze partyjni, gdyż był szanowany. Natomiast dla dawnych członków ZMW był i pozostał autorytetem.

Gdyby nie on, a kto inny formował ZMW, w kierownictwie tej organizacji w ogóle nie znaleźliby się ludowcy. Tymczasem byli oni przy nim, mając często odmienne zdanie. Tacy, jak Wiktor Prandota, jawnie firmujący związek ze zwalczanym wcześniej PSL, wtedy ostro potępiany za politykę Stanisława Mikołajczyka, czy Eugenia Łysiowa, które redagowała pierwotnie tygodnik „Wici”, albo Władysław Czerwik i Mieczysław Grad - byłiby nie do zaakceptowania.

A że dla wielu „Wici” kojarzyły się źle z okresem sanacji i PSL, pierwotny organ prasowy ustąpił miejsca tygodnikowi „Zarzewie”. Na jego czele stanął Zygmunt Markowicz, kolega Józefa Tejchmy z Markowej, z którym także pozostałem w bliskim kontakcie (zmarł zimą 2009). Na tej funkcji zamieniła Zygmunta Halina Krzywdzianka, która wcześniej - jak wielu zresztą - odeszła z ZSL do PZPR. Jakże mo-



głem wówczas przypuszczać, że po upływie wielu lat również ja trafię do „Zarzewia”, zostając zastępcą redaktora naczelnego?

### *Praca bez nakazu*

By wytrwać przy ZMW, a dotyczy to również studentów, ludowcy starali się zachować wpływy na kształtowanie programu i charakteru związku. Nie było to łatwe z uwagi na władczą i zachłanną postawę PZPR. Partia reagowała nerwowo na wzrastające wpływy ZSL. Ustępowała jedynie w takim zakresie, że udało się uznać ZMW za organizację samodzielną, uwzględniającą wpływy ideowe PZPR i ZSL. Związek ten, co uznać można za swoisty ewenement, stał się - gdy idzie o pieczę ideową - tworem dwupartyjnym. W praktyce, zwłaszcza potem, dominowała jednakże partia robotnicza.

Młodzi potrafili jednak, jak mało kto w PRL, nie bacząc na przynależność partyjną i sympatie polityczne szczerze i skutecznie współpracować ze sobą. A nam, młodym ludowcom, zależało, żebyśmy byli w ZMW doceniani i mieli możliwość kształtowania jego programu i charakteru.

W szeregach ZMW wstąpiła duża część młodej inteligencji wiejskiej, szczególnie ludowcowej, której częstką czułem się także i ja. Na uwagę zasługuje też fakt, że w tworzeniu i popularyzowaniu ZMW ważną rolę odegrali młodzi dziennikarze, zwłaszcza pochodzenia chłopskiego. Żadna inna organizacja młodzieżowa, a funkcjonowały w tym czasie także ZMS i ZSP, nie cieszyła się tak dużym poparciem dziennikarzy.

Był organizacją lubianą i szanowaną, autentyczną. Cenioną i popieraną. Z uwagi na rzeczowość i przywiązanie do tradycji i wartości wsi oraz bardzo rozległy program działania, poszanowanie partnerów i starszej części społeczności wiejskiej.

Na początku lata 1958 roku, kiedy ukończyłem wyższe studia, zamknął się kolejny etap mego życia. Zaczęło się wkraczanie w dorosłe życie. Chciałem czym prędzej rozpocząć pracę zawodową, gdyż brakowało środków do samodzielnego utrzymania. Nakazy pracy, pomimo niewygody ułatwiające młodym start zawodowy, tymczasem zniesiono. Zostałem dlatego, jak inni, skazany na własną inicjatywę, przebojowość, spryt i szczęście. A ja nie miałem wówczas układow to-

warzyskich, nie mówiąc o rodzinnych, które by pozwalały mi zaczepić się w którejś redakcji. Był to dla mnie okres trudny.

Zależało mi na Lublinie. Pomimo dobrej opinii, jaką zdobyłem podczas praktyki, zabrakło tam szans na uzyskanie etatu. Młody dziennikarz mógłby okazać się konkurencyjnym dla zasiedziałyłch pracowników, którzy często rekrutowali się z aparatu partyjnego czy też wskutek zasług uzyskanych w pełnieniu funkcji korespondentów społecznych, która to funkcja wówczas jeszcze utrzymała się i była doceniana. Nawet redaktor naczelny, też pochodzący z awansu, był zainteresowany stabilizacją dotychczasowego układu kadrowego.



*Tak wyglądałem, mając 24 lata, kiedy skończyłem wyższe studia dziennikarskie.*

na długie lata mógłbym utknąć w marginalnej redakcji. Pozbawiłbym się tak szans na coś bardziej ambitnego.

Podobne kłopoty miało zresztą wielu absolwentów dziennikarki. Postanowiłem zafundować sobie - na koszt brata - ostatnie wakacje w Jagodnicy. Trwały trzy miesiące. Ten czas nie polegał na zbijaniu bąków i leniuchowaniu, by wypocząć po trudach studiów, a na czynnej

Mógłbym liczyć na Wrocław, ten znajdował się jednak - jak sądziłem - zbyt daleko od Jagodnicy, z którą byłem ciągle związany. Warszawa też była niedaleko i polubiłem ją z całego serca, lecz cóż z tego, skoro i tutaj nie było jakichkolwiek propozycji. Poza jedną, jaką otrzymałem na Wydziale Dziennikarskim. Była to oferta pochodząca z redakcji zakładowego dwutygodnika „Energetyka”, ukazującego się w elektrociepłowni „Żerań”.

Propozycja była kusząca, zdecydowałbym się na nią, gdyby gwarantowała zameldowanie w stolicy i służbowy kąt do zamieszkania. Ceniąc pracę w Warszawie

pomocy w pracach gospodarskich, jak też na wypoczynku i sporcie w LZS. Były to również moje ostatnie żniwa.

Zamiast błogiego spokoju, w głowie kłębiły się myśli związane z podjęciem pracy. Pisałem listy. Janek Toniak, który miał już widok na etat w stolicy, przysłał krzepiącą odpowiedź.

Chciałem żyć na własny rachunek. Rozstanie z rodziną wioską i znajomymi nie było jednak łatwe. Poprzednio wracałem tam, kiedy tylko zależało mi na tym. Zdawałem sobie sprawę, że teraz nastąpi zerwanie kontaktów na długo.

### *Pójść w siną dal*

Byłem nikim. Golcem. Kimś, kto wprawdzie zdobył wyższe wykształcenie i prestiżowy zawód, lecz pozostał bez pracy i nie był pewny, kiedy i gdzie ją otrzyma. Kto nie miał gdzie zamieszkać, ani znikąd uzyskać wsparcia, pozbawiony był oszczędności. Wprawdzie tlił się we mnie entuzjizm dotyczący przyszłości, słabł jednakże z braku realnych po temu podstaw. Jakież mógłbym mieć wtedy prawo zawracać głowę tej czy innej dziewczynie? A była taka dziewczyna, która mnie bardzo interesowała, czego nawet nie śmiałem jej objawiać.

Znalazłem się - ani pierwszy, ani ostatni raz - w przysłowiowej kropce. Kłopot przerastał moje możliwości. Mogłem i musiałem ryzykować wyłącznie na swoją odpowiedzialność. A mówiąc prawdę wcale nie wiedziałem, co mam ze sobą począć. Może powrócić do pierwotnie wyuczonego zawodu i zostać nauczycielem? Pozwoliłoby to liczyć na służbowy kąt. Czy jednak - zastanawiałem się - nie zamknę sobie drogi na przyszłość? Nie zrezygnuję z ambicji i marzeń? Może osiądę gdzieś na głębokiej prowincji, skąd nie będzie odwrotu...

Zależało mi bardzo, żeby zostać dziennikarzem, gdyż była to moja autentyczna pasja. Cóż mogłem wtedy uczynić? Postanowiłem, chcąc uniknąć bólu, udać się bez pożegnań w siną dal, podejmując wyzwanie losu.

Zdążyłem wcześniej wziąć udział w warszawskiej naradzie ZSL, poświęconej młodzieży wiejskiej. Zaprezentowałem w dyskusji sytuację na Podlasiu, postulując konieczność przyjscia młodym z pomocą. Zwróciłem na siebie uwagę, gdyż moja opinia zyskała popar-



*Józef Krawiecki zaproponował, żebym przybył do Olsztyna i podjął tutaj pracę w ramach ostatniego zaciągu kadrowego na Warmię i Mazury.*

cie uczestników spotkania. Poznałem wówczas Henryka Krawieckiego, osobę niewiele starszą ode mnie, rodem też z Podlasia, który w olsztyńskim WK ZSL pełnił funkcję kierownika wydziału organizacyjnego.

Zaproponował mi on, poznawszy moje położenie, pracę u siebie. Nie był w stanie zapewnić czegoś konkretnego, co miałbym tam robić, podkreślał jednakże, iż znajdę z pewnością coś godziwego.

- Przyjedź, zobaczysz jak jest na Warmii i Mazurach - zachęcał Krawiecki. - Trafisz do nas w ramach ostatniego zaciągu kadrowego na Ziemię Odzyskaną. Nam zależy na młodych ludowcach.

Krawiecki okazał się dobrym agitatorem. Pomyślałem, że ryzyko jest niewielkie. Niczego przecież nie stracę, jeżeli pojedę. Warto spróbować. Zwłaszcza, że otrzymałem zapewnienie zwrotu kosztów podróży i noclegu. Pociągał mnie także region, którego nie znałem, a o którym wiele już wiedziałem. A może jednak - pomyślałem - uda się ta wyprawa?

Zapewniłem Krawieckiego, że sprawę rozważę i dam mu listowną odpowiedź. Napisałem, że zdecydowałem się przyjechać do Olsztyna.

Rzeczy osobiste spakowałem do tekturowej walizeczki. I wówczas był to cały mój majątek. Podróżowałem pociągiem - łazikiem. Z Siedlec poprzez Ostrołękę i Szczytno do Olsztyna. Podróż zaczęła się nocą, a skończyła po południu. Byłem młody i ciekaw świata, więc wytrzymałem nieprzespaną noc. Wysiadłem z pociągu rzeński i ufny w powodzenie.

Ujrzałem miasto uporządkowane i ładne. Niezbyt podobne do tych, jakie oglądałem na Dolnym Śląsku. Uwagę zwróciły mury z czerwonej cegły, przysadziste gmaszyska i zgrabne małe domy. Nawet nie przypuszczałem wtedy, że osiadłem w tym mieście nad Łyną na długie 10 lat.

Idąc z dworca w kierunku ul. Kajki, gdzie w małej willi mieściło się biuro ZSL, trzymając walizkę, rozglądałem się uważnie po obcym mieście. Później poznałem tam bardzo wielu zacnych ludzi, których mile wspominam dotąd, chociaż w większości już oni nie żyją. Tubylców i osadników, którzy - jak ja - znaleźli tutaj życiową przystań.

Polubiłem tych ludzi i to miasto, które okazało się dla mnie szczęśliwe i przyjazne. Zadomowiłem się tam i ożeniłem. Znalazłem interesującą pracę, trafiłem do zawodu. Założyłem rodzinne gniazdo. Stamtąd wyfrunąłem do stolicy i w szeroki świat.

### *Obcy wśród swoich*

Stanąłem w rozkroku. Jedną nogą byłem w ZMW, a drugą w LZS. Zostałem instruktorem młodzieżowej turystyki wiejskiej, obejmując nowo utworzony wspólny etat obu organizacji. Uwzględniałem uprawnienia obu szefów, jakkolwiek formalnie znalazłem się w strukturze ZMW. Obie organizacje były już wcześniej bliskie, a turystyka też nie była obca.

Znałem niektórych ludzi z obu organizacji, co ułatwiało mi utrzymanie kontaktów, bo byli to głównie ludowcy. Szefem ZW ZMW był Józef Fajkowski, którego ceniłem za zapał i wiedzę. Jednakże dopiero później nasza znajomość stała się koleżeńska. Józef był - i jest dotąd, o czym wiem, gdyż spotkamy się często - ludowcem z krwi i kości. Był jednym z siedmiu czy też ośmiu ludowców w Polsce, którym powierzona została funkcja przewodniczącego ZW ZMW. Najczęściej liderami wojewódzkimi tej organizacji byli członkowie PZPR. W miarę upływu czasu, ludowcy byli jednakże rugowani z funkcji kierowniczych, ustępując miejsca osobom z partii robotniczej, która - jak podkreślali z lubością jej działacze - wszędzie pełniła rolę kierowniczą. Zaś u kresu działalności ZMW już tylko w jednym przypadku uchował się ludowiec.

Józef Fajkowski przybył do Olsztyna z Bartoszc, gdzie nauczał w Liceum Pedagogicznym, co łączyło nas obu. Pozycja jego była mocna. Wchodził w skład Prezydium WK ZSL i Prezydium ZG ZMW w Warszawie, któremu - jak wspomniałem - szefował wówczas Józef Tejchma.

Na czele RW LZS stał Mieczysław Łomanowski, przedtem pracujący w olsztyńskim KW PZPR. A tam, działając na zasadzie udzielnego księcia, liderował Stanisław Tomaszewski.

Między mną a Łomanowskim zawiązała się nić sympatii, co mogło wynikać - jak miemam - z tego, że był on ukraińskiego pochodzenia i sądził zapewne, że jestem jego rodakiem. Był człowiekiem sympatycznym i rozważnym, rzetelnym. Wspominam go z uznaniem. Jego syn Andrzej dużo później też został dziennikarzem.

Biura obu organizacji mieściły się w tym samym gmachu, który uprzednio zajmował w całości ZMP. Gmach stał przy ul. Wyzwolenia, zamienionej później na Piłsudskiego, i był wzniesiony przez junaków. Na jego fundamentach powstała po 1989 r. filia BGŻ, przekształcona następnie w Warmińsko-Mazurski Bank Regionalny, w którym bywałem wielokrotnie, a za każdym razem rozpamiętywałem minione lata.

Będąc najpierw rzecznikiem prasowym centrali BGŻ, której prezesował Kazimierz Olesiak, a potem redaktorem miesięcznika „Bank Spółdzielczy”, któremu szefował Wacław Potocki, gościłem często u prezesa W-M BR Stanisława Radziszewskiego. Bywałem tam także z



*Moim pierwszym pracodawcą był Józef Fajkowski, ówczesny przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZMW w Olsztynie.*



red. Dorotą Olech i Józefem Bezakiem z tygodnika „Zielony Sztandar”, z którym współpracowałem wiele lat.

I tak płątały się me życiowe ścieżki. Z bardzo wieloma ludźmi, wśród których nie brakowało osób bardzo zacnych i interesujących, przyszło mi współpracować. I nie po raz pierwszy, jak w przypadku Olsztyna, byłem zmuszony - pisząc w przerośni - wskutek zmian ustrojowych odchodzić od ideologii na rzecz pieniędzy. Ideologia wtedy taniała, ulegając inflacji, zaś pieniądze drożały i przybierały na znaczeniu.

Stało się tak również z nieistniejącym już gmachem ZSL i PSL przy ulicy Grzybowskiej 4 w Warszawie. Który dawno temu - co się przyjęło - nazwałem „zieloną stodołą”. Byłem z nim - tak czy inaczej - związany przez większą część swego żywota.

Jako dziennikarz, ale też działacz społeczny, pełniąc kilka istotnych funkcji w ZSL i PSL, w tym zastępcy członka NK ZSL, członka Głównej Komisji Rewizyjnej, przewodniczącego Zespołu Prasowego, jak też -



*Przez trzy lata - od 1994 do 1997, już jako emeryt - byłem rzecznikiem prasowym Banku Gospodarki Żywnościowej. Moim bezpośrednim przełożonym był prezes Zarządu BGŻ SA Kazimierz Olesiak.*

utworzonego wspólnie z red. Stanisławem Ozonkiem - prezesa Międzyredakcyjnego Koła Dziennikarzy PSL. A ponadto przez parę kadencji członka Rady Nadzorczej Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Stało się to wtedy, kiedy prezesem zarządu LSW był Tadeusz Kisiielewski. Zostawszy profesorem, był on wykładowcą na uczelniach Częstochowy i Bydgoszczy. Przedtem, kiedy funkcję tę sprawował Leon Janczak, LSW wydawała moje książki.



*Klub Dyskusyjny „Pod Konikiem”, który prowadziłem społecznie, powstał w okresie przelomu ustrojowego, a więc w okresie gorącym politycznie. Cieszył się dużym powodzeniem, przejawiając aktywną działalność. Odegrał istotną rolę w kształtowaniu poglądów. Jego nazwa wzięła się od znaku graficznego Spółdzielni Wydawnictwo Ludowe, wydającej prasę PSL, która go sponsorowała. Klub skupiał, pomijając osoby dopraszane w zależności od tematów rozmów, kilkudziesięciu profesorów, intelektualistów i polityków różnych opcji. Dyskusje, żywe, polemiczne, wzbudzające duże zaintereso-*

wanie, odczuwalnie wpływały kształtowanie ówczesnych opinii, zwłaszcza w zakresie polityki społecznej.

Na zdjęciu górnym, od lewej: prof. Paweł Bożyk, prof. Władysław Szymański, prof. Tadeusz Kisielewski, polityk i wydawca Leon Jańczak, Józef Tejchma i red. PR Jerzy Grum.

Zdjęcie środkowe, od prawej: Stanisław Mieńkowski, prezes zarządu SWL, prof. W. Zawadzki, prof. Andrzej Tymowski, Włodzimierz Jasiński i dr Kazimierz Chłopecki.

Na zdjęciu dolnym, od lewej: Teofil Stanisławski, prof. Stanisław Gebethner i autor książki. Zdjęcie prawe: prof. Adam Dobroński i Henryk Mazkiejuk.

Zdarzało mi się przemawiać z trybuny plenarnej NK ZSL, mieszczącej się w dużej sali konferencyjnej. Tam oraz w innych pomieszczeniach tego gmachu, odznaczającego się interesującą architekturą, prowadziłem również narady i dyskusje. Także w ramach Klubu Dyskusyjnego „Pod Konikiem”, grupującego spore grono osób o różnych poglądach. Klub odegrał niepoślednią rolę w poszerzaniu prawdy. Sponsorował go Stanisław Mieńkowski, prezes Spółdzielni Wydawnictwo Ludowe. Prowadziłem Klub, korzystając ze swoich kontaktów i znajomości.

Gdy byłem rzecznikiem prasowym prezesa BGŻ Kazimierza Oleśiaka, w połowie lat 90. ub. wieku owa sala konferencyjna NK ZSL stała się salą operacyjną tegoż Banku. I tak to w nowej rzeczywistości politycznej przyszło mi być świadkiem - a po części uczestnikiem, choć na szczęście w obu przypadkach na marginesie - zaskakującej zamiany dawnej ideologii słowa na twardą dyktaturę pieniędzy.

### ***Czas katakumb***

Wystartowałem do życia zawodowego w stolicy Warmii i Mazur z pozycji człowieka pozbawionego domowego oparcia i większych doświadczeń. Z parą butów i w schodzonym ubraniu oraz płaszczyku podszytym wiatrem. A do tego - z pustym portfelem.

Willa przy ul. Kajki 4, króciutkiej i przytulnej, którą przejęła ZSL, wcześniej mieściła germańską lożę masońską. Na dolnym parterze

z oknami wychodzącymi na ogród, służącymi nierzadko za drzwi - znajdowała się pakamera, którą określiłem mianem katakumb. Nazwa przyjęła się i zrobiła karierę. Opisałem ją - pod pseudonimem - na łamach „Głosu Młodych”; cotygodniowego dodatku do „Głosu Olsztyńskiego”.

Było to pomieszczenie mroczne, w kształcie winkła, w którym stały trzy łóżka, szafa i mały stolik. Była to przedtem służbówka, zamieniona potem na noclegownię. Toaleta z łazienką znajdowała się na piętrze, dokąd prowadziły skrzypiące drewniane schody.



*Rok 1958, niedługo po moim przybyciu do Olsztyna. We dwóch siedzimy na schodach willi ZSL przy ul. Kajki 4, w katakumbach której znaleźliśmy kąt dla siebie. Koledzy ze studiów. Z lewej strony Bronisław Banaszczyk, z prawej Henryk Maziejuk.*

Drugą podobną izbę, uznaną za mieszkanie służbowe, zajmował Florian Romańczyk z żoną. Byli to repatrianci zza Buga. On był gospodarzem, pilnując porządku w obejściu i ogródku oraz naprawiając uszkodzenia w biurze, ona zaś sprzątała pomieszczenia biura i zaparzała kawę. Polubiłem ich, a oni mnie. Zetknąłem się więc ponownie z problemami repatriacji, które były mi bliskie.

Wspomnę teraz - wybiegając myślami do przodu - o tyleż interesującym, co symptomatycznym wydarzeniu. Było to parę lat po moim przybyciu do grodu nad Łyną, gdy byłem już żonaty. Zjawił się u Romańczyków gość przy-

były z Białorusi. Ich krewny Władysław Kowalewicz. Czuł się na poły Polakiem i Białorusinem. Mógł skorzystać z repatriacji, lecz obawiał się tego, co może go spotkać, czego potem żałował.

Utrzymywaliśmy z Romańczykami, żona i ja, dobre stosunki, a oni byli bezdzietni i samotni. Zaprosili nas na spotkanie z zagranicznym gościem. Bliska okazała się nasza wylewność i wrażliwość na ludzkie sprawy. A że pobyt gościa trwał długo, był czas poznać się bliżej. Władek Kowalewicz, brat Romańczykowej, pracował w kołchozie jako brygadzysta i „szcztoczyk”, gdyż także obliczał dniówki pracownice. Był kimś ważnym. Lecz o tym, jak wielka nędza panowała w kołchozie, zaświadczało to, że jego żona Irena otrzymała w charakterze rocznej zapłaty 128 kg zboża i 26 rubli. By utrzymać rodzinę, zmuszeni byli kraść.

Jednak nie o takie szczegóły - jakich mógłbym zaprezentować wiele - chodzi mi w tej relacji. Jedynie o konfrontację odczuć, poglądów i zachowań Władka z polską rzeczywistością, która też przecież była socjalistyczna. Jego dziwiło praktycznie wszystko, co tutaj zobaczył i z czym się zetknął oraz co usłyszał. Jego mentalność rażąco nie pasowała do tego, co zastał w Polsce.

Władek marzy o Warszawie. Obiecałem mu wyjazd do niej. Ponieważ Mirosław Żurek, ówczesny prezes olsztyńskich ludowców, jechał na posiedzenie Sejmu, gdyż był posłem, poprosiłem go, żeby zabrał ze sobą białoruskiego gościa. Kierowcę samochodu poprosiłem zaś by w wolnym czasie obwiózł Władka po stolicy, pokazując mu najciekawsze jej fragmenty. Wcześniej ich obu poznałem ze sobą. Władek ucieszyła ta propozycja, a jednocześnie bał się skorzystać z niej, skory do rezygnacji.

- Nu, a ja - niepokoił się w przeddzień wyjazdu - nie zameldował tego milicji i nie mam przepustki na wyjazd do Warszawy. Czy z tego co złego nie będzie?

Tłumaczyłem, że u nas tego się nie robi, każdy jedzie dokąd chce, pomimo to Władek był niepewny.

- A co się stanie, jak mnie złapią i wsadzą do tiumry - dopytywał.  
- Nam nie wolno jeździć gdzie się chce, ot tak sobie, trzeba dostać od milicji zgodę...

Uspokoilem Władka, przekonując do tej wyprawy, toteż wczesnym rankiem wsadziłem go do Wołgi, którą Żurek jeździł do Warsza-



wy. Lecz, biorąc część kosztów na siebie, kupiliśmy Władkowi ubranie, koszulę i buty, żeby dobrze wyglądał. Był dumny, udając pana.

Władek powrócił ze stolicy szczęśliwy. Zauroczony nią, opowiadał bez końca, co spodobało mu się najbardziej. Nigdy przedtem nie był w tak dużym mieście, a do tego tam, gdzie znajduje się władza najwyższa, partia i rząd. Gdy ochłonął, spytał:

- Kim był ten pan, z którym ja jechał?

Powiedziałem, że to „obłastny” prezes chłopskiej partii i do tego poseł Sejmu.

- Pasiol? - chciał się upewnić.

Potwierdziłem, a Władek mi na to:

- Patrz, taki wielki człowiek, a chciał ze mną rozmawiać. Pytał mnie o zdanie, a jeszcze postawił obiad i jadł ze mną... Czy to możliwe?

Naturalne i zaskakujące zdziwienie Władka, objawiało się na różne sposoby. Nijak nie pasowało to do spostrzeżeń i doświadczeń, jakie wywiózł z za Buga. Zauważyłem, że bił się z myślami, nie mogąc pogodzić ze sobą tego, co było tam i tutaj.

Kiedy przyszła pora powrotu na Białoruś, z żoną pomogłem kupić Władkowi prezenty. Zależało mu najbardziej, żeby zabrać ze sobą medaliki i krzyżyki, różańce oraz książeczki do nabożeństwa, które tam były niedostępne. Nabył ich tak wiele, że należało zastanowić się dobrze, w jaki sposób mógłby przekroczyć z nimi granicę. Nie było tajemnicą, że radzieccy celnicy ze szczególną starannością tropili „wieszczki bogomolitsia”.

Znalazł się i na to sposób. Władek poupychał dewocjonia między ciuchy, jakie wywoził od nas, poprzyczepiał do bielizny i schował pod wielometrowy inlet, którym się opasał. Część ich umieścił w spodniach z szerokimi wypustkami, które były wpuszczone w buty z cholewkami. Aby nie rzucało się to w oczy i nie było podejrzone, Władek włożył na siebie spodnie wierzchnie, tak zwane „chruszczówki” szerokie jak worek. I włożył na siebie nazbyt obszerną marynarkę. A na to wszystko wciągnął jeszcze płaszcz.

Prezentował się niczym manekin. Poradziliśmy, żeby czuł się naturalnie, nawet żartując, lecz poruszał się mało, kiedy przyjdzie przekraczać granicę.



Czekaliśmy cierpliwie na list od Władka. Napisał że na granicy nie miał problemu. Polacy nawet go nie kontrolowali, a „swowich” poczęstował naszą wódką zauważając, iż był tak bardzo gościny, że aż rozpił się i utył.

- No ja teraz - podkreślał - znajduję się na ciągłym rauszu, bo odwiedzam po kolei wszystkich, aby obdarzać ich a to modlitewnikami, a to różańcami i krzyżykami, które zabrałem z Polski. Opowiadają com oglądał i popijam tego samogon. Kiedy im mówię, jak jest u was, co zobaczyłem i z kim się spotkałem, to nasi ludzie nie chcą uwierzyć, że to prawda...

Listy krążyły między nami przez parę lat. Aż nagle korespondencja się urwała. Ani nam, ani Romańczykom nie udało się dociec, z czego to się wzięło. Czyżby wchodził w grę zakaz?

Wróć do katakumb. Jedno ze znajdujących się tam łóżek przypadło mnie. Na polecenie Krawieckiego, Romańczykowa wystarała się o pościel i koc. Prześcieradło wymieniała na świeże dopiero wtedy, kiedy było szare od brudu. Sąsiednie łóżko zajmował Roman Hryciuk, też podlasiak, uważający siebie za Ukraińca. Świeżo upieczony absol-



*Znajomość z Władkiem Kowalewiczem utrzymywała się dłuższy czas. W styczniu 1965 r. spod Zelwy na Grodzieńszczyźnie, gdzie mieszkał, nadeszła fotografia opatrzona tekstem: „Na długą i miłą pamiątkę zasyłamy swoje zdjęcie dla państwa Hali i Heńka. Władek z Irką”.*



*Jan Chudy, z którym działałem kiedyś w ZMW i ZSL. Lubiany i ceniony, ofiarny, pracowity. Zmarł, niestety, zanim ta książka trafiła do druku.*

z warszawskiego zaciągu, to był filozof specjalizujący się w ideologii. Szaławiała, ale dobry kolega. Pochodził spod Rzeszowa. Antek czasami szokował niekonwencjonalnymi wypowiedziami, ale długo i konsekwentnie wykazywał ludowcową wierność. Osłabł w zachowaniu dopiero wtedy, kiedy został wykładowcą na olsztyńskiej WSR.

Gdy miałem już zapewniony kąć do spania, Henryk Pugowski, główny księgowy ZMW, wypłacił mi zaliczkę na poczet przyszłej pensji, zaskarbiając moją sympatię. Polubiłem go szczerze. Okazał się życzliwy i koleżeński. Choć starszy ode mnie, obalił ze mną - byliśmy przecież imiennikami - niejeden kieliszek.

went stołecznych studiów ekonomicznych, instruktor WK ZSL.

Roman wykazywał lojalność, ponieważ nie upłynęło wiele czasu i zamienił legitymację zieloną na czerwoną. Liczył na szybki awans, jakiego ZSL nie był w stanie zapewnić. Kariery nie zrobił też Aleksander Kolańczuk, kierownik jednego z wydziałów WK, też zresztą ukraińskiego pochodzenia, który zachował się podobnie. Nie była to postać ciekawa. Podejrzliwy. Wobec mnie miał nieuzasadnione pretensje. A ja wcale nie kładłem uszy po sobie, co wymagało interwencji prezesa. Olek odszedł jak niepyszny, wstąpił do PZPR, lecz niczego szczególnego to mu nie dało.

Antoni Sołoma, jeden z moich rówieśników, także

Poznałem w ZMW dużo interesujących ludzi. Jak to u młodych, przyjaźnie zawiązały się szybko i nie dzieliły odmienne zapatrywania. Ale tylko nieliczne z tych znajomości przetrwały próbę czasu. Wspominam jednak dotąd z sympatią atmosferę życzliwości, zaufania i przyjaźni, panującą w tej organizacji.

Były to naprawdę koleżeńskie stosunki. Oparte o szczerość i zaufanie oraz głębokie przekonanie co do sensu służenia pomocą młodzieży i wsi. Ceniłem doświadczenia zdobyte w ZMW, tak w czasach olsztyńskich jak i później. Wtedy czuliśmy się jedną rodziną.

### *Oni nie zawiedli*

Kto nie był fałszywy i podejrzany, ten uzyskiwał akceptację. Nie było wśród nas podziału na „tych ze stronnictwa” i „tych z partii”. Jedynie osoby starsze i politycznie aktywne decydowały się na posiadanie legitymacji partyjnych. Ceniliśmy się nawzajem. Podział taki występował natomiast w aparacie organizacyjnym.

Sam tego doświadczyłem. Staszek Wnuk, sekretarz ZW ZMW, należał do aktywu PZPR, co - a był starszym ode mnie - w niczym nie przeszkadzało. Bohdan Radwaniecki, podówczas wiceprzewodniczący, a tym bardziej Józek Dubiak, który później awansował na szefa wojewódzkiego Związku, chociaż związani byli z PZPR, stali się moimi przyjaciółmi. Moja ludowczość bodła Tadeusza Kochanowskiego, także wiceprzewodniczącego, który uważał, iż dla swego dobra powinienem wstąpić do PZPR.

Tadeusz urzędował po prawej stronie sekretariatu, zaś Józef Fajkowski, jako główny szef, po lewej. Zdarzało się nieraz, że gdy wychodziłem z gabinetu Józka, zapraszał mnie do siebie Tadeusz, by - w sposób podstępny - wypytać, co było tematem rozmowy i jaką pozycję zajął Fajkowski. Przesadna wścibskość Tadeusza miała miejsce także wtedy, kiedy rozmawiałem z Janem Chudym, będącym wówczas sekretarzem ZW ZMW, który również należał do ZSL.

Zdając sobie sprawę, o co Tadeuszowi chodzi, nie ujawniałem niczego, co mogłoby szkodzić ludowcom. Jego dociekliwość zbywałem żartem albo ogólniakami. Z natury zasadniczy i sztywny, Kochanowski denerwował się paląc papieros za papierosem, iż nie był w stanie wydobyć ze mnie tego, co byłoby mu przydatne.

Tadeusz, chociaż bardzo się starał, nie zrobił kariery. Przeszedł na funkcję I sekretarza KP PZPR do Nowego Miasta Lubawskiego, a potem zniknął zupełnie z horyzontu. Inaczej rzecz się miała z ludowcami. Józef Fajkowski, jak wspominałem, był członkiem Prezydium ZG ZMW, później kierownikiem Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej, kiedy jej Prezydium przewodniczył Marian Gotowiec, członek Z BCH o korzeniach ludowcowych. Potem Józek został dyrektorem Muzeum Wojewódzkiego w Olsztynie. Przeniósł się później do stolicy, by zostać wiceministrem kultury i sztuki, zaś następnie dyrektorem CODK i Muzeum Polskiego Ruchu Ludowego oraz sekretarzem Ambasady RP w Helsinkach. Został cenionym historykiem, autorem książek.

Jan Chudy po zdobyciu doświadczeń w ZMW przeszedł do pracy w aparacie wojewódzkim stronnictwa, awansując później na prezesa WK ZSL i posła, aby następnie - zdobywszy uprzednio staż radnego - zostać wiceprzewodniczącym Prezydium WRN w Olsztynie. W międzyczasie skończył w trybie zaocznym wyższe studia prawnicze. Udzielał rolnikom cennych rad i sugestii. Jego rodzice sprowadzili się do wsi pod Mrągowem z Wileńszczyzny, z którą Janek utrzymywał stale bliskie kontakty, wyjeżdżając na urlopy i święta. Jego brat Antoni Chudy, też ludowiec, był mrągowskim starostą, a syn Ryszard wicedyrektorem Izby Celnej w Olsztynie. W mojej pamięci utrwalił się Janek jako człowiek wyjątkowo sumienny i rzetelny. Prostoliniorny, uczynny i ideowy. Podobny do innych zacnych osób z którymi współdziałałem, którzy charakter i postawę ukształtowali właśnie w ZMW. Często pozostaję z nimi dotąd w kontakcie. Wielu, tak młodszych, jak i starszych zmarło. W lutym 2009 r. zmarł też, niestety, Janek Chudy.

Po odejściu Józefa Fajkowskiego ze stanowiska przewodniczącego ZW ZMW w Olsztynie objął tę funkcję Jerzy Kwiatkowski, też ludowiec. Absolwent zootechniki olsztyńskiej WSR, gdzie ZMW stworzył silny ośrodek. Znałem go z okresu, kiedy studiował. Wesoły i miły, pogodny dobrze tańczył, śpiewał i grał na gitarze; chłopak z gitarą! Przy tym mądry i kontaktowy, co w organizacji młodzieżowej było dużym plusem. Jurkowi budowało to sympatię i mocną pozycję. Był lubiany i powszechnie szanowany.



*Na jednej z narad olsztyńskich ludowców. Siedzimy za stołem na-przeciw siebie. Z prawej, na pierwszym planie, Jerzy Kwiatkowski, a z lewej ja; coś notując. W głębi - w okularach - Roman Malinowski. Natomiast w lewym górnym rogu zdjęcia - Wiktor Maćkowiak, wiceprezes WZGS, a obok niego Stanisław Gałus, przewodniczący Prezydium PRN w Lidzbarku Warmińskim.*



*I tutaj, jak to u dziennikarzy, naprędce coś zapisuję. Z lewej - Jerzy Osiński, z prawej Henryk Maziejuk.*



Gdy Jurek Kwiatkowski - na zasadzie rotacji kadrowej - odszedł z zajmowanego stanowiska, okazało się, iż był ostatnim ludowcem, który zasługiwał na liderowanie ZMW na Warmii i Mazurach. Zajął się później pracą naukową i dydaktyczną, był dłuższy czas w Afryce. Został cenionym ekologiem. Jako specjalista w tej dziedzinie, pracował w Ministerstwie Ochrony Środowiska, a następnie - także w tym zakresie - stał się biznesmenem. Przeniósł się ze stolicy na podwarszawską wieś, gdzie zamieszkał na stałe.

Po Jurku Kwiatkowskim funkcja przewodniczącego przypadła



*Wanda Żołobowska i Grzegorz Zrajkowski w ślubnym stroju.*

już do końca, tak jak w zdecydowanej większości województw, wyłącznie członkom PZPR. Podobnie rzecz się miała w zarządach powiatowych ZMW. Zaczęło się od Józefa Dubiaka, który wcześniej był wiceprzewodniczącym ZW, a przedtem asystentem WSR. I to się Józkowi należało. Był osobą bardzo wartościową. Mądry i szlachetny, doświadczony, wyrozumiały oraz koleżeński.

Ludowcy mogli od tam być jedynie zastępcami szefów noszących „czerwone” legitymacje. W tej roli wystąpił Jerzy Osiński, absolwent zootechniki olsztyńskiej Wyższej Szkoły Rolniczej w Kortowie. Poznałem go, kiedy kierował hodowlanym ośrodkiem



doświadczalnym PAN w Popielnie nad Jez. Śniardwy opodał Mikołajek. Gościłem tam raz i drugi, interesując się krzyżowaniem żubra i krowy (oglądałem słynne swego czasu żubronie!) oraz hodowlą odтворzeniową tarpanów (to jest polskich koników).

Jurek Osiński, jak wielu, przeszedł potem do Warszawy, by zająć się gospodarką i polityką. Przez długie lata, kiedy i ja po dziennikarsku penetrowałem tę tematykę, zajmował się mleczarstwem. Był wieloletnim prezesem Centralnego Związku Spółdzielczości Mleczarskiej. Kończąc aktywność zawodową, Jurek podjął pracę w PAN.

Ciepło i serdecznie wspominam koleżanki i kolegów z olsztyńskiego ZMW. Na przykład Grzegorza Zrajkowskiego, który - jak ja - był instruktorem ZW ZMW. Odmienność partyjna w żaden sposób nie rzutowała, jak w innych przypadkach, na stosunki. Grzegorz, aktywny i żartobliwy, wszędobylski, był lubiany. Ożenił się z Wandą Żałobowską, także działającą w ZMW, której rodzice - ojciec był cenionym ludowcem - prowadzili gospodarstwo rolne we wsi Wilrwilty pod Bartoszczami. Zrajkowscy mieszkali w Olsztynie i nie wyzbyli się społecznikowskich skłonności. Grzegorz zaangażował się w działalność spółdzielczości mleczarskiej, a Wanda pracowała w NOT.

Wspominam z żalem - tak jak moja żona Halina, która również działała w ZMW - Józefa Dubiaka. Był ludzki. Ciepły i nie miał zwyczaju - tak typowego dla partyjnych funkcjonariuszy - narzucania innych swoich poglądów. Był, jak wspomniałem, przewodniczącym ZW ZMW. Pracował na uczelni. W młodym wieku zmgóła go choroba płuc. Odwiedzaliśmy Józka w sanatorium w Otwocku.

## *Szkoła życia*

I tak, nazwisko po nazwisku, mógłbym prezentować osoby ówczesnego, także zresztą późniejszego, Związku Młodzieży Wiejskiej, z którymi byłem związany.

Irena Kropiewnicka, rodem z białostockich Rzędzian, której ojczulek pracował jako dróżnik, była wojewódzką wiceszefową ZMW. Wtedy już tam nie pracowałem, ale przyjaźń z nią - tak wtedy, jak i potem, gdy zostałem mężem Haliny - pozostała dotąd. Popularna „Kropka” wykazywała się dużą aktywnością, była zawsze pełna werwy



*Byliśmy młodzi i świat uśmiechał się do nas. Irena Kropiewnicka i Stanisław Baraniecki, który jeszcze przed nami przeniósł się z Olsztyna do Warszawy.*

skość. W tej organizacji - a było nas bardzo, bardzo wielu - przeszliśmy solidną szkołę życia. Zdawała ona egzamin wtedy, kiedy byliśmy młodzi, jak też później, gdy stawały przed nami zadania skomplikowane oraz odpowiedzialne.

Związek wychowywał pokolenia młodzieży wiejskiej na ludzi wartościowych i aktywnych. Otwartych na postępy i o rozbudzonych ambicjach i zainteresowaniach. Zapisali się dobrze w życiu wsi i kraju. Przekształcali swe środowisko i rolnictwo. Gdy później wędrowałem jako reporter bardzo często natykałem się na wychowanków ZMW. Znajdowałem ich wśród wzorowych rolników, samorządowców i animatorów kultury, sołtysów i wójtów, kierowników szkół i bibliotek. Pracą i postawą, zaangażowaniem, zdobywali uznanie.

i ufności. Gdy urodziła się nam córka Ela, Irka trzymała ją do chrztu wraz z moim bratem Antonim z Jagodnicy. Chrzt miał miejsce w olsztyńskiej katedrze. Irka jest więc naszą kumą.

W mej pamięci zapisał się dobrze Emil Radziwołek, który - jak Irka - skończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Olsztynie, współtworzył ZMW wśród studentów. Podobnie jak Bohdan Radwaniecki, będący też - jak wspominałem - wiceprzewodniczącym olsztyńskiego ZW ZMW.

Wspominam ich ze względu na kreatywną postawę i zaangażowanie w poczynaniach ZMW oraz szczerą koleżeń-



*Dobrzy koledzy z dawnego Olsztyna. Emil Radziwołek (z lewej) i Henryk Maziejuk.*

Wchodziłem w środowisko ZMW bez kłopotów. Łączyły nas zainteresowania. Janek Cycyk, szef ZMW powiatu olsztyńskiego, przyjął mnie do swego koła i wypisał nową legitymację związkową, zaliczając wcześniejszy staż członkowski. Poznawanie terenu rozpocząłem właśnie od rewiru jego działania. Janek, co mogło zaskakiwać, miał wątlą posturę, ale wielkie serce, a był do tego obrotny. Zjednywał sobie dziewczęta i chłopców, podsycając aktywność i patronując ich inicjatywom. Sporo nauczyłem się od niego.

Potem coraz głębiej i dalej wypuszczałem się w region Warmii i Mazur, który urzekł mnie swoim pięknem. Wtedy i potem, mieszkając okrągłych 10 lat w Olsztynie, spenetrowałem tę krainę. Odwiedziłem większość wiosek i wszystkie miasta. A zaczęło się to - jak wspominałem - od turystyki, której sam się uczyłem i którą wdrażałem w ZMW i ZLS.

Jako jedną z najpierwszych odbyłem wyprawę pociągiem z Kętrzyna do Węgorzewa, gdzie czekał Staszek Wiśniewski z ZMW, późniejszy mer tego miasteczka. Pociąg wlokł się powolutku, dzięki czemu - siedząc w pulmanowskim wagonie - przyglądałem się krajobrazowi. Pojechać mogłem autobusem, byłoby szybciej, ale



*Złączyła je Rada Dziewcząt ZMW na Warmii i Mazurach. Krystyna Sarosiek (z lewej) i Halina Mierczyńska (z prawej).*

mnie zależało, żebym zafundował sobie przerwę w podróży i obejrzał kwaterę główną Hitlera w Gierłōży, tak zwany „Wilczy szaniec”, który zrobił na mnie mroczne wrażenie.

Stach Wiśniewski wywiózł mnie motocyklem do wsi Krukłanki, pięknie położonej wśród lasu i nad jeziorem. Sądziłem, że będzie to wiocha zabita deskami. Tymczasem zetknąłem się z zupełnie czymś innym. Była tam klubo-kawiarnia. Nie zwykła świetlica, obskurna i smutna, ale coś, co stanowiło kawiarnię i klub młodzieżowy.

Młodzi wypełnili ów lokal. Wykazali się rozbudzonymi ambicjami i oczekiwaniami. Sięgali po gazety i książki, recytowali wiersze, śpiewali i tańczyli. Urządzali przedstawienia teatralne. Na tym odludziu znalazłem więc kawałek światłego zakątka.

Spotkałem wspaniałą opiekunkę młodzieży, Teresę Tressenberg, która potrafiła nakłonić młodzież do życia w cywilizacji. Pisała „sztuczki”, nawiązujące do regionalnych legend i wydarzeń. Zbierała i opisywała oraz wydawała drukiem mazurskie baśnie i opowiadki. Zaimponowała mi ta kobieta. Długo potem spotkałem jej syna wśród dziennikarzy młodego pokolenia.

## VII. CIĄGNEŁO WILKA DO LASU

### *Powrót do korzeni*

Cóż takiego robiłem, będąc instruktorem turystyki? Organizowałem szkolenia i kursy, wycieczki, rajdy rowerowe i piesze, obozy młodzieżowe. Polubiłem tę pracę, odnajdując w sobie rzeczywiste zainteresowania krajoznawcze. Zajęcia pozwalały poznawać region i kraj, wychowywać i kształtować patriotyczne postawy młodzieży, a zarazem wyrabiać odpowiedzialność za siebie i grupę oraz wzmacniać odporność. Turystyka była im zupełnie obca. Dominowała chęć poznawania wszystkiego, co nowe i nieznane.

Uczyłem najprostszych rzeczy. Jak posługiwać się rozkładem jazdy PKP czy PKS, żeby wybrać niezbędne połączenia. Jak rozumieć znaki turystyczne czy też korzystać ze szlaków oznaczonych, bądź jak organizować wycieczki, rajdy, kuligi lub ogniska.

Zorganizowałem obóz szkoleniowo-rajdowy w Szklarskiej Porębie, czyli bardzo daleko od Warmii i Mazur. Mówiłem młodym żeby zadbali o stosowny ubiór. By nie były to garnitury czy też szykowne suknie, a dresy, skafandry, przewiewne wdzianka i buty, koniecznie dobrze dopasowane. Uwrażliwiałem na niebezpieczeństwa, bo - jak się okazało - nikt z nich nie był w górach.

Gdyśmy oswoili się ze Szklarską Porębą, do której dotarliśmy pociągiem, a później odbyliśmy wycieczkę do Jeleniej Góry i Piechowic, Karpacza i Bierutowic - przyszła pora na górską wyprawę. Przestrogi okazały się jednak daremne. Na próbę wybraliśmy się pieszo do Jagniątkowa. I oto w grupie ponad 20 osób znalazły się dziewczęta, które wybrały się w góry - jakby na zabawę - w szpilkach i strojnych ciuchach, zaś chłopcy w tenisówkach.

Staralem się osoby niestosownie ubrane zawrócić z drogi. Wiedziałem, że nie mogę dopuścić go zwichnięcia nóg czy też innego wypadku. Jak jednak przekonać chojraków?

Uparciuchom - skoro tego chcą - pozwoliłem pójść z nami na szlak. Nawet nie upłynęła godzina, kiedy osoby te - skarżąc się na pościeraną skórę nóg, opuchnięte stawy i bolejące łydki - same miały dość wyprawy.

Zostawiłem ich pod opieką Janka Górczyńskiego, którego poznałem wcześniej. Janek był postacią nietuzinkową. Jego ojciec zajmował się wyrobem mebli w podpoznańskim Swarzędzu, syn zbuntował się jednak na serio. by nie być stolarzem. Wzgardził bogactwem, zerwał



*Najpierw spotkaliśmy się na obozie zimowym ZMW w Szklarskiej Porębie, a potem na letnim w Karkonoszach. Jan Górczyński (drugi z prawej), poeta i satyryk.*

z rodziną i zamieszkał we wsi Złotna pod Morągiem, żeniąc się z nauczycielką. Janek wolał zostać poetą. Pisał wiersza, drukował w czasopiśmie fraszki i limeryki. Zamieszczał korespondencje terenowe oraz listy. Zarabiał grosze, czuł się jednak kimś i był szczęśliwy. Z Jagniątkowa powróciliśmy zadowoleni. Zmęczeni, ale usatysfakcjonowani. Dla moich kursantów było to pierwsze zetknięcie z prawdziwymi górami. Przyszły wtedy wyprawy trudniejsze: w Góry Stołowe, na Wielki Szyszak, w końcu na Śnieżkę. Wyprawę odbyli wyłącznie ci, którzy mieli dobrą kondycję i byli przygotowani do pokonywania górskich szlaków. Młodym bardzo przydały się zdobyte tutaj doświadczenia, gdy sami, występując w roli organizatorów, urządzali w ZMW turystyczne eskapady.

Ceniłem młodzież za zapał i ambicję. Gdyśmy wracali z wycieczek, dalekich czy bliskich, młodzi odnosili się z zapałem do podejmowania następnego trudu. Podobnie było, kiedy prowadziłem dużą grupę rowerzystów na kilkudniowy rajd „Na spotkanie z Neptunem do Gdańska”. Zorganizował tę imprezę Roman Frey z Rady Głównej ZLS.



Nasza trasa prowadziła z Olsztyna poprzez Dobre Miasto i Lidzbark Warmiński do Braniewa, a następnie Fromborka i Tolkmicka. Potem zaś - po pokonaniu promem Zalewu Wiślanego - Mierzeją Wiślaną i nadmorskim szlakiem do Gdańska.

Był czas na odpoczynek i zwiedzanie zabytków. Przygnębiające wrażenie na młodych wywarł hitlerowski obóz zagłady Stutthof. Widok pieców krematoryjnych odebrał im skłonność do żartów i apetyt. Wstrząśnięci byli tym, co zobaczyli i opowieścią przewodnika, który przeżył tutaj prawdziwe piekło.



*Ginter Wolf (w środku, z papierosem) wśród pracowników Rady Wojewódzkiej Zrzeszenia LZS w Olsztynie.*

Na ciężarówce było zaopatrzenie. Spaliśmy w stodołach i pod namiotami. Nie mogąc sprostać trudom rajdu, odkładałem na bok rower i wsadałem do ciężarówki. Moje kolarskie doświadczenia okazały się zbyt wątle. Ustępowałem nawet dziewczętom, które także jechały z nami. Była to jednakże ekipa wypróbowana i silna, którą prowadził - jadący z nami - Ginter Wolf z Rady Wojewódzkiej LZS. Dobry organizator i sympatyczny kolega.

Innym razem odbyłem wielodniową wycieczkę pociągiem do Krakowa. Zamieszkaliśmy w miasteczku namiotowym na obrzeżu



*Jesień 1958 roku. Stoję w środku (z beretem na głowie) z grupą pegeerowskiej młodzieży autochtonicznej, którą zabrałem na wycieczkę do Wieliczki.*

miasta. Uczestnikami byli pospołu dziewczęta i chłopcy z pegeerowskich i chłopskich rodzin, w większości wywodzący się z rdzennej ludności mazurskiej i warmińskiej. Byli to - jak się to wtedy określało - młodzi autochtoni; rozróżnienie to miało wówczas duże znaczenie.

Obserwowałem ich zachowanie i patriotyczną reakcję podczas zwiedzania dawnej stolicy państwa, z którą - wszyscy bez wyjątku - zetknęli się po raz pierwszy. Z nieukrywaną nabożnością odnosili się do zabytków i opowieści. Później nie spotkałem młodzieży, równie szczęśliwej i wzruszonej.

Postawa ta ujawniała się zwłaszcza na Wawelu i w Kościele Mariackim. Było to autentycznie wzniosłe przeżycie. Tutaj, podobnie jak w Ojcowie i Pieskowej Skale czy też w kopalni soli w Wieliczce, młodzi spotkali się z zabytkami Polski, o których przebąkiwało się w rodzinach. Rodzice tęsknili często za Polską, od której zostali oderwani. Idealizowali ją. Podzielałem szczerze ich wzruszenia.

Kraków stanowił bazę wypadową. Jeździliśmy stąd do pobliskich miasteczek i wsi. Pieszko wędrowaliśmy doliną Prądnika. Namioty stały pośród drzew. Którejś nocy rozpętała się burza z piorunami i desz-

czem. Dziewczęta niemal oszalały. Padały drzewa, wiatr związał namioty. Sam nie byłbym w stanie opanować hysterii. Z pomocą przyszła Hilda z PGR Koczarki pod Kętrzynem, której nie podejrzewałem o tak dużą energię i opanowanie.

Hilda, dziewczyna niepozorna, nakazała przenieść się poza biwak i uklęknąć na murawie, by modlić się na głos do Boga. Intonowała modły, pieśni religijne.

Nawiązałem współpracę z Karolem Małkiem, zasłużonym działaczem mazurskim, urodzonym pod Działdowem, który ryzykując utratę życia - a miał wydany wyrok śmierci - prowadził walkę z hitlerowskim faszyzmem o sprawy Polaków. Gdy go poznałem, kierował Mazurskim Uniwersytetem Ludowym w Rudziskach koło Pasymia.

Był postacią szanowaną. Jego MUL odegrał ważną rolę w repolonizacji młodego pokolenia - zwłaszcza Mazurów - i krzewieniu pa-



*Karol Małek (na dole, tyłem) prowadził zajęcia repolonizacyjne z młodzieżą wiejską pochodzącą z germanizowanych przedtem rodzin mazurskich. Siedzibą Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach koło Pasymia był poniemiecki ośrodek sportów zimowych.*

triotyzmu. Podtrzymywana świadomość przynależności narodowej, tępiąca przez niemieckich nacjonalistów, znajdowała się często ledwie w szczątkowym stanie. Należało ją odradzać i wzmacniać. U rodzin warmińskich, pozostających dłużej pod polskimi wpływami, świadomość ta - głównie z uwagi na katolicką wiarę - była większa.

Uczestnicząc w spotkaniu MUL byłem świadkiem przełamywania się postaw ludzi młodych, jacy z trudem i boleśnie, mając nierzadko przykre doświadczenia osobiste, zestawiali wyidealizowaną Polskę, którą znali z opowieści rodziców czy też ksiązek albo kościelnego nauczania, z tą nową, jaka wróciła do nich po 1945 roku i która źle objawiała się im, stając się nierzadko macochą. Czasem widziałem młodzież rozdartą wewnątrz. Z poczuciem polskim i germańskim, która intuicyjnie poszukiwała argumentów wzmacniających jej polskość.

Współpraca z Karolem Małkiem, człowiekiem z pozorów rubasznym i szorstkim, a w rzeczywistości ciepłym, otwartym, dała mi bardzo wiele. Uczyła rozumienia autochtonów. Znajomości i interpretacji realiów. Jak też zachowania pokory wobec tych ludzi, którzy mieli wcześniej odwagę czuć się Polakami.

W siedzibie MUL organizowałem szkolenia turystyczne ZMW i LZS. Korzystałem z kadry uniwersyteckiej i kuchni. Także z usług pana Karola, który prowadził z nami zajęcia.

Problemy ludności rodowitej stały mi się bliskie sercem i rozumem. Pisałem o nich wielokrotnie, zyskując sympatię i zaufanie ludzi z tego kręgu. Frapowała mnie ta tematyka, którą starałem się - głównie korzystając z kontaktów - poznać i zrozumieć. Była ona nierzadko dla Polaków bardzo przykra, stawiając nas w złym świetle.

Ginter Wolf, o którym wspominałem, o parę lat starszy ode mnie, nie ukrywał, iż jest Niemcem. Jego rodzina zaginęła podczas wojny. Wujek mieszkał w RFN, a więc poza kordonem. Ginter miał utrudniony kontakt z nim. Zachodziła obawa, że gdy wyjedzie tam w odwiedzinny - już nie powróci do Polski. I też był to swoisty dramat.

Ginter wyjechał z kolarzami LZS na imprezę do NRD, a stamtąd dał drapakę za Łabę. Był to jego krok rozpaczony, który przyjąłem bez zdziwienia. Przysłał mi on z RFN kartkę pocztową z życzeniami i pożegnaniem. Zapamiętałem dotąd jego zrudziałą czuprynę i chrapawy głos.

## *Od turystyki do polityki*



*Trwał czas działania, pracy i...  
amorów. We dwoje, sam na sam,  
z Halką Mierczyńską na le-  
śnym spacerze i (u dołu) Halka  
z Hanią Wierzbicką, z którą  
razem studiowała i mieszkała  
na stacji u Błażuków.*

Praca w turystyce wiejskiej była tyleż interesująca, co trudna. Podejmowałem się zadań, jakie w innych warunkach bym sobie darował. Było tak również wtedy, kiedy sytuacja wymusiła na mnie „syberyjską” wyprawę.

Warszawa zleciła, abym powiadomił w trybie pilnym Pawła Rogińskiego, którego poznałem już wcześniej, o naradzie ZMW w stolicy, w której powinien on wziąć udział. Zima była ostra. Zamięć. Liniję telefoniczną do PGR Garbno, gdzie Paweł był dyrektorem zerwała wichura. Nie pozostało mi więc nic innego, jak pojechać pociągiem.

Grabno znajduje się w połowie drogi między Korszami i Kętrzynem. Był wieczór, wiał silny wiatr, kiedy wysiadłem na stacji kolejowej w Tołkinach. Poinformowano mnie, którędy mam przedrałować prawie 5 km, aby dotrzeć do Grabna. Wiatr zaciął, mroził uszy i twarz. Nogi grzęzły w śniegu. Trzymałem się wąskiej drogi, która zaprowadzić mnie miała do celu. Z największym trudem dotarłem tam nocą, klnąc swój los.

Paweł Rogiński był zaskoczony moją wizytą. Zdziwił się, że



miałem odwagę wypuścić się w podróż w tak podłą pogodę. Zanim usłyszał, że stało się to właśnie z uwagi na niego, wyciągnął z komody pękatą butelkę koniaku. Zaznaczył, że to dla rozgrzewki.

Absolwent olsztyńskiej WSR, Paweł Rogiński wykazywał się dużymi osiągnięciami, prowadząc PGR-owski kombinat. Pełen zapału i ambicji, ludowiec - cieszył się znakomitą opinią. Prezesował kołu ZSL, był członkiem ZMW, co nie podobało się PZPR, partia rada była mieć kogoś takiego w swoich szeregach. Uparła się przeciągnąć Pawła na swoją stronę. Podobnych przypadków było zresztą więcej. PZPR nie zamierzała tolerować ludowców w PGR. Zapadła więc decyzja, aby wyprowadzić koła ZSL z siedzib PGR, przenosząc je do sąsiednich wsi. A potem postanowiono, że dyrektorem takiego gospodarstwa może być wyłącznie ten, kto nosi czerwoną legitymację. Nie mając innego wyjścia, Rogiński przyjął legitymację PZPR, rezygnując z członkostwa w ZSL, ale miało to miejsce dopiero później.

W tę mroźną noc musiałem wracać do Olsztyna, Paweł nakazał kierowcy odwieźć mnie do Kętrzyna traktorem na gąsienicach. Jechałem więc kilkanaście kilometrów DT-em. Okazało się tymczasem, że wstrzymane zostało kursowanie pociągów. Wskutek braku miejsca w miejskim hotelu udałem się na nocleg do hotelu robotniczego przy kętrzyńskiej cukrowni.

Pracownicy pili tam na umór. Udało mi się jakoś uwolnić od ich pijackiej gościnności, snu jednakże nie było. Przekimałem resztę nocy. Hotel opuściłem zmęczony i z opuchniętą głową, by jak najszybciej dotrzeć na dworzec PKP. Pociąg w stronę Olsztyna odszedł jednak dopiero przed południem. Bodaj to wtedy, kiedy ślęczałem w chłodzie w poczekalni, powiedziałem sobie, że mam już tego dość.

No i rozstałem się z funkcją instruktora turystyki wiejskiej. Choć tak naprawdę stało się to dlatego, bym mógł zapewnić sobie warunki sprzyjające podjęciu pracy w dziennikarstwie. Uznałem, iż zbliżę się do celu, jeśli podejmę pracę w WK ZSL na stanowisku instruktora - a więc znowu instruktora! - do spraw prasy. I nie myliłem się wcale, gdyż praca ta pozwalała nawiązać kontakty z gazetami regionalnymi i centralnymi, a w pierwszym rządzie ludowcowymi.

Już wcześniej korzystałem z tej współpracy. Zaliczałem się do współpracowników wspomnianego „Głosu Olsztyńskiego” i tamtejszej





*Koledzy z dziennikarki, którzy spotkali się okazjonalnie w Olsztynie. Od lewej: Jerzy Grzybczak, Edward Bonusiak, Mieczysław Kujawa i Roman Wachowiec.*

rozgłośni Polskiego Radia. Jej szefem był znany mi z ZMW Władek Król, ale na co dzień kontaktowałem się z Alfredem Stefańskim, miłym i uczynnym kolegą, który zmarł przedwcześnie, lub z Marianem Świetlikiem. Redakcja PR mieściła się w sąsiedniej willi, co ułatwiało kontakty. Zasiłałem radio krótkimi notatkami informacyjnymi, dotyczącymi przeważnie działalności ZSL, które trafiały do ręki na fale eteru.

Nawiązałem kontakty z Czesławem Pazerą, ówczesnym redaktorem naczelnym „Głosu Olsztyńskiego”. Zaczęło się od zamieszczania rozmówek i felietonów, informacji, na łamach cotygodniowego dodatku „Głos Młodych”. Prócz satysfakcji ważne były pieniądze. Publikacje dotyczące ZMW i LZS wzbogacałem potem o inne zagadnienia młodzieży wiejskiej.

Wkładkę redagował Edward Bonusiak, z którym studiowałem dziennikarstwo, co sprzyjało współpracy. Gdy Edek zginął w wypadku samochodowym pod Ostródą, jadąc po materiał prasowy, zastąpił go Roman Wachowiec, którego także znałem ze studiów. Powinności instruktorskie ułatwiały mi wprowadzenie ZSL-owskiej tematyki do mediów. Pisałem, organizowałem konferencje prasowe, ułatwiałem

dziennikarzom dostęp do działaczy ZSL i materiałów związanych z rolnictwem. Stąd brała się wizyta redaktorów w siedzibie stronnictwa. Zwłaszcza Stanisława Kuchcińskiego, Włodzimierza Mamińskiego i Stanisława Patoły oraz Jerzego Ćwinarowicza, działającego także w ZMW, który awansował potem - będąc redaktorem tygodnika „Nasza Wieś” - na szefa gabinetu I sekretarza KW PZPR. Znałem większość olsztyńskich dziennikarzy, a oni mieli otwarte drzwi do mnie.

Odtąd tematyka stronnictwa często gościła w mediach, podczas gdy przedtem zdarzało się to rzadko. Podwyższało to rangę ZSL. Tym sposobem przełamywałem uprzedzenia i niechęć części aparatu partyjnego do rosnącej siły pozycji sojuszniczego stronnictwa. Zdobywałem przychyłość pracowników prasy wobec ludowców.

Mogę uznać, że nobilitowałem ZSL swoim piórem, także na łamach gazet krajowych, mając ułatwiony dostęp tak do „Dziennika Lu-



*Halina Mierczyńska. Wtedy, kiedy jeszcze była moją narzeczoną.*



Rok 1960. Z Halką na morskim statku spacerowym w drodze na Hel. Później byliśmy w górach. Idąc uroczą Doliną Kościeliską na pamiątkę zrobiłem jej zdjęcie.

dowego”, jak też „Zielonego Sztandaru” i „Orki” oraz tygodnika „Gazeta Chłopska”; ukazującego się w Poznaniu, a poświęconego głównie problematyce Ziemi Zachodnich i Północnych. Stawałem się osobą znaną i rozpoznawalną.

Utrzymywałem nadal kontakty z ZMW, wspierając jego działalność. W Olsztynie funkcjonowało przeszło 40-osobowe koło ZMW, któremu przewodniczył Ryszard Chrzanowski, też dziennikarz, podczas gdy ja byłem zastępcą.

Jednak mieszkąłem ciągle w katakumbach. Nie wypadało zapraszać tam kogokolwiek, gdyż poczułby się źle. Jedynym plusem było to, że kąpiel była całkowicie darmowa.

Przez katakumby przewinęło się kilka znanych mi osób, zwłaszcza z warszawskiego desantu, usiłujących zapuścić tutaj korzenie. Kończyło się to zwykle niepowodzeniem. Młodzi uciekali stąd ze wstydem. Staszek Przywuski wytrzymał najdłużej, bodaj ponad rok, by jednak udać się do Gdańska. Marek Cichoń, kolega ze studiów, gotów zatrudnić się w ZW ZMW udawał ludowca, chociaż należał do PZPR. Spartańskich warunków nie był w stanie znieść dłużej niż parę miesięcy.

Czas dowiódł, iż postąpił rozsądnie, bo Marek zrobił później karierę w warszawskim aparacie PZPR. A nam, czyli Krawieckiemu i mnie, udało się na krótko skusić do przyjazdu Mieczysława Kujawę. Tym razem, żeby nie drażnić partyjnych doktrynerów, będąc ludowcem - Mietek udawał bezpartyjnego młodzieżowca. On też nie zagrzeł dłużej miejsca ma zaklepanym już mu etacie w ZMW. Tak mocno był zde gustowany uciekając stąd, że aż... zostawił w katakumbach prawy but, zabierając ze sobą lewy.

Marek Cichoń - był zgrzywusem - lubił chadzać swoimi ścieżkami. Z wielu dowcipów jego autorstwa, dwa utkwily mi w pamięci. Jeden prawdę mówiąc mocno nas obruszył, bo był niesmaczny. Potrzebując na gwałt pieniędzy, a pochodził on z niezamożnej rodziny na Śląsku, Marek wysłał do mamy list. A że pieniądze nie nadeszły, tym razem wysłał telegram. Poinformował mamę, że gdy będzie czytać zawarte tam słowa, jego „nie będzie już na ziemi”.

Zaniepokojona tym mama wsiadła w pociąg i dotarła do akademika, dopytując co złego mogło się przytrafić synowi. Wyjaśniliśmy, że nie ma powodu do łez i zmartwień, bo Marek wyleciał



*Mama Halinki, Irena Mierczyńska, mieszkała wówczas - będąc nauczycielką - w szkole w Krośnie koło Ornety. U góry: Halka z siostrzeńcem Jarkiem Drożdżem, który jest teraz konsulem RP w Sankt Petersburgu - nad dziką i piękną rzeką Drwęcą. Na dole: jesteśmy - Halina i ja - na stadionie leśnym w Olsztynie.*

właśnie samolotem do Katowic. Kiedy dotarł do niej telegram, on był już w powietrzu, czyli na pokładzie samolotu, a więc poza ziemią. Pojawszy z trudem ów dowcip, mama Marka zakląła siarczyście.

Innym razem, pomny głodowych racji, Marek zdobył się na fantazję, przeznaczając bez mała całe stypendium na zakup szynki, którą spałaszował niemalże za jednym zamachem. Bo - jak tłumaczył - pragnął choć raz w życiu najeść się szynki do syta.

Ale tak się nią obżarł, że przez trzy doby trawił ją z trudem, leżąc półżywy w łóżku.

Zanim wrócił do stolicy, Marek Cichoń zdążył wziąć udział w weselu naszego kolegi Bronisława Banaszczyka. Wesele odbyło się w podolsztyńskiej wiosce, a Marek Cichoń udał się tam ze Staszkiem Przywuskim, przygotowany dobrze do tej imprezy. Uznał że przed nadmiarem alkoholu zabezpieczy się najlepiej, gdy wcześniej wymości żołądek... gęsim tłuszczem. Potwierdziło się to jednak tylko po części. Marek wprawdzie nie spał się na umór, jednak wszczytnął nazbyt odważne dyskusje polityczne, które doprowadzały

niektórych weselników do wściekłości. I dlatego nie dotrwał do końca tego wesela.

Natomiast Broniek Banaszczyk utknął na dobre w Olsztynie. Gdy wraz z Krawieckim ściągnąłem go z Łodzi nad Łynę, zaczął się w katakumbach. Pracę otrzymał w ZW ZMW, gdy mnie już tam nie było by awansować później na funkcję wiceprzewodniczącego. Byliśmy kumplami. Broniek ożenił się z Zosią, córką repatrianta ze wschodu, by tym samym osiąść na stałe w stolicy Warmii i Mazur.

Został redaktorem Polskiego Radia. Z mikrofonem radził sobie zdecydowanie lepiej, aniżeli z piórem.

A mnie, jak wilka, do lasu ciągnęło do zawodu. Im więcej publikowałem, tym bardziej uświadamiałem sobie, że muszę czym prędzej zerwać z polityką i zająć się dziennikarstwem. Zawód ten cenilem z uwagi na luz i większą niż gdzie indziej samodzielność oraz możliwość wykazywania się inicjatywą i osiągnięciami. Na własnej skórze doświadczałem, że o ile w polityce - zwłaszcza na niższym szczeblu - pracuje się zwykle na rzecz kogoś innego, ważniejszego, o tyle w dziennikarstwie wyłącznie na własne konto. Taki układ bardzo mi odpowiadał.



*Bronisław Banaszczyk na dobre utknął w Olsztynie.*

### *Pozostać sobą*

Po blisko dwóch latach pracy w olsztyńskim WK ZSL na etacie instruktora nadarzyła się okazja przejścia do dziennikarstwa, z której skwapliwie skorzystałem, choć oznaczało to dla mnie dużą stratę finansową. Mogłem to uczynić wcześniej, zostając dziennikarzem „Głosu Olsztyńskiego” albo tygodnika „Nasza Wieś”, redagowanego przez



Włodka Mamińskiego, z którym współpracowałem. Postawiono mi jednak warunek: muszę zrezygnować z zielonej legitymacji i przyjąć czerwoną. Ten dyktat odrzuciłem.



*W dyskusji można sobie wiele wyjaśnić. Od lewej: Wiesław Kazberuk, Roland Kiewlicz i Henryk Maziejuk.*

Szef tygodnika ZSL w Poznaniu „Gazeta Chłopska” red. Góreci wystąpił do olsztyńskiego WK ZSL z wnioskiem o utworzenie w stolicy Warmii i Mazur jednoosobowego oddziału terenowego redakcji. Prezes Czesław Sadowski zaproponował mi ten etat. Przyjąłem tę propozycję z zadowoleniem. Za mną obstawał Czesław Szadziwicz, sekretarz WK, a także Henryk Krawiecki. Zraziłem jednakże do siebie Rolanda Kiewlicza, rodowitego wilniuka, żartownisia o ciętym języku, amatora-dziennikarza, który zamieszczał w prasie informacje. Roland liczył, że to jemu, a nie mnie, młokosowi, przypadnie owe wyróżnienie. Gdy się zawiódł, właśnie na mnie spadł jego gniew.

Byli tacy, którzy dziwili się mojej decyzji, uważając, iż postępuję nierozsądnie, pozbawiając się szans politycznych. A do tego - podkreślano - tracę finansowo. Od podjętej decyzji to mnie nie odwiodło.

Jako instruktor, jak pamiętam, zarabiałem prawie 2800 zł miesięcznie, podczas gdy jako dziennikarz zaledwie 950 zł. A więc duża



różnica. Przy tym, żeby otrzymać od redakcji tę zapłatę, zobowiązany byłem wypisywać comiesięcznie za darmo - to jest w ramach obowiązku - 450 zł.

Jeżeli się chciało, można było znacznie więcej dorobić w ramach honorarium. Pod warunkiem oczywiście, iż pojawiać się będą w gazecie materiały ciekawe i wartościowe, dobrze napisane. Co do wymogu ja nie miałem obiekcji, zdając sobie sprawę, że nie brakuje mi ani uporu i pracowitości, ani inicjatywy i umiejętności.

Kręcąc głową, znajomi patrzyli z niedowierzaniem, uważali bowiem, iż postępuję nierozsądnie. Tłumaczyłem cierpliwie, że wprawdzie cena, jaką płacę za wybór zawodu jest wysoka, ale warta ryzyka.

Udowodniłem, że postąpiłem słusznie, gdyż moje zarobki, wliczając wierszówkę, przekroczyły zarobki, z jakimi się rozstałem.

Franciszek Czyż, kadrowiec z Wydawnictwa Prasa ZSL, wydał legitymację ubezpieczeniową i podpisał umowę ze mną. W poznańskiej siedzibie „Gazety Chłopskiej”, którą odtąd odwiedzałem regularnie ustalono zakres moich obowiązków.

Przypisano mi obowiązek przygotowywania w każdym tygodniu jednej kolumny mutacyjnej z Warmii i Mazur. Teksty musiały być moje i współpracowników. Zalecono, żebym wchodził ze swoimi materiałami na inne kolumny gazety, odpowiadał na listy i utrzymywał kontakt z władzami ZSL, oprócz tego zwiększał grono prenumeratorów i zadbał o współpracowników. Jak na jedną osobę - zadań aż nadto.

Powróciłem z Poznania szczęśliwy, jako kierownik oddziału i dziennikarz. Zaopatrzony w legitymację prasową, pieczętkę i plik druków - przystąpiłem do roboty. Zrozumiałem, że stąd i tędy prowadzić będzie moja droga ku temu, bym stał się dziennikarzem... pełną gębą.

Krawiecki przydzielił na potrzeby redakcji „dziuplę” przy schodach na piętrze. Stamtąd - po wykonaniu pilnego zadania - wielokrotnie schodziłem nocą skrzypiącymi schodami katakumb. Czy też gdy świtem wychodziłem oknem stamtąd na dwór i szedłem na stację pociągu, żeby udać się pociągiem do lasu na grzyby pociągiem. Pasji tej, jak nałogu, nie wyzbyłem się dotąd. Lecz czas utracony dla własnych zamiłowań musiałem tak czy inaczej nadrabiać.

Teleks, klekoczący jak stary rower, poprzez który Janka Kuryłowicz słała do redakcji moje pilne teksty, bądź nadchodziły tędy do



*Na konferencji prasowej, gdy byłem redaktorem „Gazety Chłopskiej”. Z prawej: publicysta rolny „Głosu Olsztyńskiego” Stanisław Kuchciński, a obok niego - Julian Mikołajczak, redaktor naczelny tygodnika „Gazeta Chłopska”.*

mnie polecenia, próby i sugestie, stał w sekretariacie prezesa WK. Na- byłem maszynę do pisania marki „Consul”, na której wystukiwałem kolejne strony swoich tekstów czy też pisma urzędowe.

Zachęciłem do współpracy Heńka Krawieckiego, u którego odkryłem zdolności autorskie, jak też Rolanda Kiewlicza, czym go sobie udobruchałem. Pojawił się Stefan Suchorab, z zawodu elektronik, znawca telewizorów, człowiek sumienny i rzetelny, usłużny, który współpracował ze mną w charakterze fotoreportera. Nie zdarzyło się, żebym zawiódł się na nim. Zapłata, jaką otrzymywał za zamieszczone zdjęcia, była licha i nie równoważyła jego wysiłku i umiejętności. Stefana cieszyły jednak publikowane zdjęcia i z tego czerpał satysfakcję.

Jak przystało na „nuworysza”, pisałem dużo i chętnie. Swoimi materiałami, zwykle pod pseudonimem, zasiląłem także inne redak-

cje w tym olsztyńskie, ale w pierwszym rządzie „Dziennik Ludowy” i „Zielony Sztandar”. Jan Szczawiej, dziennikarz i pisarz nurtu chłopskiego, fatygował się parokrotnie do Olsztyna, żeby nakłaniać mnie do zamieszczania reportaży na łamach „Orki”, która z czasem zmieniła nazwę na „Tygodnik Kulturalny”. Napływały dzięki temu pieniądze, a ludzie czytali moje teksty, gratulowali albo polemizowali, co sprawiało mi dużą frajdę.

Lubiłem wyjeżdżać w teren. Spotykać się z ludźmi mądrymi i ciekawymi, a takich wówczas nie brakowało. Jako autor samodzielny i rzutki, nigdy nie narzekałem na brak tematów. Nawiązywałem łatwo kontakty. Zdobywałem zaufanie rozmówców. A do tego miałem dostęp do raportów i sprawozdań, na ogół ukrywanych, ponieważ odchodząc od etatowego udziału w polityce, nie zerwałem z nią całkowicie.

Interesowałem się polityką - co trwało zawsze - i włączałem się w jej poczynania. Zainteresowania te poszerzały moją wiedzę i moje kontakty. Właściwie byłem zawsze homopolitykusem. Łączenie pracy zawodowej z funkcjami społecznymi w polityce wzbogacało mnie i pomagało mi poznawać problemy. Ponadto mogłem wpływać na kształtowanie opinii o zagadnieniach społecznych i gospodarczych. Zwłaszcza dotyczących wsi i rolnictwa. To były sprawy, którymi najbardziej się inte-



*Ceniłem sobie kontakty z władzą. Z prawej: Marian Gotowiec, przewodniczący Prezydium WRN w Olsztynie, z lewej - szef spółdzielczości mleczarskiej na Warmii i Mazurach Jan Bratników, zaś za nim Alfred Stefański, redaktor rozgłośni radiowej PR, a dalej Henryk Maziejuk.*

resowałem, poczuwając się do obowiązku spłacania długu wobec środowiska swego pochodzenia.

Zawsze, co można by uznać za specyfikę, łączyłem - bez uszczerbku dla niej - pracę zawodową z działalnością społeczną i polityczną, widząc wtedy w tym sens. A nie dlatego, jakby ktoś mógł sądzić, żeby mieć argumenty na rzecz laurów i awansu. Z siebie samego dawałem więcej, niż brałem, ponieważ mogłem pozwalać sobie na to.

Jeżeli aktualnie dziennikarze zarzekają się stanowczo, że nie interesują się polityką i są jak najdalej od niej, aby nie ulegać jej wpływom, to kpię z tego przekonania, gdyż zawód ów - czy się tego chce czy nie - wpisany jest w politykę. Rzekoma apolityczność może być wygodna dla tych ludzi mediów, którzy sięgają do ostrych i niewyważonych słów, jakby stawiających ich ponad wszystkim. Lecz czy zwalnia to ich z odpowiedzialności? Nie.

Powinni, jeżeli chcą dobrze dla ludzi i kraju, zdawać sobie sprawę ze skutków, jakie wywołują i czemu służą. Jeśli sami są przekonani co do swej apolityczności, niech raczą uświadomić sobie, komu tak naprawdę służą.

### *W kręgu „Gazety Chłopskiej”*

Poznawałem liczne osoby frapujące, ale też odstręczające, od których dowiadywałem się czegoś interesującego. Ceniłem konfrontację wiedzy ogólnej, nierzadko wypracowanej teorii, z wiedzą praktyczną i doświadczeniami ludzi, które - bardzo często - nie pokrywały się ze sobą. Dowiadywałem się dzięki temu o sprawach, które nie mieściły się w głowie. Zadawały kłam ideologicznym zakłębionym i podręcznikowym opisom, zwłaszcza z zakresu historii.

Starałem się zawsze dorównywać osobom lepszym od siebie. Wtedy były to głównie osoby z kręgu „Gazety Chłopskiej”. Jak Julian Mikołajczak, dziennikarz o zacięciu literackim, człowiek na wskroś prawy, kulturalny i o szerokim horyzoncie zainteresowań, który funkcję redaktora naczelnego tygodnika przejął od J. Góreckiego.

Julian przeniósł się później - zajmując miejsce po Piotrze Zarniku - do Warszawy, w której ja już byłem, by zostać zastępcą redaktora naczelnego PAP. Przejawialiśmy wtedy aktywność na forum ZSL, a

potem w międzyredakcyjnym kole dziennikarzy PSL, które - po przełomie ustrojowym - utworzyłem ze Stanisławem Ozonkiem. Staszek był przedtem kierownikiem działu rolnego „Dziennika Ludowego”. Skupiając ponad 30 osób, koło to wykazywało dużą aktywność i wpływało na kształtowanie opinii.

Nasze losy, Staszka Ozonka i moje, plątały się dziwnie ze sobą na kilku płaszczyznach. Na łamach prasy, gdyż mieliśmy wspólne poniekąd zainteresowania. W Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Zwłaszcza w Klubie Publicystów Rolnych, któremu przez długie lata przewodniczył Mieczysław Róg-Świosnek, redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi”, działacz partyjny o partyzanckim rodowodzie. Staszek był długo sekretarzem tego klubu, ja zaś przez dwie kadencje członkiem zarządu, a potem, gdy funkcję szefa przejął Marcin Makowiecki z „Życia Gospodarczego”, ja byłem jego zastępcą, Staszek był znowu sekretarzem.

Tworzyliśmy również razem, po wprowadzeniu przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego, nowe Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, które przekształciło się następnie w SD RP i dotąd trwa. Obaj - jako ludowcy - znaleźliśmy się w jego prezydium. Ja w charakterze wiceprzewodniczącego, a Staszek Ozonk jako członek. I obaj działaliśmy znowu aktywnie w Klubie Publicystów Rolnych, którym kierowałem przez jedną kadencję. Teraz także - chociaż Ozonk udziela się głównie jako przewodniczący Ogólnopolskiego Związku Byłych Żołnierzy BCh - uczestniczymy w pracy koła PSL, któremu - dla odmiany - on prezesuje. To interesująca postać.

Z grona „Gazety Chłopskiej” pochodzi Józef Mozio, dziennikarz i działacz ruchu ludowego. Moja współpraca z nim trwała bardzo długo, nabrawszy znamion przyjaźni. Józef imponował rzetelnością i uczciwością, sumiennością, spokojem i skromnością, już nie mówiąc o pracowitości i oddaniu się zawodowi oraz rodzinie.

Ilu może być takich, którzy odrzucili bez żalu propozycję awansu na ważną funkcję polityczną, w konsekwencji prowadzącą so Sejmu? Józef Mozio miał taką odwagę. Zdobył się na to. Zrezygnował z szansy pozostania prezesem wielkopolskich ludowców. Cieszył się autorytetem, poważaniem i zaufaniem, więc chyba byłby wybrany na tę prestiżową funkcję. Odmówił. Nie ulegał namowom i naciskom.



*Zimą 1993 r. na placu w Berlinie, gdy z Józefem Moziem (z lewej), redaktorem naczelnym „Tygodnika Ludowego” w Poznaniu, pojechałem na Międzynarodowe Targi Rolne „Grüne Woche”. Z prawej Jerzy Wojciewski, korespondent zagraniczny prasy ludowej.*

częścią, spotykałem więcej ludzi wartościowych. Taką osobą był Kazimierz Markuszewski, sekretarz redakcji, ślący regularnie do mnie teleksy i listy z sugestiami i zaleceniami. Mnie to dyscyplinowało i porządkowało. Mobilizowało. Zosię Zielińską, też pochodzącą ze wsi,

Wolał pozostać sobą. Dziennikarzem, gdyż cenił ten zawód. Uważał, że pozycja zawodowego polityka jest niepewna. Tak było wtenczas, teraz jest podobnie, chociaż trochę inaczej. Pozycja polityka jest chwiejna. Wymaga nazbyt wiele kompromisów i ustępstw. Dwuznacznych układów. Józek podkreślał, że jako dziennikarz czuje się bardziej pewnie i swobodnie, mogąc odnosić się krytycznie do świata zewnętrznego. Będąc w jego sytuacji - niech to nie zabrzmi śmiesznie - postąpiłbym podobnie.

Józek nie jest rodowitym poznaniakiem, ale ma w sobie wszelkie jego cechy. Zaczął nabywać ich już podczas studiów w Poznaniu. Pochodzi z chłopów pod Turkiem. Z poznańska gospodarski i oszczędny, solidny, ceni dyscyplinę i porządek.

W zespole „Gazety Chłopskiej”, czując się jej



znałem ze studiów. Również była związana z tym tygodnikiem. Zosia zakorzeniła się w stolicy, związawszy całe swoje życie zawodowe z prasą ludową. Przede wszystkim z „Zielonym Sztandarem”, w którym była przez jakiś czas zastępcą redaktora naczelnego.

W Poznaniu była Zofia Dohnkowa, miła i sympatyczna, delikatna w słowach i gestach. Typowa poznanianka. Odpowiadała za współpracę z oddziałami terenowymi gazety. Z tego tytułu odwiedzała także Olsztyn. Zachęcała, żebym wysyłał co tydzień lub nawet częściej pociągami do Poznania paczkę świeżego twarogu, brakującego tam, bez którego prawdziwym poznaniakom było trudno się obyć. Zosia rozdelała paczkę między amatorów. Traktowałem to jako koleżeńską pomoc. Mleczarstwo warmińsko-mazurskie, którym zawiadywał Jan Bratnikow, wielokrotny mój rozmówca gazetowy, było wtedy najlepsze w Polsce.

Jednoosobowe oddziały „Gazety Chłopskiej” znajdowały się we wszystkich siedzibach władz wojewódzkich Ziemi Odzyskanych. I tam



*Jubileuszowe tableau „Gazety Chłopskiej”. Szef redakcji Julian Mikołajczak siedzi na traktorze, a ja - w lewym górnym rogu zdjęcia - wszedłem z garścią zboża na grabie, które ciągnie red. Zbigniew Wieczorek z Wrocławia.*

byli nietuzinkowi ludzie. Piotra Gocha, rezydującego w Szczecinie, znałem z okresu studiów. Odpowiadał mi styl jego pisania, barwny i żywy, treściwy, a sam Piotr był zadziorny. Ze Zbyszkiem Wieczorkiem, mieszkającym we Wrocławiu, odpowiadającym za oddział dolnośląski, przyjaźniłem się od początku. Ceniłem go za rozsądek i odwagę. Gdy urodziła się nam córka Elżbieta, a w sklepach brakowało łóżeczek dziecięcych, Zbyszek przysłał mi pociągiem wiklinowe łóżeczko, w którym przedtem spało jego dziecko. Niestety, obaj - Piotrek i Zbyszek, umarli wcześniej.

Władek Majeranowski z Opola, trochę starszy ode mnie, okazał się dobrym organizatorem. Zygmunt Trziszka z Zielonej Góry, mierzący od początku w literaturę, był przedtem - jak ja - działaczem ZMW. Nad Odrę przybył z Wołynia. Stąd brało się jego specyficzne widzenie świata, kresowy język i dowcip. Ruchliwy i skory do gestykulacji. Lubiany. Wysoki i chudy. Jak drągal.

Gdym go poznał, Zygmunt miał już za sobą debiut książkowy. Pisał opowiadania. Jego współpracownikiem był poeta Andrzej Waśkiewicz. Zygmunt stał się cenionym pisarzem chłopskiego nurtu.

Przeniósł się potem, jak wielu, do Warszawy, która nie okazała się wszakże dlań łaskawa. Będąc barwną postacią środowiska literackiego, tułał się po redakcjach. Pisał i drukował dużo, zwłaszcza w LSW, którą kierował Leon Janczak. Zygmunt czuł się aktywną częścią zespołu pisarzy-ludowców. Trzymał się konsekwentnie problemów i języka ludzi z Kresów. Uznawał siebie za ich kontynuatora i reprezentanta.

Im dłużej przychodziło mu być poza ludźmi wychodzącymi się z wołyńskich wiosek, osiadłymi w nadodrzańskich siedzibach, tym bardziej wiaął i tracił werwę. Było mu trudno tę pustkę wypełnić nową treścią.

Gdy znalazłem się w Warszawie, spotykaliśmy się przy różnych okazjach. Zygmunt czuł się rozdarty między dziennikarstwem a pisarstwem. Tracił poczucie humoru, przestając być sobą. Gorzkniał. Jego żart tracił pierwotny blask. Chociaż pragnął tego bardzo, Trziszka nie potrafił przystosować się do nowej rzeczywistości i jej zaakceptować. Rynek w kapitalizmie już nie reflektował na książki, jakie on tworzył. Gdyby Zygmunt pisał kryminały czy też skandalizujące powieści, jak robili to inni, być może byłoby mu łatwiej utrzymać się z pisarstwa.

Czuł się obco, jakby przetrącony. Popadł w kryzys. Załatwiłem mu pisanie i drukowanie powieści w odcinkach, zachęcając do tego Ludwika Kotońskiego, który był wówczas redaktorem naczelnym miesięcznika OSP „Strażak”. Dużych pieniędzy to nie zapewniało, dawało jednak oddech i stabilizację. Zygmunt zapalił się zrazu to tego pomysłu. Pracę rozpoczął z impetem. Wkrótce jednak stracił zapal. Być może było to zadanie poniżej jego ambicji. Odszedł z tego świata po cichu i przedwcześnie.

### *Serwilizm bez granic*

Ceniłem sobie związki z Poznaniem. Jeździłem tam co drugi miesiąc, albo częściej chłonąc oddech prawdziwie europejskiego miasta. Z uwagi na targi międzynarodowe, zaopatrzenie sklepów odbiegało od tego, co oferowała prowincja. Redakcja zapewniała mi wikt i noclegi, a miasto oferowało duży wybór imprez kulturalnych, na które gród nad Łyną, choć ambitny i obrotny, nie mógł sobie pozwolić. Bywałem w teatrze, chodziłem na koncerty i do kina. Powracałem odświeżony i dowartościowany, zaopatrzony w prezenty dla żony.

Przywoziłem modne sweterki i bluzeczki, włóczki wełniane oraz lubiany przez nas obojga materiał lniany na sukienki i garsonki. Halka korzystała z usług dobrej krawcowej, pani Krychowej, która też odnosiła się z lubością do lnianych tkanin. Wychodzące z jej rąk kreacje były gustowne. Paradujące ulicami miasta panie zaczynały Halkę pytając, gdzie ona „to” dostała. Prawdziwym szalem okazał się wiosenny komplet z lnu koloru amarantowego, składający się z garsonki i płaszczku oraz czapeczki.

Oddawałem się z animuszem zawodowi, odkrywając w nim coraz to nowe zalety, ale też wady. Zapal studziły zwłaszcza ograniczenia cenzuralne, które starałem się omijać, dając odbiorcom wiele do myślenia. Przyjąłem z satysfakcją wyniki ankiety, w której czytelnicy „Gazety Chłopskie” uznali publikacje mego autorstwa za jedno z najlepszych. Wtedy zrobiło to na mnie duże wrażenie, później, nawet kiedy wygrywałem takie konkurencje, chociaż w „Zarzewiu”, nie miało to już takiego znaczenia. Była satysfakcja - i to wszystko.



*Mój dziennikarski trud i dorobek był dostrzegany oraz ceniony i nagradzany. Dyplom Nagrody Publicystycznej im. Tomasza Nocznickiego odbieram z rąk Kazimierza Banacha, sekretarza NK ZSL. W środku prezes NK ZSL, marszałek Sejmu Czesław Wycech.*

Z Józefem Mozio, o którym wspominałem, zasiadałem w komisjach problemowych NK ZSL i obsługiwałem imprezy. Uczestniczyliśmy w szkoleniach i naradach. Józek - a było to wcześniej - pomagał mi wydawać - z nocy na dzień - jednodniowe gazetki przeznaczone dla delegatów na zjazd olsztyńskich ludowców. Była to inicjatywa udana, oceniona wysoko, która ani wcześniej, ani później nie była podejmowana.

Po upływie wielu lat, już po zmianie ustroju, kiedy będąc rencistą rozstałem się z redakcją „Perspektyw” - do czego jeszcze powrócę - obaj zasiadaliśmy w Radzie Nadzorczej Spółdzielni Wydawnictwo Ludowe, której prezesował Stanisław Mieńkowski. Byliśmy zmuszani, mając wsparcie jedynie w Zofii Kaczor-Jędrzyckiej, uznanej działaczce Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, przegrywać, oceniając krytycznie poczynania zarządu. Przeciwno nam występo-

wali pozostali członkowie rady, mający nad nami przewagę liczebną. Stawaliśmy w obronie czasopism ludowych, szczególnie „Dziennika Ludowego”, jak też o utrzymanie majątku podległego uprzednio „Wydawnictwu Prasa ZSL”. Wypracowali go dziennikarze prasy ludowej, a którym zainteresowało się wówczas kierownictwo PSL, pragnące zawładnąć nim. I tak też się stało.

Zaszkodziło to nam obu. Zachowaliśmy jednak twarz, a nasz honor też na tym nie ucierpiał. Zawiódł Wincenty Stawarz, wnuk Wincentego Witosa, którego cenilem i považałem gdy był wiceprezesem NKW PSL. Wspierałem go piórem i radą. Stawarz dał się wykorzystać cwaniakom politycznym.

W miejsce utraconej przed laty „Gazety Chłopskiej”, korzystając z pomocy wielkopolskich ludowców, Józef Mozio powołał wraz z kolegami do życia nowe czasopismo pod tytułem „Tygodnik Ludowy”. Józek, będąc naczelnym, przyznał mi połowę skromnego etatu publicysty. Współpracę z nim cenilem tyle z uwagi na niewielkie pieniądze, stanowiące wszakże istotne uzupełnienie małej mojej renty, ile dlatego, że dzięki temu mogłem wciąż uprawiać swój ulubiony zawód.

Tygodnik dokładał wiele wysiłku, aby utrzymać się na trudnym kapitalistycznym rynku prasowym. Padały nawet zasobne polskie pisma, ulegając inwazji zachodniego kapitału, który w ich miejsce tworzył swoje tytuły polskojęzyczne. „Tygodnik Ludowy”, ubogi i skromny, nie był w stanie - pozbawiony dotacji i dużej liczby reklam - oprzeć się złemu losowi.

Gdyby władze PSL chciały pomóc, TL utrzymałby się na rynku. Poza „Zielonym Sztandarem” padły wówczas wszystkie czasopisma ludowcowe. Sedno tej porażki, jak już zauważyłem, da się sprowadzić do tego, że ówczesni ludowcy - w odróżnieniu chociażby od przedwojennych - nie docenili roli i istoty słowa drukowanego, ekscytując się przekazem elektronicznym.

Józef Mozio brał za dobrą monetę pomoc deklarowaną przez Józefa Zycha, podówczas Marszałka Sejmu. Uczestniczyłem w tej rozmowie. Sugerowałem Józskowi, by nie obiecywał sobie za dużo po jego zapewnieniach, ponieważ znaczą niewiele. Moim zdaniem chodziło wyłącznie o mamienie. Studząc zapał Mozia, podkreślałem, że sprawa została już przesądzona. I „Tygodnik Ludowy” padł.

A jak było wcześniej z „Gazetą Chłopską”? Gdyśmy byli młodzi i niepokorni, odważni, spotykała nas przecież podobna przykrość. Na spotkanie z zespołem redakcyjnym przybył wtedy z Warszawy Kazimierz Banach, postać licząca się w kierownictwie NK ZSL. Banach już znał wyrok, jaki zapadł wcześniej, a nas starał się pocieszać. Na otarcie łez zafundował obiad w podpoznańskiej stancy. Była też jeziorna kąpiel, kiedy nieoczekiwanie wyszło sztyło z worka.

Nie przewidując reakcji, Banach ujawnił w zaufaniu, gdyśmy stali w wodzie, że tygodnik zamknięto z braku... papieru, który dla potrzeb ZSL wydzieliał sekretariat KC PZPR. Były to śmieszne ilości tego, co partia rezerwowała dla siebie, szczególnie podległego sobie kombinatu RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Wcześniej wpłynęło do NK ZSL pismo z KC, sygnowane przez jednego z sekretarzy, postulujące potrzebę samoograniczenia papierowego stronnictwa, gdyż PZPR miała kłopoty z jego zabezpieczeniem. Sugestia ta w istocie rzeczy była nakazem.

- I co na to NK? - spytałem Kazimierza Banacha, który odrzekł bez skrępowań:

- Poszliśmy Gomulce na rękę...

- A nie należało podjąć dyskusji, bronić swoich racji? - z oburzeniem wtrącił Józef Mozio.

- Towarzyszom - tłumaczył Banach - nie odmawia się. Gdyby oni natknęli się na nasz opór, stracilibyśmy dużo więcej!

Stojąc w wodzie, natarliśmy ostro na sekretarza K. Banacha, zarzucając mu i kierownictwu NK ZSL serwilizm i tchórzostwo. Zamiast uprzeć się i pilnować swojej prasy - rzucaliśmy argumentami w twarz gościowi - kierownictwo stronnictwa wołało bez żadnego wstydu pogrzebać „Gazetę Chłopską”. Bo to rzekomo niewielka strata. A przecież - argumentowaliśmy - prowadzi to wprost do samozagłady...

Banach, dawny partyzant, nawet szef Komendy Głównej BCh, zaskoczony nieoczekiwaną reprimendą, aż trząsał się z nerwów. Sapał, utrzymując z trudem równowagę, a był to człowiek niewielkiego wzrostu, zwalisty i kulejący. Karciał nas jak niegrzeczne dzieci.

Zajście odbyło się jednak bez konsekwencji. Krytyka musiała niemniej dotknąć mocno K. Banacha, skoro ilekroć spotykaliśmy się później, nie podawał nam ręki.



## VIII. WRASTANIE W WARMIĘ I MAZURY

### *Zawładnęła moim sercem*

Chcąc skończyć z kawalerskim stanem, wygodnym i uciążliwym zarazem, pomyślałem o ożenku i założeniu rodziny. Lecz którą z dziewczyn uznać za kandydatkę na żonę? Serce nie sługa, a los - jak się powiada - bywa często ślepy. Natomiast marzenia i wyobrażenia - zawodne.

Gdy ją poznałem, Hali-  
na Mierczyńska pracowała w  
ZSL w charakterze instruktora.  
Spotkałem ją najpierw w ZMW,  
gdzie działała społecznie. A  
więc, rzecz by można, bratnia  
dusza, biorąc pod uwagę pasję.  
Rzeczywistą przyczyną tego, że  
coś zaiskrzyło między nami było  
oczywiście co innego. Zawróci-  
ła mi głowę ciepłem i wrażliwo-  
ścią, temperamentem i urodą, a  
potem - po prostu - zawładnęła  
moim sercem. Kruczo-czarne,  
kędzierzawe włosy, które lubi-  
łem tak namiętnie przeczesy-  
wać palcami, splatała wtedy w  
grube warkocze sięgające pasa.  
Uśmiechała się uroczo i spoglą-  
dała zalotnie, ale z ukrywaną  
nieśmiałością.



*Pobraliśmy się we wrześniu  
1961 roku.*

Długo spoglądaliśmy na siebie bez słowa. Później puściłem do niej perskie oczko, a ona odpowiedziała mi tym samym, uśmiechając się szczerze.

Była absolwentką, z dyplomem inżyniera rolnika, olsztyńskiej Wyższej Szkoły Rolniczej. Ujął mnie także jej trudny los. Opowiadała o ojcu, który - z zawodu nauczyciel - będąc podporucznikiem WP miał

bronić w 1939 roku Polski na jej wschodnich kresach. Gdy napadli zdradziecko Sowieci, Kazimierz Mierczyński starał się wyprowadzić swój oddział - wedle rozkazu - do Rumunii. Zagarnęli ich radzieccy żołnierze kiedy byli już blisko Zaleszczyk. Osadzili go w obozie i wiosną 1940 roku zbiry NKWD zamordowały w Charkowie strzałem w tył głowy. Zawsze, odkąd pamiętam, Halka rozczulała się nad losem ojca, którego dotkliwie jej brakowało.

Jej matka Irena, też nauczycielka, pracowała w wiejskiej szkółce w Krośnie pod Ornetą na Warmii. Samotna, borykając się z trudami życia, wychowała dwie córki, starszą Halinę i młodszą Zofię, która wtenczas była już żoną Stanisława Drozda, oficera-lotnika.

Zadurzyłem się w Halince niczym sztubak, chociaż zbliżałem się już do 25. roku życia. Gościłem często w Krośnie i w pokoju sublokatorskim u Bałżuków, wynajmowanym przez Halkę i jej serdeczną koleżankę Hanię Wierzbicką, miłą i czupurną, ładną. Mieszkanie znajdowało się w poniemieckiej kamienicy przy ul. Waryńskiego na „Zatorzu”. Gospodarze, Bronisław i Eugenia Bałżukowie zapewniali im spokój i swobodę. Byli to ludzie prości i życzliwi, mający na utrzymaniu dwóch synów, Gienka i Jurka.

Błażuk był zwrotniczym na olsztyńskim węźle PKP, a jego żona portierką w akademiku WSR na Kortowie. Bronisław, zgarnięty podczas łapanki, spędził okupację na przymusowej robocie u bogatego baura w Prusach Wschodnich. Pobyt ów, co mnie zaskakiwało, chwalił sobie, bo - jak podkreślał - „miał co jeść i gdzie spać”. Znajdował ponadto uznanie i skrywaną życzliwość u żony bauera, której mąż walczył na wschodnim froncie. Błażuk nauczył ją, jak ma postępować, żeby podbierać śmietanę z mleka zabieranego przez rząd w ramach wojennego kontyngentu, czy też - bez narażania się na karę - na swoje potrzeby utuczyć w ukryciu świniaka.

- Nie byłbym Polakiem, gdybym nie umiał przechytrzać Niemców! - z dumą zaznaczał Błażuk.

Eugenia była także na przymusowych robotach. Po przejściu frontu, gdy Prusacy uciekali na zachód, oboje postanowili nie wracać do swoich rodzin, osiąść w Olsztynie, gdzie o opuszczone mieszkania było nietrudno. Uznali, iż na to miasto zasłużyli ciężką i darmową pracą u Niemców.

Odtąd każdą okazję spędzałem u Halki, stając się gościem w swoich katakumbach. Trwało to kilka miesięcy. Zachęcałem Halkę, by poznała moją rodzinną Jagodnicę. Już byliśmy po słowie, kiedy odważyła się tam pojechać. Podkreślałem, że musi być przygotowana na to, iż mieszkańcy wsi będą ją oglądać z każdej strony.

I tak było. Gdy wjechaliśmy furmanką do wąskotorówki w Witulinie, spoza płotów i w oknach chałup pojawiały się twarze tych, którzy chcieli zlustrować po swojemu „jaką to kobitkę znalazł nasz Heniek”. Spojrzenia ciekawskich towarzyszyły podczas spacerów i wyjścia do kościoła. Halka znosiła to dzielnie. Polubiła moją małą Jagodnicę.

Przypadła do gustu krewnym. Cioci Paulinie Misiejuk, jej córce Mariannie i zięciowi, a mojemu szwagrowi, Henrykowi Juszcukowi, jak też Maziejukom z Terebeli, memu ojcu chrzestnemu Stanisławowi i cioci Janinie.

Znalazła wspólny język z moją bratową Franciszką i moim bratem Antonim, jak też z sąsiadami. Janka, mego młodszego brata, poznała później. Marianna Koszołkowa, podobnie jak Helena Czerkiesowa, nasze sąsiadki, polubiły ją. Była to zresztą sympatia odwzajemniona. Halka, ludziom ciepła i bliska, wrosła w Jagodnicę jeszcze zanim stała się moją żoną.

Pobraliśmy się we wrześniu 1961 roku. Jak bywało o tej porze na Warmii i Mazurach, dzień był ciepły, świeciło słońce. W roli świadków wystąpili nasi przyjaciele: wspomniana Hania Wierzbicka i Janusz Wieczorkiewicz, zabiegający wtedy o jej względy. Skromne przyjęcie weselne odbyło się w sali, w której miały miejsce zebrania i narady.

Były, jakżeby inaczej, gratulacje, toasty i tańce, a stoły - stosownie do okoliczności i ówczesnej rzeczywistości - zostały zastawione jadłem i butelkami. Patrząc na zdjęcia weselne, jakie porobił nam Stefan Suchorab, trudno ustrzec się przed wzruszeniami. Jakże byliśmy młodzi. Pogodni i ufni co do swej przyszłości!

I jak bardzo, o mój dobry Boże, impreza ta oddaliła się w czasie. Ileż to już lat wspólnie idziemy przez ten świat?

Gdzież podziały się młodzieńcze uniesienia, gdzie werwa i zuchwałość, wiara w siłę ducha i wytrzymałość? Cóż takiego stało się w międzyczasie? Gdybyż chociaż na krótko, choćby przejściowo, udało się powstrzymać szalony upływ czasu i powrócić do lat młodości!...



*Niezapomniane chwile. Nasze wesela. Skromne, ale miłe i radosne. Były tańce (u góry my oboje, Halka i ja). I były żarty, jak tutaj (u góry z prawej), gdy Janusz Wieczorkiewicz i kpt. Stanisław Drozd wciskają prezent*



*na zdjęciu z prawej: rozbawiona Halka, obok niej Hania Wierzbicka, widoczni bokiem Janusz Wieczorkiewicz i ja, a z lewej: Stanisław Drozd i jego żona Zofia, siostra Haliny. U dołu: Młoda Para i jej świadkowie, Hanka Wierzbicka i Janusz Wieczorkiewicz. A na zdjęciu obok stoją przy nas (od lewej): Mieczysław Kujawa, Danuta Bobrzecka, Janusz Wieczorkiewicz, Hania Wierzbicka i Irena Kropiewnicka.*



I wtedy, mimo wszystko, radość mieszała się troskami i smutkiem. Zaboląła nieobecność na weselu moich najbliższych z rodziny. Bo ci z Jagodnicy, Antek i Frania, brat z bratową, nie mogli oddalić się z gospodarstwa nawet na dwa dni. Należało pilnować dzieci, prowadzić pilne roboty polowe, obrządzać inwentarz. Janek zaś, mój młodszy brat, który wtedy mieszkał w Miastku, zapadł się gdzieś głęboko w podberlińskich lasach, odbywają strategiczne ćwiczenia wojskowe. Lecz później, kiedy tylko mógł, ów dobry braciszek w te pędy nas odwiedził!

Dopisała rodzina Halki. Jej mama Irena i siostra Zula z mężem Stanisławem. Staszek? Polubiłem szwagra. Ceniłem go za trud i postawę. Był człowiekiem twardym, ideowym, o jasnych zasadach. Wyrósł na oficera LWP, wybierając dla siebie taką właśnie drogę awansu społecznego. Wywodząc się z podrzeszowskiej biedy, osiągnął zaszczyty w lotnictwie. Zaocznie skończył studia wyższe, nie zatracił społecznej wrażliwości. Zmarł przedwcześnie, pochowany został na śródleśnym cmentarzu żołnierskim pod Poznaniem.

Kiedy były werble i grzmiała salwa honorowa, myślałem z uznaniem o drodze, jaką przeszedł. Jako żołnierz, kwaterował gdzie przypadło. A to w Orniecie, gdzie zlokalizowane było lotnisko wojskowe, a to w Świdwinie i Malborku, potem w Poznaniu, w którym zadomowił się na dobre i gdzie dopadła go śmierć. Zdążył dosłużyć się stopnia pułkownika.

Myśmy swoją rodzinę stwarzali od zera. Przecież jeżeli bieda zesłała się z biedą, to od tego nie mogło być syto i bogato. Przyszło nam dorabiać się wszystkiego - dosłownie wszystkiego - od początku. Od widelca i noża, talerza, pościeli i łóżka, spodni i swetra. Pozbawieni bogatych ciotek i wujków, krewnych za granicą, jak też oszczędności byliśmy skazani na siebie. Zresztą, szczerze mówiąc, wcale i nigdy nie zabiegaliśmy o przysłowiowego złotego cielca. Pewni byliśmy, że jakoś poradzimy sobie. Damy radę i nie zginiemy marnie, mając wykształcenie i ręce zdolne do pracy. I chęć do lepszego życia oraz nadzieję na przyszłość. Z wieloma wprawdzie niewiadomymi, może nawet pułapkami, ale ufni powodzenia.

Optymizm nas nie opuszczał. Spotęgowany zaradnością i szansą na poprawę losu - stał się on siłą napędową naszego postępowania. Pomocną dłoń, jako pierwsi, podali nam koledzy z ZSL. Prezes Czesław Sadowski udostępnił służbowe pomieszczenia do zamieszkania. Był

to niewielki pokój przedzielony przepierzeniem na dwie klitki. Jakoś udało się tam ustawić tapczan, szafę i stolik, które przywędrowały do nas za sprawą kolegów. Na wyposażeniu była też płyta gazowa i był kaloryfer centralnego ogrzewania. I były dwa okna, jedno od zachodu, a drugie od południa.

Ciasno, ale swojsko. Jako tako dawało się tam mieszkać. Co prawda nie da się tego w żaden sposób porównać z tymi warunkami, w jakich obecnie młodzi rozpoczynają samodzielny małżeński byt, lecz były to zupełnie inne czasy. Mogliśmy nawet przyjmować gości, czasem po kilka osób naraz, a ostatecznie również przenocować kogoś na polowym łóżeczku. Złożone czekało zawsze na odpowiednią okoliczność. Bo jak się chce i ma dobre chęci, skłonność do ustępstw, da się znieść nawet niewygodę.

Lecz o dziecku można było jedynie pomarzyć. Odkładaliśmy to na potem. Ponadto bywaliśmy często poza domem. Praca żony sprzedawała się do wyjazdów do powiatów, gmin i wsi, a ja w poszukiwaniu reporterskich tematów także dużo podróżowałem. Zdarzało się tak, że gdy ona przebywała w okolicach Braniewa czy Paślęka albo Morąga, czy też Iławy, ja buszowałem gdzieś pod Piszem, Szczytnem albo Giżyckiem, czyli w innej części Warmii i Mazur.

Nie dałoby się tego pogodzić, gdybyśmy nie mieli do siebie zaufania. Czasem nachodzi refleksja po upływie wielu lat, że kiedy w kraju doszło do zmiany ustroju człowiek zastanawia się i pyta siebie nieraz zgoła serio: a po cóż było u licha tak bardzo się poświęcać? Czy wysiłek ten nie był przesadnie rzetelny, a może nawet zbędny? Może - z czego liczni poczynili sobie potem zasługi - lepiej było kombinować? Tyle, że do objania się i lekceważenia obowiązków trzeba posiadać odpowiednie predyspozycje, których nam obojga brakowało.

Zawsze trafialiśmy jednak - co pozostało nam dotąd - na dobrych sąsiadów. Wtenczas byli nimi Bondyrowie, Henryk i Roma, mający na utrzymaniu dwie córki. Ludzie solidni i spokojni. Życzliwi i uczynni. Nigdy nie doszło między nami do swarów. Bondyrowie udostępniali nam łazienkę i telewizor, zanim nie dorobiliśmy się swego, zapraszali na spotkania.

Henryk był pod Zamościem świadkiem pacyfikowanych przez Niemców wsi i gospodarstw podczas okupacji. Chodziło o partyzan-





*Wszędzie, w każdym powiatowym mieście, mieliśmy przyjaciół i dobrych znajomych. W Działdowie zawsze czekała na nas (z prawej) Krysia Karwacka, rodem ze wsi Pierławki.*

tów, ale głównie o germańskie osadnictwo. Widział jak naziści odbierali siłą rodzicom dzieci przeznaczone na zgermanizowanie, jak Polacy przeciwdziałali temu. I znał prawdę o rozmiarach i charakterze walk partyzantów Batalionów Chłopskich w obronie Zamojszczyzny. Ten czyn zbrojny BCh był przez długi czas, wskutek zaleceń partii, pomniejszany albo przemilczany.

Zdobywszy się na wiele wyrzeczeń, Henryk Bondyra zdobył znacznie wyższe wykształcenie. Zmarł zbyt wcześnie. Jego starsza córka Alina, mając już tytuł doktora nauk, umarła licząc niewiele ponad 40 lat.

### *Pytania bez odpowiedzi*

Po bez mała dwóch latach koczowania w ciasnym pokoju przenieśliśmy się z ulicy Kopernika na ulicę Niepodległości. Stało się tak dlatego, że Stanisław Baraniecki, nasz kolega, urodzony pod Buczaczem na Podolu, został przeniesiony służbowo z żoną Marią i córką Anią do Warszawy, gdzie podjął pracę w NK ZSL. Opróżnione miesz-

kanie przyznano właśnie nam. Jeden spory pokój, osobna kuchnia i korytarz, łazienka, a do tego telefon - o który było wówczas bardzo trudno - i dostęp do piwnicy oraz strychu, gdzie suszyło się pranie. W piwnicy, tuż obok schronu, składowaliśmy węgiel do opalania pieca kaflowego.

Za nami, od strony podwórka, poza wysokim betonowym płotem stały dawne pruskie koszary, a po drugiej stronie ulicy rósł dziki park i w dole szemrząc płynęła Łyna. Ulica opadała w dół i za Łyną było niedaleko do olsztyńskiej starówki, a następnie śródmieścia. I tym razem los obdarzył nas dobrymi sąsiadami, którymi była rodzina Werykowskich.

Miłość i praca, bądź odwrotnie, wypełniały nasze małżeństwo. Były również, jakże by inaczej, rozrywki, wyjścia do kina i teatru, koncerty i zabawy, a także spacerunki i krótkotrwałe wypadki na wieś do znajomych. Jagodnicy poświęcaliśmy zwykle część letniego urlopu. I była też lektura książek oraz gazet i czasopism.

Zaliczam się do osób czytających powoli, ale dokładnie, delektujących się stylem i formą, szczegółami. Żona pochłania książki po wielokroć wracając do niektórych.



*Zwiedzając stację hodowli odmian ziemniaków w Sztyldaku pod Ostródą, otrzymaliśmy kuriozalną bulwę kartofla, którą - na zdjęciu - demonstruje Halinka Maziejuk.*

Najwygodniej mieć interesującą książkę pod ręką, by zawsze można było do niej sięgnąć. Kompletowaliśmy przez lata rodzinny księgozbiór, upychając wybrane pozycje w każdym kącie. Uzbierały się tysiące tomów!

Mam wrodzoną słabość do ludzi. Jestem bowiem „zwierzęciem stadialnym”. Ceniłem sobie - i ciągle cenię - kontakty z interesującymi osobami. Od bar-

dzo dawna przekonałem się, że jeżeli zdobędzie się u kogoś zaufanie i umie wypytać, a przede wszystkim słuchać, cierpliwie i bez uprzedzeń - najwięcej można dowiedzieć się właśnie od ludzi. Tego, czego nie znajdzie się nawet w książkach, o czym milczą podręczniki. Człowiek prosty bywa niekiedy wewnątrz bogatszy i bardziej interesujący od kogoś, kto udaje mędrca a jest przepełniony blichtrzem.

W swoich reporterskich wędrówkach spotykałem ludzi bardzo interesujących, umiejących przekazywać wiedzę i wzbogacać moją wyobraźnię. Z ich skarbcza opowieści i doświadczeń czerpałem pełną garścią. Czasem ta wiedza stawała się tworzywem moich reportaży, a czasem tylko publicystycznych wypowiedzi; wiarygodnych gdyż nie wydumanych. Prawdziwych. Jednak częściej - także z uwagi na cenzurę - wzbogacały jedynie moją wiedzę.

Pozostaję dotąd im wdzięczny. Za to, że - za ich przyzwoleniem - mogłem ich „okradać” z wiedzy, faktów i wydarzeń, opowieści i przeżyć, o których inaczej nigdy bym się nie dowiedział.

Pociągały mnie wtenczas osoby związane z Warmią i Mazurami, które wyraziście wpisały się w walkę o zachowanie ich polskości. Poznałem, nawiązując czasem dłu-



*Odwiedzali nas w Olsztynie moi bracia. u góry: Antek zwiedza stare miasto, a u dołu: Halka z Jankiem na spacerze.*

gotrwałą więź, wielu ludzi. Żałuję, że nie skompletowałem odrębnego zbioru reportaży im poświęconych. Inna sprawa, że zawsze albo znajdowałem się pod naciskiem bieżących powinności dziennikarskich, albo w tamtym okresie książka tego rodzaju nie miałaby prawa znaleźć się w druku. A może reportaże napisane wówczas mogłyby doczekać się lepszych czasów?

Zmieniwszy ustrój państwa, zmieniliśmy także hierarchię wartości i tematów, jak też wybór fragmentów historii i autorytetów; poprzednie zostały przeważnie zgruchotane. Niektóre sprawy z przeszłości, co wymowne, zniknęły całkowicie „z tapety”, jakby stały się bezużyteczne. Bo też kogo interesuje obecnie nieugięta postawa rodowitych Warmiaków i Mazurów sprzeciwiających się germanizacji?

Kto poszukuje teraz prawdy o tragicznych losach ludzi, którym niemieccy naziści zgotowali piekło, a później do tych złych doświadczeń przyłożyli jeszcze rękę radzieccy żołnierze oraz przedstawiciele polskiej władzy ludowej? Obecnie skrzętnie unika się tematów, które szkodziłyby umizgom Polaków wobec Niemców. Jakże miałaby na przykład pisać o tym „Gazeta Olsztyńska”, przejęta przez niemiecki kapitał, która jest spadkobierczynią tradycji gazety o tej samej nazwie, jaką dawniej z wielkim trudem wydawała rodzina Pieniężnych, sprzyjająca obronie i krzewieniu polskości na tych ziemiach?

Pytań, na które brakuje klarownych odpowiedzi, można by postawić więcej. Zapytać chociażby, w imię czego zaniedbuje się pamięć o ludziach, którzy mieli odwagę i siłę trwać przy polskości i wychowywać w tym duchu dzieci? Dlaczego zapomina się o plebiscycie z 1920 roku, jaki miał tu miejsce, a w którym chodziło o przynależność państwową spornych ziem? Nadal żyją tam rodziny, których przodkowie narazili się wówczas pruskiej hakacie, opowiadając się jawnie za Polską. Co sprawia, że nie pamięta się o tradycji polskich szkół na Warmii i Mazurach? O polskich harcerzach i nauczycielach, działaczach Związku Polaków w Niemczech?

Jakie siły sprawiają, że tablice upamiętniające nazwiska i wydarzenia związane z polskością tych ziem znikają z murów albo są zaniedbane? Czyżby tradycja tej części naszego narodu miała się okazać zbędna i nawet szkodliwa, czy też komuś ona nie pasuje?

## *Ja ich znałem*

Natykałem się na ludzi będących świadkami prawdziwej historii, jacy kształtowali ją z własnego wyboru. Spotykałem osoby, których los rzucił podczas wojny, kiedy szukali bezpiecznego schronienia, na moje Podlasie. I nikt tam ich nie wydał hitlerowskim oprawcom.

Bohdan Wilamowski, kiedy go poznałem, działał społecznie w ZSL. Był profesorem WSR, która stała się potem Akademią Rolniczą, a następnie przekształciła w Uniwersytet Warmińsko-Mazurski. Wilamowski specjalizował się w ekonomice rolnictwa i zarządzaniu nim. Awansował na funkcję wiceprezesa WK ZSL. Wzbudzał jednak kontrowersje. Słyszając jego chropawy głos, o śladach wyraźnie niemieckich naleciałości, pośądzano go wskutek niewiedzy o uległość wobec Niemców. Był to tymczasem efekt - typowy dla rodowitych mieszkańców tych ziem - długotrwałego posługiwania się obcym językiem. Wilamowski, rodowity Mazur spod Dziadowa, podlegał bowiem Rzeszy. Podobnie jak Edward Turkowski, rodowity Warmiak spod Olsztyna, też ludowiec, który był także różnie odbierany.

Wilamowski, jak wielu, z uwagi na swe przywiązanie do polskości musiał uciekać z rodzinnej wsi,

by zachować życie. Przedostawszy się na tereny Podlasia Południowego włączył się czynnie w ruch oporu. Zaprzysiężyły go Bataliony Chłopskie. Przez dwa lata, występując pod pseudonimem „Korolewicz” i „Mirek”, był komendantem obwodu BCh w powiecie Biała Podlaska.



*Bohdan Wilamowski (przemawia nad trumną zmarłego działacza ZSL) był rodowitym Mazurem. Z jego prawej strony stoją: Henryk Bondyra i Aleksander Kolańczuk.*





*Nie było przypadkiem, iż zasłużeni obrońcy polskości Warmii i Mazur znaleźli się w ruchu ludowym. Na zdjęciu od lewej: Mirosław Leyk, rodowity Mazur ze Szczytna, prezes WK ZSL Czesław Sadowski, Augustyn Klimek, rodowity Warmiak z podolsztyńskiego Wojnowa, zastępca przewodniczącego Rady Państwa Bolesław Podedworny, Feliks Chabrowski, Ludwik Murowany, Lucjan Dura i Edward Turowski, rodowity Warmiak z Tomaszkowa.*

Na podlasiu w okolicach Siedlec przechował się Mirosław Leyk, rodowity Mazur ze Szczytna, o którym pisałem. Naziści poszukiwali go usilnie, chcąc ukarać śmiercią za aktywną działalność propolską i udział w poczynaniach Związku Polaków w Niemczech, jak też za wspomniany już plebiscyt z 1920 roku oraz pisanie tekstów polskojęzycznych do czasopism. Leyk, ukrywając się pod pseudonimem, był przez podlasiaków szanowany. Obstawiał otwarcie za włączeniem Prus Wschodnich w granice odrodzonej Polski. Niemcy za tę zdradę po raz drugi wydali nań wyrok śmierci.

Gustaw Leyding, leciwy jak Leyk, też był twardym Mazurem ze Szczytna. Leyding, inteligent o skłonnościach literackich, głosił odważnie prawdę o polskich korzeniach rdzennej ludności mazurskiej. Spotykałem się z nim wielokrotnie.

Z kręgu rodowitych Mazurów, także związanych ze Szczytnem, pochodził Walter Późny, pełniący podczas mego pobytu funkcję wice-



przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie. Podobnie, jak - dużo młodszy od nich, także ludowiec - Piecha. Nie przypadkiem Mazurzy stawali się ludowcami, należąc najpierw do PSL, ponieważ w stronnictwie znajdowali wartości i klimat sprzyjające im. Patriotyczne.

Znaliśmy oboje wielu wspaniałych ludzi osiadłych tutaj i stąd pochodzących. Zaczynnych i zasłużonych. Ceniliśmy ich za postawę i poglądy, odpowiadające również naszym przekonaniom. Z kolei oni, zwykle już starsi i boleśnie doświadczeni, ufali nam, wdzięczni za dyskrekcję i zainteresowanie ich sprawami. A uzyskać ich zaufanie nie było łatwo. Byli to bowiem ludzie bardzo ostrożni i mocno wstrzemięźliwi, bo taka ich postawa brała się z przeżyć i trudów, jakich doświadczyli.

Większość z nich, kiedy Polska powróciła na te ziemie, bo nie była ona taką, o jakiej śnili i o którą się modlili, zawiodła się na niej. Polska ta okazała się macochą. Władza ludowa - a to czynnik jedynie dodatkowy - miała im za złe, że poszli za PSL, a nie PPR i potem PZPR.

Byli hardzi i nieustępliwi. Władza uważała też, że są nazbyt przekorni i uparci. A oni mieli wiąż poparcie swoich środowisk oraz uznanie. Zostali tak ukształtowani i ta ich ostrość brała się z doświadczeń. Za sprawą UB trafiali do cel aresztanckich i więziennych, siedząc często po kilka lat. A że byli twardzi i ostrożni - wytrzymali jakoś i upartymi pozostali.

Bogumiła Labusza, którego ojciec - o takim samym imieniu i nazwisku - był założycielem Mazurskiej



*Rodzina Labuszów odegrała kluczową rolę w podtrzymywaniu polskości wśród Mazurów. Senior rodu Bogumił Labusz był współtwórcą Mazurskiej Partii Ludowej. W dowód uznania dla tej rodziny jej imię nadano po wojnie wsi Labuszewo koło Biskupca. Na zdjęciu: Bogumił Labusz, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, z żoną, córką i synem.*

Partii Ludowej na początku XX wieku, odwiedziliśmy parokrotnie. Należał do ZSL, prowadził rodzinne gospodarstwo rolne; właśnie w Labuszewie pod Biskupcem. Labuszowie, mąż i żona, zwracali dużą uwagę na potrzebę kontynuowania patriotyzmu i rodzinnej tradycji. Sztafeta pokoleniowa ciągle zmienia pałeczkę w tej rodzinie. Wnuczka Bogumiła Łabusza, Urszula Paśławska, jest działaczką PSL, pełni funkcję wicemarszałka warmińsko-mazurskiego sejmiku samorządowego. Gdyśmy poznali jej mamę Krystynę, Urszuli... jeszcze nie było na świecie. Urodziła się później, a ja poznałem ją nie tak dawno. Zdążyła w międzyczasie dopracować się wielu zaszczytów.

### *Z ręką na modlitewniku*

Ścisłe więzy złączyły nas z Otylią Grot. Pochodziła z Rożnowa, starej podolsztyńskiej wsi warmińskiej, w której Tesznerowie prowadzili niedużą gospodarkę rolną. Ziemi trzymali się kurczowo, ponieważ Niemcy, a było to regułą, kiedy w grę wchodziła czująca się polską rodzina, radzi byli ich stamtąd wyrugować. Tesznerom udało się wykształcić Otylkę na przedszkolankę. Lecz wcale nie dlatego, żeby zapewnić jej lepsze źródło utrzymania, a po to, by mogła w polskim duchu prowadzić zajęcia z warmińskimi dziećmi.

A że czuła się Polką, została druhną i działaczką Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech. Prowadziła kilka terenowych drużyn ZHP. Twarda w podtrzymywaniu i krzewieniu polskości - narażała się Niemcom, mając rosnące uznanie i poważanie u Warmiaków.

Nazwisko Grot przejęła od męża, który był Kaszebą z Kościerzyny, a przybył na Warmię, żeby zostać nauczycielem w polskiej szkole. Józef Grot znał dobrze język niemiecki i posiadał przygotowanie pedagogiczne do zawodu. Spełniał warunki, jakie stawiali Niemcy w doborze kadr dla takich szkół. Trafił właśnie do Nowej Kaletki, gdzie młoda Tesznerówna była przedszkolanką. Niemcy pisali jego nazwisko z dodatkową literką „t” i „h”, jako Grotth, by tym samym podkreślić, iż płynie w nim germańska krew. Był on tymczasem polskim patriotą.

Za nieuległą postawę zapłacili okrutną cenę. Pobrali się na początku 1939 roku, a na krótko przed napaścią na nasz kraj - niemieccy faszyci, jak w przypadku setek podobnych osób, które miały odwa-

gę sprzeciwiać się germanizacji, pozbawili ich wolności. Osadzili w areszcie, a potem w obozach. Każde z osobna. Grotowie trafili do obozu Hochenbruch koło Królewca, pod zarzutem działania przeciwko niemieckiej Rzeszy. Swoimi sposobami usiłowali Niemcy wymóc na nich wyzbycie się polskości.

Józef Grot, gdyż nie podpisał deklaracji, która oznaczałaby, iż jest Niemcem, dostał się do obozu w Sachsenhausen, gdzie pracował w kamieniołomie. A gdy zabrało się do pracy, został przeniesiony do obozu zagłady w Dachau.

Chorował na gruźlicę. Zginął w komorze gazowej. Zwiedzając długo potem ów obóz miałem w pamięci śmierć Grota, jak też innych Polaków. A jednak obóz nie zrobił na mnie dużego wrażenia, jak w przypadku innych obozów zagłady, gdyż został tak przedstawiony i zaaranżowany dla zwiedzających, jakby był... niemalże sanatorium.

Natomiast żona Grota trafiła do hitlerowskiego obozu zagłady w Ravensbriick, w którym spędziła całą okupację. Była poddawana torturom i zbrodniczym doświadczeniom medycznym. Na szczęście ocalała. Podkreślała, iż przy życiu utrzymywała ją wiara w Polskę.

Kiedy wróciła do domu, matka jej nie poznała, tak bardzo była wycieńczona i zmieniona na twarzy. Kiedy Otylia zorientowała się, że Polska, jaka przyszła na Warmię, nie jest tą, jaka miała być - załamała się kompletnie. Przedtem z pogardą mówili o nich Niemcy, kpiąc z nich bez powodu, teraz zaś sztychli Polacy, nazywając „szwabami” i obwiniając ich za grzechy, jakich oni się nie dopuścili. Napłynęli złodzieje i szabrownicy, którzy płądrowali i kradli, zabierali na wywózkę wszystko, co tylko mogło być przydatne gdzie indziej.

Lata powojenne, o czym i teraz cicho, były bardzo trudne dla rodzinnej ludności. Los ten podzielili również Tesznerowie. Dwaj bracia Otylii, mając w kieszeni polskie modlitewniki, przymusowo w mundurach niemieckiej armii powędrowali podbijać Związek Radziecki. Jeden poległ pod Leningradem, drugi dostał się do niewoli i trafił daleko za Ural. Ten zaś z braci, który za opłatą został wyreklamowany i pilnował gospodarstwa, opuścił przedwcześnie piwnicę, by wyjść na podwórko i powitać wkraczających Rosjan. A ponieważ nie był w stanie - chociaż mówił po polski, tyle że chropawym językiem - dogadać się z „krasnoarmiejcami” - zdzielony został przez

kark kolbą karabinu. Tak mocno, iż o mało nie wyzionął ducha, odczuwając przez długie lata skutki.

Dopiero później los uśmiechnął się do Otylii, kiedy opuszczając ją zaczęły zawiedzenie i zgorzknienie. Podjęła wówczas pracę w kuratorium oświaty, by odpowiadać za przedszkola w regionie. Społecznie udzielała się w ZSL oraz wśród weteranów i bojowników o wolność i demokrację. Była wyróżniana krzyżami zasługi i orderami oraz nagrodami. Uznanie jednak przyszło zbyt późno.

Wspomnę jeszcze krótko, by nie przeciągać tej historii, o rodzinie Jackowskich z podolsztyńskich Jarot. Jackowscy, także rodzimi Warmiacy - a poznałem ich, kiedy pisałem o nich reportaż - również wracali niechętnie do tego, „co było i minęło”. On był strażnikiem - zlokalizowanego blisko wioski - przekaźnika telewizyjnego, a jego żona zajmowała się dziećmi i niedużą gospodarką rolną.

Jackowscy czuli się Polakami. Kiedy powstała możliwość utworzenia w Jarotach, o co zabiegali mieszkańcy, szkoły polskiej - na jej potrzeby oddali jedną izbę swego domu. Tak długo służyła ona potrzebom szkoły, jak było to możliwe. Sami ją ogrzewali i sprząтали. Obejmując niewielką liczbę dzieci, szkoła ta mogłaby - z tego właśnie powodu - zostać zlikwidowana. Chcąc uniknąć takiej sytuacji, mieszkańcy Jarot, jak właśnie Jackowscy, dbali, by zapewnić jej niezbędną liczbę uczniów.

Gdy bywałem tam, sam lub z żoną, rodzina Jackowskich była wciąż liczna. Dzieci urodzone przed wojną, uczące się w tej szkole, zdążyły się już usamodzielnic. Były też dzieci urodzone po wojnie. Bo Jackowska aż 13-krotnie została matką.

Kiedy wybuchła wojna, Jackowskiego wcielono do niemieckiej armii. Poszedł na front przeciwko Polakom, na południe od Nidzicy. Żona nakazała mu - z ręką przyłożoną do polskiego modlitewnika, jak było to praktykowane także w innych rodzinach - by poprzysiągł na Boga, iż nie będzie strzelał do rodaków; że nie będzie ich zabijać. Pomny tej przysięgi, mierzył więc tak, by kula omijała żołnierzy z orzełkiem.

Zachowanie Warmiaków, w mniejszym stopniu Mazurów, zostało zauważone, ponieważ niemieckie dowództwo czym prędzej zluźowało ich, kierując na front zachodni. Zanim Jackowski stanął naprzeciw Francuzów, zatrzymał się na kilka dni w Jarotach.

Żona, obarczona odpowiedzialnością za gromadkę dzieci, okazała się kobietą dzielną i zaradną. Lecz gdy Armia Czerwona weszła z impetem do Prus Wschodnich, zagroziwszy ludności cywilnej, zapadła decyzja o jej ewakuacji w głąb Rzeszy.

W rzeczywistości była to paniczna ucieczka przed „strasznym Iwanem”. Tym większa i nieskładna, że już dotarli złowrogie, lecz prawdziwe, wieści o gwałtach i zemście „sołdatów”. Stalin, co jest faktem mało znanym, wydał zezwolenie, by żołnierze przez tydzień robili, co tylko zapragną na tej ziemi. Ci zaś nie wiedzieli, bo i skąd, że mieszka tam ludność mazurska, związana więzami krwi z Polską i że znajdują się rdzenni Polacy, wywiezieni na przymusowe roboty. Z wielu ust wysłuchiwałem, co wyczyniali rozzuchwaleni i nienawistni, rozwydrzeni czerwonarmiści; czemu niekiedy i trudno było się dziwić.

Dramat nie ominął Jackowskiej. Wedle rozkazu wraz z innymi, zdążyła w stronę Braniewa. Ludzie jechali na furmankach, szli pieszo, ciągnęli byle jakie wózki - jakby mogli i na ile sił mieli uciekali przed frontem. Była zima, doskwierał mróz, padał deszcz, kiedy Jackowska z gromadką dzieci i tobołami zdążyła - przeżywając piekło, które długo potem śniło się jej po nocach - tam, dokąd parli inni. Bała się o dzieci, zagubione i bezradne w tym rozgardiaszu.

Uciekinierzy zostali skierowani na skute lodem wody Zalewu Wiślanego i Bałtyk, którądy dotrzeć mieli do zakotwiczonych statków i łodzi, by popłynąć w rejony północnych Niemiec, czy też zatrzymać się w Elblągu.

Rosjanie zrzucali tymczasem na ludność bomby, ostrzeliwali z broni pokładowej. Rozgrywały się dantejskie sceny. Jedni ginęli od bomb i kul, inni tonęli w lodowatej wodzie, nie znajdując pomocy. Jackowską i jej dzieci szczęśliwie śmierć ominęła. Jednak zmarł najmłodszy synek. Kiedy za-



*Halka z dziećmi Jackowskich w Jarotach.*

chorował, a nie było skąd wziąć mleko czy odpowiednie pożywienie, matka szukała wsparcie u żandarmów. Nadaremnie. Znając byle jak język niemiecki nie była w stanie dogadać się z nimi.

Zdała się na Boga i jego miłosierdzie. Już ani nie była w stanie, ani nie miała chęci uciekać dalej. Przechowali ją nieznanymi, po prostu dobrzy ludzie, a po przejściu morderczego frontu - z dziećmi, na nogach - powróciła do Jarot. Potrzebowała na to aż kilka tygodni.

### *Szli na północ osadnicy*

By zaprezentować jedynie fragmenty ludzi i sprawy, najczęściej pomijane i przemilczane, które wyrwały wpływ na moją wiedzę i poglądy, sięgnę jeszcze do dwóch przypadków.

Jeden dotyczy Jana Czacharowskiego, którego poznałem, kiedy prezesował spółdzielni mleczarskiej w Połowite między Morągiem a Pasłękiem. Jowialny, ofiarny i uspołeczniony, a przy tym dowcipny. Spółdzielnia prowadziła niewielki zakład przetwórczy, zapewniając rolnikom odbiór mleka. Zainteresowały mnie przygody Czacharowskiego, stanowiące nieznaną epizod w historii powojennych stosunków polsko-sowieckich, o których z uwagi na obowiązującą cenzurę nie mogłem napisać w gazecie.

Jan Czacharowski, ludowiec, pełnił funkcję burmistrza Pruskiej Hławki, czy też po prostu Hławki, która przez krótki okres - zanim nie została wytyczona granica - należała do Polski. Jedynie skrywane dokumenty potwierdzają to. Czacharowski, odważny, jako jeden z pierwszych osadników, powołał tam prowizoryczną



*Jan Czacharowski (z lewej) opowiadał mi o wydarzeniach, które zdawały się nieprawdopodobne.*



administrację, stając na jej czele. I poczynił sobie nieźle, sposobiąc miasto do normalnego życia.

Aż dotąd, dopóki zdezelowaną „dekawką” nie wybrał się do Olsztyna na odprawę burmistrzów i starostów z terenu Warmii i Mazur. Gdy wracał „do siebie”, zatrzymał go sowiecki patrol pod zarzutem „nielegalnego przekraczania granicy państwa”.

- Czego tutaj szukasz? - dopytywali radzieccy pogranicznicy. - Czego chcesz, co robisz?

- Jestem burmistrzem Iławki - tłumaczył konsekwentnie pan Jan, podsuwając pogranicznikom pod oczy stosowny dokument. - Muszę być na urzędzie!

Powiedzieli stanowczo, że nie musi już niczego robić, bo jest aresztowany. Cóż takiego stało się w międzyczasie?

Otóż zmieniona została linia graniczna między ZSRR a Polską. Poprowadzono ją tak - bardziej na południe - żeby Iławka, której obecna nazwa brzmi Bagrationowsk, znalazła się po stronie radzieckiej. Wystarczy popatrzeć na mapę, by stwierdzić, że właśnie w tym miejscu granica ma dolne wybrzuszenie w stronę południa, jakkolwiek pomimo to i tak owe miasto - nazwana tak na cześć generała Bagrationowa, poległego w bojach o te ziemie ma wątle zaplecze terenowa, będąc ważnym węzłem kolejowym. Tędy, poprzez pobliskie Bezledy, prowadzi obecnie przejście graniczne łączące Polskę i UE z Kaliningradem, to jest dawnym Królewcem.

- Za tamten incydent należy mi się odszkodowanie - żartował potem Jan Czacharowski.

- Dziękuj Bogu, żeś nie wylądował na Syberii - temperował jego zapędy Stanisław Ciechomski, działacz ludowy z Bartoszcyc, z którym żonę i mnie łączyły bliskie kontakty.

Ciechomski znał tę sprawę. Powiat bartoszycki przylega do regionu bagrationowskiego, w którym Czacharowski usiłował zachować fotel burmistrza. Ciechomski budował w powiecie silną pozycję ZSL, dogadując się komitetem partii, od którego woli tak wiele wówczas zależało. Lecz nawet on, jeżeli za bardzo wychodził do przodu, narażał się na podgryzania i uszczypliwości.

Inni sekretarza powiatowi ZSL, dla przykładu chociażby Jan Rabczyński z Iławy czy Leopold Kołodziejek ze Szczytna, zwłaszcza

Władysław Kubiński z Działdowa i Mirosław Rydelek z Węgorzewa, wykazywali się dużą dbałością o samodzielność stronnictwa ludowego i twardą jego postawę, ale w pierwszym rzędzie byli dobrymi dyplomatami. Robili co mogli, by nie dać się zepchnąć na margines. Było to możliwe także dlatego, że posiadali mocne wsparcie w ludowcach piastujących ważne funkcje w powiatowych radach narodowych. I tak oto, jak pamiętam, Stefan Idzikowski wspierał Kubińskiego, Józef Gołaszewski Rabczyńskiego, Kacper Zimny Leopolda Kołodziejka, a Józef Świgoń Witolda Parzycha w Nowym Mieście Lubawskim.

Byli też i tacy, którzy - obarczeni serwilizmem - nie potrafili lub nie chcieli narażać się partnerom. Lecz także i tacy, co chcieli, ale bali się panicznie. Leon Żur, będący wówczas sekretarzem PK ZSL w Giżycku, drżał na widok Bolesława Patrzalka, zwanego „rybim oczkiem” (gdyż miał czerwone oczy), który był pierwszym sekretarzem KP PZPR. Stosunki łąгодził z dużą wprawą Jan Dragun, rodowity wileńczyk, człowiek mądry i zacny, który - jako jedyny ludowiec na Warmii i Mazurach - przewodniczył Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Partia, chcąc nie chcąc, musiała akceptować tę sytuację.

Lecz gdy zmieniły się czasy, Leon Żur wykazał pełnię swoich możliwości. Występował z inicjatywami, jakie poprzednio musiał w sobie tłumić.

Reguła, jaką podpatrzyłem, była taka: im silniejszą pozycję w powiecie czy gminie miał ZSL, tym trudniej było lekceważyć ludowców. To sprzyjało wzrostowi ich znaczenia. Stronnictwo było tam bardzo użyteczne w rozwiązywaniu lokalnych problemów.

Ich opór często nie wystarczał. Tak na przykład rzecz się miała z wieloma rdzennymi Warmiakami i Mazurami. Zwłaszcza w latach 70. zeszłego wieku. Wtedy Edward Gierek przystał na propozycję RFN, suto opłaconą, pozwalającą na przesiedlenie do Niemiec dziesiątków tysięcy tej ludności. Dramat tego przedsięwzięcia polegał na tym, że wcale nierzadko ludzie ci byli podstępem wypędzani z ojcowizn. Pisali potem do Polski listy pełne żalu i goryczy. Na tym tle dochodziło do podziału w rodzinach. Szczególnie młodzi - tutaj wychowani i mający zaprzyjaźnionych rówieśników - wzbraniali się przed wyjazdem za Łabę.

Znałem wiele takich opowieści. Czytałem listy przepełnione tęsknotą i żalem. Byłem świadkiem dramatów.



*Zawsze pociągali mnie ludzie, od których - zdobywszy ich zaufanie - dowiadywałem się prawdy o życiu. Tak było również w przypadku Adama Hryniewicza ze Stegny pod Pasłękiem, który przywędrował na Powiśle z Wileńszczyzny.*

Karta historii odwróciła się tym razem. Emigrowali chętnie ci, co przedtem nie zdążyli zabrać się z falą uchodźców, a czuli się Niemcami, podczas gdy nierzadko ze łzami w oczach i poczuciem krzywdy czynili to ci, którzy - mimo takich czy innych przykrości - byli związani z Warmią i Mazurami. Zostawiając tutaj bliskich i krewniaków, a z reguły mogiły, odjeżdżali na Zachód, który nie dla wszystkich okazał się wymarzoną krainą.

Los ów spotykał także tych, którzy pochodzili z rodzin zasłużonych w podtrzymywaniu polskości. Tak stało się nawet z bratem Otylii Grot czy też synem Michała Kajki, ludowego poety, barta i działacza mazurskiego, tęskniącego za utraconą Polską. Później zapanowała wokół tej sprawy głucha cisza.

U źródeł tego zdarzenia tkwiły materialne interesy. Znaleźli się bowiem ludzie, wywodzący się czasem z kręgów władzy, innym razem z milicji czy też wymiaru sprawiedliwości, nieuczciwi i zdeprawowani, którzy dorabiali się na ludzkim nieszczęściu. Ofiarami tego procederu byli w pierwszej kolejności rolnicy. Posiadacze atrakcyjnie położonych

domów, zagród i użytków rolnych. Terenów przyległych do jezior i rzek, lasów. Były piaszczyste, więc łatwe do odrolnienia, toteż stanęły tam szybko domki i całe ich kolonie.

Właściciele gruntów, jak ich poprzednicy, przed germańskimi rugami bronili się jak potrafili. Spychani byli przedtem na liche tereny, trudnodostępne, które stały się teraz atrakcyjne i pożądane. Bronili jak twierdzy. O ile jednak poprzednio gnębili ich obcy, tak teraz robili to swoi.

## *Gdzie Krym, a gdzie Książnik*

Tamarę Iwanowską poznałem za pośrednictwem żony. Halka działała wówczas w KGW, będąc wiceprzewodniczącą Rady Wojewódzkiej tej organizacji, a Tamara przewodniczyła KGW w Książniku. To mała, pięknie położona wioska koło Miłakowa, miasteczka, które w czasie wojny ucierpiało podwójnie; zdruzgotane podczas przechodzenia frontu, a potem spalone przez sowieckich żołnierzy. Jeździliśmy tam wielokrotnie. Wieczorny autobus PKS tam właśnie nocował, a wczesnym rankiem wracał do Olsztyna.

Z Tamarą - z domu Malczenko - wiązą się zdarzenia mogące posłużyć za temat do książki. Była dowodem na to, jak bardzo wymieszała się powojenna ludność Warmii i Mazur. Aż z dalekiego Krymu ściągnięta siłą przez hitlerowców na roboty przymusowe do Prus Wschodnich - zetknęła się tutaj z Aleksandrem Iwanowskim. Pracowali ciężko u bogatych bauerów. Na roli i w obejściu, przy inwentarzu i w lesie.

Nie przeszkadzało to w utrwalaniu znajomości, która przerodziła się w miłość, zakończoną małżeństwem. Na przekór temu, co się działo wokół - blisko i daleko - stali się sobie bliscy. Jakkolwiek mówili innymi językami, pochodzili z odmiennych krajów, narodów i grup społecznych.

Rodzina Tamary, noszącej domieszkę krwi tatarskiej, dawniej była - kiedy jeszcze nie rządzili komuniści - bardzo bogata. Mieszkała na Krymie. Z tego okresu pozostawał wystawny dom piętrowy z widokiem na Morze Azowskie i skrawek kiedyś dużej winnicy. Tamara miała brata i dwie siostry, z którymi pod przymusem na długie lata przerwane zostały jakiekolwiek kontakty.

Aleksander pochodził z ubogiej chłopskiej rodziny na północnym Mazowszu. Jakby więc dwa odmienne światy. Miłość przemogła jednakże wszelkie różnice, by zaowocować później czworgiem dzieci.

Kiedy ludność niemiecka, bojąc się nadciągającej Armii Czerwonej, uciekała stąd w popłochu - oni zostali poddając się losowi. Upatrzyli opuszczone gospodarstwo na skraju wioski i założyli tam rodzinę. Przesądziło być może urokliwe położenie.

- Te pagórki porośnięte zbożem i łąkami, wszelakim zielskiem, te jary i sady owocowe, a do tego jezioro pod bokiem, czyli woda - Tamara powtarzała z tęsknotą - przypominają mi pozostawiony Kercz...

Wieś ceniła ją i lubiła. Zdobyła zaufanie, bo chociaż obca, to jednak swoja. Odstąpiła od prawosławia - a jej matką chrzestną była Anna Mietlińska z Morąga, działaczka KGW - na rzecz katolicyzmu, by stanąć w kościele na ślubnym kobiercu i złożyć przed ołtarzem przysięgę małżeńskiej wierności.

I gdy Iwanowscy patrzyli z nadzieją w przyszłość, pojawiły się kłopoty. Bo oto sowieckie władze, nie uznając nowego obywatelstwa, upomniały się o Tamarę, chcąc deportować ją do Związku Radzieckiego. W obronie stanęli mieszkańcy Książnika, pochodzący z różnych stron, by osiąść tutaj na dobre. Kiedy tylko dostrzegali zbliżający się do wsi samochód radzieckiego konsulatu w Gdańsku, ostrzegli natychmiast Tamarę, która uciekała w krzaki lub na pole.

Aktywna i prężna - była wybierana do różnych gremiów przedstawicielskich, stając się liderką Książnika. Prowadziła KGW, działała w ZSL, kierowała amatorskim zespołem teatralnym, który występował w sąsiednich wioskach. Wszędzie było jej pełno. Nie zdołała jednak opanować dobrze języka polskiego, chociaż - będąc już matką - skończyła polską szkołę podstawową.

A kiedy wchodziło w grę załatwienie spraw trudnych, co wiązało się przeważnie z wyjazdami - wieś delegowała Tamarę, pewna, że da sobie radę. Jej nie brakowało zaś ani tupetu, ani odwagi. Odprawiona z urzędu drzwiami, wracała doń oknem, by dopiąć swego. Ponieważ brakowało polskich słów, szczególnie gdy była zdenerwowana, wtrącała słówka rosyjskie albo przechodziła całkowicie na język rosyjski.

Tak czy siak była skuteczna. Czasem pomagały jej medale i odznaki, które - idąc do urzędu - radzieckim zwyczajem przypinała do

piersi. Zadbala też o swoje dzieci, które poumieszczała w olsztyńskich szkołach ponadpodstawowych. Wspierała ją moja żona, która z tytułu pracy w ZSL miała kontakty i znajomości, a była przy tym wrażliwa na los chłopskich dzieci.

Udało się więc Halce poumieszczać w szkołach czwórkę dzieci Tamary i Aleksandra. Najpierw wyfrunęła z Książnika Maria, najstarsza ich córka, która zdobyła maturę. Potem przyszła kolej na Danutę, Gienka i Heńka. Po ukończeniu edukacji, głównie w szkołach zawodowych, przyszło im łatwiej startować w dorosłe życie. Dominując nad mężem, Tamara brała na siebie sprawy trudne i ważne, toteż dzieci właśnie jej najwięcej zawdzięczają. Po matce cechy charakteru przejęła Marysia.

Tamara, czego nie ukrywała, tęskniła za utraconą krainą. Tym bardziej, że z powodów formalnych nie mogła jej odwiedzić. Odnosiła się z żalem do władz radzieckich, które postąpiły brutalnie z jej rodziną. Miały pretensję, że nie podjęła ona walki z niemieckim okupantem, który zajmwszy Krym zakwaterował swoich oficerów w ich kamienicy.

A cóż rodzina mogła uczynić? Powinna - brzmiał zarzut - pozabijać faszystów, otruć czy też spalić dom wraz z nimi. A że tego nie uczyniła - KGB karnie rozesłało rodzinę Tamary po odległych rejonach ZSRR, nie pozostawiając nikogo na miejscu. I jakby nie dość tej kary - władza nałożyła też na członków rodziny zakaz prowadzenia ze sobą korespondencji, to jest „pierepiski”.

Zanim kara została odwołana, minęło wiele lat. W obchodzeniu jej, a lepiej powiedzieć łamaniu, ważną rolę odegrała właśnie Tamara. Zakaz ów nie mógł oczywiście jej obejmować. A że listy pisane do Kercza były bez odpowiedzi, poszukiwała swej rodziny w Związku Radzieckim poprzez PCK. I dzięki temu Tamara zdobyła adresy rodzeństwa, co pozwoliło jej pisać listy do sióstr i brata, skąd odpowiedzi przychodziły do Książnika. Dzięki temu poznała prawdę o ich losie.

Pisząc listy do członków rodziny, Tamara stała się pocztą kontaktową, gdyż odwrotnymi listami informowała, co z kim się dzieje. Inaczej oni nic by nie wiedzieli o sobie.

Najbliżej rodzinnego Kercza - a stało się to po ożenku - zadomowił się brat Tamary, który osiadł - też przecież na Krymie - w Eupatorii. Potem Tamara była parokrotnie na Krymie. Gdy na początku lat 60. ub.



wieku byłem z Halką i olsztyńską grupą ZMW na Krymie, spotkaliśmy się z bratową Tamary. Przekazaliśmy od niej listy i przesyłkę. Ona w ogóle jej nie widziała. Saszę, jej syna, z którym przyjechała do hotelu, obdarowałem letnią koszulką we wzory, zaś Halka wręczyła jego matce sweterek.

Dopiero po zelżeniu stosunków w ZSRR, Tamara Iwanowska odwiedziła siostrę Irinę, która trafiła na Syberię, gdzie znalazła męża i zbudowała własny domek. Wtedy bez przeszkód mogli również kursować listy.

Wspominam to z niedowierzaniem. Synowie Iwanowskich, Eugeniusz i Henryk, zdążyli pozakładać rodziny, co wcześniej uczyniły Danuta i Maria. Z pomocą rodziców, którzy na starość przenieśli się do Pruszkowa pod Warszawą, synowie zbudowali tam bliźniak. Tamara i Aleksander zamieszkali obok. Najpierw zmarła Tamara, później Aleksander. Spoczęli na pruszkowskim cmentarzu.

Pogrzeb Tamary, wedle jej życzeń, był ekumeniczny. Oprócz księży katolickich, przy trumnie stanęli prawosławni duchowni, by wspólnie celebrować mszę pogrzebową. Bo tak naprawdę - czego nie ukrywała - Tamara nie wyrzekła się nigdy prawosławnych korzeni.

I nie mogła oczywiście przewidzieć, że los dopisze zaskakujący ciąg dalszy rodziny. Bo oto wnuk Tamary i Aleksandra, Jarosław, syn Marii i Jana Kurowickich, po ukończeniu wyższych studiów wyjechał do USA, gdzie ożenił się z Polką. A do ich urodzivej wnuczki, córki Gienka, przylgnęło egzotyczne określenie: „Japoneczka”. Bo też odezwała się w jej osobie tatarska krew.



*Tamara Iwanowska  
(u góry) i jej córka Maria.*

## IX. ZNOWU W STOLICY

### *Narodziny Eli*

Bardzo oczekiwaliśmy tego dziecka. Halka cały okres ciąży czuła się dobrze, wolna od jakichkolwiek zagrożeń. Pracując niemal do ostatniego dnia przed rozwiązaniem, tłukła się po bezdrożach Warmii i Mazur, nie chcąc skracać urlopu macierzyńskiego. Obsługiwała zebrania, brała udział w szkoleniach i naradach, interweniowała u władz w sprawach, które były jej zgłoszone. Nasze kontakty towarzyskie też trwały nieprzerwanie. Cięża miała potrwać do początków marca, tymczasem bóle pojawiły się wieczorem 23 lutego 1966r.

Halka uparła się stanowczo, że obejrzy do końca kolejny odcinek popularnego serialu telewizyjnego „Doktor Kildare”. Kiedy podjechała pod dom taksówka, ledwie zdążyła przygotować się do szpitala porodowego. W samochodzie bóle przybrały na sile i stały się częstsze, niepokojąc zarówno nas, jak i kierowcę, który - zgodnie z prośbą - jechał powoli, a samochód i tak podskakiwał na bruku, denerwując żonę. Kierowca obawiał się tego, co i my, czyli porodu w drodze.

Szpital znajdował się blisko lasu nad Łyną, należało więc przejechać przez całe miasto, żeby się tam dostać. Zdążyliśmy w samą porę. Jedyne zdążyłem ucałować, a już żonę zabrała pielęgniarka. Poprosiłem położną, by poinformowała telefonicznie, kiedy będzie już po wszystkim. Wraciałem piechotą. Był lekki mróz, padał drobny śnieg. Szedłem niespiesznie, niepewny, co się urodzi, chłopak czy dziewczynka? Odrzucałem od siebie wszelkie złe myśli.

Ledwie wróciłem do domu i zaparzyłem herbatę, gdy odezwał się telefon:

- Jest pan ojcem! - usłyszałem. - Ma pan piękną córeczkę. Gratuluję!

Podziękowałem drżącym głosem. Spytałem:

- Jak czuje się żona?

- Normalnie - padła odpowiedź. Poród odbył się zgodnie z oczekiwaniami. Żona jest zmęczona, ale wkrótce wróci do siebie. Kiedy rodziła, raz po raz wzywała po imieniu pańskiej pomocy. Pewnie mocno się kochacie...

To było cudowne! Gotów byłem pędzić na skrzydłach do szpitala, żeby czym prędzej ujrzeć nasze dziecko, co oczywiście było nierealne. Dopiero po trzech dniach znalazłem się w szpitalu - bez kwiatów, których wtedy niewolno było wносить na porodówkę. Przez szybę zobaczyłem nasze maleństwo. Żona trzymała ją w pieluszkach, przytuloną do piersi. Wtedy spotkał się po raz pierwszy nasz wzrok.

Gdy córeczka wróciła do domu, uparłem się wziąć ją na ramiona. Drżały mi ze szczęścia i wzruszenia, jak też z obawy, by jej nie upuścić czy też nie skrzywdzić w inny sposób. Na powitanie córki i mamy wysprzątałem kuchnię i pokój. Napaliłem w piecu, żeby było ciepło, a na stole ustawiłem dzban z kwiatami. Radość zagościła również na twarzy Halki.

Były gratulacje od przyjaciół i osób bliskich. Życzyli nam jak najlepiej, oferując swoją pomoc. Udzielali porad, dzielili się swoimi doświadczeniami. Młodzi tłumaczyli, żebyśmy nie

przejmowali się zanadto, a postępowali rozsądnie i racjonalnie. Najwięcej pomogła nam jednak pani doktor Jadwiga Kołodziejczyk, pracująca w przychodni małego dziecka w starym ratuszu. Była to osoba niezmiernie oddana dzieciom, miła i czuła.

Maleńka Ela wiele zmieniła w naszym małżeństwie. Pojawiła się dzięki Bogu bez skazy na ciełe i umyśle. Szybko rosła i rozwijała się, a my tę różnicę postrzegaliśmy bez mała z dnia na dzień. Jak tylko mogliśmy, obdarzaliśmy córeczkę opieką i miłością. A czas upływał bez wstrząsów. Pamiętam jak bardzo byliśmy wzruszeni, kiedy na jej twarzy poczuł się uśmiech, grymas radości i niezadowolenia. Przyszło też gaworzenie. To cudowne obserwować stany emocjonalne swego dziecka! Jego przywiązanie do rodziców, demonstrowanie uczuć i



*Ela urodziła się 24 lutego 1966 r. PRL obchodziła tego roku Tysiąclecie Polski.*



*Matczyne ręce! Ileż trudu, odpowiedzialności, wytrwałości i odwagi spoczywa na nich w toku pielęgnacji i wychowania dzieci! Zda się jeszcze niedawno Halka troszczyła się o naszą Elę (zdjęcie górne), a tu już (zdjęcie środkowe) przyszło jej troszczyć się o wnuczkę Irenkę, córkę Eli i Irka Łuszczewskich. I te same ręce, już mocni spracowane, ale wciąż sprawne i równie odpowiedzialne (zdjęcie dolne) trzymają Irenkę. Zatem - od becika do becika?*

miłości. Ustawiczne wzrastanie i wewnętrzne wzbogacanie. Tego nie sposób niczym zastąpić!

Patrząc na Elę, próbowałem powrócić w myślach do swego dzieciństwa, które upływało w całkowicie odmiennych warunkach. Przed oczami stanęli moi rodzice, Bronisława i Franciszek, którzy pewnie z podobną miłością, jednakże w ubóstwie i zacofaniu troszczyli się o nas, trzech swych synów. Jakaż to wielka strata, iż nie doczekali wnucząt, z których niewątpliwie byliby radzi, jak teraz my z naszych.

Antkowi i Franciszce Maziejukom urodziły się dwie córki i syn - Marianna i Urszula oraz Zbyszek. Ta trójka dochowała się swoich dzieci, którymi oni oboje, Antek i Frania, rozkoszowali się jako swoimi wnuczkami. Janek z Aliną Maziejukowie mają dwóch synów. Oni też cieszą się niepomniernie ze swoich trzech wnuków. My - ja z Halką - mamy dwoje wnucząt,

Mikołaja i Irenkę, które na dobre zawładnęły naszymi sercami. A oni, moi rodzice, o których niezmiennie pamiętam, nie doczekali tego szczęścia.

Na same wspomnienia cisną się do oczu łzy. W podobny ton refleksji popadła Halka:

- A może oni - także przecież i mój ojciec, którego zamordowali bolszewicy - widzą swe wnuczęta i roztaczają nad nimi opiekę?

- Chciałbym bardzo, żeby tak było - mówiłem.

Upłynęło wiele czasu, gdyśmy - z dużą przykrością i pretensją - uświadomili sobie, iż popełniliśmy kardynalny błąd poprzestając na jednym dziecku. Błąd, którego należało uniknąć. Bo też zdawało się nam fałszywie, że żyjąc skromnie nie będziemy w stanie zapewnić warunki bytowe chociażby dla dwojga dzieci. A to - co zrozumieliśmy za późno - było złudzenie. Niestety, ulegliśmy egoizmowi.

- Gdybyśmy mieli dwoje czy nawet troje dzieci - zauważyła Halka - też jakoś dalibyśmy sobie radę. A ileż więcej byłoby radości!

Wnucząt też byłoby więcej. Więcej miłości i radości, satysfakcji i nadziei na przyszłość. Zapewne Irenka i Mikołaj, które mocno kochamy, cieszyliby się ze swoich ciotek i wujków...

Mikołaj i Irena wyzwalają wspomnienia dotyczące ich mamy. Pod wieloma względami, gdy chodzi o charakter i urodę, Irena przypomina Elę z okresu, kiedy była dzieckiem. Mikołaj jest natomiast wierną kopią Irka, swego ojca. Czy odziedziczy po nim również zainteresowania?

Zdarzyło się kiedyś, że Elunia, jak ją nazywaliśmy, parsknęła buzią wypełnioną białym twarogiem. Opryskała Halkę. A to dlatego, że nie była w stanie przełknąć twarogu, który albo się jej nie spodobał, albo nie smakował.

- Niech doda pani do twarogu przecier pomidorowy lub barwny sok owocowy. bądź dżem, wtedy córka zmieni gust - podpowiedziała pani Kołodziejczyk. Jej rada okazała się niezawodna.

Nad wnuczętami rozczulamy się bardziej anizeli w młodości nad Elą. Najważniejsze jednak jest to, że one są blisko nas. Jak na nasz podeszły wiek, przyszły na świat późno. Jesteśmy wdzięczni Bogu, że obdarzył nas nimi, Czymże byłoby też nich nasze życie? Smutne i egoistyczne. Puste i bezbarwne.

Gdy Irena, spędzając u nas co drugi weekend, wyjeżdża do swego domu w Magdalence, powstaje pustka. Nagle brakuje gwaru i zamieszania, nawet płaczu. I tysiąca najróżniejszych pytań. I jej miłości do nas oraz... kotów, które ona uwielbia; tak samo zresztą jak Mikołaj, bo obydwójce lubią zwierzęta. Czeka ją tutaj na jej powrót zatroskane zabawki, z którymi tak bardzo lubi przebywać.

Mikołaj bywa u nas rzadziej, zajęty pobyt w szkole, lecz gdy odjedzie, też pozostawia po sobie pustkę. Wyczekujemy cierpliwie dnia i godziny - chociaż jesteśmy starzy i opieka nad dziećmi sprawia nam niemało kłopotu - kiedy Bulikowie, Mirka i Waldemar, a według Irenki „Nypcia” i „Aguś” - przywiozą ją nam znowu. Miło usłyszeć już na korytarzu jej słodki głos.

Chrzest Eli odbył się w gotyckiej katedrze na olsztyńskiej Starówce. Przybyli goście z Jagodnicy, Antek z Franią. Był Janek, mój młodszy brat, mieszkający wówczas w Miastku, który wcześniej i potem dbał, ku naszej satysfakcji, byśmy się spotykali. Janek, będąc wówczas kierownicą „stara”, rozwoził po całym kraju skórzaną odzież i rękawiczki, wyrabiane w miasteczkiej fabryce.

W zorganizowaniu przyjęcia pomagała nam mama Hali, Irena Mieczynska, podówczas jeszcze czynna nauczycielka. Zaangażowała się w pomoc Wanda Wójcik, z którą byliśmy blisko związani. Wandzia bardzo lubiła Elę, wykazując się dużą dbałością i odpowiedzialnością. Odegrała ważną rolę w chowaniu naszej córki.



*To oni, Irena Kropiewnicka i Antoni Maziejuk, trzymali do chrztu naszą Elżbietkę.*

Ojcem chrzestnym Eli był Antoni, mój starszy brat, a matką chrzestną Irena Kropiewnicka, nasza przyjaciółka z Olsztyna, pochodząca ze wsi Radule pod Białymstokiem. Jako drugie - na cześć mamy - Ela otrzymała imię Halina.

Tak więc, jakby tego nie określać, nasz związek z Warmią i z Mazurami, które wspominam z roz-



rzewniem, wzmocniony został narodzinami i dzieciństwem córki Elżbiety. Znalazła się ona w rejestrze - po raz pierwszy w swoim życiu - mieszkańców stolicy tego regionu.

Mikołaj i Irena urodzili się w Warszawie. Ich chrzest odbywał się jednocześnie w podwarszawskiej Magdalence w czerwcu 2006 roku. W tamtejszym kościele, małym, lecz urokliwym, pełnym śpiewu i muzyki.

Uznaliśmy zgodnie, że żona weźmie dla dobra Eli długi bezpłatny urlop macierzyński, żeby opiekować się córką, dopóki okaże się to możliwe ze względów finansowych. Zajęło to pięć lat z górą. I tyle

samo trwała rozłąka Halki z pracą zawodową. A po, mimo wszystko było to możliwe przy tylko jednej pensji.

Z tym, że ja, odciążony przez żonę z większości obowiązków domowych, mogłem pozwolić sobie - za co jestem jej wdzięczny - na efektywną pracę. Nie zawężyło to moich powinności w opiece nad dzieckiem. Całkowite poświęcenie się Halki macierzyńskim obowiązkom wpłynęło zbawiennie na rozwój fizyczny, umysłowy i emocjonalny naszej córki. Nie mówiąc już o rozwoju zdrowotnym - szeroko pojętym - dzięki czemu nie mieliśmy z Elą większych problemów.



*Pierwszą część swego dzieciństwa Ela spędziła nad Łyną. Z wysokości ramion (u góry, po lewej) oglądała tę urodziwą rzekę. W bliskim jej sąsiedztwie (zdjęcie prawe) uczyła się też chodzić. Choć wtedy najpewniej czuła się w objęciach mamy.*

Bo też nic nie jest w stanie zastąpić matki w jej roli. W efekcie Ela okazała się osobą zdolną, rozbudzoną intelektualnie, z bogatą wyobraźnią i poczuciem odpowiedzialności za swoje czyny. Inna sprawa, że na jej rozwój duży wpływ miała także teściowa Irena Mierczyńska, która po przejściu na emeryturę zamieszkała z nami, zajmując się wnuczką chętnie i długo. Po niej odziedziczyła Ela także zdolności lingwistyczne, których ja zostałem całkowicie pozbawiony. Ela opanowała język angielski w stopniu dorównującym rodowitym Anglikom.

Już jako matka swoich dzieci, Mikołaja i Ireny Elżbieta, doceniła i zrozumiała troskę swej mamy, gdyż doświadczyła czym to zaowocowało. A ja? Choć jestem świadomy wyrazistej różnicy między tym, co było wtenczas, a jest obecnie, bo przecież zmienił się ustrój, przypominam jej do znudzenia, by pamiętała, iż w matczynej miłości - także opiece - nikt jej nie wyręczy. I że to, co odbywa się we wzbogacaniu duchowym i rozwoju dzieci przemija bardzo szybko i na zawsze. Nieodwracalnie. Bo w żaden sposób nie da się powracać do chwil, które stopniowo czynią dziecko osobą dorosłą. A może niepotrzebnie o tym - jako dziadek - przypominam? Ela, tak samo jak Irek, kocha swe dzieci ponad wszystko i jest to bezcenne.

Sam, doceniając poświęcenie żony, mogłem bez uszczerbku zajmować się dziennikarstwem, pewny, iż ona niczego nie zaniedba. Zarabkowałem na utrzymanie rodziny i pilnowałem ojcowskich powinności.

### *Zakorzeniony w terenie*

Po zlikwidowaniu „Gazety Chłopskiej” zostałem korespondentem terenowym „Dziennika Ludowego”. Zakres mego działania pozostał bez zmian. Jakbym jednak awansował, zamieniając tygodnik o charakterze lokalnym na dziennik ogólnopolski. Nominację odebrałem z rąk redaktora naczelnego DL Stanisława Cieślaka, którego znałem z okresu studiów, gdyż opiekował się naszym kołem ZSL.

Zauważył, że powinienem docenić tę zmianę, gdyż DL stwarza mi warunki wszechstronnego rozwoju i wypłynięcia na szerokie wody. A czy skorzystam z tej szansy, czy też nie - tłumaczył - będzie zależało wyłącznie ode mnie. Zdawałem sobie z tego sprawę. Wiedziałem, że muszę zwiększyć aktywności i operatywność, wykazując się dużą samodzielnością.

Odtąd wyjeżdżałem do Warszawy częściej aniżeli przedtem do Poznania. Moim bezpośrednim przełożonym został red. Jerzy Szlągiewicz, człowiek godny zaufania, miłośnik sztucera i dwururki, co mnie nie mogło się podobać, ponieważ nie cenilem - mając ekologiczne podejście do przyrody - myśliwych. Był to człowiek pracowity i przedsiębiorczy. W obowiązkach wyręczała go czasem jego żona Olga Terlecka. Zlecenia, telefoniczne lub listowne - wprost od Józefa Głogowskiego, będącego sekretarzem redakcji.

Cenilem Józka. Za sprawność dziennikarską, język i styl. Pisał żywo, lekko i obrazowo. Cenilem go również za bezpośredni sposób bycia i barwną konwersację oraz giętką złośliwość. Był mądry i wyrozumiały. Jeden z najbardziej wyrazistych ludzi, jakich poznałem. Byli tam także inni, których wspominam z sym-



*Halka bez reszty poświęciła się naszej córce. W wychowaniu Eli była bardzo pomocna Wanda Wójcik, dotąd mieszkająca w Olsztynie.*

patią, ale też ci, co nie zasłużyli na dobrą ocenę. Głównie byli to zresztą redaktorzy z partyjnego nadania. A zespół liczył przeszło 60 osób.

Najżywsze - także koleżeńskie - kontakty utrzymywałem z Michałem Kierczyńskim. Miał zwyczaj pracować nocą w redakcji, pełniąc dyżur w drukarni. Mieściła się ona w Al. Jerozolimskich i należała kiedyś do Stanisława Mikołajczyka. Po przemianach ustrojowych, kiedy ludowcom zabrakło wizji i przedsiębiorczości, teren ów - należący formalnie do LSW - sprzedany za nieduże pieniądze trafił w ręce bogatego Turka, który zbudował w tym miejscu brzydki wieżowiec.

Michał prezentował typ niepokornego i niespokojnego dziennikarza. Preferował, co dla codziennej gazety jest ważne, krótkie formy: informacje, felietoniki, rozmówki i wypowiedzi. Poszukiwał sensacji.

Pilnował, by tytuły były krótkie i komunikatywne. Cieszył się niepomniernie, kiedy udawało mu się przechytrzyć cenzurę. Był przy tym porywczy i niecierpliwy. Palił papieros za papierosem; aż do tego stopnia, że prześmiardł nikotyną...

I mnie nie dawał spokoju. Dzwonił w dzień i w nocy. Naciskał, bym przysłał jak najszybciej taki czy inny materiał. Zlecał mi tematy. Zmuszał do aktywności.

- Mam dziurę w gazecie - wykrzykiwał. - Potrzebuję pilnie informację do druku, krótką i ciekawą, którą już jutro będziesz miał w gazecie. Dawaj ją od razu na telefon. Natychmiast!

Zaskakiwał swoją natarczywością. Innym razem, aby nie dać się zaskoczyć, zawnazasu coś mu przygotowywałem. Jeśli z jego poręki trafiło coś zauważalnego na łamy DL, miał dużą satysfakcję. Polubiłem go za tę nadaktywność, która udzieliła się z czasem także mnie. Zadbalem dlatego o sieć swoich informatorów terenowych, zasilających mnie porządnymi materiałami. Czasem wystarczyło tylko posłuchać uważnie ludzi, wypytać ich o to czy tamto, coś podejrzeć, przeczytać jakieś półjawne opracowanie, a innym razem być na naradzie, w sądzie czy na dworcu, żeby wysupłać ciekawą i świeżą informację. Zależało wiele od znajomości i sprytu.

Informacja w gazecie codziennej to chleb powszedni dla czytelników, a masłem jest dobra publicystyka. Pamiętając o tej zasadzie dbałem, by jak najwięcej moich krótkich tekstów trafiało na łamy DL, ale nie rezygnowałem także z reportaży, tekstów publicystycznych i rozmów. Zależało mi również i na tym, żeby zyskiwać uznanie w swoim środowisku zawodowym, które ocenia chętnie poszczególne pozycje; by wyrazić uznanie czy też krytykę.

Zdarzyło się tak, że to ja - prowincjonalny dziennikarz - pobiłem któregoś miesiąca rekord zamieszczonych materiałów. Uzbierało się wówczas aż 37 pozycji: informacji, reportaży, artykułów publicystycznych, wypowiedzi, a nawet zdjęć. Wywołało to małą sensację. W „pobitym polu” znaleźli się dwaj dziennikarze działu zagranicznego, Kazimierz Baranowski i Mieczysław Owczarczyk.

Choć tkwiłem w głębokim terenie, a może właśnie dlatego, byłem dostrzegany i doceniany. Czy byłoby podobnie, gdybym po studiach osiadł w Lublinie czy też Wrocławiu, albo na przykład w Białej Podla-



*Nigdy, na szczęście, nie byliśmy sami. Odwiedzali nas krewni i przyjaciele. Tym razem - na zdjęciu - byli to Maziejukowie z Jagodnicy, Frania i Antek, który trzyma na plecach swoją córkę - Urszulę. Stailiśmy przed ścianą naszego olsztyńskiego mieszkania.*

skieję? Lubiłem - wypada to podkreślić - swoją pracę. Umiałem dobrze ją organizować, dbałem o samodyscyplinę. Było to uznawane, tak na miejscu, jak i w stolicy.

Poczułem się zakorzeniony na Warmii i Mazurach. Wiele wskazywało, że zostanę tutaj na zawsze. Z taką myślą zostałem członkiem olsztyńskiej spółdzielni mieszkaniowej „Pojezierze”. Wyglądało, że w nieodległym czasie otrzymamy klucze do własnego mieszkania. Jeżeli jednak coś mnie zastanawiało, to niepewność przyszłości. Cóż pocznę - zastanawiałem się serio - jeśli z jakichś powodów stracę pracę w prasie ludowej? Co będzie, gdy padnie „Dziennik Ludowy”?

Wątpliwości dotyczyły też Eli. Zapadała często na infekcje górnych dróg oddechowych. Była obawa, że może osłabić to jej serce. Należało ją zahartować. Z tą myślą wyjeżdżaliśmy w góry i nad morze. Najlepiej byłoby - sugerowała nam doktor J. Kołodziejczyk - zamienić





Jagodnica pociąga nas niezmiernie. Janek, mój brat, odwiedził Antka i Franię Maziejuków, kiedy urodziło się im trzecie dziecko. Na zdjęciu górnym od lewej: Frania trzymająca Urszulę, Janek i Antek. Przed nimi stoją Marysia i Zbyszek. Tymczasem Halina z Godlewskich, stojąca (zdjęcie dolne) z Marysią, która razem trzymaliśmy do chrztu, rozstała się z Jagodnicą po wyjściu za mąż do Hruda, a po jej rodzinnej zagrodzie, sąsiadującej z naszą - nie pozostał nawet ślad.



klimat stałego pobytu na bardziej suchy, gdyż tutaj jest za dużo wilgoci. Inaczej - mówiła - będą ustawiczne kłopoty. A gdyby tak przenieść się do Lublina czy nawet Warszawy? Jesteście po studiach, macie więc duże możliwości zdobycia tam pracy.

Konieczność sprecyzowania odpowiedzi pojawiła się wcześniej, niż można było oczekiwać. Bo oto pod koniec lata 1968 roku, tak znamiennego dla kraju, moi warszawscy koledzy zaproponowali objęcie stanowiska zastępcy redaktora naczelnego w tygodniku ZMW „Zarzewie”. Wystąpił z taką propozycją Jerzy Grzybczak, wtedy już wiceprzewodniczący Zarzą-



du Głównego ZMW, jak też Jerzy Szymanek. Poparł ją Roman Malinowski z NK ZSL, którego poznałem już wcześniej, kiedy bywał on w Olsztynie, zajmując się problemami, mleczarstwa; było to strefa również moich zainteresowań dziennikarskich.

Jednak nie bez wahań przyjąłem tę kuszącą propozycję. Dlatego, że było nam tutaj dobrze, a poza tym - oznaczało to dla mnie duży awans zawodowy. Zastanawiałem się czy będę w stanie podołać mu? A co na to moi olsztyńscy współpracownicy i znajomi? Tego też nie mogłem nie uwzględnić. Jedni się cieszyli, radząc, bym nie zwlekał z decyzją, drudzy zazdrościli, bo przecież przejście do stolicy, to coś bardzo kuszącego i szczytnego. Lecz byli tacy, którym to nie odpowiadało. Aparatowi stronnictwa nie było na rękę, iż utracą kogoś, kto „sprzedawał” na łamach gazety ich dorobek. No i że zabraknie tego, kto pisywał referaty. Prezes WK Mirosław Żurek, dawny śląski działacz ZMP, kie-



*Czyż nie tak samo stąpała nóżkami moja mama Ela (u góry), kiedy była w moim wieku, niż robię to ja, jej córka Irenka?*

dy dowiedział się - a nie był pytany w tej sprawie o zdanie - po moim odejściu, wykreślił ze złością moje nazwisko z listy osób wytypowanych do uhonorowania Złotym Krzyżem Zasługi. Po cóż - mówił - miałyby odznaczać kogoś, kto stąd ucieka?

## *Znad Łyny nad Wisłę*

Rozmyślałem, jak zacznie się nowy rozdział mego życia? Byłem pewny jedynie tego, że zrobię co będę mógł, by mi się powiodło, ale czy to wystarczy? Czy mam doświadczenie, które pozwoli sprostać ważnej funkcji?

Pytań i wątpliwości było wiele. Lecz tak naprawdę zabrakło czasu, żebym rozczulał się nad sobą, gdyż wydarzenia potoczyły się szybko. Ludomir Stasiak, sekretarz NK ZSL, wsadził mnie do samochodu i zawiózł na spotkanie z Wydziałem Prasy KC PZPR życząc powodzenia. Politykę kadrową w podległych sobie mediach, choć byłem ludowcem, prowadziła partia. Szczególnie w odniesieniu do kombinatu prasowego, jakim była RSW Prasa, wydającego m.in. „Zarzewie”. Natomiast Jurek Grzybczak zaaranżował spotkanie ze Zdzisławem Kurowskim, przewodniczącym ZG ZMW, sprawującym patronat nad związkowym organem prasowym.

Halina Krzywdzianka, szefowa tygodnika, którą poznałem już wcześniej, podobnie jak moja żona, przyjęła mnie ciepło i serdecznie. Przedstawiała członkom kolegium redakcyjnego „Zarzewia” i całemu zespołowi. Pomimo koleżeńskiej atmosfery, byłem spięty i zagubiony, co oczywiście ukrywałem, dbając, by debiut wypadł pomyślnie.

Usiadłem za biurkiem naprzeciw Stanisława Wiechny, nieznanego mi dotychczas, który także pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego tego tygodnika. Staszek okazał się osobą wyjątkowo otwartą i miłą. Był sympatyczny i kompetentny, a przy tym inteligentny i koleżeński. Pomógł mi wejść w młodzieżowe środowisko dziennikarskie, które sam dokładnie rozpoznał już wcześniej.

Zostaliśmy przyjaciółmi. Nasze żony też się zaprzyjaźniły. Nigdy nie darliśmy ze sobą kotów. Z jednaką energią zabiegaliśmy o stan tygodnika i działalność społeczną w ZMW. Z udziałem Władka Biel-

skiego, który był sekretarzem redakcji, podejmowaliśmy wspólnie inicjatywy wydawnicze i pamiętnikarskie.

Staszek nosił legitymację czerwoną, ja zieloną, co nam nie przeszkadzało. Jeżeli dochodziło do rozbieżnych poglądów czy ocen, wyjaśnialiśmy zawsze sobie takie różnice w spokoju i z zachowaniem tolerancji, bez potrzeby rezygnacji z ambicji. Gdy zaś sprawy zaczęły sięgać zbyt daleko, szliśmy wtedy... na piwo.

Pozostawało tak również wtedy, kiedy Staszek podjął pracę w KC PZPR, czy wówczas gdy pracował w redakcji „Gromada-Rolnik Polski” i w Państwowym Wydawnictwie Rolniczym i Leśnym. Wieś była nam obu szczególnie bliska. Zainteresowania Staszka obejmowały zwłaszcza kulturę i obyczaje wsi, sztukę i literaturę chłopską, zaś moje dotyczyły głównie problemów ekonomicznych i społecznych wsi oraz ochrony środowiska.

Wiechno pochodził z podłowickiej wsi Leśniczówka. Bywałem tam. Znałem jego ojca, który był z zawodu kowalem. Człowiek zany i godny. Na żonę wybrał sobie Staszek Janinę Rybusiewicz, łowicką rodaczkę, która skończyła medycynę i była lekarzem. Nieoczekiwana jego śmierć w młodym wieku przerwała naszą serdeczną więź. Staszek zmarł na raka.

Czułem, że zespół „Zarzewia” zaakceptował mnie. Odpowiadając za sprawy społeczno-zawodowe młodzieży wiejskiej sprawowałem opiekę nad jednym z działów tej redakcji. Wpływałem na programowanie i dobór tematów, jak też planowanie numerów. Odpowiadałem też za przygotowanie merytoryczne i redakcyjne materiałów dziennikarskich, które trafiały z mego poręczenia na łamy „Zarzewia”. Sam dużo pisałem, wyjeżdżając często w teren, chociaż formalnie nie miałem takiego obowiązku.

Redakcja mieściła się w dawnym pałacu przy ul. Smolnej 40, naprzeciw potężnego gmachu KC PZPR. Pałac ten był nazywany potocznie ZMP-owcem. Wespół z pracownikami ZG ZMW zajmowaliśmy drugie piętro. Piętro wyższe zajmował ZG ZMS, który wydawał „Walkę Młodych”, swój organ prasowy. ZMW miał ponadto szczupłą redakcję miesięcznika szkoleniowego „Razem”. Tam mieściła się również redakcja popularnego wówczas magazynu młodzieżowego „Dokoła Świata”, któremu patronował ZMS. Natomiast redakcja drugie-



Po zamieszkaniu w Warszawie otworem stanęły przed Elą nowe możliwości rozwojowe. Odwiedzała często ulubiony lasek na Bielanach, odbywając w nim długie spacerów (u góry) z mamą Halinką i babcią Ireną oraz poznając uroki przyrody. Lubiła bywać w Jagodnicy, gdzie spotykała inny świat. Z wiejskimi dziećmi nosiła do poświęcenia wielkanocny koszyczek pełen wiktuałów (zdjęcie lewe, pośrodku) albo bawiła się na podwórzu ze stryjeczną siostrą Urszulą (na dole, po lewej). A ciocia Frania (na dole, siedzi z Halką, gdyż to dwie „bratówki”) sporządzała smakowite pierogi.



go magazynu młodzieżowego, skierowanego do wsi, związanego z ZMW pod tytułem „Nowa Wieś” - ulokowała się w czynszówce przy ul. Wiejskiej. Wspominam z sympatią o tej gazecie także dlatego, że to na jej łamach - będąc jeszcze uczniem liceum pedagogicznego - debiutowałem jako korespondent.

Sąsiedztwo obu organizacji młodzieżowych, ZMW i ZMS, nie przekładało się we wzajemną sympatię. Raczej wręcz przeciwnie. Panowała między nimi obojętność, a nawet swego rodzaju wrogość. Były jawne uprzedzenia. Skąd się to brało? Głównie stąd, że ZMS podkreślał z przesadną dumą, iż jest godną pochwały przybudówką partii, uważając się za coś lepszego i godniejszego od „schłopiałego” ZMW.

Członków i sympatyków ZMW raził z kolei ZMS-owski styl działania i sposób bycia oraz działania - napuszony i drętwy, dogmatyczny. Zupełnie odmienny styl działania prezentował ZMW. Była to organizacja spontaniczna, autentyczna, wesoła. Naturalna. Chociaż nie dopieszczany, był ZMW organizacją mającą uznanie i poparcie środowiska.

Opiekę nad nim sprawowały pospołu PZPR i ZSL. Nie jest przypadkiem, że to w ZMW wyrosło bardzo wielu - na różnych szczeblach działania - autentycznych liderów i działaczy, by wspomnieć chociażby o takich postaciach jak Józef Tejchma czy Kazimierz Barcinkowski albo Jerzy Grzybczak, bądź Jan Toniak.

### *Piórem i słowem*

Zespół „Zarzewia”, wliczając w to obsługę, przekraczał 20 osób. Był więc nieduży, stanowiąc jedną rodzinę. A że byliśmy młodzi, tym łatwiej przychodziło nam utrzymanie z sobą bliskich kontaktów. Unikając podejrzeń i pustych zasad ideowych, pozorantstwa oraz nadętych wypowiedzi - skupialiśmy siły i uwagę na robieniu dobrej gazety.

Zaufaniem i wiarą w szczerze intencje obdarzaliśmy się nawzajem. Jeżeli gdzie indziej - a były takie sytuacje - dochodziło do dezintegracji zespołów i samowyniszczania układów czy też buńczucznego wynoszenia ideologii na piedestał, albo ostentacyjnego rozliczania niepokornych, to w „Zarzewiu” działo się normalnie. Bez wygłupów i bez dyktatu.





*Kwiaty od ZG ZMW wręcza Kazimierz Długosz Halinie Krzywdziance-Wróblewskiej, szefowej „Zarzewia”, gdy odchodziła z redakcji. W środku Zdzisław Andruszkiewicz, prezes Zarządu RSW „Prasa-Książka-Ruch”.*

nich swoje propozycje i uwagi. Zapewnialiśmy - mniej teoretycznie, a bardziej praktycznie - prezentowanie konkretnych poczynań kół i członków organizacji na łamach tygodnika. Zapewniało to mu kompetencję i atrakcyjność.

Halina Krzywdzianka przewodniczyła także Krajowej Radzie Dziewcząt ZMW. Staszek Wiechno, wnosząc bardzo wiele inicjatyw i pomysłów, działał w sferze kultury i ideologii. Podobnie jak ja w zakresie zagadnień zawodowo-społecznych i oświatowych. Władek Bielski też znalazł dla siebie atrakcyjną działkę aktywności społecznej. Wojtek Borsuk, kierujący w gazecie działem organizacyjnym, współpracował ściśle z analogicznym wydziałem ZG ZMW.

Nasz udział w poczynaniach organizacji był duży i cieszył się uznaniem. Wcale nie na wyrost „Zarzewie” uchodziło w ZMW - w ca-

Byliśmy mocno związani ze swoją organizacją. A brało się to nie tylko z powinności i funkcji organu prasowego, ale również stąd, że wielu z nas uczestniczyło w jej poczynaniach, identyfikując się z nią i pełniąc w niej ważne funkcje społeczne.

Halina Krzywdzianka-Wróblewska, szefowa gazety, była członkiem Prezydium ZG ZMW, Staszek Wiechno był członkiem ZG, ja zaś zastępcą członka, a później - gdy szefował jej Jan Łysek, też dziennikarz, ale głównie działacz - wiceprzewodniczącym Głównej Komisji Rewizyjnej. Byliśmy aktywni w komisjach i zespołach problemowych, jakie działały w ZG ZMW, wnosząc do



łym kraju, na dole i górze - za tygodnik spełniający rolę instruktora. I takim ono było naprawdę. „Zarzewie” docierało wszędzie. Trudno było wyobrazić sobie koło ZMW, które by nie prenumerowało tej gazety. Nie robiono tego z przymusu albo na rozkaz, a wyłącznie dlatego, iż tygodnik był niezbędnym w programowaniu i inicjowaniu działalności.

Od nas szły w teren sygnały mobilizujące młodzież do aktywności i otwartości społecznej i zawodowej. Podpowiadaliśmy, jak rozwiązywać - z korzyścią dla siebie - poszczególne problemy środowiskowe i jakie stosować formy działania, żeby zjednywać dla ZMW młodych i zyskiwać ich poparcie oraz pomoc władz i starszej społeczności.

Inicjatywy „Zarzewia” były bardzo dobrze przyjmowane i oceniane. Tutaj zrodziły się chociażby takie akcje, jak wzajemne odwiedziny kół ZMW na zasadzie „Wy do nas, my do Was”, jak „Szkoły Zdrowia”, „Zielone Przedszkola”, „Las nie rośnie sam”, „Biblioteka Mistrza Urodzaju” czy „Bukiet Warzyw”, propagująca uprawę i spożywanie warzyw mało znanych.

Więź „Zarzewia” z odbiorcami była serdeczna i odwzajemniana. Przejawiała się w nadsyłaniu listów i zaproszeń od czytelników i kół. Każdego dnia wpływało do nas kilkanaście i więcej listów, wypowiedzi i odzewów na apele. W skali roku liczba korespondencji urastała do przeszło 60 tys. Każdy z listów, o co dbała Maryla Dobrzyńska, należało zarejestrować, przeczytać i skierować do odpowiedniego działu, żeby został rozpatrzony i znalazł - w razie potrzeby - odpowiedź. Często na listy należało reagować, bo zawierały prośbę o inicjatywę albo pomoc.

Były to również źródła inspiracji i tematów. Dla Kazika Zaręby listy stały się tropem do podejmowania trudnych interwencji. I dlatego Kazik najczęściej przebywał w terenie. Niejeden z redaktorów załamałby się, ale nie Kazik, który lubił wyprawy i zło zwalczał za pałem. Tematy z tego zakresu podejmowały Ala Basta i Irena Witańska. W ocenianych wysoko publikacjach Marii Molek, góralki spod Zakopanego, listy od czytelników czy też ich wypowiedzi stanowiły publicystyczny zaczyn.

Jakiż współczesny zespół dziennikarski miałby chęć i odwagę - jak my wtenczas - podejmować się niewynagradzanych działań organizatorskich i zdobywać się - dla lepszego poznania życia - na trudne

reporterskie wojaże? Już - zda się - nie ma takich ekip. Zapanowała zmateralizowana wygoda. Łatwość zdobywania pieniędzy. Jest pościg za plotkami i niedomówieniami, brakuje rzetelności i konfrontacji opinii z czytelnikami, którym serwuje się teksty płytkie, krwawe i pornograficzne. Z pogranicza bzdur i schlebiana najniższym gustom. Były były z tego pieniądze.

Jest stwarzanie niedomówień. Jest pościg za plotkami i donianiami. Powielanie cudzych słów i pomysłów; ubieranych w odrębne stroje. Z dziennikarstwa, zawodu trudnego i odpowiedzialnego, uczyniono pracę lekką i wygodną, a ponadto dobrze płatną. Służącą wobec właścicieli mediów i obcego kapitału. A gdzie etyka? Gdzie zawodowa solidność i rzetelność? Sprawny warsztat zawodowy, to za mało. Liczni dziennikarze wykazują się nadmiarem tupetu, a niedoborem skromności, pokory i odpowiedzialności za słowo, czy to pisane, czy to mówione.

Gdy obserwuję wielu dziennikarzy, cieszę się doprawdy, że już jestem na emeryturze i nie stoję z nimi w jednym szeregu, bo wstyd byłoby mi z tego powodu, a ponadto nie byłbym w stanie - nie mając ich nawyków i zasad - dorównać im.

Trudno byłoby posądzać o przypadek, że „Zarzewie” było wtedy najbardziej dynamicznie rozwijającym się tygodnikiem. Zyskiwał on na znaczeniu. Była to najpierw gazeta drukowana w technice rotograviurowej, potem przyszła pora na offset i wreszcie stała się wielobarwna. Poczytność „Zarzewia” rosła i byłaby ona większa, gdyby - jak w przypadku wielu innych tytułów - nie wystąpiły ograniczenia w przydziale papieru i nie były ustalane limity nakładów. Gazeta była bez wątpienia czytana i doceniana, a praca w niej dawała satysfakcję.

Zdarzały się i wtedy osoby niezbyt wiarygodne i przewrotne, których celem była kariera. „Zarzewie” było pismem stażowym i miałem dlatego pod swoją opieką dwóch młodych stażystów. Jednym był Krzysztof Czabański, pomijający obecnie ten fragment swojego życia, w którym należał do PZPR. Robiąc karierę w nowym ustroju, awansował na szefa „Ruchu”, a potem prezesa Polskiego Radia. Współczesny Krzysztof Czabański, gdy idzie o jego poglądy, jest całkowitym zaprzeczeniem tego, który zdobywał w „Zarzewiu” zawodowe ostrogi.



*„Zarzewie” utrzymywało żywe kontakty z młodzieżą wiejską. Tutaj grupa młodych rolników, z którymi odbyła się dyskusja. pierwszy z prawej - Stanisław Wiechno, obok niego red. Barbara Maćkowiak. Drugi od lewej - Henryk Maziejuk, a za nim Władysław Serafin, późniejszy prezes Krajowego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych oraz działacz PSL.*

Przybył do nas jako wojujący ideolog. Taki, można by określić, młody-gniewny „czerwony pajaczek”. Skory do pouczeń, unikający podejmowania trudnych zadań. Za złe miał, że musi podlegać komuś, kto znajduje się w ZSL, którego to on nie akceptował, jakkolwiek jego ojciec pracował w Dzienniku Ludowym. Nie ukrywał, że byłoby lepiej, gdyby podlegał członkowi partii. A że nie dawał się nakłaniać do podejmowania tematów wymagających trudu i wyjazdu w teren, na użytek własny uknuł chytrą teorię, jakoby ją uniemożliwiał mu rozwój. Wiedząc, iż nie znajdzie ona akceptacji w redakcji, tezę tę upowszechniał poza zespołem i w kręgach dawnego aparatu partyjnego, chcąc zdobyć opinię osoby pokrzywdzonej. Zbywałem to wtedy i zbywam obecnie z uśmiechem.

Na stażu był też Artur Nadolski. Ten, ujawniając duży talent, był chętny do przyjmowania tematów wymagających terenowej penetracji. Bywał dużo poza Warszawą, odwiedzając wioski. Spotykał się z młodzieżą. Był „łakomy” na podpatrywanie życia. Jego celem nie była kariera. Zadowolili się pracą dziennikarską, która doprowadziła do tego, iż wydał potem kilka interesujących książek.

## *Być w zespole*

Zawsze - tak było i pozostało - powodzenie zależy przede wszystkim od chęci, zdolności i pracowitości. Albo ktoś chce i potrafi dać z siebie dużo, umie wykrzesać entuzjazm, albo woli się migać i ujawniać tylko względnie dobrą wolę.



*W oczekiwaniu na ślub Doroty Bilskiej, lubianej i cenionej fotoreporterki, siedzą jej koledzy. Od lewej: Wojciech Pielecki, sekretarz redakcji „Zarzewia”, Stanisław Wiechno i Henryk Maziejuk, zastępcy redaktora naczelnego.*

Dorota Bilka była w „Zarzewiu” fotoreporterem. Uroczą kobietą, wspinała koleżanka, entuzjastka fotografii prasowej. Poszukująca - chociażby było to uciążliwe - udanych ujęć. Tematów ambitnych i świeżych, trudnych do sfotografowania. Była pracowita i spolegliwa. Lubiała pozytywnie zaskakiwać doborem trudnych tematów. Zdjęcia zanosila najpierw do Haliny Krzywdzianki, która jej patronowała. Bilka sporządzała fotoreportaże, ale bliskie były jej również zdjęcia okładkowe.

Mieliśmy swój styl okładkowej czołówki. Zamieszczała więc Dorota na stronach tytułowych ładne twarze dziewcząt. Lecz nie wystarczyło mieć urodę. by trafić do „Zarzewia” na okładkę. Należało wyróżniać się aktywną postawą w ZMW, mieć osiągnięcia, najlepiej w kole ZMW, w nauce lub pracy zawodowej.

Zdarzył się nam wyjazd pod Hrubieszów. Jakaś zapadła wioska, w której brakowało elektryczności, a była tam ładna dziewczyna w roli prezesa koła ZMW. Koło to było aktywne i cenione z wielu udanych inicjatyw. Za kierownicą czarnej „wołgi” siedział Andrzej Laskowski, który - pomimo, iż rodowity warszawiak” - lubił terenowe wypadki i utożsamiał się z „Zarzewiem”.

Była jesień, deszcz i słońca, ponuro, a tam - przy lampach naftowych - oczekiwała nas młodzież. I też urokliwa przewodnicząca koła, którą Dorota upatrzyła na okładkę. Lecz jak sfotografować ją w półmroku?

Znalazło się rozwiązanie. Dorota poprosiła Andrzeja Laskowskiego, żeby włączył samochodowe reflektory i - maksymalnie jak to możliwe - oświetlił piękną dziewczynę. Dorota dwoiła się i troiła, a to przykłękała, a to wchodziła na krzesło i sięgała po lustra, by dobrze ją sfotografować. W efekcie na okładce ukazało się wspaniałe zdjęcie. Nikt nie mógł uwierzyć, w jak niecodziennych okolicznościach ono powstało.

„Zarzewie” odgrywało rolę większą, niżby wynikać to miało z funkcji. Stanowiło azyl dla niepokornych dziennikarzy, czego przykładem byli wcześniej Ernest Bryll i Leszek Moczulski. Pierwszy po-



*Chwila odpężenia podczas terenowej eskapady reporterskiej. Od lewej: red. Mieczysław Maciejak, Andrzej Laskowski, nasz niezawodny kierowca „Wołgi”, i Henryk Maziejuk.*

tem wyrósł na wybitnego poetę i dramaturga, a drugi stał się znanym politykiem i opozycjonistą oraz twórcą KPN.

Zdobywając reporterskie ostrogi, pracował tutaj jeden z najlepszych reportażyistów kraju, autor wielu dokumentalnych audycji telewizyjnych i znakomitych książek reporterskich, zdobywca szeregu nagród twórczych - Ryszard Wójcik, z którym połączyła mnie bliższa znajomość.

Inny Wójcik, Zygmunt, pochodzący z ziemi kieleckiej, kierował działem kultury. Zygmunt, także reporter i pisarz nurtu chłopskiego, wydał kilka udanych książek, zmarł, niestety, przedwcześnie. I był też Jan Wójcik, rodem ze słynnego Pacanowa, który przyszedł do „Zarzewia” na sekretarza redakcji z tygodnika „Nowa Wieś”.

Szlif dziennikarski przechodził w dziale kultury Andrzej Sowa (nawiasem mówiąc podlasiak spod Węgrowa), który po kolejnym odrodzeniu samodzielnego ZMW, już u schyłku PRL, został w 1982 roku redaktorem naczelnym nowego „Zarzewia”. Ludowiec. Andrzej, nie zaniedbując sprawnego pióra - wracając do mikrofonu - stał się znakomitym dziennikarzem radiowym. Pracował w II programie PR. Ma w dorobku kilka cenionych książek, głównie historycznych, gdyż kończył wyższe studia o tym właśnie kierunku.

„Zarzewie”, co zasługuje na uwagę, zatrudniało więcej interesujących indywidualności. Odnosi się to zwłaszcza do Romualda Karasia, o którym wspominałem wcześniej. Postać wybitna.

W dziale społeczno-zawodowym pracowała Alicja Basta, autorka cenionych książek reporterskich. Niepokorna w poglądach, penetrująca trudne tematy. Zatrudniła się później w Biurze Prasowym Rządu. Tym działem kierował najpierw Mieczysław Pisarek, o którym też już wspominałem, także autor paru pozycji książkowych. Gdy odszedł do tygodnika „Prawo i Życie”, zastąpił go Mieczysław Maciejak, szefujący przedtem dwutygodnikowi „Przysposobienie Rolnicze”. Wydawał je PWRiL. Czasopismo ukierunkowane było na upowszechnienie wiedzy rolniczej wedle sprawdzonych form pracy ZMW. Zamieszczałem tam reportaże ze wsi. Znałem się z Mietkiem ze studiów.

Z „Zarzewiem” związani byli dwaj wybitni dziennikarze, Jan Socha i Stanisław Zagórski, którzy - zwłaszcza ten pierwszy - odegrali ważną rolę w tworzeniu ZMW i opracowaniu jego programu. Spo-





tkali się potem w tygodniku „Nowa Wieś”, której redaktorem naczelnym został Jan Socha, zastępując miejsce Ireny Rybczyńskiej. Następnie Jan Socha został redaktorem naczelnym „Gazety Współczesnej” w Białymstoku, tamtejszego dziennika partyjnego. Zachęcili go do tego koledzy z ZMW, Zdzisław Kurowski, będący wcześniej przewodniczącym ZG ZMW, który w międzyczasie awansował na I sekretarza KW PZPR, i Jerzy Grzybczak, wiceprzewodniczący ZG ZMW, który w tym samym czasie objął w Białymstoku funkcję prezesa WK ZSL. I tak oto tandem z ZMW przejął - z inspiracji stolicy - władzę polityczną w Białymstoku.

Po kilku latach Janek Socha powrócił do Warszawy, zaś Stanisław Zagórski na dobre utknął w terenie. Zorganizował w Łomży, kiedy ta



*Należałem do tej grupy osób w redakcji, które chętnie i dużo podróżowały po kraju, przywożąc reportaże. Na zdjęciu górnym: w rozmowie z młodymi rolnikami, a poniżej: w gospodarstwie członkini ZMW gdzieś we wsi koło Koźła na Opolszczyźnie.*

- jak 48 innych miast w kraju została stolicą województwa - tygodnik „Kontakty” i kierował nim przez dłuższy czas, zasiadając także w egzekutywie KW PZPR, co było czasami powodem zakłóceń w obradach, gdyż Staszek wszczynał trudne rozmowy i nie był prostolinijnym dyskutantem.

Dał się poznać z wielu udanych pomysłów, ale też z tego, że był niepokorny i miał cięty język. Jego zasadniczym osiągnięciem, pod wieloma względami zasługującym na pochwałę, stało się utworzenie - i kierowanie nią dotąd - słynnej „Stopki”, to jest Społecznego Stowarzyszenia Prasoznawczego.

Ceniona jest ona za wiele ciekawych i pożytecznych przedsięwzięć. Zwłaszcza za powołanie ambitnego wydawnictwa książkowego, powiązanego z inicjatywami pamiętnikarskimi, jak też ustanowienie - przyznawanych corocznie - nagrody i medalu Zygmunta Glogera. „Stopka” cieszy się uznaniem i renomą.

Współpracownikiem „Zarzewia”, przysparzającym mu chwały, był Jan Bijak, będący uprzednio zastępcą redaktora naczelnego „No-



*Długo potem. Na Święcie Ludowym - z piwem w reku - na dziedzińcu Muzeum Polskiego Ruchu Ludowego. Od lewej: Jan Bijak, Stanisław Bielski i Leon Jańczak.*

wej Wsi” i działacz społeczny ZMW. Został sekretarzem tygodnika „Polityka” i niedługo potem zastępcą naczelnego, gdy szefem był Mieczysław F. Rakowski. Przez wiele lat był następnie redaktorem naczelnym tego opiniotwórczego tygodnika. Janek, doskonały reportażysta, osoba bardzo towarzyska, redagował w „Zarzewiu” poczytną, ilustrowaną i nowatorską kolumnę informacyjną. Nieformalnie był więc członkiem naszego zespołu redakcyjnego.

Bijak przyjaźnił się z Ryszardem Zbrzeźnym, ówczesnym grafikiem „Zarzewia”, z którym współpracował już wcześniej w „No-



*I był czas na rozrywkę. Dziennikarze i działacze ZMW przed meczem piłkarskim „Zarzewia” i „Nowej Wsi” z ZG ZMW w Białobrzegach. Z lewej: kapitanowie obu drużyn, Henryk Maziejuk i Tadeusz Pilch, przyszły profesor, prezes Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych. Obok red. Jan Wójcik. Przedostatni ze stojących z prawej - Andrzej Laskowski z „Zarzewia”, który strzelił bramkę, a przed nim red. Michał Kosin.*

wej Wsi”. Starszy od nas, wysoki i chudy, żylasty, Rysiek był postacią nietuzinkową. Zaprzysiężony żołnierz AK, powstaniec warszawski, uczestnik walk, ranny. Zaznał wędrowek podziemnymi kanałami. Śmierć wielokrotnie zaglądała mu w oczy. Otwarty i złośliwy, uparty i koleżeński, lecz nie znoszący sprzeciwu. Człowiek o zdartych nerwach, które opuszczały go łatwo. Był jawnym oponentem wielu ustrojowych poczynań. W zespole innym niż nasz zapewne by się nie utrzymał. U nas był zaś dużą towarzyskich spotkań.

Rysiek przechodził łatwo od miłości do nienawiści. Jednakże potrafił ustąpić i przyznać rację. Od niego właśnie i Jana Bijaka przejąłem



*Z Ewą Niedbalską z Bydgoszczy, działającą w ZMW i ZSL.*

zainteresowania kolekcjonerskie, które odegrały w moim życiu niepoślednią rolę. Penetrowaliśmy, często również w towarzystwie Staszka Wiechny, stołeczne targi staroci. Nawet gdy przychodziło w poszukiwaniu atrakcyjnych przedmiotów wyjeżdżać do Rembertowa. Rysiek Zbrzeźny gromadził namiętnie militaria i pamiątki związane z Józefem Piłsudskim. Wydawał na ich zakup masę pieniędzy. A uzbierał tych obiektów - hełmów, bagnetów, masek przeciwgazowych, łusek i gilz, też albumów i książek, fotografii i odznak wojskowych, pułkowych, menażek - tak wiele, że mieściły się z trudem w jego staromiejskim mieszkaniu. Zajmował je wówczas z żoną Eugenią i synem Karolem.

Moje zainteresowania kolekcjonerskie ukierunkowały się głównie na kufle, których zbiór urósł z czasem do ponad 200 sztuk. W międzyczasie wyłoniła się druga specjalność zbieracka, znacznie droższa, to jest malarstwo i grafika. Zainteresowania te wcześniej opanowały Janka Bijaka, a później również Staszka Wiechnę. Przyszły potem, ale już w węższym zakresie, stare zdjęcia i pocztówki malowane ręcznie.

Nie poprzestając na „pchlim targu”, którego lokalizacja zmieniała się co kilka lat, odwiedzaliśmy także „Desy”, galerie, wystawy i wernisáže oraz muzea. Zaglądaliśmy do pracowni malarskich. Poznałem tak, zawdzięczając to Jankowi Bijakowi, wziętego malarza Franciszka Maśluszczaka i Franciszka Starowiejskiego, a także Stanisława Baja, mego rodaka z Dołhobrodów nad Bugiem.

Obrazy Maśluszczaka i Baja wiszą na ścianach mojego mieszkania. Stanisław Baj, z którym zdążyłem się zaprzyjaźnić, korzystając z pośrednictwa Kazimierza Długosza, okazał się artystą piekielnie zdolnym. Jest doskonałym portrecistą. Pędzlem utrwalił na wieki twarze wszystkich swoich krewniaków, nie pomijając rodziców, także sąsiadów i znajomych. Powstała wspaniała galeria autentycznych postaci, z których - bo lubi malować osoby starsze - większość już zmarła.

Gdy poznałem Stanisława Baja, był on asystentem profesora ASP Ludwika Maciąga, także związanego mocno z Podlasiem, znakomitego malarza koni, o którym pisałem. Staszek Baj uzyskał tytuł profesora i został prorektorem ASP. Piękna, barwna postać.



*Tadeusz Haładaj, przewodniczący ZG ZMW, odznacza Henryka Maziejuka Złotą Honorową Odznaką ZMW. Na zdjęciu prawym: Stanisław Baj, malarz, przyszedł profesor i dziekan warszawskiej ASP, w swojej pracowni.*

Trafiłem do Marii Urban-Mieszkowskiej w Lublinie, cenionej malarki, której dwie słynne „Pyzy” zdobią pokoje moich wnucząt w Magdalence. Owocem pobytu u Stefanii Szymanowskiej-Korwin, pochodzącej ze słynnego rodu Szymanowskich, mającego kiedyś duży majątek na Ukrainie. Poznałem, ją miała 80 lat bez mała. Jest też stylizowany portret mojej żony Haliny i - znajdujący się u Eli - baśniowy obraz olejny zatytułowany „Do ślubu”.

Za namową Haliny Krzywdzianki bywałem - także z Halką - u Bronisławy Ratajskiej, mieszkającej w willi pod lasem brzozowym w Pyrach, u której nabyłem obraz z kwiatami. Będąc zaś z żoną w Zakopanem odwiedziliśmy pracownię Eweliny Pęksowej, podziwiając jej obrazy malowane na szkle. Kiedy teraz patrzę na prace plastyczne tych pań popadam w melancholię, gdyż dusze ich powędrowały już dawno w zaświaty.

Katarzyna Pacanowska, zdolna malarka, z którą pracowałem w tygodniku „Perspektywy”, namalowała portret Eli. Udany. Dopóki będziemy żyć, pozostanie z nami. Natomiast naszą wnuczkę Irenkę, gdy miała dwa lata, sportretował w akwareli - też dobrze - Aleksander Franko, ukraiński malarz ze Lwowa, którego znam już od dłuższego czasu.



Zanim wykształciły się we mnie ciągoty marszanda, choć to za duże słowo, poznałem w Szklarskiej Porębie Vlastimila Hoffmana. Byłem tam z żoną i córką Elą na zimowisku. Podobały mi się jego obrazy, stać mnie było na to, żeby kupić jeden nieduży, ale nie czułem wtedy takiej potrzeby. Potem spotkaliśmy w górskiej Krynicy, wtedy jeszcze niedocenianego, słynnego później Nikifora. Była zima, biedak siedział na schodach kamienicy, ni to w roli żebraka, ni to sprzedawcy, zziębnięty i zasmarkany. Leżały przy nim prymitywne z pozoru kolorowe rysunki. Niewiele o nim wówczas wiedziałem. Mogliśmy nabyć za byle jakie pieniądze jego słynne później rysunki.

Wrażliwa na ludzki los, Halka obdarowała Nikifora kanapką, którą przyjął, dziękując po swojemu. Językiem Łemków. to były dwie, zupełnie odmienne okazje, które powinienem był wykorzystać. Trudno. Człowiek popełnia w życiu tak wiele pomyłek, że nie jest w stanie ich spaścić, ale też odżalować.

My dwaj, Janek Bijak i ja, pielegnowaliśmy długo zainteresowania hobbyistyczne. Nasze sobotnie albo niedzielne spacerunki na Koło, odbywane rankiem obok powązkowskiego cmentarza, poprzez tory kolejowe i lasek, stały się rytuałem.



*Dwa różne portrety „moich dziewczyn”. U góry: żona Halina w stylizowanym ujęciu malarskim Stefanii Szymanowskiej-Korwin. U dołu: portret córki Elżbiety w stroju ślubnym, namalowany przez Marię Żmudę.*



Dziwnie ciągnęło nas tam, gdzie zamieszkiwało się „pchle targowisko”.

Czasem udało się nam „upolować” coś interesującego, czasem wracaliśmy z niczym. Jednak zawsze było na czym zaczepić wzrok, spotkać kogoś, z kim dało się porozmawiać. Zdarzało się też, iż nie powiodła się próba zbitcia ceny - bo każdy chce drogo sprzedać i tanio kupić - którą podejmowaliśmy dlatego następnym razem. Zabawa - rzecz by można - dla zabawy. A obiektów godnych zainteresowania wówczas nie brakowało. Później i to targowisko zeszło na psy.

Jeśli było ciepło zatrzymywaliśmy się w łasku na ławeczce, sącząc piwo oglądaliśmy wnikliwie pozyskane przedmioty, odkrywając czasem dodatkowe zalety, uprzednio niezauważone, albo... ukryte wady. Towarzyszył temu zawsze dreszczyk emocji.

Kiedy zaś było zimno, zatrzymywałem się wtedy u Janka, którego dom znajduje się po drugiej stronie „Zatrasia”. Rozgrzewając się whisky bądź innym przednim alkoholem, prowadziliśmy długie rozmowy. Na stole stała bateria butelek, często egzotycznych wódek. Stół przylegał do ściany, na której wisiał duży obraz w solidnych dębowych ramach. Była to fotografia mamy Janka. Ładna, młoda kobieta...



*To inne portrety. Mój olejny, namalowany - na podstawie fotografii - przez ukraińską malarzkę H. Biłkę z Iwanofrankowska, czyli przedwojennego Stanisławowa. I portret fotograficzny Halki, wykonany przez cenionego fotoreportera Józefa Nowackiego.*

- Z mamą byłem silnie związany - zwierzał się Janek. - A tę fotografię obdarzam szczególnym sentymentem, bo właśnie wtedy, kiedy ona była robiona, mama była ze mną w ciąży...

Nasze rozmowy przeciągały się nierzadko w długie godziny. I nigdy nie brakowało nam tematów. Deliberowaliśmy też o swoich zainteresowaniach.

- Cóż jeszcze mogłoby pochłaniać nas tak bardzo? - pytałem Janka, a on odpowiadał:

- Na pewno wódka. A że na szczęście pojawiły się te zainteresowania, oszczędzało się pieniądze na zakup staroci i sztuki. I dlatego pozostało coś na pamiątkę. Na ścianach i u ciebie, i u mnie wiszą obrazy. Na co sami lubimy popatrzeć, co lubią nasze wnuczeta, a i goście mają na czym zawiesić wzrok.

Wydatek niewielki, a podnieta duża. I tak trwał ów rytuał naszych wypraw na „pchli targ”, dopóki Jankowi nogi nie odmówiły posłuszeństwa. Będąc na swej ulubionej dacy w Udrzynie nad Bugiem któregoś dnia Janek padł i już nie podniósł się o własnych siłach. Ania i Tom, córka i zięć, zaopiekowali się nim. Nakłonili lekarzy do operacji kręgosłupa, która niewiele jednak dała.

Rehabilitacja też nie pomagała. Najpierw odbywał ją w szpitalu w Krynicy, potem w Stróżach, gdzie znajduje się specjalny ośrodek, a w końcu zamieszkał u córki i zięcia w Nowym Sączu. Prócz Ani i Toma ma pod bokiem swoje wnuczeta Maryjkę i Johna, czyli Janka, które obdarzał - gdy były mniejsze - głębokim uczuciem dziadkowego zatroskania. Tej miłości, jakiej nie doczekała, umierając przedwcześnie, jego żona i nasza przyjaciółka Marysia, którą pamiętamy niezmiennie.

Janek Bijak pogodził zda się ze swoim losem. Czy odzyska władzę w nogach i będzie mógł chodzić? Nie zależy to od nas, ale tego mu życzymy. Brakuje go nam. A odkąd Janek choruje, także ja zaprzestałem bywać na „pchlim targu”.

## *Z muchą w rękę*

Początki mego powrotu do Warszawy były trudne. Zzerała tęsknota za żoną i córką. Rozłąka trwała pół roku. W tym czasie mieszkałem w hotelu YMCA przy ul. Konopnickiej. Jak najmniej czasu po-

zostawiałem sobie na rozmyślania, poświęcając go niemal w całości na pracę, wyjazdy terenowe i lekturę. Kiedy tylko było to możliwe, jechałem na Warmię i Mazury albo w sąsiednie rejony, by przy okazji móc spędzić niedziele i święta z rodziną.

Ela za złe miała mamie, że - to jej słowa - „wygoniła tatę z domu”. Protestowała, że nie jesteśmy razem. Przy każdym spotkaniu miękło mi serce, gdy przyszło się rozstawać.

Słyszac głos Eli, kiedy telefonowałem do Halki, wzruszałem się mocno. Córka prosiła, błagała, łkając nieustannie, bym wracał do domu. Kiedyś zapowiedziałem przyjazd nocnym pociągami. Żona nawet słowem nie wspomniała o tym, Ela wyczuła to jednak instynktownie i aby nie przegapić tej chwili... czuwała. Chcąc ją uspić, Halka przeczytała jej wszystkie dostępne bajki, opowiedziała wiele historyjek wziętych z życia - jak teraz opowiada Irce - które Ela uwielbiała, a ona i tak nie usnęła.

Siedziała w łóżeczku z rączkami owiniętymi pieluchami i powtarzała na okrągło w półśnie fragment ulubionego wierszyka: „Napłynęła noc sierpniowa, w starej dziupli siedzi sowa, śpi zmęczona nic nie słyszy, otulona kocem ciszy... Żonę już zmógł sen, podczas gdy ona ciągle walczyła z nim.

Kiedy zaskrzypiały drzwi, wykrzyknęła pełna radości:

- A widzisz mammo, że jest tato! Wiedziałam, że on do mnie przyjedzie. Ty chciałaś mnie okłamać!

O śnie nie było mowy. Elżbieta tuliła się do mnie i Halki, przyciągała nas obojga do siebie rączkami, dając do zrozumienia, że powinniśmy być razem. A że podarowałem jej skarbonkę, którą polubiła - ciągle wrzucała drobne monety do komina chałupy, skąd wyskakiwał czarny kominiarz.

Usnęliśmy nad ranem. Ela spała w łóżeczku ustawionym obok tapczanu. A gdy zbudziłem się - leżała już między nami. Szczęśliwa. Odsypiała długo utraconą noc.

Rozłąka okazała się trudna i uciążliwa. Gdybym upierał się, żeby uzyskać przydział większego mieszkania, a miałem takie prawo, zabrałoby to więcej czasu. Ja nie mogłem pozwolić sobie na to. Powiedziałem dlatego w URM, że przyjmę mieszkanie mniejsze, byle dłużej nie czekać.

Ela (na zdjęciu z ulubionym „Mi-siem”) początkowo bardzo tęskniła za Olsztynem. Tęsknota ustąpiła, kiedy zaprzyjaźniła się z Anią Andruszkiewiczówną, mieszkającą o piętro niżej. Na zdjęciu drugim: Elę i Anię posadziłem na powykrzywianej sośnie (jest tam dotąd) rosnącej w „Lasku na Kole”, gdzie często spacerowaliśmy.



Przydzielono mi lokal spółdzielczy na Żoliborzu. Mieszkanie niewielkie, o powierzchni niespełna 48 m kw., składające się z trzech izb i łazienki. Zostałem poza kolejką przyjęty w poczt członków WSM. Klucze do M-4 odebrałem na początku 1969 roku. Zamiar był taki, że upłynie kilka lat i zadbam wówczas o większe mieszkanie. Okazało się to jednak trudne, a poza tym spodobała się nam lokalizacja i wrosliśmy w środowisko. A później, kiedy spółdzielnia, uwzględniając stan mego zdrowia, przyznała mi „betonowy” lokal w wieżowcu usadowionym w pobliżu Huty Warszawa - zrezygnowałem z niego, ponieważ ekolodzy uznali, że okażą się niezdrowe gazy i wszelakie hutnicze smrody. Czy mogłem przypuszczać, że upłynie trochę czasu i z huty pozostaną tylko wspomnienia?

Moje dziewczyny sprowadziły się do Warszawy wiosną 1969 roku. Nasz dobytek zmieścił się w ciężarówce, którą kierował Maciej Horodyński, ówczesny kierowca „Zarzewia”. Ela zabrała też ze sobą - zamkniętą w pudełku po zapalniczkach - muchę, jako żywą maskotkę, którą zimą karmiła cukrem. Przettrzymała ona podróż i żyła jeszcze długo, rozpoznając swoją małą opiekunkę. Ela pragnęła też wziąć ze sobą pająka, nazywanego długo „pakiem”, który zadomowił się w dziurze pod okiennym parapetem, ale wtedy gdzieś się zapodział.

Zrezygnowała natomiast z wiklinowego łóżeczka. Uparła się jednak, żeby do „dużego mieszkania” zabrać tapczan.

- Już stary, kupimy nowy - tłumaczyłem, a ona obstawała przy swoim zdaniu:

- Ja go obsusiałam wiele razy, a on się na mnie nigdy nie pogniewał. Chcę, żeby pozostał ze mną...

Dziecko cieszyło się najbardziej z tego, że jest codziennie z rodzicami. Jednakże długo tęskniła - nim poznała tutaj nowe - za swoimi olsztyńskimi koleżankami i kolegami. Było nawet i tak, że zbierała się wracać do Olsztyna.

- Tutaj za dużo miejsca, przestrzeń, a tam ciasno i palić trzeba w piecu - tłumaczyła jej Halka.

- Mamo, to nic, zabierzemy stąd ze sobą balkonik i będziemy nam dobrze - córka broniła swego zdania.

Kiedy opowiadamy o tym wnuczętom, śmieją się z niedowierzaniem.



## X. CENA GODNOŚCI

### *Pożegnanie ZMW*

Co dobre nie trwa długo. „Zarzewiową” przygodę zakłócały zmiany wymuszone na ZMW. Doktrynerzy doszli do przekonania - sugerując, iż robią to pod naciskiem radzieckich komunistów - że pora doprowadzić do ponownego zintegrowania odrębnych dotąd związków młodzieżowych. Powstać powinien - sugerowali - wspólny związek, który stałby się partnerem dla sowieckiego „Komsomołu”.

Problemem stał się ZMW. Jak połączyć w związek socjalistyczny organizację, która pozbawiona jest ustrojowego wyznacznika? Uznano, że nie da się z tego powodu zrównać ZMW z ZMS. Zrodził się tedy pomysł, aby brakujący przymiotnik znalazł się także w ZMW.

Trudność polegała także na tym, że był to Związek działający pod ideową pieczęcią PZPR i ZSL. Ludowcy unikali werbalnego afiszowania się treściami socjalistycznymi. Byli więc i tacy, którzy obstawali za likwidacją ZMW. Takie rozwiązanie spowodowałoby jednak niezadowolenie dużej części społeczeństwa. Zwłaszcza członków ZMW, których było około miliona, jak też licznych sympatyków, a przede wszystkim ludowców. Przypomniałoby to powojenną „demokrację” ZMW RP „Wici”, pozostające pod wpływami PSL.

Na szczęście znaleźli się obrońcy ZMW. Jawni w ZSL, a nieoficjalni w PZPR. Pierwszym przewodniczył Stanisław Gucwa, polityk uważny i ostrożny, ale stanowczy, będący wówczas prezesem NK ZSL i marszałkiem Sejmu. Wśród tych drugich, czego nie



*Ela uwielbiała od dzieciństwa kwiaty i zwierzęta.*



ujawniali, były osobistości tak znane jak Józef Tejchma i Kazimierz Barcikowski oraz Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa.

Brakowało jednak płaszczyzny, na której mogłyby zostać wyartykułowane tego rodzaju głosy, toteż sprzeciw przybrał formę nieoficjalną. Żeby uniknąć draki, zrodził się pomysł, by dotychczasową nazwę ZMW - formalnie, we wszystkich strukturach - uzupełnić o słowo „socjalistyczny”.

ZMW stał się więc z dnia na dzień Związkiem Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej. To bardzo niefortunny epizod w pięknej historii tego Związku. Będąc zastępcą członka ZG, brałem udział w jego obradach, ale oczywiście bez prawa udziału w głosowaniu. Zmiana w nazwie organizacji odbyła się bez entuzjazmu. Przypominało to pogrzebową stypę. Bo też w istocie było pożegnaniem ukochanego ZMW.



*Pierwszą koleżanką, z którą Ela nawiązała - już w Warszawie - bliższy kontakt była Kasia Wiechowska (z prawej).*

Sprzeciw nie miał szans powodzenia. Decyzja zapadła wcześniej i gdzie indziej, a młodzi mieli ją przyklepać. I tak też się stało. Jakkolwiek nie jednomyślnie i nie jednogłośnie. Znaleźli się odważni, którzy wyrazili swoją dezaprobatę wobec zmiany nazwy, jak też tacy, którzy wstrzymali się ostentacyjnie od głosu. Poza satysfakcją dało to jednak niewiele.

„Zarzewie” sprzeciwiało się temu zabiegowi, W gabinecie Haliny Krzywdzianki, szefowej redakcji, spotykali się zwolennicy zachowania samodzielności ZMW. Popierało nas wielu wojewódzkich szefów Związku. Sprzeciwili się utworzeniu ZSMW m.in. Leon Szeląg z Olsztyna i Andrzej Brodziński z Gdańska.

Inne zdanie - co do przyszłości Związku - miał Tadeusz Haładaj, przewodniczący ZG ZMW. Odchodząc z funkcji, cieszył się, że uda-

ło się mu uniknąć likwidacji organizacji. Odium takie spadło na jego następcą Stanisława Gabryjelskiego, którego znałem jeszcze z czasów olsztyńskich. Staszek znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Otwarcie nie mógł się sprzeciwić, wewnętrznie odczuwając - o czym mi mówił - dezaprobatę dla wymuszonej decyzji.

„Zarzewie natomiast mogło mieć satysfakcję. Przez około pół roku - co jest do sprawdzenia w zszywkach tygodnika - w jego tekstach nie padła nazwa ZSMW. Stosowaliśmy słowa zastępcze, używając najczęściej sformułowania Związek, żeby uniknąć nazwy, jakiej nie podzielaliśmy. Był to nasz wewnętrzny bunt przeciwko temu, do czego doszło.

Wiadomo było, że nowopowstały ZSMW utworzy z ZMS Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej; ot taki tam nowy ZMP. I że za swój organ prasowy wybierze „Walkę Młodych” - tygodnik służący dotychczas ZMS. Halina Krzywdzianka odeszła już wcześniej z „Zarzewia”. Jej miejsce zajął Józef Grabowicz, który był dotąd zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Wsi”. Dobry reportażysta, jednak człowiek słaby, miękki i mało ciekawy, który zapisał się źle - będąc demagogiem - w czasie działania ZMP. Konformista. Osoba podszyta strachem. Entuzjasta kolektywizacji rolnictwa.

Kiedy został redaktorem naczelnym „Zarzewia”, upłynęło trochę czasu zanim wszedł w swoją rolę i wtedy - kierując pismem - mogłem, a były takie sugestie, łatwo go wykończyć. Wystarczyło zamieścić tekst, który by obciążał szefa odpowiedzialnością za treść. Nie zrobiłem tego, bo nie leżało to w mojej naturze.

Józef Grabowicz przejął się swoim członkowstwem w Prezydium ZG ZSMW. Chcąc się odmłodzić, a był starszy ode mnie, uczesał się na grzywkę, natomiast kolegów z kierowniczego kręgu zaskakiwał wyuczonymi maksymami z marksizmu-leninizmu. Grając rolę „klasyka”, dużo pracował nad sobą. A że brakowało po temu czasu, wynajął - za pieniądze organizacji - Zdzisława Grzelaka, którego nazywaliśmy „Miszą”, filozofa i publicystę, dawnego działacza młodzieżowego i autora tekstów w „Po prostu” - do sporządzania wypisów odpowiednich sloganów, których cytowaniem Józek imponował. Wzbudzało to jednak więcej śmiechu i politowania, niż uznania.

Józef Grabowicz oświadczył jednoznacznie, iż nie widzi mnie w składzie redakcyjnym „Walki Młodych”. Z uwagi - podkreślał - na moje

poglądy i przekonania. Ludowców - dodał - będzie reprezentował w zespole Mieczysław Maciejak, którego uczyni on sekretarzem redakcji.

- Wiem, że ci nie odpowiadam - powiedziałem Józkowi - ale nawet gdybyś chciał zabrać mnie ze sobą, to i tak bym nie przystał na to, bo nazbyt wiele nas różni.

Przypomina mi się podobna sytuacja, jaka miała miejsce w NK ZSL. Wtedy chodziło o stanowisko redaktora naczelnego „Tygodnika Kulturalnego”. Kazimierz Kozub, ówczesny sekretarz NK ZSL do spraw propagandy i prasy, mówił tak do mnie:

- Ja wiem, że to ty powinienes objąć te stanowisko, ale nie zostaniesz naczelnym, bo nie jesteś z naszej parafii...

- Skoro wiesz, to powiedz, jaka jest ta moja parafia?

- Jesteś od Jurka Grzybczaka, a więc nie z nami - zareagował Kozub.

Zrozumiawszy o co chodzi, nawet nie drążyłem tematu, bo było oczywiste, iż łączą nas nie te same wartości ludowcowe. Szefem został Stanisław Marat, a przepaść, dzieląca mnie i Kozuba zaczęła się powiększać i nigdy nie została zasypana.

Wtedy, kiedy rozstawałem się z Józefem Grabowiczem, prosiłem jedynie o to, żeby zechciał on zadbać o czytelników „Zarzewia”. Sprawa była istotna o tyle, że nasz tygodnik cieszył się wielokrotnie większą poczytnością aniżeli organ ZMS, pomijając to, iż wyróżniał się on podejmowaniem licznych i bardzo udanych inicjatyw organizatorskich. Jednorazowy nakład „Zarzewia” wtedy przekraczał 230 tys. egzemplarzy, podczas gdy „Walka Młodych” osiągała z trudem 50 tysięcy.



*Ela z mamą na wczasach zimowych w Szklarskiej Porębie.*

Skoro „Zarzewie” zniknie - proponowałem - niech przynajmniej przez jakiś czas znajdzie się na okładce „Walki Młodych” napis odwołujący się do czytelników „Zarzewia”.

Józef Grabowicz nie przystał i na to. Za wszelką cenę pragnął odciąć się od wszystkiego, co przypominałoby ZMW. Całkowicie pochłonęła go idea ZSMP. Młodzi mieszkańcy wsi nie akceptowali „Walki Młodych” - świadczyło to o nich wyłącznie dobrze.

### *Żal tego dorobku*

„Zarzewie” podejmowało - zawsze z partnerami - przemyślane inicjatywy wydawnicze i organizatorskie, wzbudzające żywą reakcję czytelników. Były to m.in. ankiety i pamiętniki. Na ankietę „Kto mnie wychowuje?” wpłynęło przeszło pół tysiąca interesujących wypowiedzi. Publikowane na łamach tygodnika, wywoływały żywy rezonans, powodując napływ do redakcji kolejnych listów.



*Nasza rodzina na fotografii w starym stylu. Był rok 1971.*

Chodziło o wypowiedzi autentyczne i szczerze, będące odpowiedzią, co młodzi - na podstawie swoich doświadczeń i obserwacji - uważają za dobre i słuszne w procesie wychowania, a co za złe i destruktywne. Redakcji zależało również na rozeznaniu, w jakim stopniu postulaty pedagogów są przestrzegane i wspierane przez rodziców i szkołę oraz wychowawców i młodzież.

Po wydrukowaniu wypowiedzi dziewczyny, która przedstawiła trudny los dziecka niechcianego i maltretowanego (z rozbitej rodziny) napłynęło ponad 300

proponycji opiekuńczych i wniosków o adopcję. Świadczyło to o skali zrozumienia i zaangażowania młodzieży w tę trudną sprawę.

Najciekawsze prace opracowałem i opublikowałem w książce KAW - zatytułowanej w brzmieniu ankiety - która ukazała się w nakładzie przekraczającym aż 50 tys. egzemplarzy. Nigdy wcześniej ani później nie udało mi się uzyskać tak dużego nakładu własnej publikacji. Książka została przyjęta bardzo dobrze przez odbiorców.

Podobnych pomysłów było więcej. Zaczęło się to od książki - opracowanej przez Jerzego Grzybczaka, Jana Sochę i Stanisława Zagórskiego pod tytułem „Moje pierwsze kroki”, w której znalazły się wypowiedzi młodych rolników na ankietę ogłoszoną przez ZG ZMW i „Zarzewie” pod tytułem-wezwaniem „Moje pierwsze kroki w gospodarstwie”. Napłynęło około 1500 prac! Powstała pasjonująca książka, której poznawcze zalety - jak sądzę - dotąd nie straciły na wartości.



*Latem (zdjęcie z lewej) wyjeżdżaliśmy z Elą nad Bałtyk, a zimą (z prawej) w góry. W dolinie Kościeliskiej dochodziła spacerkiem aż do schroniska na Ormaku i z mamą karmiła cukrem dorożkarskie konie.*

Wcześniej był konkurs - tych samych organizatorów - pod nazwą „Dwa starty”, na który wpłynęło 510 wypowiedzi. Autorzy przedstawili nie tylko prawdziwe fakty i przeżycia towarzyszące wysiłkom młodych rolników i dwuzawodowców, ale też zrobili to z iście literackim zacięciem. Najwartościowsze prace trafiły do książki KiW „Dwa



starty”, w której opracowaniu i zredagowaniu uczestniczyłem wraz z Mieczysławem Pisarkiem i Stanisławem Wiechno.

Ankiety przeistoczyły się w inicjatywy pamiętnikarskie. Wśród wybitnych socjologów, którzy im patronowali, był m.in. prof. Józef Chałasiński (pознаłem go osobiście) zaangażowany umysłem i sercem - także z udziałem „Zarzewia” - w wielki konkurs na temat awansu społecznego młodego pokolenia wsi w Polsce Ludowej. Był to najbardziej udany ze wszystkich konkursów. Plon wydrukowała LSW aż w 6 tomach. Tak się złożyło, iż w jednym z nich wydrukowany został wyróżniony pamiętnik mego autorstwa.

Udane były również inne konkursy. Wspomnę o dwóch, w których brałem udział. W obu przypadkach partnerem „Zarzewia” pozostawał ZG ZMW. Pierwszy, mający charakter regularnych zapisów, a więc dzienników, był poświęcony zaprezentowaniu powszechnego dnia młodzieży wiejskiej i osób starszych - i był zatytułowany „Mój dzień powszedni”. Konkurs, oceniany przez jury pod przewodnictwem prof. dra hab. Władysława Markiewicza, zgromadził plon bogaty i wartościowy. Wpłynęło nań 590 prac. Pozwoliło to zredagować 3-tomowy wybór najbardziej interesujących dzienników. Wyboru i opracowania dokonali: Władysław Bielski, Henryk Maziejuk i Stanisława Wiechno. KiW wydał książki w nakładzie przekraczającym 5000 egz. Były to następujące pozycje: „Jaki kształt ma szczęście?”, „Ważne aby coś przeżyć” i „Miłość życia”.

Drugi konkurs, którego pomysł pochodził od Haliny Krzywdzianki-Wróblewskiej, szefowej tygodnika, nosił nazwę „Moje małżeństwo” i był skierowany do obojga małżonków. Ciesząc się dużym powodzeniem, zgromadził interesujący materiał poznawczy na temat przeobrażeń obyczajowych wśród ludności wiejskiej, warunków życia, pracy i nauki, wypoczynku i zainteresowań kulturalnych, kształtowania się aspiracji oraz zakładania małżeństw i ich życia. Książkę wydała LSW. Opracowałem ją wraz ze Staszkiem Wiechno. Ukazała się ona w 10-tysięcznym nakładzie.

Teraz takie książki już się nie ukazują. Górę wzięły sensacje, kryminały i skandale obyczajowe. Plotki. A tamte książki nie były bynajmniej laurką dla ówczesnej rzeczywistości. Zawierały pozycje pełne gorzkości i żalu, krytyczne, choć prezentujące również sukcesy, okupio-



ne zazwyczaj wyrzeczeniami i trudem. Bije z nich szczerą prawdą o blaskach i cieniach wioskowego życia. I dlatego znajdują się zapewne osoby, które zechcą jeszcze nieraz sięgnąć do nich.

Mieliśmy udane inicjatywy reporterskie. Patronując konkursom na reportaże o tematyce wsi i rolnictwa, byliśmy w stanie zachęcić do udziału w nich zarówno uznanych reportażystów, jak też debiutantów. Startowali m.in. Hanna Krall, Anna Strońska, Romuald Karaś, Helena Kowalik, Jan Bijak, Ryszard Wójcik i Edmund Żurek.

Książkę zawierającą reportaże z konkursu przysposobiłem do druku wraz z Władkiem Bielskim i Staszkiem Wiechno. Opatrzyliśmy ją tytułem „Jak mieć życie niezwykle”. Ukazała się ona nakładem KiW.

W okresie niespełna 10 lat, jakie przepracowałem w „Zarzewiu”, byłem współautorem kilkunastu pozycji książkowych. Które - pomimo upływu czasu i zmiennego ustroju - nie straciły tak wiele, żeby odstręczać czytelników. Stały się - jak zamierzaliśmy - utrwalałym śladem minionych lat.

### *Jak w rodzinie*

Byłem blisko kierownictwa młodzieżówki, co wynikało zarówno z zawodu i pełnionej funkcji w prasie, jak również z poczynań ZMW. Nie zabiegałem, by udział ten był duży. Przesądzała to zresztą tradycja i praktyka. Ludowcy, bez względu na ich osobistą pozycję, plasowali z reguły się na drugich pozycjach. Pierwsze dla swoich ludzi zapewniała PZPR. Mogłem być dlatego jedynie zastępcą redaktora naczelnego, zastępcą członka ZG ZMW czy też przewodniczącego Głównej Komisji Rewizyjnej ZMW. Na taki układ nie było rady.

Kiedy Jerzy Grzybczak odszedł z funkcji wiceprzewodniczącego ZG ZMW, a pozycję miał bardzo silną i był współtwórcą tej organizacji, cenionym i lubianym działaczem, było oczywiste, iż jego miejsce zajmie inny ludowiec. Został nim Edward Gołębiowski, młodszy brat Bronisława, działacza partyjnego, socjologa związanego z ZMW i przyszłego profesora. Gdy sekretarzem ZG ZMW przestał być Waldemar Winkiel, jego miejsce zajął Jan Toniak, a potem Bogdan Szarleja. Ludowcy. W prezydium ZG ZMW zasiadał Kazimierz Fortuna, przewodniczący ZW ZMW w Łodzi.



*Spotkanie koleżeńskie w podwarszawskim plenerze. Od lewej: Janusz Kędzierszawski, Stanisław Wiechno i Henryk Maziejuk.*

Był to „automat”. Sprawa miała się tak samo na niższych szczeblach struktury organizacyjnej. Mieczysław Kujawa - był taki czas - zastępował kierownika wydziału organizacyjnego ZG ZMW, którym był Witold Gadomski. Zofia Kaczor, ludówka, zastępowała Stanisława Kozakiewicza, który pełnił funkcję kierownika wydziału społeczno-zawodowego.

Inaczej wyglądały - mimo wszystko - stosunki międzyludzkie i koleżeńskie. Legitymacje partyjne nie miały większego znaczenia. Liczyły się osobiste zalety, dokonania i umiejętności. Zaufanie. Wałory towarzyskie. Te zaś, traktując łącznie, odznaczały się licznymi plusami. Organizacja miała powszechnie charakter bez mała rodzinny. Stanowiliśmy dużą i zgraną rodzinę.

Kiedy pojawiłem się w stolicy, ZMW szefował Zdzisław Kurowski który wydał mi się osobą szampową. Było w nim za mało szczerości, a za wiele oschłości.

Pierwsi liderzy ZMW, Józef Tejchma i Kazimierz Barcikowski, z którymi się znałem, byli zupełnie inni. Robili potem karierę w aparacie PZPR i w rządzie. Awansowali na członków Biura Politycznego KC PZPR. Tejchma był też ministrem kultury i wicepremierem, a Barcikowski, który zmarł w 2008 roku, ministrem rolnictwa i wicepremierem. Przez krótki czas - również I sekretarzem KW PZPR w Poznaniu. W zdumienie wprawiał towarzyszy, kiedy odmawiał korzystania z samochodu, pieszo chodząc po mieście. Pomimo to na wszelki wypadek obok niego jechał jego kierowca.

Kazimierz Barcikowski, już u zmierzchu PRL, w imieniu rządu prowadził rozmowy z „Solidarnością” w Szczecinie. Za partnera miał Mariana Jurczaka. A były to rozmowy zupełnie inne od tych, jakie toczyły się w Gdańsku z udziałem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego i Lecha Wałęsy.

Na temat rozmów szczecińskich wiedziałem dużo, nie wyłączając barwnych szczegółów, gdyż zastępcą M. Jurczyka był tam mój siostrzeniec Marian Juszcuk. Stocznowiec w „Warskim”. Spotykałem się z nim, jak też innymi osobami z kierownictwa tamtejszej „Solidarności”, zarówno w mieście, jak i w naszym mieszkaniu.

Halka bardzo lubiła Mariana. Był to inteligentny chłopak. Od niego wiedziałem również to, że Jan Paweł II interesował się na bieżąco przebiegiem i charakterem rozmów. Za pośrednika papież miał bpa Kazimierza Majdańskiego.

Uznać mogę za znamienne, że dawni liderzy ZMW nie zrywali - nawet długo potem, kiedyśmy spotykali się wielokrotnie w swoim gronie - kontaktów z byłymi ZMW-owcami. Wciąż utożsamiamy się z tamtą organizacją. Lecz nie tak jak z tą, jaką jest obecnie, gdyż ma charakter fasadowy i niewiele znaczy.

W oczach wielu wysokiej rangi działaczy PZPR, szczególnie o ZMS-owskim rodowodzie, działacze ZMW nie zasługiwali na zaufanie. Otaczała ich podejrzliwość. Bo nie byli dostatecznie „czerwoni”, zachowując odcień zieleni. Posądzano ich ponadto o liberalizm. Uważam, że decydował o tym ich ZMW-owski rodowód i charakter ukształtowany w tym Związku.

Zdzisław Kurowski, bliski współpracownik sekretarza KC PZPR Edwarda Babiucha, też - nie licząc sekretarzowania w białostockim KW PZPR i stanowiska kierownika w KC - nie wszedł jednak na drogę udeptaną przez swoich poprzedników. Źródeł utrzymania szukał później w biznesie. Podobnie zresztą jak inni działacze partyjni, którym „zawalił się świat”. Kapitalizm zasmakował im równie dobrze jak socjalizm.

Stanisław Gabryjelski po odejściu z kierownictwa ZMW „załapał się” na kierownika sektora młodzieżowego KC PZPR. Lecz później, będąc ciągle młodym, też poszedł w biznes. Powodzenia szukał w tej dziedzinie Tadeusz Haładaj.

Jako dziennikarz związany z ruchem młodzieżowym przeprowadzałem do druku rozmowy z trzema pierwszymi szefami ZSMP. Z Krzysztofem Trębaczykiewiczem, Andrzejem Kołtkiem i Jerzym Szmajdzińskim, który już w odrodzonej RP został ministrem MON, szefem Klubu Parlamentarnego SLD i wicemarszałkiem Sejmu. I tylko o nim z tego grona można powiedzieć, iż zrobił karierę. Dwaj pierwsi szefowie ZSMP, chociaż powstał on z połączenia ZMS i ZSMW, byli pozbawieni ZMW-owskiego rodowodu. Bo też tradycja i dorobek ZMW zepchnięte zostały brutalnie na daleki margines. ZMS wziął w ten sposób na ZMW odwet.

Na podobnej zasadzie, ponieważ byłem zapraszany na niektóre posiedzenia OKWOM, poznałem Stanisława Cioska, przyszłego ministra i ambasadora RP w Moskwie. Przewodniczył on na początku Ogólnopolskiemu Komitetowi Współpracy Organizacji Młodzieżowych.

Nigdy jednak - ani wtedy, ani potem - pomimo znajomości nie zabiegałem o cokolwiek dla siebie u znajomych. Nikt nie może więc zarzucić mi, że pragnąłem ogrzewać się przy cudzym ognisku. Takowe zapalałem sam. Na szczęście nie miałem potrzeby, by zabiegać słuźalczko o czyjąkolwiek pomoc. I dlatego - powiedzieć to mogę wprost - nikomu niczego nie zawdzięczam.

Satysfakcję miałem jedynie taką, że gdy w 1982 roku zaistniała ponowna - kolejna już w historii - możliwość odrodzenia samodzielnego ZMW, w redakcji „Perspektyw”, gdzie pracowałem, pojawiła się młodzieżowa orkiestra wiejska, która - ku ogólnemu zaskoczeniu - zagrała dla mnie skoczne melodie, a towarzyszący jej Waldek Świrgoń prosił, bym włączył się w nurt odnowy, wykorzystując swe doświadczenia i wpływy. I bez tego uczyniłbym to, ponieważ uważałem, że integracja ruchu młodzieżowego odbyła się z krzywdą dla młodzieży wiejskiej. Uznałem, że ma ona prawo do utworzenia swojej organizacji. I tak też się stało.

Odegrałem w tym procesie skromną rolę. Byłem już za stary, by włączyć się aktywnie w działalność organizacyjną nowego ZMW, robiłem jednak, co mogłem na jego rzecz. Zaangażowałem się w tę sprawę publicystycznie, również w formie wypowiedzi na forum ZSL. Znałem z wcześniejszych kontaktów Czesława Wojterę, byłem u niego, poznałem ojca i mamę, napisałem poczytny reportaż, który w Grusz-

czycach pod Sieradzem przewodniczył zespołowi młodych rolników. Czesiek, jak ja działał wśród ludowców. Ceniłem go. A Kazimierz Fortuna, wówczas będący sekretarzem ZG ZSMP, zachęcał Wojterę, by podjął walkę o liderowanie w odrodzonym ZMW. Czesiek jednak nie palił się do tego. Waldek Świrgoń obiecał mu, że grając z nim zostanie wiceszefem ZMW - i tego się trzymał.

Istotną rolę w reaktwowaniu ZMW odegrali - i tym razem - dziennikarze wywodzący się ze wsi. PZPR-owski instruktaż przy tworzeniu tej organizacji nie był wtedy już tak przemożny, jak przedtem, niemniej nadal wszystko, co dotyczyło spraw ważnych, odbywało się pod jego kontrolą. Ludowcy poczynali sobie śmieiej, prowadząc nierzadko otwartą walkę z hegemonem. To wynikało ze słabnącej siły PZPR i rosnącej pozycji ZSL, liczącego wówczas około pół miliona członków. Na wsi i małych miastach często ono dominowało.

Ludowcom nie udało przeforsować swego człowieka na funkcję szefa ZMW. Został nim Waldemar Świrgoń, wywodzący się spod Krasnegostawu z rodziny nauczycielskiej. Bardzo wprawnie żonglował sloganami. Przy tym, a było to ważne, mówił świeżym językiem i dystansował się od partyjnych dogmatyków. Czesław Wojtera nie był w stanie dorównać mu pod tym względem. Natomiast Kazimierz Długosz, też członek PZPR, aranżer i dobry mówca, świetny zapiewajło,



*Pracując ciężko, nie zaniedbywaliśmy kontaktów. Tutaj przed kawiarnią w Leśnej Podkowie. Od lewej: widoczni bokiem - Marian Bajorek, dyrektor PWRiL, i Władysław Bielski, były sekretarz redakcji „Zarzewia”, a następnie Jan Socha. Ja, jak zwykle, z wypchaną teczką.*

wówczas redaktor naczelny tygodnika „Nowa Wieś”, został honorowym przewodniczącym ZMW. Kazik, z którym byłem zaprzyjaźniony, przyszedł prorektor jednej ze stołecznych wyższych uczelni prywatnych, miał z ludowcami dobre układy.



*Taki śmiech mógł wzbudzić tylko dobrze opowiedziany kawał. Od lewej: Tadeusz Haładaj, Jan Toniak i Kazimierz Długosz, wtedy red. naczelny tygodnika „Nowa Wieś”.*

Odegrawszy swoją rolę w ZMW, Waldemar Świrgoń odszedł do centralnego aparatu PZPR, zostając kierownikiem wydziału KC. Jego następcą w ZMW został Leszek Leśniak, dziennikarz rodem z Krakowa, jak Kazik Długosz. Kiedy zaś upadł socjalizm, Waldek Świrgoń wykupił „Chłopską Droge”, dotychczas tygodnik partyjny dla wsi, kierując jej redakcją. Jakiś czas współpracowałem z nim, pisując na łamach tej gazety. Prócz tego Waldek był właścicielem pisma „Tygodnik Chełmski”. Zmarł nagle w 2008 roku. Z dużym sprytem, umiejętnościami i osiągnięciami zrobił w kapitalizmie karierę.

Wraz z ZMW odżyło dawne „Zarzewie”. Tytuł ten sam, ale formuła zupełnie inna. „Zarzewie” nie było więc w stanie powrócić do dawnej rangi i funkcji. Jego szefem został Andrzej Sowa, z którym pracowałem wcześniej w dawnym „Zarzewiu”, następnie Krzysztof



Nerc, pracujący uprzednio w „Dzienniku Ludowym”. Obaj należeli do ZSL.

Gdy Andrzej Sowa powrócił do Polskiego Radia, podejmując pracę w II programie, współpracowałem z nim chętnie, będąc już rencistą. Występowałem na falach eteru, co stanowiło dla mnie nowe wyzwanie.

Po kilku wypowiedziach na żywo, całkowicie bez cenzury, radiowy mikrofon przestał mnie onieśmielać i peszyć. Nasze wspólne wystąpienia obejmowały zwłaszcza ekologię. Andrzej zadbał w tym trudnym dla mnie okresie o moje samopoczucie i moją kieszeń.

Likwidacja starego „Zarzewia” w 1975 roku - a więc było to wcześniej niż teraz piszę o tamtym czasie - postawiła mnie w dwuznacznym położeniu. Z własnego wyboru. Byłem bowiem objęty nomenklaturą kadrową KC partii. Tracąc stanowisko, musiałem - wedle zasad - otrzymać w zamian godną zastępczą propozycję. Powiedziano mi, żebym wskazał wśród czasopism RSW taką redakcję, w której chciałbym dostać etat, a prośba moja zostanie spełniona.

### *Nie czułem się pariasem*

Zapanowało zdziwienie, kiedy powiedziałem, iż nie interesuje mnie jakakolwiek funkcja kierownicza, gdyż chcę utrzymywać się z pisania. Potrafię i lubię pisać teksty gazetowe. Czy wiesz, co robisz? - dopytywał mnie zastępca kierownika Wydziału Prasy KC. Bo na ogół - podkreślał - dziennikarze pchają się na funkcje, gdyż są dobrze płatne, a ty tak łatwo rezygnujesz z nich? Jeżeli przejdę na pozycję zwykłego dziennikarza, osobę piszącą, będzie to - zaznaczył - źle przyjęte i obniży prestiż funkcji kierowniczych. A w ogóle - tłumaczył - co o takim postępowaniu pomyślnie inni?

Zgodziłem się zostać komentatorem młodzieżowym w tygodniku ilustrowanym „Razem”, którego wtedy... jeszcze nie było. Stanowisko takie uznawane w środowisku dziennikarskim za prestiżowe i dobrze usytuowane. Komentator podlegał bezpośrednio redaktorowi naczelnemu. Wchodził w skład kolegium redakcyjnego i nie ciążyły na nim obowiązki wierszówkowe. Ponadto miał zapewnioną samodzielność i dużą swobodę w doborze tematów i twórczych form. To mi odpowiadało.

Przez kilka miesięcy brałem pieniądze i nic nie robiłem. Jeżeli nie uwzględni się tego, że brałem udział w pracy nad koncepcją i założeniami nowego magazynu, którego - chcąc nie chcąc - zostałem współzałożycielem. Już wcześniej zdążyłem poznać tych, z którymi przyszło mi pracować w tej redakcji. Byli to dziennikarze zlikwidowanego poczytnego tygodnika „Dookoła Świata” i „Zarzewia”.

Nową osobą był Jan Szewczyk, działacz ZMW, który został redaktorem naczelnym. Zналиśmy się od lat. Był on związany bliskimi kontaktami z Józefem Tejchmą, co było dlań tyleż plusem, co i minusem.



*Na działce u Jurka Grzybczaka. Pierwsza z lewej Alicja Grzybczakowa. I my trzej: ja, Wojtek Wiechowski oraz Jan Szewczyk.*

się mu udało, gdyż zwykł wysłuchiwać rad i odpowiedzi, nie uważając tego za ujmę. Zażęgnywał i łagodził spory, bo zależało mu bardzo na robieniu dobrego magazynu. I to się Jankowo udało. Był bardzo dobrym redaktorem naczelnym. Tygodnik zdobył uznanie czytelników i silną pozycję na rynku.

A to dlatego, że sekretarzem KC do spraw prasy i propagandy był wówczas Jerzy Łukaszewicz, były działacz ZMS i antagonista Józefa Tejchmy. Animozje te rzutowały na zespół redakcyjny, ponieważ odezwały się uprzedzenia ZMS do ZMW. Ten, kto nie zna szczegółów, mógłby sądzić, iż w PRL brakowało takich różnic i nic nie działało się podskórnice. Lecz to nieprawda.

Wspominam mile paroletnią pracę w „Razem”. Jan Szewczyk nie posiadał ani dziennikarskich, ani wydawniczych doświadczeń, jednak bardzo pragnął je zdobyć i to

Pobyt w „Razem” stał się dla mnie szczęśliwą odskocznią w karierze zawodowej. Gdy odchodziłem stamtąd do prestiżowego tygodnika informacyjno-politycznego „Perspektywy”, Janka Szewczyka tam już nie było. Funkcję redaktora naczelnego „Razem” sprawował Andrzej Krajewski członkowi z innego układu. Promotorem mego przejścia do „Perspektyw” był Mieczysław Góra, będący tam zastępcą redaktora naczelnego. Mietka znałem z „Nowej Wsi”, gdzie również był on zastępcą szefa.

Potem, wraz z wieloma dziennikarzami, żegnałem Mietka z żalem, na Cmentarzu Północnym na Wólce Węglowej. Zmarł zdecydowanie przedwcześnie, był chory na serce. Dobry człowiek, zdolny, ideowy, koleżeński. Z dużym poczuciem narodowym. Twardy w obronie swoich racji. Mocno związany z założeniami PRL. Solidny i taktowny. Koleżeński. Jak wielu dziennikarzy z tego pokolenia, był niewierzący.

Osobą w jeszcze większym stopniu ideową, o nieposzlakowanej postawie, ludzką i sprawiedliwą był redaktor naczelny „Perspektyw” Lesław Tokarski. Poznaniak. Narodowiec. Cichy i konsekwentny. Związany blisko ze Stefanem Olszowskim. Tokarski podtrzymał wybór Góry, a moja współpraca z nim układała się bez zarzutu. Należałem do jego zaufanego grona.

Zostałem kierownikiem działu społecznego i członkiem kolegium redakcyjnego, zaś niedługo później - a było ono duże i aktywne, choć również zróżnicowane - przewodniczącym koła redakcyjnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, któremu prezesował wówczas Stefan Bratkowski. W zespole utwierdziło to moją pozycję.

Znalazłem się wśród wytrawnych dziennikarzy. Poza Mieczysławem Górą z tego grona wcześniej znałem jeszcze Wiesława Marnica, gdyż i on pochodził z „Nowej Wsi”. Inni byli mi znani jedynie z publikacji. Byli to znakomici dziennikarze.

To w pierwszym rządzie Marian Podkowiński. Wybitny publicysta. Bezpartyjny. Pisarz, legendarny korespondent PAT z Procesu Norymberskiego. Znamca problemów międzynarodowych, zwłaszcza niemieckich. Osoba powszechnie znana i ceniona, także za granicą. Później działałem z nim - gdy był prezesem - w kierownictwie Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Ja byłem wtedy wiceprzewodniczącym ZG.

To Olgierd Budrewicz, równie wielki, a może nawet większy wśród tuzów. Słynny reportażysta-globtroter, który zwiedził i opisał cały bez mała świat. Ponadto warsawianista. To również Monika Warneńska, reportażystka i pisarka. Znana przede wszystkim z opisów ówczesnego Wietnamu, w którym wielokrotnie była, tam tłumaczona i odznaczana. Była w Wietnamie, gdy walczył on z Francuzami. Również Halina Krzywdzianka w książce przedstawiła swe wietnamskie doznania.

I to także, zatrudniona w moim dziale, Helena Kowalik. Znako-mita reporterka krajowa, autorka - ceniona i nagradzana - szeregu to-mików reportaży. Subtelna. Taktowna i wrażliwa.

Wspomnę też o znanych publicystach. W dziedzinie ekonomii dominowali: Halina Maliszewska i Wojciech Krasucki, kierujący w redakcji tym działem. W zakresie historii prym wiodła - z natury por-ywczą i niepokorną, skłonna do lansowania poglądów krytycznych - Katarzyna Kołodziejczyk. W okresie poczynań „Solidarności” Kasia znalazła się „po drugiej stronie” i była tam bardzo aktywna.

Głównym ideologiem w publicystyce, lecz „po słusznej stronie”, był Ryszard Świerkowski. Podatny na fascynację, wrażliwy, ale zbyt łatwo-wierny. Oddany bezkrytycznie obronie socjalizmu. Też zmarł za młodu.

Wierny i zdecydowanie oddany ustrojowi był Jerzy Walasek, za-stępca redaktora naczelnego „Perspektyw”, nadzorujący dział zagra-niczny. Jerzy, młodszy od nas, dobrze wykształcony, potrafił z więk-szą ostrożnością i wstrzeźliwością angażować się w obronę tego, co było wystawiana na ostrą krytykę. Po upadku socjalizmu Walasek włączył się w pracę na rzecz promocji turystycznej Polski. Krótko współpracowałem z nim w tej dziedzinie.

Hanka Gajos była apolityczna. Taką ją w każdym razie znałem. Była autorytetem w wielu sprawach, a przede wszystkim w zakresie mody. Polityka i moda w „Perspektywach”? Właśnie tak. W obu dziedzinach nasz tygodnik miał swoje zdanie. Niemała w tym zasługa Hani, która odważnie wytyczała tropy w modzie, będąc najlepszą publicystką w tej dziedzinie. Pogodna, uśmiechnięta, czasem zawadiacka. Lubiana.

W swoim dziale miałem Michała Kosinia. I on przyszedł do „Per-spektyw” z „Nowej Wsi”; także z poręki Mietka Góry. Cichy. Zamknięty. Publicysta znający problemy wsi. Michał zmarł na raka, w bardzo młodym wieku, pozostawiając żonę i małe dzieci.

Natomiast Juliusz Foss przyszedł do „Perspektyw” z etatem, na wniosek Zdzisława Andruszkiewicza, prezesa zarządu RSW (którego znałem wcześniej, ale przede wszystkim stąd, iż mieszkał z żoną Krystyną i córką Anią w tym samym bloku, co ja z Halką i Elżbietą, ale o piętro niżej). Obaj, Foss i Andruszkiewicz, znali się z redakcji tygodnika „Walka Młodych”, którą Zdzisław kierował, zanim wdał się w politykę.

Julek miał wypróbowane pióro, a do tego własny styl, który czasem zaskakiwał. Kumpel i szalawiła, zarazem skory do wypitki. Szczuplaczek. Kochał kawiarnie. Trudny w przestrzeganiu dyscypliny. Reportażysta. Rozstawszy się z żoną, „poderwał” w redakcji Basię M., z którą zawędrował do Ostrołęki, gdzie był redaktorem naczelnym partyjnego „Tygodnika Ostrołęckiego”. Tam rozstał się z życiem.

U Jerzego Walaska pracował w dziale międzynarodowym Zbigniew Kot, publicysta mądry i miły, spokojny, kontaktowy, o orientacji katolicko-narodowej. Bezpartyjny. Lubił dysputy, w których nie był napastliwy, raczej ugodowy. Ceniłem go.

Sprawami wydawniczymi zajmowała się Jadwiga Naorniakowska, będąca zastępcą redaktora naczelnego, z którą nie utrzymywałem bliższych kontaktów. I był też czwarty zastępca redaktora naczelnego, Zychowicz, który do „Perspektyw” przyszedł - jako człowiek zaufany - z wojska. Układny, sympatyczny.

Tak więc znalazłem się w doborowym towarzystwie, co mnie nobilitowało i mobilizowało. W tym zespole byłem jedynym ludowcem, więcej - jedyną osobą pochodzącą ze wsi. Tej odmienności nikt mi jednak nie wytykał. Sam też nie czułem się pariasem. Za zasługę poczytuję sobie, że problemy wsi i rolnictwa, gospodarki żywnościowej, jak też ruchu ludowego, wprowadziłem na czołowe łamy „Perspektyw”. Pisma opiniotwórczego, cenionego i poczytnego, dla którego dotychczas te sprawy były nieistotne. Zająłem się też problematyką ekologii i ochrony naturalnego środowiska człowieka.

Nowa problematyka spotkała się, tak u czytelników, jak i w środowisku dziennikarskim, z dobrym przyjęciem - wywołując żywą reakcję. Przełamałem praktykę spychania jej do działów rolnych i gazet kierowanych na prowincję. Ja ją, by tak określić, wywyższyłem, podnosząc jej rangę.

Nikogo ze specjalistów tej problematyki nie dziwiło już, że właśnie na łamach tego tygodnika znajdują się publikacje dotyczące wsi i rolnictwa, a ja, dziennikarz stąd, przewodnicząc dziennikarskiemu - jednemu z najbardziej aktywnych i liczebnych - Klubowi Publicystów Rolnych. Zostałem więc swoistym pionierem.

Za plus mogę też zapisać - co jest zasługą w pierwszym rządzie Lesława Tokarskiego, szefa pisma - że redakcja „Perspektywy” pozwalała mi bez przeszkód działać w ZSL i SDP, a potem SD PRL. Dla mnie z kolei praca w renomowanym tygodniku przysparzała uznania. Tym samym rosła i wzmacniała się moja zawodowa pozycja. W ocenie kadrowej RSW awansowałem - jakby to dzisiaj nie brzmiało - do rangi czołowego publicysty.

Zdobywałem nagrody i wyróżnienia, premie. Z powodzeniem startowałem w konkursach na reportaże. Teksty mego autorstwa cytowało Polskie Radio. Nieskromnie wyznać mogę, że stałem się osobą znaną i docenioną, uznaną. Uniknąłem jednakże „sodowej wody”.

### *Słowa, jak skiby...*

Wykonując swój zawód, dziennikarz - niczym rolnik - uprawia kilka form twórczości. Zaczyna od krótkich informacji i notatek, ucząc się dyscypliny słowa, a dopiero później próbuje swoich możliwości w zakresie innych gatunków dziennikarskich. Przechodziłem tę szkołę. Z felietonem zmierzyłem się bez większego powodzenia. Podobnie z esejem. Lubiłem natomiast robić wywiady i rozmowy.

Dzięki temu mogłem poznawać ludzi ciekawych i wybitnych, artystów i polityków, pisarzy i naukowców. Forma rozmów pozwalała mi również, szczególnie w przypadku polityków i działaczy społecznych, upowszechniać poglądy, z którymi także ja się zgadzałem, bądź też polemizowałem z nimi. Praktykowałem rozmowy luźne, wartkie i niesztampowe, które - choć dotyczące ważnych spraw - czyta się dobrze, ale pisze niełatwo.

Dwa gatunki dziennikarskie były mi najbliższe, które także w czytelnicznym odbiorze zyskiwały dobrą ocenę. Chodzi o publicystykę i reportaże. Dlaczego - można by spytać - akurat te? To proste! O ile publicystyka - niezbędna w tym zawodzie - wymaga, by dbać o kla-





*Dziennikarze ludowcy tradycyjnie odgrywali ważną rolę w ruchu ludowym, stanowiąc jego twórczą i aktywną część. Od lewej: Wanda Brzostowiecka, Henryk Maziejuk, Leonard Makięła i Stanisław Kubas.*

rownosć stylu i ocen, opinii, o logikę i zaangażowanie, przy tym nosząc osobiste znamiona i dotycząc najczęściej spraw istotnych, o tyle reportaż pozwala na większy luz.

Na szerszy wybór tematów, bardziej interesujących, swobodę sformułowań i dobór argumentów. W reportażu - nie wdając się w oceny i deklaracje - trzeba umieć wybierać, zderzać i konfrontować, dbać o szczegóły i styl wypowiedzi. Reportaż, gatunek najbardziej literacki ze wszystkich dziennikarskich, wymaga sprawności autorskiej. Pozwala, co bardzo istotne, operować opisem, obrazem i dialogiem, anegdotą i dowcipem. Umożliwia zderzanie różnych sytuacji, zdarzeń i faktów. Opinii.

Uprawianie reportażu, cenionego również przez czytelników, uchodzi za „wyższą szkołę jazdy”. Ponadto - z czego w przeszłości zdawali sobie sprawę tak dziennikarze, jak i czytelnicy - w reportażu można przedstawić, powiedzieć i opisać to, co jest kontrowersyjne, albo wręcz sprzeczne z zakazami, w czym publicystyka była bezradna. Ileż to razy udało mi się dzięki temu coś przemycić i oszukać cenzurę.



*Pierwsza Komunia Święta Eli. Nawet ciasne mieszkanie, gdy atmosfera miła, może pomieścić dużo gości. Na zdjęciu u góry - od prawej: Ewa Świderska i jej mama, a nasza ciocia, Leontyna z Białegostoku. Irena Kropiewnicka z Olsztyna. Antoni Maziejuk z Jagodnicy. Pośrodku: Halka, Ela i ja, stojący. Obok mnie, w ostatnim szeregu: Bogdan Maziejuk, Zbigniew Maziejuk, Leszek Dąbrowski, Alicja Maziejuk i Wanda Wójcik. Siedzą: Irena Mierczyńska i Marianna oraz - ledwie widoczny - Bronisław i Maria Piwniczukowie z Jagodnicy.*



*Ela (z lewej) w stroju komunijnym. Pośrodku: nasza pełna trójka: Halina, Elżbieta i Henryk. Z prawej: rodzice chrzestni - Irena Kropiewnicka i Antoni Maziejuk.*

Pisanie reportaży jest czasochłonne, a w gruncie rzeczy było nieopłacalne, jeżeli ich treści nie wymyśla się przy biurku, jak to bywało i bywa nadal, a czerpie z życia. Trzeba jechać w teren, spotykać ludzi, zyskiwać ich zaufanie. w szczerzej rozmowie wydobywać prawdę. Po wielokroć konfrontować fakty i opinie. Trzeba na to czasu i cierpliwości. Tego nie robi się w pośpiechu. Czytelnik zorientuje się łatwo, co jest prawdą, a co kłamstwem i kitem.

Zapłatą za trud jest satysfakcja. I reakcja czytelników. Są nagrody i wyróżnienia. Ponadto, co istotne i miłe, druk reportaży w książkach. W formie czy to tomików własnych czy zbiorczych. Które - dodam - żyją niepomrotnie dłużej, aniżeli teksty gazetowe.

I tak słowo po słowie, wiersz po wierszu, szpalta po szpalcie, artykuł po artykule, reportaż po reportażu, rozmowa po rozmowie, nicowałem i przedkładałem - niczym chłop skiby spod pługą na swoim polu - sprawy i ludzkie życie. W okresie zawodowej aktywności uzbierało się tych pozycji mnóstwo. Ile? A któż by to zliczył!

Nie pokusiłem się - bo i po co? - o taki rachunek. Ani taki, który by obejmował stronice zadrukowane moimi tekstami, ani liczby publikacji, napisanych artykułów czy reportaży, ani też tytułów gazet i czasopism, w jakich ukazywały się one. Teksty mego autorstwa szłyby w tysiące, a w dziesiątkach tysięcy zadrukowane stronice.

Zwykłem, gdy idzie o reportaże, sięgać do ludzi zwyczajnych, nietuzinkowych, odważnych, niepokornych wobec zdarzeń i losu. Ludzi o silnym charakterze, którzy imponowali mi swoją postawą. I do osób społecznie i politycznie aktywnych, twórczych, zdolnych brać na siebie ważne obowiązki oraz odpowiadać za ich skutki. Jak też do osób sprzeciwiających się niewoli i uciskowi. Ludzi walki i buntu. O wyraźnym usposobieniu patriotycznym.

Zdawałem sobie sprawę - pomny pedagogicznych kwalifikacji - że nic tak skutecznie nie oddziałuje na młode pokolenia, jak przykład konkretnych ludzi. Ludzi z krwi i kości. Zależało mi - tego nie ukrywam - na upowszechnieniu określonych zasad i postaw, otwartych, spolegliwych. Ludzi godnych akceptacji.

Reportaż zapewniał elastyczność w doborze tematów i dawał twórczą swobodę. W okresie - częstych w tym czasie - napięć społecznych i politycznych pracowałem w pismach, które nie stroniły

od polityki lub bez reszty były w nią wplątane. Ten gatunek dziennikarstwa umożliwił mi zachowanie twarzy. Pozwalałem sobie na to, by niekoniecznie pisać wprost o trudnych i ważnych problemach, deklarując werbalnie swe poparcie albo swoją dezaprobatę. Przedstawiałem fakty i zdarzenia, oceny i opinie, czytelnikom pozostawiając wybór opcji.

Pracując w „Perspektywach” nie mogłem stronić od podejmowania spraw nabrzmiałych. Sięgałem do nich właśnie w formie reportażu. Tak pisałem również o „Solidarności”. Kiedyś napisałem tekst o konflikcie z KW PZPR we Wrocławiu. Byłem tam akurat wtedy, kiedy ludzie „Solidarności” za złe mieli PZPR, iż ta nie dba o rozwiązywanie spraw publicznych. Chodziło m.in. o budowę willi przez notabli. Namietności wyzwały jednakże... matowe szyby w oknach gmachu KW, spoza których niczego nie było widać. Uznanie, że szyby te maskują i ukrywają partyjniackie knowania.

Nawet przez lornetkę nie udawało się wytropić, kto bierze udział w spotkaniach i o co naprawdę chodzi. Owa nieprzejrzystość szyb - jak uznałem - stała się symboliczna.

Po wydrukowaniu reportażu, podobnie jak w innych przypadkach wpłynęły do redakcji listy od czytelników i organów „Solidarności”. Podpisane i ostemplowane. Jedni i drudzy dziękowali redakcji i autorowi za podjęcie tematu. Było mi miło, ale też - wiedząc o wspieraniu przez kierownictwo partii - raczej nie o taką reakcję chodziło. Stawialiśmy świadomie na rozsądek i rozagę swoich czytelników.

Piórem i osobistą postawą angażowałem się w to, co się wówczas działo. Czasem, nie będę zaprzeczać, było to kłopotliwe. Ponośliem też - jakżeby inaczej! - porażki. Jednak ani Leszek Tokarski, redaktor naczelny, ani Mieczysław Góra, mój bezpośredni przełożony, niczego mi nie narzucali i nie wpływali na moje zapatrywania. Sugerowali jedynie to czy tamto, oczekując negacji lub akceptacji.

Podczas wrzenia społecznego, strajków i demonstracji, jakie przetaczało się przez kraj, także starć z ZOMO i milicją, kiedy odbywały się doraźne rozprawy karno-orzekające wobec osób zakłócających porządek - Leszek Tokarski zasugerował, żebym wziął udział w takich rozprawach. Przyjrzał się im i ewentualnie coś napi-

sał. Sugestia wydała mi się ciekawa. Spędziłem kilka godzin na sali rozpraw w śródmiejskim urzędzie, oglądając coś, co przypominało bardzo zły cyrk. Jakieś bzdurne zarzuty, głupawe odzywki, beznamiętne tłumaczenia. Nic, co byłoby klarowne i wyraziste. Powróciłem więc z niczym. Dziękując się z L. Tokarskim swoimi wrażeniami, powiedziałem mu:

- Nie czuję się na siłach, żebym z tego widowiska mógł napisać coś, co miałoby ręce i nogi.

-Ty widziałeś i słyszałeś, masz dlatego swoją ocenę, a skoro nie dostrzegłeś tematu, to nie ma sprawy - Leszek orzekł refleksyjnie.

I tak zostało. Mogłem napisać reportaż, który mógłby w tamtym czasie zostać opacznie zrozumiany. Zadziwiła mnie polemika dwóch wrogów,

opozycyjnego robotnika i milicjanta. Ten pierwszy podczas demonstracji niósł narodową flagę. Gdy natarł oddział ZOMO, robotnik złamał drzewce, a flagę upchał na przystanku tramwajowym do kosza ze śmieciami.

Taka postawa oburzyła funkcjonariusza MO. Zarzucał robotnikowi brak odwagi i szacunku dla narodowych barw. Gdy tamten się bronił, ten go atakował.

- Sam widziałem, jak ze strachu wrzuciłeś flagę między brudy...



*Dwie damy. Ela w naturze i ta na obrazie J. Brzezińskiej.*



- Bez niej łatwiej było mi uciekać - przyznał członek „Solidarności”.

Funkcjonariusz nie mógł jednak się pogodzić z taką argumentacją. Usiłował wymóc na nim opinię, że jest słaby i mało odważny, że silny tylko w gębie i tłumie.

Lecz któż - w okresie namiętnych sporów i tarć - mógłby zrozumieć i zaakceptować reportaż z taką puentą?

Sytuacja stawiała w trudnym położeniu. Z jednej strony, czemu dawałem wyraz, byłem krytyczny wobec błędów i poczynań PRL, uważając, iż władza traci szansę akceptacji oraz poczucie rzeczywistości, a z drugiej - nie podobały mi się poczynania „Solidarności”. Rujnujące kraj, prowadzące do podziału narodu, grożące interwencją ZSRR. Obawiałem się przede wszystkim tej ostatniej możliwości. Która - w moim przekonaniu - była całkowicie realna, niebezpieczna i zakończyłaby się rozlewem krwi.

Zachęcano, żebym włączył się w poczynania „Solidarności”. Zwlekałem z decyzją. Dlaczego pozostałem poza nią? Zrażało mnie do „Solidarności” nie to, że najwięcej mieli w niej do powiedzenia - atakując bez pardonu - ci ludzie, których intencje były nieszczerze. Mętne i nieroztropne. Ci, co judzili innych, a sami ukrywali się za cudzymi plecami. Tacy nie powinni odgrywać pierwszoplanowej roli, ale z lubością ją odgrywali. Zrażała mnie histeryczna reakcja kobiet. Były - wedle mojej oceny - nieobliczalne i niezrównoważone.

### *Niespodzianka czy pułapka*

Napięcie udzieliło się Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Jako że byłem przewodniczącym koła redakcyjnego tej organizacji w „Perspektywach”, brałem udział w naradach, odprawach i wiecach, odbywających się w siedzibie SDP przy ul. Foksal. Potrzebowałem pięć minut, żeby dojść tam na skrót. Spotykałem się ze Stefanem Bartkowskim, który odgrywał rolę głównego uzdrowiciela i odnowiciela SDP, któremu przewodniczył. Zapomniał, że należał do partii, przeciwko której teraz występował. Stefan, dobry i odważny mówca, był żywiołowy. Nie tracił rezonu ani rozsądku w trudnych sytuacjach. Imponował zwłaszcza młodszym dziennikarzom.



Zostałem delegatem na Zjazd Krajowy SDP, który zebrał się krótko przed wprowadzeniem stanu wojennego przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Zjazd, bardzo burzliwy i mało rzeczowy, ale demokratyczny - zaskoczył mnie. Nie stopniem wrzenia, a tym iż nazwisko moje - nieoczekiwanie dla mnie - obok Stefana Bartkowskiego i innych osób trafiło na listę dziennikarzy proponowanych do ubiegania się o funkcję przewodniczącego SDP.

Skąd ów pomysł i kto mnie zgłosił, zadbawszy o to „wyróżnienie”? Nigdy się tego nie dowiedziałem. Poczuję się zaskoczony i zażenowany, a jednocześnie... przestraszony. Bo też ów „zaszczyt” odebrałem - chyba nie bez racji - jako przejaw czyjejś manipulacji, wcale nie uzgodnionej ze mną, która zapędzić mogłaby mnie - gdybym wziął to za dobrą monetę - w niezłe tarapaty. Nie chcąc się ośmieszać, czym prędzej wycofałem więc z listy swe nazwisko. Jak było do przewidzenia, prezesem SDP został Stefan Bartkowski.

Należałem do osób niezłe zorientowanych, co się święci w kraju. To wynikało z rozlicznych kontaktów, o które dbałem, jak też rangi pisma i osób odwiedzających redakcję.

Jurek Grzybczak, wtedy sekretarz NK ZSL, relacjonował mi zajście, by nie powiedzieć prowokację, podczas sesji WRN w Bydgoszczy. Jurek obsługiwał te obrady z ramienia władz centralnych. Doszło do zajścia z udziałem Jana Rulewskiego, jednego z liderów „Solidarności”, w trakcie którego został on poturbowany przez milicję. Była to jedna z prób sił między władzą a związkowcami. Rulewski - co zostało odpowiednio nagłośnione - miał zostać pobity. Uznano, iż MO



*Ja z córką Elą.*

wybiła mu zęby, podczas gdy - co potwierdzali świadkowie - w rzeczywistości podczas szamotaniny wypadł mu na posadzkę sztuczny zębny mostek.

Siłowe rozwiązanie, o czym się dowiedziałem, pierwotnie miało nastąpić w marcu 1981 roku. Zostało zaś wprowadzone 13 grudnia tegoż roku. Noc z soboty na niedzielę była śnieżna i mroźna. Obudził mnie dochodzący spoza szyb chrzęst „skotów” i dudnienie czołgowych gąsienic. Spojrzałem na ulicę Broniewskiego - i wszystko stało się oczywiste.

Czołgi i wozy bojowe sunęły w stronę Huty Warszawa na Młocinach. Żonie, która też się obudziła, powiedziałem, że to już stan wojenny. Przyjęliśmy to rozwiązanie z ulgą. Ponieważ interwencja wojsk sowieckich - a na pewno doszłoby do niej - byłaby po stokroć gorsza, bo bardzo krwawa. Sięgnąłem po słuchawkę chcąc zatelefonować do kolegi. Telefon był głuchy.

Nasi znajomi nie zostali interweniowani. Ze względu na zawieszenie gazet mogłem odstąpić od pisania tekstów i nie chodzić do redakcji. Gdy ów stan nie okazał się tak groźny, jak można było oczekiwać, spotkałem się w mieście z kolegami. NK ZSL wyposażył mnie, jako społecznego działacza, w specjalne zaświadczenie, upoważniające do swobodnego poruszania się po Polsce.

Idąc z kolegą ul. Chmielną, natknęliśmy się na grupkę żołnierzy i milicjantów ogrzewających się przy koksowniku. Paweł Kapuściński, dziennikarz „Życia Gospodarczego”, powiedział:

- Gdyby byli to obcy, rzuciłby człowiek butelkę z benzyną i sfajczyliby się jak gnidy. No, ale to przecież też swoi...

Przeciwno interwentom z zewnątrz, a palili się do tego również Niemcy z NRD, wystąpiliby zwarcie Polacy. I co wtedy?

Zbliżały się mroźne święta Bożego Narodzenia. Kaloryfery były ciepłe, lecz zapasy węgla - co sprawdzaliśmy idąc na spacer w stronę Lasku na Kole - kurczyły się z każdym dniem. Pomyślałem, że w razie czego, wypuszczając na zewnątrz rurę w oknie, ustawię w kuchni „kozę”, którą opalać będziemy drewnem z lasku i tak przetrwamy jakoś najgorsze. Na wypadek braku prądu kupiłem naftę i stajenną latarkę.

Zaopatrzenie sklepów było fatalne. Chleba co prawda nie brakowało, ale inne artykuły było do nabycia wyłącznie na kartki. Nieocenio-

ną rolę, jak zwykle odgrywała Halka, która z uporem i konsekwencją wystawała w długich kolejkach, zdobywając, co było możliwe. Ja dyżurując prawie dwa tygodnie w kolejce, na kilka dni przed 13 grudnia, kupiłem kozuch z mongolskich skór. Nasza córka potrzebowała więcej mięsa i słodyczy, a myśmy - także teściowa Irena - obywali się bez nich.

Zmarznięci i bez entuzjazmu, lichy ubrani, potulni chociaż z groźnie nastawionymi karabinami, młodzi żołnierze, przechadzali się ulicami i podwórkiem. Ich widok budził żal. Z zachowania wnioskowałem, że pochodzą z prowincji i są rekrutami. Udało się nam, żonie i mnie, namówić dwóch takich, by przyszli na krótko do mieszkania, wypić gorącą herbatę i przekąsić.

Rzeczywiście byli to chłopscy synowie. Zagubieni, nieśmiali i oburzeni na tych ludzi, którzy ukradkiem wylewali pomyje na ich głó-



*Na kongresie ZSL wśród delegatów Warmii i Mazur. Na pierwszym planie od lewa: Wincenty Stelmaczonek, ówczesny prezes tamtejszych ludowców, i obok niego Henryk Maziejuk.*

wy. Przecież - tłumaczyli - nie z własnej potrzeby przyszło pełnić nam tę psią powinność!

Byli wdzięczni, że traktujemy ich inaczej. Chętnie wdawali się w rozmowę.

Halka, też dysponująca ZSL-owskim zaświadczeniem, pomimo zimna i niepewności udała się do Jagodnicy po przedświąteczne zaopatrzenie.

Jak poradziłem, wzięła butelkę wódki i kilka paczek papierosów, by z ich pomocą „przełamać” lody. I tak było. Nawet milicyjny kierowca za paczkę papierosów podjął się podrzucić ją z miasta do Witulina.

- Tu terenowa grupa operacyjna! - Halka zażartowała, stukając późnym wieczorem w szybę chałupy.

- A co, nie mówiłem, że Halka się zjawi! - Antek wykrzyknął z radością, witając bratową.

Spędziła tam zaledwie dzień. Powróciła z wieprzową rąbanką, wędzonym boczkiem i kiełbasami oraz jajkami, które Frania poupychała gdzie się dało. Halka miała też, na wypadek kontroli, zaświadczenie jagodnickiego sołtysa Henryka Juszcuka, który potwierdził - bo tak było - iż latem pomagałem bratu przeprowadzić żniwa.

Antek chorował, miał złamaną rękę, w boku zebrała mu się woda. Jeździłem pomagać im w robocie. Niedyspozycja ta uratowała go - jako byłego ORMÓ-wca - przed mobilizacją na okres stanu wojennego.

- Zupełnie nie pojmuję, gdzie podziewa się żywiec, jaki rolnicy sprzedają - tłumaczył Antek. Obliczyłem, że dostarczam go rocznie tyle, ile spożywa prawie 20 rodzin. Czyżby szło to na Wschód?

Zdobyczną żywnością podzieliła się Halka z najbliższymi, by mieli co podać na świąteczny stół.

Jak wszystko w Polsce, także stan wojenny był często pozorowany. Jechałem wiosną z żoną w odwiedziny do Jagodnicy. Za Białą podlaską, na drodze prowadzącej w stronę Janowa Podlaskiego i Leśnej Podlaskiej, stał szlaban. Obok dreptali żołnierze. Jedne samochody zatrzymywali, inne przepuszczali bez słowa. Nasz autobus, załadowany do granic, został zatrzymany. Gdy kierowca otworzył drzwi, żołnierz wszedł i spytał:

- Czy są obcy?
- Sami swoi! - krzyknęli podróżni, a żołnierz - uśmiechnięty i zadowolony - zasalutował.

Kiedy już wznowiono wydawanie „Perspektyw”, jechałem samochodem służbowym po reporterski materiał aż do Wałbrzycha. Droga daleka, jednak ani razu nie zdarzyło się tak, byśmy byli kontrolowani.

### *Ulga po cudzej śmierci*

Wśród dziennikarzy nastąpił rozłam. W sytuacji, kiedy na mocy decyzji warszawskiego urzędu spraw wewnętrznych SDP zostało rozwiązane, a narastały środowiskowe sprawy wymagające reprezentowania jego interesów, ten sam organ wyraził zgodę na powołanie nowego stowarzyszenia. Utworzył się komitet założycielski, powstały tymczasowe władze Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, uznane przez międzynarodowy ruch dziennikarski, które później przekształciły się w SD RP. W tej organizacji znalazła się zdecydowana większość byłych członków SDP.

Udzielałem się w niej aktywnie, będąc członkiem-założycielem, a przez dwie kadencje wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego. Nie występowałem bynajmniej w roli „jastrzębia”, będąc „gołębiem”. Zresztą większość kierownictwa nowego stowarzyszenia, choć nastawiona lewicowo, prezentowała ugodową i spolegliwą postawę. Jedynie nieliczni byli zbyt niecierpliwi i ujawniali brak rozsądku oraz taktu.

Ton nadawał Klemens Krzyżagórski, człowiek z autorytetem, o dużym dorobku dziennikarskim. Znakomity reportażysta i wydawca. Intelktualista. Kierował uprzednio cenionymi miesięcznikami, „Odrą” we Wrocławiu i „Kontrastami” w Białymstoku. Były to czasopisma nowoczesne i refleksyjne, zawierające duży ładunek reporterski.

Krzyżagórski nikogo nie wyręczał i nie zwykł narzucać swego zdania. O rozważnym działaniu SD RP decydowała dyskusja i tolerancja, w której współdecydowali zarówno działacze centralni, jak i regionalni, zgrupowani w oddziałach terenowych.



*Toast za współpracę dziennikarzy polskich i bułgarskich wzniesiony podczas wizyty w Sofii. Od lewej: Klemens Krzyżagórski, prezes SDRP, prezes stowarzyszenia dziennikarzy bułgarskich i autor wspomnień.*

Z uznaniem i sympatią wspominam osoby, które wносиły wiele ożywienia, zapału i dobrego rozeznania sytuacji w dziennikarstwie. Byli to m.in.: Hanka Woźniak z Katowic, Bronisław Zapała z Kielc, Józef Kiełb z Koszalina, Ryszard Niemiec z Rzeszowa i Marian Butrym z Warszawy. Powołuję się jedynie na niektóre osoby, bo listę należałoby uzupełnić jeszcze o red. Stanisława Ozonka z „Dziennika Ludowego” czy Józefa Kuźnickiego z Lublina.

Byli też, nie ukrywam, „jastrzębie”. Ludzie nacechowani „rewolucyjnym zapałem” i nieuległością. Lecz oni - tak się ułożyło, a mogło przecież być inaczej - nie dominowali.

Plusem Klemensa, poza osobistymi walorami, było to, iż nie związał się z żadną partią, uznając wszakże obowiązujące racje. Zbigniew Łakomski, dziennikarz „Trybuny Ludu”, rozsądny i rozważny, wiceprzewodniczący ZG, reprezentował PZPR, zaś Florian Dłużak, trzeci wiceprzewodniczący, należał do SD.



Nierzadko różniliśmy się poglądami i oceną sytuacji, tworząc jednolity front, gdy chodziło o główne cele. Taką wielobarwność prezentowali inni członkowie prezydium. W składzie tym dominowali dziennikarze znani i uznani, skłonni do znajdowania pozycji ugodowej w kwestiach politycznych, lecz wiele wymagający i surowi w ocenach, kiedy chodziło o etykę i kwalifikacje zawodowe dziennikarzy. Była również duża dbałość o warunki socjalne i bytowe tego środowiska.

Zmieniać się to zaczęło wtedy, kiedy funkcję szefa stowarzyszenia objął Artur Howzan. Jednak w razie potrzeby stał w odwodzie Marian Podkowiński, najpierw prezes rzeczywisty, a potem honorowy. Marian potrafił tonizować spory i wspierać działająca sensownie.

Po dwóch kadencjach wycofałem się z pierwszej linii, przechodząc do komisji rewizyjnej, a wreszcie zaprzestałem działać w SD RP. Poczulem się zmęczony i wypalony. Górę zaczęły brać wówczas rozgrywki i interesy - już w zmienionym składzie osobowym - osobiste części działaczy, a także niedostatek aktywności i odpowiedzialności.

SD RP zamykał się do wewnątrz, unikał zabierania głosu w sprawach ważkich. Szkodziło to, moim zdaniem, organizacji i psuło atmosferę. Pozycję dominującą przejął aparat etatowy, marginalizując społeczników i stroniąc od trudnych zadań. Pojawiły się kłopoty finansowe i prestiżowe.

Kluczowa pozycja przypadła sekretarzom ZG, Andrzejowi Ziemińskiemu i Wiesławowi Marnicowi. Lecz - w moim odczuciu - główną słabością było to, że pomimo obustronnych prób, zwłaszcza nowego stowarzyszenia, SD RP, nie było w stanie dogadać się z reaktywowanym SDP. Inna sprawa, że w SDP nazbyt wiele do powiedzenia mieli zwolennicy „dokopania” SD RP.

Aktywność w stowarzyszeniu zabierała mi dużo czasu i energii, ograniczając twórczość zawodową. Gdyby nie moja aktywność społeczna, praktykowana także w ZSL, mógłbym zapewne w międzyczasie napisać i wydać tomik reportaży. Ale - to już inna wątpliwość - któż zechciałby obecnie sięgnąć po taką lekturę?

Zaprzętnął mnie na długo bardzo niemiły incydent. Jedynie domyślać się mogę, że spowodowała to przejawiana przeze mnie aktywność zawodowa i społeczna, szczególnie w SD RP i w ZSL, a wcześniej w ZMW. Moją osobą zainteresowała się służba bezpieczeństwa. Ktoś

doszedł bowiem do wniosku, obserwując mnie, iż mógłbym być użyteczny dla poczynań SB. Długo nie wiedziałem, co się święci. Zainteresowanie to stało się dla mnie w końcu bolesne i uciążliwe.

Przedzwonił do mnie podpułkownik S., podkreślając, iż jest z Urzędu Bezpieczeństwa. Chciałby - powiedział - spotkać się ze mną. Kiedy spytałem, w jakiej sprawie, odrzekł, że to nie jest sprawa na telefon, więc powie o niej, gdy się spotkamy. Gdzie? W kawiarni - zaznaczył - przy „społemowskim” SDH od strony ul. Marszałkowskiej.

- Jak mam poznać pana? - spytałem.

- Ja już pana znam, podejść pierwszy - odpowiedział.

Coś mnie tknęło, choć jeszcze wtedy nie wyczuwałem, co może grozić. Zachowałem dużą ostrożność. Powitał mnie cywil, zwalisty facet po 50, zapraszając do stołu. Kiedy spytał, co wypiję, kawę czy herbatę, a może lampkę wina, odmówiłem zdecydowanie, żeby nie uzależniać się nijak od kogoś takiego.

Powtórzył, podkreślając to wyraziście, że jest z SB i życzyłby sobie, abym poinformował go o tym, jakie są nastroje w stowarzyszeniu i co mówią dziennikarze. Usztynił się wyraźniej gdy odrzuciłem zdecydowanie tę jego propozycję. Chcąc zachować twarz, zdecydowanie zaznaczyłem, że nie chcę i nie będę kapusiem.

- A skąd od razu taka reakcja? - spytał, obrzucając mnie złym wzrokiem, by natychmiast dodać:

- Zobaczymy jak będzie dalej...

Zaproponował, żebyśmy się spacerowali. Uzmysłowiłem sobie, że ma to być zapewne - wedle zamierzeń SB - oficer mnie prowadzący. A jeśli tak - rozumowałem pospiesznie - muszę reagować stanowczo i konsekwentnie, by nie okazać słabości i nie dać się omotać.

Lecz S. przystąpił do zmiękczenia mnie, posługując się dwuznacznikami. Dał do zrozumienia, że on dużo o mnie wie, toteż nie powinienem oponować. Nie tylko, gdzie pracuję i działam, jakie pełnię funkcje, ale też gdzie mieszkam, kim jest moja żona, jakie imię ma nasza córka i do jakiej szkoły chodzi. Bez mała znał numer butów i koszuli, które noszę. Zrozumiałem, że sugeruje w ten sposób, jak dużą przewagę ma nade mną. Powiało grozą szantażu, lecz na tym etapie jeszcze do niego nie doszło.

Idąc w stronę Ogrodu Saskiego S. usiłował - by nie tracić czasu - wypytywać mnie, co sądzę o poczynaniach stowarzyszenia dziennikarzy. Na jakie trudności natrafiamy, kto jest ugodowcem, a kto zaostrza wymagania. Dużo tego rodzaju pytań. Odpowiadałem zdawkowo, operując ogólnikami, bez konkretów i nazwisk, by zwięźć ppłk S.

Mówiłem tak, żeby niczego nie ujawniać. Gdy przyciskał do muru, wypytyując o szczegóły, zaznaczałem - zdając sobie sprawę, że dezinformuję go i kieruję na złe tory - iż partia zbyt obcesyjnie i niepotrzebnie wtrąca się do poczynañ stowarzyszenia. Byłem pewny, że taka opinia niczego mu nie da, gdyż nie będzie robił z niej użytku.

Powiedziałem wreszcie, zgodnie z prawdą, że udać się musze na zebranie redakcji, na którym moja obecność jest niezbędna. Nie oponując, wyznaczył termin następnego spotkania. Zaznaczyłem, że nie ma to sensu, gdyż nie uda się mu zrobić ze mnie donosiiciela. Odpowiedział stanowczo, iżbym nie bagatelizował sprawy. Zaznaczył, że to on, a nie ja decydować będzie, co ma się stać.

Podczas następnego spotkania kluczyłem podobnie, nie ujawniając niczego, co byłoby dla kogoś kłopotliwe. Na trzecią rozmowę nie poszedłem, licząc, iż bezpieczniak da mi spokój. A skądże!

Przedzwoił z pretensjami:

- Nie mam zamiaru bawić się w kotka i myszkę! - orzekł, wyznaczając kolejny termin.

Był w złym nastroju, impertynencki i szorstki. Ja, nie chcąc być uległym, też zachowałem się obcesowo. Ponownie sugerowałem, iż ingerencja z zewnątrz nie służy stowarzyszeniu, gdyż byłoby lepiej dla środowiska, gdybyśmy sami decydowali, co jest dobre a co złe. Partia - podkreślałem - uczyni lepiej, jeśli pomoże rozwiązywać problemy bytowe dziennikarzy.

- To kiedy znowu się spotkamy? - spytał bardziej pojednawczo, gdy stwierdziłem, że czeka mnie praca.

- Nie widzę takiej potrzeby - powiedziałem.

- O tym będą ja decydować! - wypalił.

A gdy powtórzyłem kolejny raz, że nie kwalifikuję się na kapusia, odrzekł z powagą:

- Chyba pan nie zdaje sobie sprawy, z kim ma do czynienia.

Nie mam nic przeciwko tym - stwierdziłem - którzy zajmują się profesjonalnie sprawami bezpieczeństwa, bo taki wybrali zawód, ale siebie nie widzę w roli donosiciela.

- Mamy sposoby przymuszać opornych do współpracy z SB! - powiedział stanowczo, co zabrzmiało groźnie. I dodał, nie spuszczać z tonu: - Pan może przecież stracić pracę...

- Jakoś dam sobie radę - odpowiedziałem bez wahania.

A on na to:

- Ma pan żonę i córkę, a nasze ręce sięgają daleko i wiele mogą...

Zabrzmiało to jak szantaż. A zarazem słabość, gdyż świadczyło o tym, że SB nie ma na mnie haka, którego by się skwapliwie uchwyciła. Więc i to ani mnie skruszyło, ani załamało. Chociaż - zastanawiałem się z niepokojem - dokąd ta droga może mnie zaprowadzić?

S. był natarczywy i nieustępliwy. Zaznaczył, kiedy odchodziłem, żebym zastanowił się poważnie nad sobą i nie lekceważył następnego spotkania, które on wyznaczy telefonicznie.

Nigdy na szczęście do niego nie doszło. Parę dni później wypatrzyłem w „Życiu Warszawy” nekrolog o przedwczesnej i nagłej śmierci podpułkownika S. ze służby bezpieczeństwa. Tego, który tak zawzięcie usiłował skaperować mnie do współpracy. Zmarł na atak serca.

Ucieszyła mnie, mówiąc szczerze, ta cudza śmierć, bo dla mnie oznaczała spokój. Zgrzeszyłem, bo katolik nie powinien w ten sposób reagować, lecz myślałem, co by się stało, gdyby do tej śmierci nie doszło?

Byłem pewien siebie i swoich czynów. Wiem, że nie ujawniłem niczego takiego, co byłoby niekorzystne dla kogoś konkretnego. Szczęśliwie uniknąłem podpisywania czegokolwiek. Czy jednakże ppłk S. nie pozostawił jakiś notatek w esbeckich dokumentach?

Tego ani nie wiem, ani też nie usiłowałem się dowiedzieć. Myślę, że gdyby były jakieś zapiski, kto inny mógłby zainteresować się mną, a do tego nie doszło.

Na swoim przykładzie zrozumiałem jedno: w tamtych czasach, było niełatwo oprzeć się naciskom służb specjalnych PRL, które potrafiły siłłać, łamać i obezwładniać ludzi niepokornych.

## XI. JEDNI SIĘ RODZĄ, DRUDZY UMIERAJĄ

### *Nawet krowa nie zaryczy*

Zajęty praca, obowiązkami społecznymi i sprawami rodziny, od których odciążała mnie żona, nie byłem w stanie - czego teraz żałuję - poświęcić kuzynom i krewnym tyle uwagi, ile by wypadało. Ich życie toczyło się poza mną. Jednakże, kiedy przyrównuję czasy minione do aktualnych, wychodzi na to, że obecnie - jeżeli chce się coś osiągnąć - płaci się jeszcze więcej.

Wyjątkiem była Jagodnica. Z mieszkającą tam najbliższą rodziną utrzymywałem bliskie kontakty. Odwiedzałem ją, sam albo z żoną, czasem z córką Elżbietą, mając bieżące informacje o tym, co się dzieje.



*Niedawno były dzieciakami, a już - jak ten czas ucieka! - zdążyły pozakładać swoje rodziny. Lila Maziejuk z Białej Podlaskiej, córka Haliny i Zbigniewa, wyszła za mąż (z lewej) za Grzegorza Godalę urodzonego w Łodzi. Mieszkają w Łodzi, gdzie Lila kończyła studia i osiadła. Zdjęcie ślubne (z prawej) Anety z domu Dudek i Grzegorza Jasińskich.*

Czasem włączałem się w rozwiązywanie problemów. Uczestniczyłem w weselach i chrzcinach, także pogrzebach.

Trwała wymiana listów, a później - gdy siecią tych połączeń objęta została rodzinna wioska - także rozmów telefonicznych. Antoni, mój brat, który przejął ojcowiznę i z żoną Franciszką gospodarował tam - dopóki nie rozstał się z życiem - dobrze dawał sobie radę. Łatwo rachował, ale z trudem i błędami, ręką niewprawną - za to szczerze i otwarcie - pisał listy. Uskładał się całkiem duży ich stos.

Nasza więź z ich dziećmi, synem Zbigniewem i córkami Marysią oraz Ulką, utrzymuje się od najwcześniejszych lat. I chociaż jego potomkowie zdążyli pozakładać własne rodziny, jak też odbyć wesela swoich dzieci, to powiązania te są ciągle żywe i mocne. Zbyszek i Halinka Maziejukowie wydali za mąż córkę Lilkę. Za mąż wyszła - za Grzegorza Jasińskiego - Aneta, córka Urszuli i Franciszka Dudków, a córka Marianny i Bronisława Piwniczuków Sylwia zaprzęta sobie głowę wyższymi studiami.

Utrzymujemy stałe kontakty z bratem Janem i jego żoną Aliną - ich troski i zmagania były i są nam bliskie. Także i te, które stały się udziałem ich synów, Bogdana i Roberta.

Ilekoć byłem z Halką w Jagodnicy, każdorazowo szliśmy poza gościniec, gdzie mieszkali Juszcukowie. Henryk, który spędził okupację na robotach

przymusowych u bauera pod Szczytnem na Mazurach, pogodny i skory do żartów, był moim szwagrem. Ożeniony z moją siostrą cioteczną Marianną - prowadził nieduże gospodarstwo rolne, jakie przejął od te-



*Sylwia Piwniczuk, córka Marianny i Bronisława, przed maturą.*



ściów, Stanisława i Pauliny Misiejuków. Był stolarzem i sołtysem. Cio-  
cia Paulina, moja matka chrzestna, którą wspominam często, dożyła  
sędziwego wieku.

Po śmierci córki i zięcia, którzy umarli krótko po sobie w 1993  
roku - w którym zmarł także mój brat Antoni - Paulina przeniosła się  
do syna Kazimierza w Białej Podlaskiej. Odwiedziłem ją z Halką krótko  
przed śmiercią. Ze światem rozstała się mając 96 lat. Na miejsce  
wiecznego spoczynku wybrała - znajdująca się na leśniańskim cmen-  
tarzu - mogiłę ulubionego syna Jana, który zginął pod kołami wąsko-  
torówki w styczniu 1956 roku.

Pamiętam dawną zagrodę Misiejuków, zbudowaną po rozparce-  
lowaniu w 1926 roku folwarku w Jagodnicy. I to jak Juszczyk wznosił  
mozolnie dom, splatając w płytę żytnią słomę, obłożoną następnie  
tynkiem i cegłą, a potem stodołę, obórkę i stolarnię. Te zabudowania  
popadają teraz w ruinę.

Stanisław Misiejuk zmarł w grudniu 1948 roku. Dowiedziałem  
się o tym, kiedy wróciłem ze szkoły w Witulinie. Stałem przy jego  
trumnie. Nie byłem nawet świadomy tego, że żeniąc się z ciotką Pau-  
liną wujek Stanisław był wdowcem i miał córkę. Tę wiadomość przy-  
jąłem ze zdziwieniem od Ryszarda Juszczyka, wnuka Pauliny i Stani-  
sława Misiejuków, który wygrzebał ją w parafialnych zapiskach ojców  
paulinów w Leśnej Podlaskiej. W osadzie tej mieszka Rysiek z żoną  
Elżbietą.

Marian, młodszy brat Ryszarda, którego los zawiódł do Szczeci-  
na, gdzie był stoczniovcem, także rozstał się przedwcześnie z życiem.  
Lubiłem go i ceniłem. Był inteligentny, wrażliwy i aktywny społecznie.  
Uczynny. Marian, jak wspominałem, włączył się z poświęceniem w  
działalność szczecińskiej „Solidarności”. Pojawili się jednak tacy, któ-  
rzy za złe mieli, iż wcześniej należał do PZPR.

Nie mogąc wytrzymać ciśnienia, jak też wskutek osobistych kłó-  
potów, a i alkoholu, Marian załamał się kompletnie. Odszedł niepogo-  
dzony z życiem.

Już nie mam tak ani po co, ani do kogo pójść. Czasami zaglądam  
z ciekawości do zagrody Juszczyków. Pozbawione gospodarzy i zwie-  
rząt - zabudowania przygnębiają swoim widokiem. Stwarzają wraże-  
nie powolnego konania. Smutne. Jedynie drzewa szumią jak zawsze.



Marian Jaszczuk, młodszy syn Mariany i Henryka. Kiedy był chłopcem, zrobiliśmy mu zdjęcie, na którym (z lewej, u góry) stoi, z prawej strony, ze Zbyszkim Maziejukiem. Gdy dorósł (zdjęcie dolne, obok) przeniósł się do Szczecina. Skończył tam technikum i założył rodzinę, podejmując pracę w stoczni im. A. Warskiego. Pod czas narodzin „Solidarności” był jej aktywnym działaczem, a następnie jako zastępca przewodniczącego regionu Mariana Jurczyka współprzewodniczył (w środku na górnym zdjęciu) obradom Związku z delegacją rządową, na czele której stał Kazimierz Barcikowski.



Podwórko porasta dziczała trawa. Zakorzeniły się samosiejki i wszelakie chwasty. Gniją płoty. Ani krowa już nie zaryczy, ani koń nie zarzy, kogut nie zapieje, kura nie zagdacze, świnia też nie zakwicz. Pies, ten czujny stróż, także nie zaszczeka. Obumarła zagroda.

A ja oczami wyobraźni widzę ciągle i ciocię Paulinę, dobroduszną starowinkę, chudziutką, która przysiadła na schodach, żeby jak kot wygrzać się w słońcu. I Henryka wychodzącego rześko ze stolarni, otrzępującego ubranie z trocin i wiórów, gdy zmierza w stronę stodoły, kiedy poi konia czy wprowadza krowę do obory. Zda się drzwiczki skrzypią.

Widzę też Maryskę, która spod fartucha wyciąga ręce i w szerokim geście zaprasza w odwiedzin.

Opuszczone zagrody źle na mnie działają. Odchodzą jak ludzie w przeszłość. Zagród takich w Jagodnicy przybywa. A ja widzę ich wciąż takimi, jakimi były kiedyś. Stare zabudowania giną, upadają, murszeją w słońcu, śniegu i deszczu, zaś nowe nie powstają. Ktoś tam przyklei przedsiónek czy izbę do ściany. Już niedługo, być może, zaczną budować młodzi, którzy zamieszkają tutaj, bo Jagodnica jest atrakcyjnie położona. Pracować będą - dojeżdżając samochodem albo autobusem - gdzie indziej, bo rolnictwo ich nie pociąga.

Za lat mego dzieciństwa i mojej młodości było inaczej. Każdy kurczowo trzymał się ziemi i unikał alkoholu. Oszczędzał. Nierzeźwość była potępiana i naganna. Ktoś, kto leżałby spity w rowie byłby odrzucony. Więc wstyd także umarł?

Pamiętam, z jakim poświęceniem i uporem, ciesząc się z każdego osiągnięcia, Antek wznosił zabudowania gospodarskie, chcąc zamienić stare - naprędce sklecone zaraz po wojnie - na nowe. Nie oszczędzając dzieci, Frania i Antek - w miejsce rozpadającej się starej obory wznosili z kamienia nową oborę, potem obszerną dwudrzwiową stodołę. Nikt we wsi nie miał tak udanej stodoły. Rozpoczął budować szeregowy garaż, z pustaków i drewna, chcąc pomieścić powiększający się park maszynowy. Budowę skończył zięć.

W miejscu starej chałupy Antek posadził nowy dom. Z drewna. Z nim właśnie, rzec by należało, wiążą się zaskakujące zdarzenia. Kiedy budowa dobiegała bowiem końca, lubelska WRN przyjęła uchwałę zakazującą stosowania drewnianego budownictwa mieszkalnego. Co to oznaczało dla Antka? Antek i Frania z rozpaczeli włosy. Czy w jakiś sposób można było uniknąć skutków zakazu? Tak. Rozwiązanie zasugerował Wagner, leśniański komendant MO. Uznał, że kiedy Antek wstąpi do ORMÓ - uda się odstąpić od nakazu rozbiórki domu.

Antek wstąpił do ORMÓ i skończył budowę chałupy z drewna, którą później - dla lepszego wyglądu i ocieplenia - obudował ceglami, a zięć Broniek Piwniczuk otynkował i udanie pomalował oraz zmienił jej pokrycie, eternit zastępując eurodachówką. Dom na tym zyskał, lecz Antek już tego nie oglądał, gdyż zmarł.



Opustoszała zagroda Juszczyków, która należała przedtem do Misiejuków. Ciocia Paulina Misiejuk (na dole, siedzi po lewej) mając dobrze ponad 90 lat przeniosta się do syna Kazimierza (siedzi pierwszy z prawej) w Białej Podlaskiej. Odwiedziłem ich z żoną Haliną (stoi za ciocią) i bratową Franią (siedzi w środku, trzyma wnuczkę Sylwię) na krótko przed jej śmiercią. W środku stoi Barbara Misiejuk, córka Kazimierza i Ireny, która zmarła wcześniej.

Sadząc, iż wykreślony zostanie z listy zomowców, nie uczestniczył ani w zebraniach, ani w ćwiczeniach i niczego nie podpisywał. Zapomniał w końcu o sprawie. Władza jednak niczego nie zaniechała.

Przypomniała sobie o Antku, gdy w grudniu 1981 r. gen. Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Wezwano wówczas brata na mobilizację ORMÓW. Pomimo wezwań, Antek nie stawiał się, ponieważ miał złamaną rękę. Przydarzyło się to w wypadku z trakto-rem. Lekarze z Łosic tak fatalnie złożyli, ją że zagrażało to trwałym kalectwem. Antek w duchu dziękował Bogu, że w nieszczęściu spotkała go odrobina szczęścia. Inaczej świeciłby ze wstydu oczami przed sąsiadami.

Zabudowania Piwniczuków też opustoszały. Za sprawą podupadającego zdrowia ich obojga, Marysi i Bronka, przyszło zrezygnować z chowu bydła mlecznego, w czym się specjalizowali. Ziemię i łąkę przekazali w dzierżawę Nitychorukowi z Witulina. Był to warunek przyznania Bronkowi unijnej renty strukturalnej.

### *Zatrzymać czas*

Moje związki z młodszym bratem, który zrazu zamieszkał w Miastku, by przenieść się potem do Słupska, wcześniej żeniąc się z Aliną, były zawsze bliskie. Spędzaliśmy razem trudne dzieciństwo. Obaj zadomowiliśmy się na Ziemiach Odzyskanych, szukając tam szczęścia.

Śledząc zamieniające się jego zainteresowania i uporczywe, czasem dramatyczne poszukiwania źródeł utrzymania, wiedziałem o nim wiele. O tym, że kiedy pracował wśród autochtonicznej ludności niemieckiej, naraził się jej słowem i zachowaniem. Było tak, a działał on wtedy w LOK, że Jankowi przyszło nawet sięgać po karabinek sportowy, gdyż został zaatakowany.

Jednak, jak okazało się to później, nie o wszystkim wiedziałem. Na przykład o podjętej z kolegą Marianem próbie nielegalnego przedostania się na Zachód. Przyłapani zostali w Czechosłowacji, idąc do Austrii. Siedzieli w areszcie, była rozprawa sądowa. Dowiedziałem się o tym dopiero długo po fakcie. Podobnie jak o przewożeniu zwłok z





Jedni odeszli na zawsze, inni pojawili się na tym świecie. Po prostu pokoleniowa wymiana ludzi. Dzieci (zdjęcie górne, z lewej) Pauliny i Stanisława Misiejuków, Marianna i Jan, który będąc kawalerem zginął pod kołami wąskotorówki. A to (na zdjęciu u góry, po prawej) Marianna, moja siostra cioteczna, z Henrykiem Juszcukiem na zdjęciu ślubnym. Zdjęcie ślubne ich syna Ryszarda i Elżbiety Juszcuk (środkowe z lewej). i zdjęcie przedstawiające babcię Marysię (u dołu, z lewej) z wnuczętami, Jackiem i Dankiem, dziećmi

Elżbiety i Ryszarda. U góry zaś: dziadkowie tych dzieci, tata Eli, Marianna i Henryk Juszcukowie, trzymający w ramionach jednego z wnuków. Marianna i Henryk umarli krótko po sobie w 1993 r.



Pomorza w rodzinne strony, gdzie spoczną na zawsze zgodnie z wolą wyrażoną za życia.

Gdy rodziły się dzieci Aliny i Janka, najpierw Bogdan, potem Robert, wydawać się mogło, że upłynąć musi bardzo wiele czasu, nim dorosną i zakładać będą swoje rodziny. Tymczasem nastąpiło to tak szybko, że aż trudno w to uwierzyć. Bo okazało się oto, że są już dziadkami. Dzieci Agnieszki i Roberta, który za pracą pojechał najpierw do Irlandii, a potem Norwegii, rosną jak na drożdżach. Paweł, Norbert i Hubert. Trzech Budrysów.

Alina i Janek szczerze cieszą się nimi. Bo jak można nie kochać takich chłopaków? Także i my, Halka i ja, polubiliśmy ich bardzo, chociaż widzimy się rzadko, mając dwójkę swoich wspaniałych wnucząt.

Jak to dobrze - wielokroć rozmawialiśmy o tym z sobą - że na starość człowieka spotyka tak wielkie szczęście, znajdujące się właśnie we wnukach. Bóg nagradza nas w ten sposób więzami krwi.

Wrzesień 2007 roku był dla nas szczególnie. Janek obchodził 50-lecie pracy fotograficznej. Pojechałem z Halką na ten jubileusz, który odbywa się w salach Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku. To duże wyróżnienie. Na ścianach i stelażach zawisły wybrane i opisane duże fotografie. Niespełna 200 spośród kilkudziesięciu tysięcy zdjęć, jakie Janek zdołał wykonać i opublikować na łamach wielu gazet regionalnych i centralnych. Liczne z nich były na wystawach, także zagranicznych, nagradzane i wyróżniane. Zamieszczone w albumach. Te, które trafiły do zamku, a potem także gdzie indziej, zostały wybrane pod kątem dokumentowania minionego czasu. Zgodnie z autorską intencją: „Tak to widziałem”.

Zgromadziła się liczna publiczność. Reagowała żywo, czasem śmiechem czy też szyderstwem, widząc fotostylerstwa i żartobliwe, a innym razem śmiertelnie poważne, realistycznie wierne. Ujmowały sentencjonalnie - opatrzone udanymi podpisami autorstwa Tadeusza Martychewicza - okres odległy i całkiem bliski.

Znany z autopsji starszym, a obcy - jakby ahistoryczny - młodszym. Ci pierwsi znali postacie jeszcze nie tak dawno świecznikowe, poważne i sztywne, które później przywoływały kpiny i szyderstwa. Jeżeli zaś zdjęcia skłaniają do myślenia, wspomnień i dysput, albo wzruszeń, to w nich musi być duża siła oddziaływania.



Jubileusz 50. twórczości fotograficznej Jana Maziejuka. Komnata Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku (zdjęcie górne) nie była w stanie pomieścić gości. Rodzina Janka zasiadła w środku. Na pierwszym planie żona Janka Alina, obok niej - synowa Agnieszka z synami, za nimi zaś Robert i Bogdan, synowie Aliny i Janka. Na lewo od nich - ja z Halką. Zdjęcie środkowe: Swoją książkę „Urodzony w czepku?” dedykuję księdzu Janowi Giniatowiczowi. W środku Janek, a przed nim red. Tadeusz Martychewicz, autor podpisów pod zdjęcia wystawowe. Zdjęcie dolne: Na spotkaniu u Agnieszki i Roberta Maziejuków w podślupskim Witkowie. Od lewej: Agnieszka z Hubertem na kolanach, Halka z Norbertem, ja z bratową Aliną i Robert Maziejuk z synem Pawełkiem.

Bohaterem imprezy był oczywiście Janek. Wielki i prawdziwy. Przy tym skromny, oszczędny w reakcjach i gestach, rzetelnie uczciwy. Z uznaniem mówiło się o nim. Ludzie ściskami mu dłoń, gratulowali, wypowiadali pochwalne opinie.

Janek jest kimś. Tym, kogo się zna z imienia i nazwiska, lubi i ceni. Komu się ufa. A on to przyjmował godnie i ze spokojem. Czuł się swobodnie, choć chwilami ze wzruszenia łamał się mu głos. I ani na chwilę nie zapomniał o rodzinie, która była z nim, dzieląc jego satysfakcję.

Skromny, ciepły i miły. Miał prawo poczuwać się do dumy, będąc osobą dowartościowaną. Janek tymczasem tonował pochwały. Cała sztuka - podkreślał - polega na tym, żeby być tam, gdzie coś się dzieje, mieć w ręku aparat i oczy szeroko otwarte oraz dobrze się ustawić. Po to, by z mnóstwa obrazków wybrać i uchwycić ten jeden, szczególnie, który powie wszystko.

Takie to proste, a zarazem piekielnie trudne! Janek z aparatem nigdy się nie rozstaje. Na wystawie zaprezentował ponad 40 aparatów fotograficznych, od najstarszych po najnowsze, którymi się posługiwał.

Byłem - zapewne jak Halka, jak Alina i jej synowie, wnuki i synowa - dumny i wzruszony. Tym, że mój brat jest lubiany i doceniany. Poważany i hołubiony. I gdzieś tam, z głębi serca i zakamarków pamięci, powróciły wzruszające sceny naszego dzieciństwa; mogące zaprowadzić nas na manowce. Kiedy zostaliśmy najpierw pozbawieni ojca, a potem także mamy. W żaden sposób nie byliśmy władni dopuszczać chociażby cienia przypuszczenia, iż dzięki boskiej opatrności jednak wyrośniemy na ludzi.

## *Dzieci Eli i Irka*

Ciesząc się wnuczętami, podzielamy radość, jaką z tego samego powodu mają Alina i Janek. Mikołaj i Irenka, nasze wnuczęta, rozwijają się doskonale. Mikołaj w 2008 roku poszedł do cenionej szkoły niepublicznej, a Irenka do przedszkola. A nam, staruszeko, wydaje się ciągle, że jeszcze nie tak dawno ich mama, a nasza córka, była kochanym i kochającym dzieckiem...



*Wspólna dla nich, Halki i pana Jerzego Głowali, była troska o dzikie koty i ogródek. Pan Jerzy zmarł mając 90 lat. Spędził kilka lat pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglików w radzieckim łagrze w pobliżu Morza Białego. Pomimo to zachował pogodę ducha i wiarę w ludzką dobroć.*

Problemy, których jej nigdy nie brakowało i nie brakuje, lubi „ugniatać” sama. Bo też, ja to widzę, bardzo trudno przychodzi jej godzić rolę dobrej matki i żony oraz dziennikarki.

W mej pamięci Ela utkwiała najbardziej z okresu, kiedy była dzieckiem. Posłusznym, kochanym, dobrym. Szanowaliśmy jej wybory, nakazując, by nie była łatwowierna i nieodpowiedzialna. A potem, kiedy już stała się nastolatką, troska o Elę wzrosła. Urodziwa i sympatyczna, śmiało i odważnie rozpościerała skrzydła, rwąc się do samodzielnego lotu. Pragnęła czym prędzej wyskoczyć z rodzinnego gniazda, przekonana, że poza domem spotka wyłącznie szczęście i radość.

Brała kiedyś udział w obozie języka angielskiego w Dębnie Lubuskim. Tęskniąc za nią, byłem pewny, że nie popełni głupstwa, ale trudno było mi zachować spokój. To była nasza pierwsza tak długa rozłąka. Wcześniejsza, kiedy Ela uczestniczyła w kolonii RSW Prasa w

Skończyła szkołę podstawową i średnią, następnie Uniwersytet Warszawski, zdobyła doświadczenia w dziennikarskim fachu. Zaczęła od telewizji kablowej „Porion”, potem była TVP, później pracowała w reklamie i w redakcji „Pani domu”, a od paru lat - będąc kierownikiem działu mody - pracuje w miesięczniku kobiecym „Olivia”.

Córki są zazwyczaj bliższe matkom niż ojcom. Ela zwierzała się mamie ze swoich trosk i rozterek, choć zapewne nie ze wszystkich. Z nami obojga dzieliła się radościami. Nie należy jednak do osób szczególnie wylewnych.

Buczkowicach koło Szczyrku, była krótszą. Nawet żonie nie zwierzałem się ze swego stanu psychicznego.

Wziąłem delegację służbowa i pojechałem w teren zbierać materiał dziennikarski, w okolice zbliżone do tej miejscowości, żeby przy okazji odwiedzić Elę. Była - chyba mile - zaskoczona moją wizytą. Jednak nie tak czuła i wylewna, tuląc się do ojca, jak było to przedtem. Jej myśli błądziły wokół towarzystwa, w którym przebywała. Czułem, że ją tracę, że już tylko w części należy ona do mnie i wcale nie jest tak - jak kiedyś - uzależniona od nas. Zrozumiałem, że niedługo upomni się o samodzielność. To normalne, niemniej poczułem się bezradny i w drodze powrotnej długo rozmyślałem.

Kiedy obcuję z dziećmi Eli i Irka Łuszczewskich, tak jak babcia, kochając je mocno - przypomina mi się dzieciństwo naszej córki. Była



*Ireneusz Łuszczewski z Elą i córeczką Irenką, krótko po jej narodzinach rankiem 9 lutego 2005 roku.*

spolegliwa i impulsywna, otwarta i ruchliwa, śmiała, nawiązywała łatwo kontakty. Taką wydaje mi się być również Irka. Mikołaj jest bardziej ostrożny i staceczny. Powściągliwy. Mniej impulsywny i nie tak przylepny.

Nasze wnuczęta wyróżniają się zdolnością i wrodzoną inteligencją. Mikołaj ma umysł ścisły, bujną fantazję, której nie brakuje

też Irenie, a ponadto odznacza się dużymi zdolnościami manualno-konstruktorскими. Odkrył w sobie pociąg do lepienia i wypalania wyrobów z gliny, wykonując je - jak na wiek dziecka - na wysokim poziomie.

Irka wykazuje zdolności humanistyczne. I jedno, i drugie, co nas cieszy, przepada za książkami. Mikołaj posiadał umiejętność czytania tekstów drukowanych wielkimi literami zanim jeszcze trafił do przedszkola. I on, i ona pasjami lubią oglądać bajki. Chętnie i dużo rysują.



A że Irenka częściej niż Mikołaj przebywa z nami, nocując także u nas, jest - jak można sądzić - bardziej związana z dziadkami. Mikołaj czuje się wskutek tego pokrzywdzony i radby też częściej u nas bywać.

Kim zostaną? Co osiągną? Jakimi okażą się w przyszłości? Czego dokonają i jakim wartościom będą hołdować? Gdy znajdą się odpowiedzi na te i podobne pytania, nas - ich dziadków - już nie będzie. Jeden Pan Bóg wie, jaki los czeka Mikołaja i Irenkę.

Elżbieta nie stwarzała nam w przeszłości żadnych trudnych problemów; ani w nauce, ani wychowawczych. Była obowiązkowa. Nie trzeba było zapędzać jej do odrabiania lekcji czy też czytania książek. I nie było potrzeby zapewniania jej korepetycji. Była zdolna i ambitna.

Nie wygasła u Eli miłość do książek, jakkolwiek dotkliwie brakuje jej na nie czasu. Bolejemy - że pracuje ciężko. Jest zabiegana i obciążana nadmiernie obowiązkami. To przecież kapitalizm w polskim wydaniu.

Też pracowałem dużo, może nawet za wiele, co potwierdza żona, lecz nigdy aż tak wyczerpująco, jak Ela. Jej harówki nie dałoby się porównać z moją. Proszę mi wierzyć, cieszę się bardzo, że kiedy ja uprawiałem swój zawód - też narzekając ciągle na to czy tamto, złorzecząc, będąc niezadowolonym z rzeczywistości - było jednak lepiej. Bardziej po ludzku.

Córka pracuje w kapitalizmie, a ja wcale jej tego nie zazdroszczę. To ona musi zdecydowanie bardziej „gimnastykować” się w pracy, uskarżając się na stosunki międzyludzkie, aniżeli kiedyś robiłem to ja.

Miałem chyba też większą od niej satysfakcję z efektów pracy i więcej czasu dla siebie i domu. Zbuntowałbym się - czego ona nie uczyni - dążąc do bardziej ludzkich warunków pracy. Cóż bowiem ma do powiedzenia osoba, której zadaniem - bez mała jedynym - jest napędzanie pieniędzy do kieszeni właściciela firmy?

Inne czasy. Inne zwyczaje. Ja to rozumiem. Dlaczego jednak aż tak zdziżałe? Nieludzkie?

Ela wychodziła sama do szkoły i sama stamtąd wracała. Na żoliborskim osiedlu „Zatrasie”, znajduje się szkoła podstawowa, którą Ela ukończyła z wyróżnieniem. Irenka z dziecięcą naiwnością i szczerością uznała, iż ona też chciałaby bardzo uczyć się tutaj, gdzie uczyła się jej mama.





*Mikołaj Łuszczewski, urodzony w Warszawie 16 sierpnia 2002 roku, zdążył poznać swą prawie 100-letnią prababcię Irenę Mierczyńską. Zdjęcie górne, prawe: babcia Hala z wnuczką Irenką. Dziadek Henio (zdjęcie środkowe, z lewej) trzyma w ramionach wnuczka Mikołaja. Na dole - Mikołaj już starszy, z babcią Teresą z Lublina.*

Startując w finale olimpiady z biologii, Ela zdobyła punkty upoważniające ją do podjęcia bez egzaminów nauki w wybranym liceum ogólnokształcącym. Zdecydowała się na LO na Bielanach, które skończyła z wynikiem bardzo dobrym.

Studia na UW też wybrała sama. Wybór nas ucieszył, gdyż UW to uczelnia prestiżowa i o wysokim poziomie studiów, którą również ja skończyłem. Z obranego

kierunku studiów nie byłem jednak usatysfakcjonowany uważając, iż zawód dziennikarza dla kobiety jest zbyt trudny, wymaga dużo wysiłku i poświęcenia, choć ciekawy i modny. Zastrzeżenia, jakie wówczas miałem, wyprowadzając je z własnych doświadczeń, a było to przecież w epoce socjalizmu, nie pokrywają się z aktualną oceną tego zawodu.

Ela właśnie na UW uzyskała tytuł magistra dziennikarstwa. Studia jej przebiegały pomyślnie i ani przez chwilę nie były zagrożone. Uważam, że postąpiłaby rozsądniej, gdyby zdecydowała się na wybór innego kierunku studiów. Cóż, pociągało ją dziennikarstwo, co dowodzi, iż zawód ten w mojej rodzinie stał się dziedziczny.

Zajęła się modą. Kobięcą. To prawdziwa i autentyczna jej pasja. Gdyby posłuchała mnie i po ukończeniu UW podjęła studia podyplomowe w Łodzi z zakresu projektowania i aranżacji mody, uczyłaby lepiej. Stałaby się dobrą projektantką, bo odznacza się bogatą wyobraźnią i inwencją twórczą. Ela posiada wytrawny gust i wrodzone poczucie estetyki, a ponadto - co zostałyby przecież rozwinięte i udoskonalone - ma duże zdolności plastyczne.

### *Życie brać za rogi*

Przerzedziła się moja rodzina w Terebeli. Wcześniej niż można było oczekiwać odchodzili na wieczne odpoczywanie bliscy krewni. Zmarł senior rodu Stanisław Maziejuk, mój stryjek. Stryjenki Anastazji z domu Adamczuk, wywodzącej się z Zakanala pod Konstantynowem, w ogóle nie pamiętam, gdyż umarła w 1941 r., gdy byłem dzieckiem.

Pierworodną córką Władysława i Marianny Maziejuków, mego szwagra i siostry stryjecznej, była Alicja, która zmarła w 1956 roku - kiedy byłem na studiach - mając niespełna 16 lat. Drugim ich dzieckiem - w kolejności - był Waldemar, a w 1947 roku przyszła na świat Danuta, zaś Czesław urodził się w 1952 r.

Przedwcześnie - w 1977 roku - zmarł Stanisław Maziejuk, mój wujek i ojciec chrzestny, starszy brat Marianny, syn Anastazji i Stanisława. W rodzinie mówiono, że Strach „zza rudy”, bo wybudował się i zamieszkał poza rudonośnym rowem - wtedy zasobnym w wodę - na kolonii Terebela, blisko Jagodnicy.



*U góry: stryj Stanisław Maziejuk i stryjenka Anastazja z domu Adamczuk, gdy się pobrali. Poniżej: senior rodu Stanisław, kiedy był już wiekowy, w otoczeniu swej rodziny - córki Marianny i zięcia Władysława (stoją za nim). Poza tym: od lewej - Waldemar z bratem Czesławem, dzieci Marianny i Władysława Maziejuków, a pierwsza z prawej Danuta.*

w środku Terebeli. Potem pobudował się przy gościńcu, gdzie obecnie mieszka Danuta. Zapamiętałem ją, piękną dziewczynę, z okresu kiedy mieszkałem w Jagodnicy i bywałem często w Terebeli. Później bardzo rzadko tam gościłem. Danuta wyszła za mąż za Janusza Pawłowskiego. Odwiedziłem ją z Halką, gdy z mężem mieszkała w Białej Podlaskiej, niedaleko dworca PKP. Janusz zmarł w młodym wieku.

Wujenka Janina umarła w 1972 r. Wspominam ich jak najlepiej. Odwiedzałem ich „dom pod blachą”, dobrze widoczny z rodzinnego podwórka, przyjmowany zawsze ciepło i goszczony. Zapamiętałem wyprawy wielkanocne po kraszone jajka, co określało się wtenczas - z chachłacka - „wołoczebnym”. Choć ów dom, stojący dotąd, był ciasny, urodziło się w nim i wychowało siedmioro dzieci. Pierwsi z tego grona, Czesław, Tadeusz, Zygmunt i Regina, to - nie wdając się w szczegóły - niemalże moi rówieśnicy. Pozostali - zdecydowanie młodsi.

Stryj Stanisław, co utwierdziło się w mej pamięci mieszkał,

Powróciwszy do Terebeli, Danuta opiekowała się chorującymi rodzicami, co wymagało wiele samozaparcia. Parokrotnie odwiedzaliśmy ich wtedy. Gdy byliśmy w Jagodnicy, droga do Terebeli była bliska. Jednakże nasze pobyty w Jagodnicy - co brało się z zapracowania - też nie były częste.



*Wujek Stanisław Maziejuk, mój ojciec chrzestny i ciocia Janina z kolonii Terebela. Zdjęcie z lat 60. ub. wieku. A obok rodzina Maziejuków sfotografowana podczas okupacji niemieckiej w 1943 r. Widoczni od lewej: Czesław, ciocia Janina, Zygmunt, wujek Stanisław z Reginą na kolanach i Tadeusz.*

Po Januszu pozostali Danucie dwaj synowie, Marcin i Michał, którzy usamodzielnili się już dawno temu. Obok pobudował się Czesław, nazywany „Ceśkiem”, który ożenił się z Celiną z domu Żylików. Zajął się ogrodnictwem. Czesław i Celina Maziejukowie mają troje dzieci. Córka Magda osiadła w Anglii, kończąc tam przerwane w Lublinie studia ogrodnicze. Syn Sylwester skończył zawódówkę, zaś Bartłomiej przerwał studia.

Staralem się nie zaniedbywać krewniaków, jednakże ciężące na mnie obowiązki, których nigdy mi nie zbywało, utrudniały to. I ani człowiek się obejrzał, a tu już - niestety - nie ma ludzi, z którymi radbym bliżej pozostawać. Odchodzą. Po sobie zostawiają żal i wspomnienia.

Marianna Maziejuk, moja siostra stryjeczna, którą nazywaliśmy w rodzinie „Manią”, zmarła w 1991 r., mając niespełna 70 lat. Jej mąż, a mój szwagier, Władysław odszedł ze świata w 1994 r. Był człowiekiem barwnym i dobrotnym. Pochodził z licznej rodziny Pawła i Anny Maziejuków z Burwina, nie będąc w żaden sposób spokrewniony z naszym rodem.

Od trzeciego roku życia Władek był sierotą, jego rodzice zginęli podczas I wojny światowej. Wychowali go starsi bracia Tadeusz i Stanisław. Pozostał do końca człowiekiem sprawiedliwym i wrażliwym na ludzki los.

Z dzieci Mani i Władka najdalej odszedł Waldek. Duży wpływ na jego wychowanie miał dziadek Stanisław, mój stryj, którego on bardzo lubił. Starszy od mojego ojca Franciszka, pochodzący od Leona i Anastazji z domu Sidoruk, był carskim żołnierzem. Trafił na front I wojny światowej. Został jeńcem austrowęgierskim. Parę lat był w niewoli. Gdy powrócił do Terebeli, a zdążył do niej przez Kraków, na sobie miał białe spodnie i czapkę-beret. Otrzymał wskutek tego przezwisko „Czypec”. Za zaoszczędzone pieniądze nabył dwie morgi ziemi, zostając gospodarzem.

Waldemar Maziejuk zrobił największą w tej rodzinie karierę. O ile jego ulubiony dziadek był analfabetą, o tyle on został magistrem. Lecz dlaczego, skończywszy Technikum Ekonomiczne



*Na zdjęciu powyżej: Marianna i Władysław Maziejukowie z Terebeli. Poniżej: ks. Czesław Maziejuk udziela ślubu Januszowi Pawłowskiemu i Danucie Maziejuk, córce Marianny i Władysława.*



w pobliskiej Białej Podlaskiej, wybrał się na studia aż do Krakowa, a nie miast bliższych, Lublina czy Warszawy?

- Gdy byłem z wycieczką szkolną w tym mieście, zakochałem się w nim! - wyznaje Waldek. - Zauroczyły mnie jego zabytki, architektura i klimat, atmosfera. Już wtedy powiedziałem sobie, że właśnie tutaj będę studiować...

Studia rozpoczął w 1959 roku, gdy ja rok wcześniej ukończyłem swoje. Zdecydował się na Wyższą Szkołę Rolniczą, ponieważ - to rozumiałe - pociągało go rolnictwo. Studia przebiegły pomyślnie. Problemy jednakże, niezawinione, pojawiły się potem. Wzięły się ze zdżerzenia ambicji i wyobrażeń z twardą rzeczywistością.

Bo to pragmatyk i idealista, entuzjasta, gotów poświęcać się pracy i rozwiązywać bez wytchnienia trudne zadania. Zawsze brał życie



*Portret ślubny Waldemara Maziejuka i Beaty z domu Zathej.*

za rogi. Natknął się tym czasem na ludzką zawiść, ludzi miąkkich i niezbyt uczciwych. A że sam był prostolinijny, nie lubił popuszczać zawalidrogom, mając przy tym język cięty i nie obawiając się krytyki. A takich się nie lubi i podstawa im nogi.

Zdawać się mogło, że kłopoty pojawią się zupełnie gdzie indziej i będą innej natury. Zakochał się na studiach w dziewczynie z miasta. On syn podlaskiego chłopca, a ona - Beata - córka profesora, wychowana w inteligentnym domu. Lecz miłości, jak się okazało, to wcale nie przeszkodziło.

Waldek czuł się szczęśliwym. Teść Krzysztof Stanisław Zathej, który zmarł w 1999 roku, był po-

stacją nietuzinkową. Profesor UJ, ceniony historyk i bibliotekarz, rękopisoznawca. Człowiek wszechstronnie obeznany z kulturą i sztuką renesansu oraz średniowiecza. Kustosz Biblioteki Narodowej. Pocho-



dził z rodziny uczonych i artystów. Jego ojciec i dziadek byli malarzami. Ten ostatni, Aleksander Gryglewski, to wybitny malarz i profesor krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, przyjaźnił się z Janem Matejką, Arturem Grottgerem i Aleksandrem Kotsisem.

Zaskoczeniem było, że to właśnie Beata pragnęła wyrwać się z wypełnionego historią miasta, by osiąść na wsi. Waldka pociągały urokliwe uliczki i kamienice starego grodu. Beata była na drugim roku WSR. Naturalne było to, że Waldek, mając dyplom inżyniera-rolnika, trafi do PGR. W udziale przypadł mu pod elbląski PGR Adamowo, gdzie został kierownikiem wchodzącego w skład kombinatu 300-hektarowego gospodarstwa.

- Sądziłem, że mogę przewracać góry. Nie obawiałem się niczego, co mogłoby okazać się niemożliwe do przewyciężenia - mówi po latach Waldemar. Wdrażał w praktyce zdobytą na studiach wiedzę teoretyczną, zaskakując obserwatorów energią, inwencją i uporem w działaniu. Podupadłe gospodarstwo całkowicie zmienił. Przekraczał wskaźniki ekonomiczne, zwiększał wydajność mleczną krów i miał udane ich wycielenia. Eliminował bałagan i kradzieże. Cztery lata kierował PGR.



*Beata i Waldemar z synkiem Tomkiem.*

Rodzina powiększyła się, najpierw - w 1967 roku

- o syna Tomka, a potem pojawił się Wawrzyniec. I kiedy wydawało się, że tutaj właśnie, blisko Bałtyku, uda się im uwić zgrabne rodzinne gniazdko - pojawiła się kusząca propozycja przejścia w Bieszczady.

Jakoby chodziło o powierzenie zadania bardziej ambitnego, a naprawdę o przejęcie łakomego kąska, jakim stało się Adamowo. Przenosi się do Krępej, by zbudować od podstaw ośrodek resocjalizacyjny dla więźniów. Miał urządzić samowystarczalne państwowe gospodarstwo rolne, zatrudniające osoby odsiadujące wyroki. Bagatela, aż 4500 ha połonin do zagospodarowania, w tym 600 ha zarośli do karczunku.

Zostawiając dzieci u babci, a żonę mając przy sobie - zabrał się z impetem do roboty. Przez 5 lat, będąc dyrektorem, zbudował zakład karny z prawdziwego zdarzenia i mieszkania dla pracowników. Więźniowie pracowali na roli, zajęli się hodowlą zwierząt, doili krowy i warzyli sery, karczowali dziko rosnący las, obsługiwali przetwórnię spożywczą i tartak. Polubili te zajęcia i odnaleźli się tutaj.

Nie było trudnych spraw - wspomina Waldek. - Wsiadałem na konia i objeżdżałem jak traper swe gospodarstwo. Czułem się wręcz szczęśliwy. Wychodziło mi wszystko.

Liczył sobie wówczas niewiele ponad 30 lat. Jak dziadek Stanisław z Terebeli - zapuścił wąsy i nosił długie włosy. I był dumny z osiągnięć, które przysparzały mu uznanie, nagrody i premie, oraz dyplomy. Ci, co przyjeżdżali na kontrolę i zwiady z podziwu kręcili głowami.

I kiedy mogło się zdawać, że ów kraniec kraju, odległy a tak bliiski - w którym spełnili się oboje - stanie się ich życiową przystanią, nadeszła decyzja powalająca z nóg. Odwołanie. W jeden dzień musieli spakować się i opuścić Krępną, by - znowu, jak w Adamowie - zrobić miejsce dla kogoś ważnego, kto upatrzył je dla siebie, absolutnie nie znając się na rzeczy.

- Poczułem się tak, jakby walił się świat! - wyznał Waldek.

Zamiast bezpiecznej przystani, zostały wzburzone fale i zdradliwe mielizny. Miotano więc Beatę i Waldkiem w różne strony. A to był Jodłownik koło Tymbarku, a to Pęcław koło Głogowa - zupełnie w drugiej części kraju, gdzie przez 3 lata Waldek kierował fermą bydła liczącą 800 krów. Przełożeni, często zwyczajni dyletanci, sądzili naiwnie, że jeżeli opieprzać bez racji kierownika, to krowy zaczną dawać więcej mleka. A dla niego, wychowanego w duchu chłopskiej solidności, najważniejsza była prawda i działanie zgodne z sumieniem. Na tym tle rodziły się konflikty. Tam właśnie, sto kilometrów od Wrocławia, Beatę i Waldka zastał stan wojenny. Zaistniała dobra okazja, żeby pozbyć się niepokornych.

Zamienili wówczas PGR na RSP Buczyna, też niedaleko od Głogowa, gdzie Beata była zootechnikiem, a Waldek został kierownikiem produkcji. Jedną połowę spółdzielców stanowili Łemkowie, wypędzeni z Bieszczadów zaraz po wojnie, a drugą - repatrianci z Podola. Waldek zorganizował koło „Solidarności”, które zespoliło obie grupy. A

gdy zapuścił brodę, gdyż brakowało żyłek, oponenci uznali, że to... polityczna demonstracja. „Nasz pan inżynier - mówili - solidaryzuje się z Lechem Wałęsą”.

Znowu trzeba było odejść. Waldek wrócił do PGR-ów. Przyjęto go tam z otwartymi ramionami. Gdy wygrał konkurs na dyrektora, powierzono mu PGR Mszana obok Krosna. A więc znowu Bieszczady. Był rok 1984. Gospodarstwo liczyło 2500 ha.

Zakotwiczyli się tam oboje na dobre. Tymczasem po roku Mszana stała się oddziałem „Igłopolu”, pierwszej w Polsce sensownej spółki akcyjnej o charakterze rolno-przetwórczym. Fajna sprawa. Waldek stanął na czele tego oddziału, podejmując się trudnego zadania; ale on nie bał się takich wyzwań.

Rozprawił się anonimami. Jedni szczuli przeciwko drugim. Szły też one w górę - na niego. Potem zajął się dyscypliną, uporządkował gospodarkę. Wdrażał poczucie odpowiedzialności za powierzone zadania i stanowiska. I dlatego przyszły efekty.

Uporządkował hodowlę. Poprawił wyniki i wskaźniki ekonomiczne. Zbudował tartak i stolarnię oraz ubojnię zwierząt. Zorganizował firmę eksportową. Selekcjonował owoce i rozwijał hodowlę bydła.

Firma rosła, „Igłopol” przejmował kolejne PGR-y, w tym również „jego” Krępę. Za dobre wyniki - były dla Waldka premie, jak też słowa uznania.

A koniec, wiadomo, znowu był byle jaki. Któryż to już raz? Po prostu - jakby na zasadzie ciosu między oczy - zapadła decyzja (a był już rok 1991) o rozwiązaniu „Igłopolu”; decyzja głupia, ale nieodwołalna. Pojawił się w Mszanie likwidator, opieczętowując wszystko, co się dało.

A oni zostali na lodzie.

### *Zaczęło się od „Figi”*

Zdecydowali się jednak pozostać w Mszanie, bowiem pokochali góry. Ale z czego żyć, co robić? Założyli, co było wtedy w modzie, spółkę pracowniczą, która okazała się niewypałem. Wspólnicy zawiedli, długi pozostały. Tamci dali drapaką, oni zostali. Postanowili działać w innej konfiguracji.

Waldek, chcąc spłacić długi, sprzedał ulubiony zabytkowy samochód, jaki kupił w okresie prosperity. I tym razem - a był już rok 1998 - założył spółkę, tyle że rodzinną, bo z synem Tomaszem. Wzięli w dzierżawę ponad 130 ha ziemi, przejęli też tartak. Trzymając ponad 40 krów, sprzedając mleko do mleczarni w Sanoku - zaczęli gospodarować na własną rękę.



*Bieszczadzka rodzina Maziejuków. Waldemar i Beata z synami (od lewej, na dole) Tomaszem i Wawrzyńcem oraz ich żonami i dziećmi.*

li gospodarować na własną rękę.

Gdy pojawiła się w zagrodzie mała koza, zwana „Figą”, nawet nie przypuszczali, że to ona właśnie mieni charakter ich gospodarowania życia. Zaakceptowali ją z sentymentu, odkryli bowiem w domowym archiwum fotografię prababci Beaty, ukazującą taką samą kozę.

Padł pomysł, żeby - poza krowami - nastawić się również na chów kóz. Sytuacja sprzyjała. Pojawiło się wówczas - na korzystnych warunkach - unijne wspieranie gospodarstw ekologicznych, a później także tradycyjnych produktów spożywczych.

- To przesądziło o profilu gospodarstwa - stwierdza krótko Tomek Maziejuk, który dba w nim głównie o marketing i zbyt wyrobów oraz zewnętrzne kontakty firmy.

Kóz jest teraz więcej od krów. Pozyskują mleko ekologiczne, które sami przetwarzają. Zajęli się wyrobem smakowitych kozich serów. Dwa rodzaje ich, co uznać trzeba za duży sukces, bryndza i wołoski biały oraz wędzony wpisane na krajową Listę Produktów Tradycyjnych. Na równi z zakopiańskim oscypkiem. Wyroby te, jak też krowi bundz i kozi twarożek, zdobyły certyfikat i uznanie konsumentów.

Jest owczarnia, obora i serownia z wielkim kotłem oraz maszyną do próżniowego pakowania wyrobów. Korzystając z naturalnych



*Maziejukowie, Waldemar z Beatą. Czy spełniły się ich młodzieńcze marzenia? Czy osiągnęli to, czego chcieli? Chwila zadumy i szczerzej rozmowy we dwoje. Na zdjęciu dolnym: Tomasz, syn Beaty i Waldemara z żoną Agnieszką i córką Kasią.*

pastwisk i łąk, zwierzęta utrzymują się wedle ekologicznych zasad. Beata dba o ich dietę i zdrowie, a Waldemar strzeże tajemnicy receptur i technologii sporządzania wyrobów. Osobiście doprawia produkty ziołami i czosnkiem.

Produkcja jest tradycyjna i regionalna. Skąd jednak Wołosi w gminie Dukla? Otóż dawno temu, bo dokładnie w roku 1435, Mszana - jak wygrzebali w starych zapisach - była założona na prawie wołoskim. Wołosi osiedlili się tutaj i kozimi serami splotali daninę swoim panom.

Gospodarstwo ekologiczne Maziejuków, Waldemara i Tomasza, figuruje na liście krajowej. Dostarcza wyroby do sklepów z żywnością ekologiczną w całym kraju, zwłaszcza w Krakowie i Warszawie oraz na Śląsku. Pod własną etykietą, z wizerunkiem „Figi”.

A młode pokolenie bieszczadzkiego rodu Maziejuków? Tomasz za żonę wziął Agnieszkę. Ich dzieci to 16-letni Albert, 9-letnia Kasia

i 7-letni Filip. Wawrzyniec, drugi syn Beaty i Waldemara, ożenił się z Hanną. Mają 9-letnią Alicją i 3-letnią Ninę. Gdzie rzuci ich los?

Kontakty z Waldkiem nie należą do częstych. Nasze drogi mijały się daleko od siebie. Dawno temu odwiedził nas i wtedy poznała go Halka, odnajdując w nim wiele plusów.

Gdy bywałem z żoną w Terebeli, Waldka jednak tam brakowało. Natknęła się na niego Marysia Piwniczuk z Jagodnicy, moja bratanica, gdy kurowała się w Iwoniczu-Zdroju. Odwiedziła rodzinę Waldka. W końcu, będąc z Tomkiem w Warszawie, spotkaliśmy się u nas na dłuższą rozmowę.

### *Zawsze wśród swoich?*

Kieruję swe kroki najpierw na leśniański cmentarz, gdzie spoczęli moi rodzice i dziadkowie, siostra Lodzia, brat Antoni i bratowa Franciszka. Odwiedzam mogiły krewnych, sąsiadów i bliskich znajomych. Na bialskiej nekropolii, gdzie pogrzebano terebelskich krewniaków, bywam przeważnie w Zaduszki.

Jeździłem tam wprawdzie z bratową Franciszką, a po jej śmierci z Piwniczukami, Marysią i Bronkiem. Sam nie mogę spamiętać, gdzie znajdują się ich groby.

Spoczęli tam krewni i znajomi. Wujek Aleksander Ceniuk, rodzony brat mamy, jego żona - a moja ciotka - Julia, ich synowie Stanisław i Marian. Wspominałem ich w książce „Urodzony w czepku?”

Na bialskim cmentarzu są mogiły Misiejuków, brata ciotecznego Kazimierza i jego żony Ireny. Spoczęli tam ich dwaj synowie, którzy zmarli w młodym wieku, nie zostawiając następców. Znajdują się tam też mogiły członków rodziny bratowej Franciszki ze Sławacinka, jej mamy i ojca, których zdążyłem poznać, jej siostry Józefy i męża Aleksandry Kaliszewskiej, których lubiłem i ceniłem.

Niedawno nad mogiłą rodziców stawaliśmy we trzech, Antek, Janek i ja. Potem spotykałem się tam tylko z Jankiem; także bardzo często z żoną Haliną. Szliśmy następnie nad mogiłę Antka i Frani.

Światała mi myśl, czy by samemu tam spocząć? Obok swoich najbliższych. Już wiem, iż trafię do rodzinnego grobu na warszawskim Cmentarzu Północnym, gdzie spoczęła trumna z teściową Ireną Mierczyńską.



Leśniański cmentarz jest z dwóch stron otaczany przez las, a trzecią stroną otwarty na dolinę Klukówki i ludwinowskie łąki. Czwartą - na wieżę bazyliki ojców paulinów, gdzie znajduje się „kamienna madonna” - Matka Boska Leśniańska, opiekunka Podlasia.

Spoczywają tutaj liczni znajomi, wśród których wzrastałem, żyłem. Dziadkowie moi, rodzice koleżanek i kolegów. Nauczyciele i wychowawcy, ojcowie paulini. Ich twarze zacierają się w mej pamięci.



*Czas nieubłaganie ucieka. Już nigdy potem, niestety, nie spotka-  
liśmy się w Jagodnicy w takim samym zestawieniu, jak tutaj - po  
weselu Urszuli z domu Maziejuk i Franciszka Dudków. Na samej  
górze - na zdjęciu - stoją od prawej: Antoni Maziejuk, jego zięć Bro-  
niśław Piwniczuk (przesłonięty), bracia Henryk i Jan (przesłonięty).  
Stoją przed nimi: Alina, żona Janka, nasza córka Elżbieta i Ma-  
rianna Piwniczuk z mamą Franciszką. Siedzą od prawej: Zbigniew  
Maziejuk, ciocia Paulina Misiejuk, moja żona Halina i szwagier  
Henryk Juszczyk. Widoczny na samym dole - w rogu zdjęcia - Ro-  
bert, syn Aliny i Jana Maziejuków.*

Zmarli milczą. Mówią ci, co żyją. Pamiętajmy o umarłych. Mówmy - ciepło i serdecznie - jak najwięcej o tych, którzy żyją wśród nas i są nam bliscy. Nawet gdy los rzucił ich daleko od nas.

Moi krewni rozpiezchli się po Polsce. Słabną też jagodnickie ko-  
rzenie. Jest tam już tylko Marianna z rodu Maziejuków, moja chrze-  
śniaczka, córka Anto-  
niego i Franciszki, która  
wyszła za mąż za Broni-  
sława Piwniczuka. Sylwia,  
ich latorośl, w maju 2008  
r. obchodziła 18, urodzi-  
ny. Opuści Jagodnicę. Po  
studiach osiadzie w ja-  
kimś mieście, może dale-  
ko od Podlasia.

Zbigniew Maziejuk,  
mieszkający z żoną Hali-  
ną w grodzie nad Krzną,  
przeszedł - będąc uzna-  
nym nauczycielem - na  
wcześniejszą emeryturę.  
I teraz ciągnie Zbyszka



*Antoni Maziejuk z wnuczką Sylwią Piwniczukówną. Był seniorem męskiego rodu Maziejuków w Jagodnicy.*

do Jagodnicy. Samochodem lub rowerem odwiedza często siostrę i szwagra. Spotykamy się tam. Chodzę ze Zbyszkiem na spacer, a gdy jest urodzaj - idziemy na grzyby do „Borku” czy też „Krówki”. Córka Zbyszka i Halinki, Liliana, ukończyła - jak wspomniałem - anglistykę na Uniwersytecie Łódzkim. Osiedła na dobre w Łodzi, zostając nauczycielką. Założyła swoją rodzinę, wychodząc latem 2008 roku za mąż za Grzegorza Godalę.

Zaszły zmiany u Dudków w Rakowiskach. Urszula z domu Maziejuk, siostra Marianny i Zbigniewa, żona Franciszka pracuje w przedszkolu, a jej mąż w nadleśnictwie. Córka Aneta mieszka w Warszawie, gdzie kończy magisterskie studia pielęgniarские. Emilia Dudek, druga córka Urszuli i Franciszka, też podjęła studia. A w Białymstoku śmierć zabrała nagle Zygmunta Podkowika, męża Zofii, którego bardzo ceniłem.

## *Rodem z Terebeli*

Za sprawą Zygmunta i Zofii, których syn Arkadiusz z żoną Anną przejął ojcowiznę, terebelski ród Maziejuków trzyma się mocno. Powiększyli go młodzi o chłopaka i dwie córki. Arek jest jednak już ostatnim rolnikiem z tegoż chłopskiego rodu.

Najstarszy brat Zygmunta ks. mgr Czesław Maziejuk, doczekawszy się emerytury, osiadł na stałe w Białej Podlaskiej. Czesław postu-



Był rok 1959. Fotografia pamiątkowa rodziny Maziejuków z kolonii Terebela. Siedzą w środku, trzymając najmłodsze dzieci (od lewej: Tereskę, Romka i Józia), ciocia Janina i wujek Stanisław. Stoją od lewej: Tadeusz, Regina, Zygmunt i Roman. Na zdjęciu dolnym: Biskup Podlaski Ignacy Świrski udziela święceń kapłańskich w katedrze siedleckiej - a było to w czerwcu 1960 roku - ks. Czesławowi Maziejukowi.

gę duszpasterską sprawował w kilku parafiach. Ukończył Seminarium Duchowne w Siedlach. Najpierw objął wikariat w Rozbitym Kamieniu, następnie w Stężnicy nad Wisłą, w Rykach i Zbuczynie koło Siedlec.

Potem były parafie: Przemienienia Pańskiego w Łukowie, w Korytnicy nad Bugiem, Jelec, Tucznia, Huszlew oraz Rokitno. Wszędzie, gdzie był proboszczem ks. Czesław - remontował kościoły, a w Sarnowie (parafia Tucznia) zbudował jedną z dwóch „swoich” kaplic.

W tej samej wsi Żuki młodszy brat Tadeusz, trafiając tam zaraz po skończeniu leśniańskiego Państwowego Liceum Pedagogicznego na kierownika, w czynie społecznym wznosił szkołę, a jego starszy ks. Czesław - kaplicę.

Gdy Tadeusz Maziejuk debiutował w roli nauczyciela w Żukach, ja miałem uczynić to samo - jak wspominałem - w Krzywówce, niemalże po sąsiedzku. Poszedłem jednak na studia. Tadeusz po paru latach przeniósł się na kierownika szkoły w Studziance blisko Łomaz. Uczył następnie w Dobratyczach, Dubowie i Burwinie, gdzie w 1991 roku doczekał się emerytury.



*Podsumowanie wizytacji kuratorskiej szkoły podstawowej w Huszlewie koło Białej Podlaskiej. Przemawia ks. Czesław Maziejuk, który był tam katechetą.*

Najmocniej związał się z Dubowem, dokąd przybył w 1967 roku, zostając dyrektorem szkoły. Turaj zaowocowały organizatorskie zdolności Tadeusza, jego autorytet i zapał. Został prezesem OSP, którą to funkcję pełnił aż do 2006 roku. Z jego inicjatywy, powołując wcześniej społeczny komitet budowy, mieszkańcy, własnym sumptem wzniesli piętrowy Dom Kultury, którym była również remiza strażacka. Zagościła tam także sala sportowa. Tadeusz - dając przykład innym - krzewił i promował sport. Znalazł wielu zwolenników.

Dubowska OSP miała samochód, którym pospołu sportowcy i działacze, nawet księża, wjeżdżali na zawody strażackie i sportowe oraz festyny. Symbioza strażaków i sportowców oraz uczniów zrodziła - oczywiście za sprawą Tadeusza - inicjatywę powołania w Dubowie pierwszego w Polsce Uczniowskiego Ludowo-Pożarniczego Klubu Sportowego „Florian”.

Okazał się on dobrym sposobem na integrację nauczycieli, społeczników i inteligentów, którym zależy, by na wsi działo się coś dobrego.

Doświadczenia wypracowane w Dubowie pozwoliły założyć ponad 100 klubów „Florian”. Sprawdził się Tadeusz także na funkcji naczelnika gminy Łomazy, którą sprawował w latach 1974-77. Zapamiętano go jako dobrego gospodarza i sprawnego budowniczego. Był inicjatorem budowy szkoły. Stała ona wedle indywidualnego projektu, jaki Tadeusz przywiózł z Warszawy. Służy nadal potrzebom uczniów i nauczycieli.

Zmobilizował strażaków i ludność do wzniesienia hali sportowej, której budowa wraz z remizą strażacką - zaplanowana była wcześniej. Zalane zostały nawet fundamenty, na których wyrosły później brzoźki. Bo zapał zgasł równie szybko, jak się pojawił. Ponowny zapał okazał się jednak twórczy.

Tadeusz był też pomysłodawcą budowy Domu Kultury. Przyczynił się do uporządkowania historycznej osady. Gdzie kiedyś były rowy - powstały chodniki i trawniki. Po sobie zostawił stadion sportowy. Zajął się kirkutem.

Zanim doszło do wybuchu drugiej wojny światowej, w Łomazach od wieków mieszkała społeczność żydowska. W okresie okupacji naziści niemieccy wymordowali Żydów. Przeszłość tę przypomina kir-



kut, na którym pasły się krowy. Nie godząc się z tym stanem rzeczy Tadeusz zmobilizował mieszkańców, by uporządkowali cmentarz.

Teren uporządkowano i ogrodzono. Aż któregoś dnia pojawili się w Łomazach Niemcy. Nakręcili film, obfotografowali cmentarz, usiłowali wykreować Tadeusza na bohatera. Powiedzieli, iż płacić będą w markach osobom, które zaopiekują się kirkutem. Byli to - jak się okazało - krewni pomordowanych Żydów. Wdała się w to milicja, której podejrzanym wydało się międzynarodowe zainteresowanie kirkutem. Zniszczyli nagrania i klisze fotograficzne, gdyż... mogły mieć wywiadowcze znamiona.

Jeden człowiek, a tak wiele dokonań? Był bowiem Tadeusz - i jest nadal - działaczem pełną gębą. Także w Zrzeszeniu LZS. A dawno temu zaczęliśmy przecież razem, organizując w Jagodnicy koło LZS. Ja wziąłem rozbrat ze sportem, idąc swoją drogą, podczas gdy Tadeusz działał w Radzie Powiatowej LZS w Białej Podlaskiej. Dotychczas jest zastępcą przewodniczącego. Był wiceprzewodniczącym Rady Wojewódzkiej Zrzeszenia LZS w Lublinie. Przewodniczy Radzie Sportu przy Staroście Bialskim Tadeuszu Łozowskim, wspierającym poczynania Tadeusza Maziejuka.

Tadeusz nie zapomniał o spełnieniu osobistych ambicji. W 1976 roku skończył - w systemie zaocznym - trwające 5 lat studia w warszawskiej AWF. Został magistrem. W roku 1991 przeszedł na emeryturę i zamieszkał z rodziną w Rakowiskach. Nie zerwał z działalnością społeczną, przeciwnie - przeznacz na nią więcej czasu niż dotychczas.



*Tadeusz Maziejuk. Nauczyciel i zapalony społecznik. człowiek - instytucja.*



Z żoną Haliną dochował się pięciorga dzieci, które pokończyły szkoły i pozakładały rodziny. Pierworodny syn, także Tadeusz, zdobył uprawnienia instruktora tenisa stołowego i był inicjatorem nawiązania kontaktów sportowych z Holendrami. Prowadzi własny sklep. Córka Renata - jak ojciec - skończyła AWF. Jest nauczycielką wychowania fizycznego i przyrody. Jej mąż Andrzej Szydłowski również skończył AWF, a pracuje w Urzędzie Celnym

Córka Aneta Monika zrobiła studia magisterskie z zakresu nauczania początkowego. Za mąż wyszła za Andrzeja Pyndryka. Drugi syn Tadeusza Haliny, Ireneusz Mariusz, jest absolwentem technikum samochodowego. Za żonę ma Krystynę. Syn ich Tadeusz mieszka w Rakowiskach, podobnie jak córka Monika z mężem Andrzejem; mają syna Tomka, gimnazjalistę. Córka Renata mieszka w Zalesiu z mężem Andrzejem. Mają syna Łukasza.

Gdy przyrzeć się bliżej potomkom Tadeusza Maziejuka, mego brata z Terebela, można uważać, że oni poszli w ślady ojca. Interesują się pospołu sportem i pedagogiką.



Zofia i Zygmunt Maziejukowie z kolonii Terebela. Wtedy, kiedy się pobrali - na zdjęciu ślubnym, trzymanym w rękach - i teraz, gdy są emerytami.

## XII. IM DALEJ, TYM BLIŻEJ

### *Jaka elita, jaka klasa?*

Łączenie działalności społecznej z pracą zawodową - coś normalnego w PRL - było moją pasją. Chciałem być aktywnym uczestnikiem życia publicznego - i tak było. Zależało mi, żeby nie być osobą anonimową i mieć wpływ - na ile było to realne - na bliskie sobie sprawy.

Było to czasami niezbyt wdzięczne i trudne. Warunkiem zaangażowania było to, żeby nie odbywało się ono kosztem pracy i rodziny. Płaciłem, bo też inaczej być nie mogło, własnym czasem i brakiem odpoczynku. Żona nie stwarzała mi z tego powodu problemów, gdyż

sama również udzielała się społecznie.

Na uznanie trzeba oczywiście zasłużyć postawą i poglądami. Gdy nie ma się nic interesującego do powiedzenia, lepiej dać sobie spokój. I ważne jest też, aby zachować umiar. Brać na siebie tylko tyle, ile da się udźwignąć. Znałem osoby, które pozwalały - niczym choinki - obwieszać się nadmiarem społecznych zadań, co w konsekwencji kończyło się ich porażką.

Unikałem niepotrzebnych „ozdóbek”. Najpierw skupiałem się na ZMW i ruchu ludowym, potem również na stowarzyszeniu dziennikarzy. I nic ponadto. Rezygnowałem z aktywności w samorządzie terytorialnym spółdzielczym i gdzie indziej.



*Łączenie pracy zawodowej z aktywnością społeczną stanowiło moją pasję. Tutaj z górnikami kopalni miedzi w Głogowie.*

Gdy zabiega się o określone racje i poglądy, trudno pozostawać letnim. Nie da się być, pozostając krytycznym wobec siebie i otoczenia, jedynie osobą słodką i dobroduszną. Trzeba się koniecznie narażać. J najwazniejsze - tak żyć, by być sobą.

Dla mnie to już czas zakończony. Bo też ilu chce i może obecnie działać społecznie?

Niewielu. Moim zdaniem źle wróży to na przyszłość, bo społeczeństwo biernie nie może uchronić się przed błędami i pozwoli narzucać sobie byle jakie standardy, rozwiązania i decyzje. Jeśli straci krytycyzm, będzie podatne na manipulacje i egoizm.

Brakuje teraz klimatu, a chyba też zapotrzebowania, na taką aktywność. W polskim kapitalizmie praktyka jest taka - a uważam ją za mocno wypaczoną - iż o wszystkim decydują pieniądze. Życie nadmiernie zostało zmaterializowane. Nawet woluntaryzm zwiędł i nie może się odrodzić. Każdą bez małą czynność, uzasadnioną również względami społecznymi, usiłuje się przeliczać na pieniądze. Któż w takim układzie - choćby mógł - zechce wysilać się społecznie, skoro inni biorą za to pieniądze? Za darmo wysilają się wyłącznie frajerzy.

Dyktatowi pieniądza ulegają ci, którzy mają niewiele do powiedzenia. Mało u nich atutów, natomiast dużo żądań, a odpowiedzialności



*Lata 80. ub. wieku. Jednak pieniądze nie o wszystkim decydują, liczą się też poglądy i postawa. Nie tylko fizycznie, bo również duchowo stanąłem przy portrecie największego przywódcy chłopów Wincentego Witosa.*

tyłe, co kot napłakał. Bo oto posłów nie zadowala już ani satysfakcja, ani zwiększająca się kwota wynagrodzenia, pomijając uprawnienia. Bałwochwalczo nazywają siebie elitą narodu. Klasą wybrańców! A jakaż to elita, która - co łatwo dostrzec w telewizji - gra rolę błaznów. A więc elita pozbawiona nie tylko szacunku, zdolności i umiejętności, ale także odpowiedzialności? Klasa bez - tak potrzebnej dla narodu - klasy!

Zbliżamy się do groteski. Na tę ocenę pracują nie tylko posłowie i senatorowie, wśród których ubywa osób zacnych i godnych uznania, także radni różnych szczebli, członkowie rad nadzorczych spółek publicznych czy też zespołów i organów doradczych. Często, bardzo często, dobiera się ich z układu, a nie wedle wiedzy i umiejętności. Bo przecież pieniądze nie śmierdzą.

Porażka zwykłych ludzi? Przedtem też czuli się pariasami, ale do kogo teraz mają udać się po radę i pomoc? Z interwencją? Przedtem - wiem to po sobie - pyskując mogli przynajmniej wylać z siebie czare goryczy albo udać się do kogoś ważnego na skargę; co zresztą rzadko odnosiło skutek. Krytyka była często rzucaniem grochu o ścianę. Teraz i na to trudno się zdobyć. Nawet zasadna krytyka może zaprowadzić na ławę oskarżonych. A do tego trzeba mieć niemałe pieniądze, żeby zatrudnić prawnika. Lepiej więc milczeć. Siedzieć cicho i potulnie.

Dobrze, chcąc angażować się w działalność zdobywać doświadczenia - także i guzy - za młodu. Społecznicy wszak nie rodzą się na kamieniu, a tylko w działaniu.

### *Uczyć się od lepszych*

Ja zdobywałem je w ZMW. Na szczeblach koła, w województwie i centrali. Organizacja ta, jak wspominałem, odegrała ważną rolę w moim życiu. Ceniłem ją za brak zawiści i kunktatorstwa. Za szczerość i zaufanie. Tolerancję. Za przyjaźń. Życzliwość i wyrozumiałość. Młodzież łączyło przekonanie o potrzebie zrobienia czegoś dobrego dla siebie, wsi i kraju. Nie dociekali, kto ile zapłaci im za aktywną postawę.

Zdobyte w ZMW doświadczenia ułatwiały mi aktywność w ZSL. Nie zamierzam, oczywiście, bo byłoby to bezpodstawne, idealizować ruchu ludowego. Jak wszędzie w byłej PRL, tak i w stronnictwie, były sytuacje zawstydzające, paskudne i nie zasługujące na pamięć, ale też

śmiejem uznać, że właśnie tutaj było takich zdarzeń mniej, niż gdzie indziej. Nieporównanie mniej aniżeli w PZPR.

Brało się to stąd, iż pomimo powojennego ustroju, który zrodził niemało zła i wynaturzeń, dawni ludowcy - niekoniecznie prosocjalistycznych zapatrywań - chcieli i potrafili zachować ciągłość historyczną swego ruchu. Kiedy o szczerłość i zaufanie było trudno, w ZSL było ich więcej niż gdzie indziej. Ton nadawali ludzie ukształtowani przed wojną, sprawdzeni często w latach okupacji i walk partyzanckich. Byli tolerancyjni i wyrozumiali. Propaństwowi i patriotyczni.

A był to czas dobry dla karierowiczów i krzykaczy. Ludzi uległych i sprzedajnych. Pozbawionych czci i wiary. Tacy, sam ich pamiętam, byli również w ZSL, stanowili jednak wąski margines.

Nawet w najgorszych latach nie udało się narzucić ludowcom kagańców, które by krępowały ich w takim stopniu, jak miało to miejsce w ruchu robotniczym. Ludowcy byli bardziej otwarci. To stanowiło bezcenną wartość, które także młodych wiązała z ruchem ludowym. Ludowcy - nawet wtedy - zachowali odrębność ideową i obyczajową. Nie przypadkiem nazywali siebie kolegami, a nie towarzyszami.

W miarę jak ubywało prawdziwych ludowców, ZSL tracił gdzieś odziedziczone prawdziwe znamiona ruchu ludowego. Upodabniał się do obcych wzorców.



*Gdy zapadła decyzja, że w miejscu gdzie znajdowała się siedziba krajowa ZSL i PSL - przy ul. Grzybowskiej w Warszawie - powstanie wielki apartamentowiec, zrobiliśmy sobie przed nią - Halka i ja - pamiątkowe zdjęcie. Tam zostawiliśmy przecież znaczną część swego życia.*



Przesadzam? Wiem jak było. Pracując jeszcze w „Zarzewiu” działałem i prezesowałem w kole ZSL, zrzeszającym pracowników ZG ZMW i redakcji. Lista członków była bliska 30. Pamiętam dawnych ludowców z okresu, kiedy mieszkałem na Warmii i Mazurach, jak i z lat późniejszych, gdyż moje reporterskie ścieżki prowadziły często właśnie do nich.

Znałem osobiście wielu ludowców, czasem przyjaźniąc się z nimi. Przebywałem wśród nich. Byłem delegatem na 4 kolejnych kongresach ZSL, w tym także na kongresie PSL. Pełniłem wiele funkcji.

Przez dwie kadencje byłem zastępcą członka NK ZSL, byłem też członkiem Głównej Komisji Rewizyjnej. Delegatem na zjazdy wojewódzkie stronnictwa w Olsztynie i Suwałkach. Opiekując się tymi organizacjami, gościłem często w terenie i na zebraniach organizacyjnych. Byłem wiceprzewodniczącym Komisji Propagandy i Prasy NK ZSL, którą kierował Jerzy Szymanek, jak też szefem Zespołu Prasowego. Nie były to funkcje ważne, niemniej istotne.

Co więc dalej? To, co kiedyś było aktualne i bliskie oddala się z upływem czasu i traci sens. Zaciera się we wspomnieniach, przechodzi do historii, bez względu na to, jak ocenia się ją teraz. Ztraca barwę i szczegóły.

A to, co bliżej? Jest magmą. Cóż za absurd? Zanim się wyklaruje, nabierze wyrazu i blasku - musi to potrwać. Czyż nie jest tak, że im proces ów trwa dłużej i dalej, tym bliżej mu do końca?

Rodzą się wątpliwości. Ja mam ich dużo. Obawiam się - choć gdy ma się 73 lata powinno to być obojętne - że ruch ludowy, z którym się związałem dawno temu, stacza się na margines. I wcale nie dlatego, jak wielu sugeruje, że jest nazbyt leciwy i ahistoryczny. Bierze się to stąd, iż samoczynnie odrywa się on od korzeni, wskutek czego więdnie. Porzuca i ztraca filozofię działania i swoją filozofię ideową oraz własną metodologię działania. Nie wiedząc za bardzo, ku czemu zdąża i o jakie jutro ma zabiegać.

Czym zjednywać ma on młodych? Zachęcać członków i zwolenników do aktywnej postawy? Jak w ustroju kapitalistycznym trzymać się chłopów i rolnictwa? Czy też w ogóle gospodarki żywnościowej oraz prowincji?

Ruch ludowy - chociaż działa w warunkach demokratycznych - powoli ztraca aktywność i znaczenie. Ztraca swą odrębność ideową i organizacyjną. Podporządkowuje się interesom wąskiej grupy ludzi



- jakoby w imię jego interesów - usiłujących robić karierę. Strzegą dlatego stanowiska i wpływy, układy, dbając, by były trwałe.

Następuje zawężanie pola oddziaływania ruchu ludowego. Doszło do zaniechania istotnych dziedzin aktywności społecznej. W zakresie spółdzielczości wiejskiej, ruchu młodzieżowego, zawodowego i kobiecego czy też oświatowego. Aktywna obecność ludowców w poczynaniach Ochotniczych Strażach Pożarnych - to wyjątek.



*Rozmowa dla „Perspektyw” z marszałkiem Sejmu, prezesem NK ZSL Romanem Malinowskim.*

Elita, jak się wydaje, liczy na doraźne efekty, gdy tym czasem nastawić się powinna na dobrze przemyślany długotrwały proces zakorzeniania PSL. Inaczej będzie źle. Odstępując od dorobku i tradycji pokoleń, eliminuje się inteligencję, w tym twórczą, pozbawiając się szans na włączenie w orbitę ruchu ludowego jednostek wybitnych. Zwłaszcza intelektualistów. W przeszłości odegrali oni zasadniczą rolę. Czyżby teraz byli zbędni?

Powinienem - mówiąc serio - machnąć rękę i podarować sobie podobne rozważania. Bo i po cóż zaprzętać nimi głowę? Ale czy - jak określa się to czasem - miałbym wstydzić się tego, co robiłem wcześniej?

Nie żałuję tego, że byłem aktywny. Pozwalało mi to wzbogacać wiedzę i poszerzać horyzonty. Lepiej byłoby gdybym - postępując inaczej - tracił niepotrzebnie czas?

## *Laury i faule*

Nie mam powodu do zgorzknienia. Czułem się osobą spełnioną. Pracując w „Zarzewiu” otrzymałem Złoty Krzyż Zasługi. Potem były: Kawalerski i Oficerski Krzyż Orderu Odrodzenia Polski. Wprawdzie zmienił się ustrój państwa i PRL-owskie odznaczenia tracą blask, ustępując nadawanym przez prezydentów RP, lecz dla mnie i tak pozostają one równie ważne, gdyż chodzi ciągle o tę samą Polskę.

Były odznaczenia resortowe: Odznaka Zasłużonego Działacza Kultury, Zasłużonego Działacza Spółdzielczości i Zasłużonego Pracownika Rolnictwa; te ostatnie wręczył osobiście Kazimierz Barcikowski, ówczesny minister rolnictwa, wcześniej znany z działalności w ZMW.

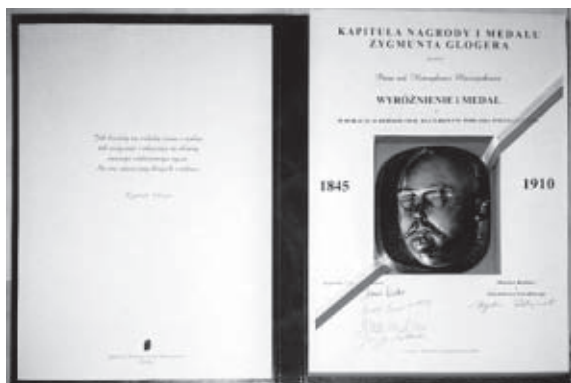
Uhonorowano mnie też odznakami za działalności społeczną. Złotą Honorową Odznaką ZMW, wyróżnieniem LZS, Odznaką Opiekuna Miejsc Pamięci Walk i Męczeństwa Narodu. Za działalność w LSW (dwukrotnie byłem przewodniczącym jej Rady Nadzorczej) otrzymałem Honorową Odznakę Ludowej Spółdzielni Wydawczej.

Ponadto już w 72. roku życia - spotkało mnie zaszczytne wyróżnienie w Łomży. Z inicjatywy działającego tam Społecznego Stowarzyszenia Prasoznawczego STOPKA otrzymałem - wieńczące moje zainteresowania regionalne - wyróżnienie i Medal Zygmunta Glogera. Za „publikacje o dziedzictwie kulturowym Podlasia Południowego”.

Na dyplomie znajdują się odręczne podpisy: Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego oraz profesorów

Kapituły - Janusza Taźbira, Henryka Samsonowicza, Ludwika Malinowskiego, znanego mi jeszcze z czasów działalności w ZMW, i Jerzego Sikory.

Posiadam też, szczególnie bliskie mi, odznaczenia ludowcowe: Złotą Koniczynkę i medal Wincentego



*Medal i wyróżnienie Zygmunta Glogera.*

Witosa za działalność w ruchu ludowym. Uznać mogę za znamienne, co uważam z przykrością, że w ZSL, a tym bardziej PSL, nikt nie wystąpił z wnioskiem do władz o przyznanie mi odznaczenia państwowego. Uzyskałem je za pracę zawodową. Sam, ale to już inna sprawa, nie kołędowałem u nikogo w tej sprawie. Czymże więc podpadłem? Nie wiem. Być może nie mówiłem jak należy, za dużo albo za mało, bądź krytyką zrazałem do siebie ludowców. Nikomu także, gdyż nie leży to w mej naturze, nie kłaniałem się bałwochwalczo, ani nie kłaniałem się nisko, zginając się niczym scyzoryk. Nie bolałem wskutek tego, gdyż przecież nie działałem dla zaszczytów, a wyłącznie z potrzeby serca, zabiegając o dobro ogólne. Inna sprawa, że w takich sytuacjach trzeba i można się narażać.

Kiedy w NK ZSL zrodził się pomysł wygospodarowania papieru na powołanie nowego czasopisma, musiałem zająć stanowisko. Nowy tytuł powstać miał na bazie „Tygodnika Kulturalnego”, co w praktyce oznaczałoby jego likwidację. Przewodnicząc Zespołowi Prasowemu sprzeciwiłem się temu pomysłowi. Uznałem, że stracą na tym czytelnicy i dziennikarze oraz ludowcy, pozbawiając się możliwości kształtowania polityki kulturalnej, jak też prezentowania dorobku w tym zakresie.

Argumentowałem, może niezbyt wybrednie, że skoro inni zainteresowani są spychaniem ZSL na margines, chcą sadzać ludowców na kupie gnoju, zmuszając go do zajmowania się wyłącznie problemami produkcji rolnej, to czyż sami mielibyśmy ochotę na nią wchodzić? Spojrzenie takie - mówiłem - zawęża zakres oddziaływania stronnictwa i zuboża je.

A że wokół zamiaru powstało dużo szumu, sprawę wniesiono pod obrady Prezydium NK ZSL. Zaproszony na jego posiedzenie przedłożyłem swe uwagi i przemyślenia. Bronilem „Tygodnika Kulturalnego”. Mile zaskoczyli mnie swoją postawą rolnicy zasiadający w prezydium, zwłaszcza Czesław Jaworski i Dominik Ludwiczak, którzy stanęli również w obronie tej gazety.

Był to okres, kiedy TK nabrał wigoru i rozmachu, sprzyjając odnowie. Na jego łamach pojawiły się odważne publikacje problemowe, reportaże i wywiady odsłaniające „białe plamy”. Dla kierownictwa ZSL okazało się to kłopotliwe, ponieważ spotykało się z niezadowolaniem

kregów PZPR-owskich. Świadczyć miało, iż stronnictwo ludowe nie radzi sobie z poczynaniami części dziennikarzy. A na tego rodzaju zarzuty ZSL reagował nerwowo.

Wstrzeźliwość, może nawet oportunizm, wykazali niektórzy członkowie władz. Roman Malinowski, prezes ludowców i marszałek Sejmu, zachował wstrzeźliwość i wykazał dużą zręczność. Starał się nie przesadzać ze sprawą. TK ocalał, co przyjąłem z ulgą.

Przesadzałem jednak z aktywnością, poświęcając jej wiele czasu. Była zima 1987 roku. Niemalże wprost z ulicy wylądowałem w rządowej



*Za godne ukoronowanie swej działalności w ruchu ludowym moja żona Halina otrzymała Medal Wincentego Witosa, który odbiera z rąk Jarosława Kalinowskiego, przewodniczącego Rady Naczelnej PSL i wicemarszałka Sejmu. Widoczny w środku Jan Łyczkowski, były wicedyrektor Centralnego Ośrodka Doskonalenia Kadr ZSL, gdzie Halka była asystentką.*

rzenia, dolegliwość serca. W wyniku badań, przeprowadzonych w Instytucie Kardiologii w Aninie pod Warszawą, stwierdzono uszkodzoną zastawkę mitralną, którą - jak mi oświadczone - można wyleczyć jedynie w drodze operacji na otwartym sercu i wszczepienia zastawki sztucznej.

lecznicy zdrowia, z której usług miałem wtedy prawo korzystać. Rozpoznano obustronne zapalenie płuc. Zaopekował się mną najpierw doktor Marian Piotrkowski, sympatyczny i życzliwy, który - pochodząc z Konstantynowa - okazał się moim rodakiem.

Pod troskliwą opieką medyków zwłaszcza pani doktor D. Uchman wracałem szybko do zdrowia. Wstrząsnęła mną jednakże, rodząc lęki i podej-

Poczułem się tak, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem przez głowę. A jednak nie od razu zdecydowałem się na operację. Wiadomość zaniepokoiła rodzinę, także przyjaciół i kolegów.

W lecznicy odwiedzili mnie koledzy z TK, Jurek Kania i Janek Toniak. Jurek był w TK szefem, a Janek sekretarzem redakcji. Przyszli dziękować za obronę „Tygodnika Kulturalnego”.

Co prawda ZSL nie odstąpił od zamiaru powołania nowego tytułu, ale już nie kosztem TK, a poprzez zlikwidowanie - akceptowane przez Adama Orłowskiego, będącego wtedy naczelnym - wydania środowego „Zielonego Sztandaru”, jak też likwidację dodatku kolorowego do niedzielного wydania „Dziennika Ludowego”. Zubożyło to oba tytuły, lecz TK ocalał. Leżałem wówczas w lecznicy.

Pamięć ludzka bywa zawodna i przewrotna. Kilka lat później Jerzy Kania - kreujący się na głównego odnowiciela i najlepszego publicystę wśród ludowców - opublikował książkę siebie gloryfikującą. Zaatakował przy okazji innych dziennikarzy, w tym byłego szefa „Dziennika Ludowego” i zastępcę redaktora naczelnego PAP oraz korespondenta w Moskwie Piotra Ziarnika, a także mnie. Zarzucił mi, rozmijając się z prawdą, iż nie broniłem TK, a będąc jakoby w „Perspektywach” zastępcą redaktora naczelnego - strzegłem cudzych interesów. Uznał, że to on bronił zawzięcie i skutecznie „Tygodnika Kulturalnego” na posiedzeniu Prezydium NK ZSL. A w rzeczywistości jego tam... nie było. Popęłił więcej kłamstw.

Cóż miałem tedy począć? Powiedziawszy autorowi, co sądzę o nim, machnąłem ręką i przestałem bywać w jego towarzystwie. Uznałem, iż nie ma sensu zaprzętać sobie głowę tym incydentem. Piotr Ziarnik poczuł się za to mocno dotknięty i długi czas nosił w sobie uraz do Jurka Kani.

Pytał, co ma począć? Powiedziałem, żeby dał sobie spokój, gdyż szkoda nerwów, lub - gdy ma czas i pieniądze - niech wobec oszczercy wystąpi z pozwem do sądu. Piotr wybrał inną drogę. Wysłał pismo do sądu koleżeńskiego ZSL. Niczego to mu nie dało. Nie godząc się z bezpodstawnymi posądzeniami, czuł się bardzo źle. Był zawiedziony.

Po raz kolejny sprawdziła się zasada, że jeśli chce się działać społecznie, trzeba mieć skórę słonia i nie oczekiwać na czyjąkolwiek wdzięczność.

## *Żona dywersantką ideologiczną?*

Innym razem poszło o sprawę bardziej istotną. Chodziło o IX Kongres ZSL w 1984 r. Uczestnicząc w nim jako delegat ludowców z Suwalszczyzny, byłem świadkiem gorszących zdarzeń podstępnie i niewybrednie prowadzonej walki o wpływ w ZSL. Siły wewnętrzne, których ramieniem wykonawczym był Roman Maćkowski, a dyrygentem - jak można przypuszczać - Roman Malinowski, a więc, jak się wtedy mówiło, „mały” i „duży” Roman przeprowadziły pozastatutowy podział delegatów na „swoich” i „obcych”. Postanowiono - zapewne z udziałem sił bezpieczeństwa - wybrane osoby „wyciąć do pnia”.

Krzywdą stała się udziałem wielu osób. Spotkała gorliwych zwolenników przeprowadzenia reform w gospodarce i polityce oraz stosunkach międzypartyjnych, zwolenników odnowy w duchu „Solidarności”.

Agitacja „za” i „przeciw” odbywała się w kuluarach. Zaufani dobrze wiedzieli o co chodzi. Inni nawet nie orientowali się w czym rzecz. Ja nie byłem dopuszczony do tej „tajnej wiedzy”. Byłem dla autorów zamachu osobą niepewną. Miałem jednak w ręku listę z nazwiskami osób przewidzianych do skreślenia. Czytałem też agitki i wskazania dla delegatów.

„Cud nad urną” zdarzył się między PKiN, gdzie obradował Kongres ZSL, a siedzibą tej partii (której już nie ma) przy ul. Grzybowskiej. Na tej krótkiej trasie prawdopodobnie „wierni” wymienili w urnie wiele kart do głosowania; jedne zniknęły, inne - prawie identyczne pokreślone - uzupełniły ubytek. Stał się tym samym podejrzany schemat wykreślanych nazwisk.

Do władz ZSL nie weszły osoby tak znane, cenione i szanowane, jak Stefan Ignar, Mikołaj Kozakiewicz, Antoni Podraza, Maria Łopatkowa, Henryk Rafalski, Leon Janczak, Stanisław Dąbrowski, Tadeusz Barszczak, Eugeniusz Gorzelak, Tadeusz Kisielewski, Władysław Szymański, Witold Lipski, Dyzma, Gałaj i Jerzy Grzybczak czy też Jerzy Szymanek; dwaj ostatni to moi koledzy ze studiów. Przegrani byli wstrząśnięci, niektórzy płakali.

Też uzyskałem dużo skreśleń. Znalazłem się na liście osób wyznaczonych do porażki, choć nie miało to większego sensu, gdyż chodziło przecież o czołówkę działaczy, a nie osoby drugorzędne. Sygnały docierały do mnie od osób darzących mnie zaufaniem.





*Jurka Grzybczaka  
brakuje na tych  
zdjęciach. Zajęty or-  
ganizacją spotkania  
absolwentów dzienni-  
karki z 1958 roku  
w 30 lat po ukoń-  
czeniu studiów  
- a odbyło się ono  
w Białymstoku,  
w którym Jerzy  
Grzybczak prezeso-  
wał uprzednio ludo-  
wcom - pochłonięty*

*był on obowiązkami. W naszej pamięci pozostał jednak na zawsze. Na zdjęciu górnym, od prawej: Barbara Grochulska, Irena Dryl, Henryk Maziejuk, Adam Orłowski... Z lewej zaś w końcu stołu - podparty ręką - Janusz Kędzierzawski. A na zdjęciu dolnym: Kola-  
cja późnym wieczorem w puszczańskim szałasie. Od lewej: Adam Bronikowski, wtedy prezenter i komentator ekonomiczny TVP, który przemawia, a następnie Tadeusz Ceglarski, Henryk Maziejuk i Marek Cichoń.*

Wśród zaś tych, którzy uwzięli się na mnie, chyba z zawiści, był Tadeusz Wiśniewski, zastępca kierownika Wydziału Organizacyjnego NK ZSL. Kolportował on list z bzdurnymi zarzutami pod moim adresem. Dzięki suwalskim ludowcom, Gieni Pietrewicz i Tadeuszowi Olszewskiemu, pismo dostało się w moje ręce. Gotów byłem podjąć w tej sprawie otwartą polemikę z kongresowej trybuny, zabrakło jednak po temu okazji. Prześlizgnąłem się jakoś do władz.

Jerzy Grzybczak porażkę przypłacił zdrowiem. Spychany na boczny tor nie był w stanie zachować równowagi ducha. Pracował i działał, odnosząc nadal sukcesy - chociażby w tygodniku PRON „Odrodzenie”, gdzie był redaktorem naczelnym - ale czuł się „przetracony”. W październiku 1988 r. w centrum Warszawy upadł na ulicę, powalony zawałem serca, gdy w towarzystwie koleżanek i kolegów wracał ze zjazdu absolwentów dziennikarki naszego roku. Natychmiastowa pomoc była bezskuteczna.

Gdy oddawałem wraz z kolegami Jurkowi hołd przy trumnie, przejęty jego śmiercią, miałem w pamięci, iż rok wcześniej sam jej unikałem, poddając się operacji serca. Jak zauważyła żona, byłem błądliwy i bliski omdlenia.

Należałem do zwolenników Jurka. Znajdowali się tacy, którzy mieli mi to za złe, a Kazimierz Kozub, też przecież absolwent dziennikarki, będący wówczas sekretarzem NK ZSL, otwarcie zaznaczał, iż wiele na tym tracię. Halka, moja żona, też była po stronie Jurka. Byliśmy przyjaciółmi. Jurek bywał u nas z żoną Aliną, myśmy ich odwiedzali. I nagle go zabrakło.

Na zebraniu pracowników Centralnego Ośrodka Doskonalenia Kadr ZSL, gdzie Halka była asystentką, żona wypowiedziała się krytycznie na temat kongresowego zajścia. Jej głos zabrzmiał emocjonalnie. Józef Surowiec, dyrektor ośrodka, nie podjął otwartej polemiki, natomiast doniósł o tym komu trzeba. A na odzew nie trzeba było długo czekać.

Surowiec - opowiadała żona - wezwał Halkę do gabinetu, by powiedzieć serio i stanowczo:

- Zostałaś uznana za dywersantkę ideologiczną i jako osoba niepewna powinnaś szukać pracy gdzie indziej!...

- Proszę dać mi formalne zwolnienie z uzasadnieniem - odrzeka Halka.

Pracowała przedtem w Instytucie Ekonomii Rolnej i stąd przeniesiono ją pismem NK ZSL do pracy w CODK. Nikt nie zarzucał jej, że źle pracuje.

Uniesiona uwagami Surowca, żona zaznaczyła, że nie będzie się bronić, lecz sprawy nie popuści płazem, jeżeli zostanie zwolniona.

- Mam nagrane dwie taśmy magnetofonowe z wypowiedziami członków komisji skrutacyjnej na temat kongresowego przekrętu wyborczego. Ujawnię je dziennikarzom. A jaki będzie efekt ich upublicznienia, łatwo się domyślać - dodała Halka.

Tak oto zostałem mężem „dywersantki ideologicznej”. Wypowiedź żony musiała zabrzmieć wiarygodnie, ponieważ Surowiec wiedział dobrze o roli, jaką spełniam w środowisku dziennikarskim. Halka zwolnienia nie otrzymała. Niemniej sytuacja jej była trudna powodując, podenerwowanie. To rzutowało negatywnie na jej zdrowie.

Odczuwaliśmy to na co dzień w domu - jej mama Irena, a moja teściowa, córka Ela i ja. Staraliśmy wzmacniać ją na duchu. Było to niezbędne, gdyż Józef Surowiec stosował wobec niej szykany. Halkę wspierali przyjaciele i współpracownicy, zwłaszcza Ania Lenz, będąca - jak żona - asystentką CODK.

W obronę żony, na jej prośbę, zaangażował się skutecznie Kazik Fortuna, kierownik Wydziału Organizacyjnego NK ZSL. Sprawa ucihła, a żona prowadziła zajęcia z kursantami. Jak zawsze do udziału w nich zapraszała osoby cieszące się uznaniem spoza stronnictwa, które godziły się ujawniać swoje przemyślenia i wiedzę. Halce przychodziło to bez trudu, miała zaufanie i powagę, czego brakowało dyrektorowi. Surowiec wszędzie węszył podstęp. Podsluchiwał wypowiedzi co bardziej odważnych wykładowców i prelegentów, „kablując” przełożonym i ich nieprawomyślności.

W końcu miarka się przebrała i Józef Surowiec przestał być dyrektorem CODK. Przeszedł na funkcję wicewojewody w Olsztynie. Nasi znajomi opowiadali, iż bał się tam swego cienia. Wcześniej Józef Kijowski, awansował z pozycji prezesa olsztyńskich ludowców na sekretarza NK ZSL, usiłował uczynić tamże Józefa Surowca prezesem WK ZSL. Zamiar nie powiódł się, gdyż większość działaczy ZSL na Warmii i Mazurach odrzuciła tę propozycję.

### XIII. W POGONI ZA CZASEM

#### *Zawsze blisko ludzi*

Trudno być dziennikarzem, jeśli nie lubi się ludzi. I wtedy, kiedy brakuje odwagi i ciekawości. Chęci poznawania innych, warunków ich życia, poglądów i wrażeń. Zrozumienia woli i dążeń. Sztuka, albo podejście - jak kto woli - polega na tym, żeby umieć zjednywać dobie ludzi. Wysłuchiwać ich cierpliwie i z uwagą, nawet gdy mówią bezładnie. Rozmawiać z nimi szczerze bez uprzedzeń i pouczeń, pytać. Ludzie chcą być sobą. Należy więc zachować takt i umiar.



*Tytuły gazet - nie wszystkich - w których pracowałem i z którymi współpracowałem.*

Szkoła tego nie nauczy. Trzeba samemu - w drodze praktyki - zdobyć taką umiejętność, lecz niezbędne do tego są odpowiednie predyspozycje. Ponurak czy chłystek, sztywniak, chociażby starał się jak najmocniej, nie może osiągnąć powodzenia.

A każdy człowiek, byle odnaleźć do niego klucz i odkryć w nim pokłady osobowości oraz przeżyć, otworzy się w pewnym momencie, okazując się prawdziwą kopalnią wiedzy. I każdy na swój sposób jest

interesujący. Spostrzegłem, iż publicystyka, jaką uprawiałem, mocno zbladła w zderzeniu z nową rzeczywistością i nie byłaby w stanie sprostać próbie czasu, podczas gdy reportaże dają się wciąż czytać.

Kiedy jest się dziennikarzem należy zawsze - w pracy i poza nią - pozostawać blisko ludzi i ich spraw. Na swej drodze życia, w tym zawodowego, spotkałem mnóstwo ludzi interesujących i wartościowych, których dotychczas mile wspominam.

Zajmując się przeważnie tematyką rolną i wiejską, społeczną, gospodarki żywnościowej, co brało się zarówno z mego pochodzenia, jak i zainteresowań, zabiegałem o bliższe kontakty z osobami pochodzącymi także z innych środowisk. Po to, żeby wzbogacać siebie i zdobywać nowe doświadczenia.

Redakcja „Perspektyw” - Nowy Świat 58 - miała siedzibę atrakcyjnie zlokalizowaną. Stąd, czego doświadczyłem, było blisko do wszystkiego. Przeszłość kamienicy, ukrywana ze wstydem, była mało ciekawa, dawno temu mieścił się bowiem tutaj burdel. Z okna mego pokoju, znajdującego się na drugim piętrze, jawiło się całe piękno Nowego Światku.

Kiedy w 1979 roku papież Jan Paweł II przybył do Polski z pierwszą wizytą, byłem pewien, iż stąd będę mógł doskonale widzieć jego przejazd. Zaprosiłem żonę Halinę. Okazało się jednak, że okna muszą być szczelnie zamknięte, co sprawdzała milicja.

Zeszliśmy więc na dół i stojąc na chodniku - tuż przy drzwiach wejściowych do redakcji, przeżywając tę chwilę głęboko jak wszyscy - widzieliśmy papieża w jego papa-mobile. Był od nas na wyciągnięcie ręki. Był to widok z kategorii tych, jakie zapamiętuje się na całe życie.

Z mego okna widać było okno należące do Olka Gąssowskiego. Po drugiej stronie tej samej ulicy. Znaliśmy się wówczas i dlatego machaniem rąk pozdrawialiśmy się nawzajem. Była to postać barwna, obdarzona gawędziarskimi zdolnościami, otwarta, a do tego sympatyczna. Olek lubił otaczać się osobami młodszymi od siebie, gdyż - jak się zwierzał - sens ma to taki, iż odmładza człowieka i pozwala - już po śmierci - przedłużyć o sobie pamięć.

Znajomość nasza przeistoczyła się z czasem w przyjaźń. Olek odwiedzał nas w bloku, bywał na imieninach moich i żony. Teściowa Ire-





*Aleksander Gąssowski, reżyser i aktor, gawędziarz, w domu którego spotykałem interesujących ludzi. Nasze okna - jego domowe moje redakcyjne - znajdowały się niemalże naprzeciw siebie.*

Grudziądzu i Bielsku-Białej, przydając im renomy. Jednak lubił oba te wcielenia, nie omieszkując powracać do nich we wspomnieniach.

Z uwagi na chore nogi nie mógł przebywać długo na ulicy, chętnie natomiast zapraszał do siebie gości. Aktorów i reżyserów, ludzi teatru, dziennikarzy. Przyjmował gości smakowitymi zapiekankami, jakie sam sporządzał. Alkohol przynosili z reguły goście. A że był to doskonały punkt kontaktowy, pozbawiony wszelako udziału kobiet, spotkania odbywały w miarę często. Kończyły - nierzadko po północy.

I my obaj, Janek Bijak i ja, przyjaźniąc się z gospodarzem, byliśmy częstymi uczestnikami tych spotkań. Bywał z nami Władysław Rzesławski, dziennikarz i pisarz, współautor powieści radiowej „Matysia-kowie”, inicjator ufundowania pomnika Bolesława Prusa na skwerku przy Krakowskim Przedmieściu i ulicy Karowej. Władek ponadto był kolekcjonerem sztuki.

na, wtedy jeszcze daleka od śmierci, lubiła jego szarmanckie zaloty, a znała go sprzed wojny, bo mieszkali w tym samym rejonie; mieli sobie wiele do powiedzenia.

Olek był aktorem. Grał, kiedy pozwalał mu na to wiek, amantów i uwodzicieli, później zaś postacie nobliwe i dostojne, nierzadko purpuratów, kupców i baronów, gdyż był tęgawej postury. Jego aktorstwo nie było może nazbyt markowe, na pewno jednak dobre i rzetelne, wyraziste, toteż łatwo dostawał role w teatrach. Lubił grywać w filmach. Już będąc w wieku podeszłym zabiegał o role, nawet gdy były to „ogony”, byle oddychać atmosferą sztuki i ciągle pozostawać na scenie.

Jednak Aleksander Gąssowski był przede wszystkim wieloletnim dyrektorem i reżyserem. Zarządzał kilkana teatrami poza Warszawą, m.in. w



Któż nie był u Olka? Same znakomitości. Poznałem tak znamiennych aktorów, jak Jan Świdorski, Zdzisław Mrożewski, Władysław Hańcza, Kazimierz Kaczor, Mieczysław Voit czy Kazimierz Wichniarz, grający filmowego Zagłobę. Bywali też inni. Przychodził Janusz Bylczyński i grafik - projektant znaczków pocztowych oraz konserwator sztuki Tadeusz Michaluk; obaj związani z Podlasiem.

Nawet krótka znajomość z takimi ludźmi pozostawiała ślad. Z wielką sympatią wspominam Tadeusza Kulisiewicza, wybitnego grafika, z którym - będąc na wczasach w Kirach pod Zakopanem - jadałem przy jednym stoliku; byłem z żoną i córką. Prowadzone z nim rozmowy były ciekawe i barwne, pouczające i sympatyczne.

Znajomość ze Stanisławem Bajem, cenionym malarzem minionego pokolenia, profesorem warszawskiej ASP, ma charakter koleżeński. Bywałem w jego pracowni, spotykaliśmy się na wystawach i pokazach, w redakcji. Prowadziliśmy długie i szczere rozmowy. Złączyło nas Podlasie.



*Mieliśmy to szczęście - tak przedtem, kiedy byliśmy młodzi, jak i potem, gdyśmy się zestarziali - że odwiedzali nas chętnie przyjaciele i znajomi. Na zdjęciu górnym, od lewej: Irena Mierczyńska, mama Hali, Cecylia Rojek, Jan Bijak i Krystyna Trzaskowska, a po prawej: Elżbieta Maziejuk-Łuszczewska, Stanisław Rojek, Marianna Wielątek*



*i Ireneusz Łuszczewski. A na zdjęciu dolnym, od lewej: Jadwiga Biernat, Irena Mierczyńska, Halina Maziejuk i Jan Bijak.*

Baj umie opowiadać barwnie - językiem i pędzlem - o swoich nadbużańskich Dołhobrodach, leżących w pobliżu Sławatycz, które wywarły duży wpływ na ukształtowanie jego malarskiej wrażliwości. Uzdolniony, ceniony i wychwalany - Staszek Baj nie wywyższa się ponad wioskowych sąsiadów. Utożsamiając się z nimi, jest jednym z nich.

Na portretach jego autorstwa - wyrazistych, malowanych z rozmachem - znajdują się twarze wszystkich bez mała mieszkańców rodzinnej wioski. Krewni, sąsiedzi, znajomi. Ludzie starsi i starzy, ale też młodzi. Zapewnił on im na długie lata swoistą nieśmiertelność. Niewielu jest twórców równie mocno zakorzenionych w środowisku swego pochodzenia. Stanisław utrwała też na obrazach dziki pejzaż nadbużańskich okolic.

Zanim St. Baj został dziekanem ASP, był przedtem asystentem profesora Ludwika Maciąga. I on był - umarł w 2007 roku - silnie związany z Podlasiem. Wychował się wśród koni, gdyż jego ojciec był oficerem konnej artylerii w Białej Podlaskiej. Podczas okupacji L. Maciąg walczył na koniu w zwiadowczym oddziale AK „Zenona”. Zauroczony pięknem i inteligencją koni - związany był ze stadniną w Janowie Podlaskim. Posiadał własne konie. Im poświęcił twórczy talent. To autor znakomitych końskich portretów, koni na pastwisku, w biegu i walce, w zaprzęgu i pod siodłem. Odnalazł L. Maciąg w Stanisławie Baju duszę sobie pokrewną.

Staszek zapoznał mnie z mistrzem Maciągiem, a ten zafascynował mnie tak bardzo, że obejrzałem wiele jego prac. Pisałem o Ludwiku Maciągu, robiłem z nim rozmowę do gazety. Wypytywałem o tajemnice związków człowieka z tymi zwierzętami. Żałuję, że nie zdobyłem obrazu z jego dedykacją, choć na ścianach mego stołecznego mieszkania wiszą „końskie obrazy”.

Zastanawiając się nad sobą, dochodzę do wniosku, iż boleję najbardziej nad okazjami, które przegapiłem. Których nie wykorzystałem. I nad tym, że powinienem był poświęcić więcej serca i uwagi wielu osobom, z którymi byłem związany. Zasługiwali na to. I też nad tym rozmyślam, że były w moim życiu osoby, od których mogłem dużo więcej nauczyć się i dowiedzieć.

Taką postacią był Lucjusz Dura. Odnosiliśmy się do siebie - bo dotyczy to również mojej żony - z dużą sympatią i zaufaniem. Zaraz po



wojnie Dura zajmował się administracją na Warmii i Mazurach. Był ludowcem z krwi i kości; należąc do PSL. Prześladowany przez służbę bezpieczeństwa za podglądy i aktywność społeczną oraz polityczną - zepchnięty został na margines. A był wprowadzony w zakres ważkich spraw. Opowiadał mi na przykład o procesie Wincentego Witosa (przed wojną), w którym występował w charakterze świadka.

Były to wtedy tematy zakazane. Później, kiedy Lucjusz Dura już nie żył, podobnie jak jego żona Danuta, mogły ukazywać się publikacje odsłaniające prawdę. A mogłem posiadać takie jego wspomnienia i dokumenty, przemyślenia, które stałyby się tworzywem do wielu artykułów. Był to człowiek odważny, chociaż skromny i niepozorny. Obecnie bezimienny i zapomniany, a może to właśnie ja powinienem być tym, kto by przywrócił go do pamięci?

*Było to 11 czerwca 2006. Nasze wnuczęta ochrzczone zostały tego samego dnia w kościele parafialnym w Magdalence. Na zdjęciu górnym: ksiądz kreśli znak Krzyża Świętego na głowie Irenki Łuszczewskiej. W głębi jej ojciec Ireneusz. Na zdjęciu środkowym: rodzina Łuszczewskich w pełnym składzie: Ireneusz i Mikołaj oraz Elżbieta z Irenką na kolanach. A na zdjęciu dolnym: trzy kobiety pokolenia. Ela i jej mama Halina z wnuczką Irenką na rękach.*

## *Pogoń za czasem*

Moje zagraniczne wojaże wiązały się z aktywnością społeczną i zawodową. Pierwsza wyprawa miała miejsce w 1959 roku, dotyczyła Bułgarii. Przekraczałem wówczas granicę państwa po raz pierwszy i wiązało się to z dużymi wrażeniami. Podróż była nagrodą LZS. Poznałem wtedy redaktora Michała Kierczyńskiego, który pracował w „Dzienniku Ludowym”, jak również Stanisława Zielińskiego, znanego kolarza LZS. Jechaliśmy pociągiem, przez Bratysławę i Bukareszt do Warny.

Od wrażeń puchła głowa. Wszystko było nowe i zaskakujące. Jak gąbka chłonałem to, co znajdowało się w zasięgu wzroku i słuchu. Staralem się niczego nie przegapić. Na dworcu w Bukareszcie pociąg miał kilkugodzinny postój. Poszliśmy w miasto, poznając rumuńską stolicę. Zapamiętałem stopy arbuzów, ludzie ogryzali gorące kukurydziane kolby. Uwagę zwracało utrzymane bez zniszczeń stare miasto. Poznaliśmy miłą Rumunkę, która - znając dobrze rosyjski - oprowadziła nas po targowisku.

Dłuższy pobyt nastąpił w nadmorskich Złotych Piaskach. Szerokie plaże wypełniał rzeczywiście drobnutki złoty piasek. Gorący od słońca, milutki w dotyku. Pluskając się w ciepłutkiej czarnomorskiej wodzie spędziliśmy tam prawie dwa tygodnie.

Zaskakiwał podział na mężczyzn i kobiety. Jedni i drudzy nie mogli przebywać razem w tych samych sektorach praży. Nie wolno było spacerować w stroju plażowym w rejonie alejek i w takim stanie wchodzić do kawiarenek. Tym bardziej przytulać się do siebie czy też całować. Surowe zakazy stanowiły pozostałość po muzułmańskich wpływach z okresu podboju Tureckiego. My staraliśmy się im nie poddawać, postępując po swojemu, było to jednak źle widziane i byliśmy dlatego upominani.

Tamte obserwacje i wrażenia nijak nie przystawały do rzeczywistości, jaką zastałem tutaj później, gdy po kilkunastu latach byłem znowu - raz i drugi - w Złotych Piaskach. Tym razem z żoną Haliną i córką Elżbietą. Gościliśmy w Międzynarodowym Domie Dziennikarza. Z dawnych zakazów nie zostało się nic. Były natomiast nadal wspaiała plaża i ciepła woda, ale nie dziwiła już Bułgarów rewia mód i ciał.

Nie drażniła swoboda obyczajowa. Nam smakowała zaś jednakowo rakijska i pierogi nadziewane mięsem. Pojawiły się nowe hotele, restauracje i kawiarenki. Poznikały rudery.

Potem, będąc chociażby nad Balatonem, w Siofok czy Balatonfoldvar, albo nad polskim morzem, nigdy już nie było mi równie dobrze i miło, jak w czarnomorskich Żółtych Piaskach. Kiedy trzęsę się z zimna, a teraz zdarza się to bardzo często, z rozkoszą powracam tam pamięcią.

Nam dużo miłych wspomnień związanych z Czarnym Morzem. Brałem z żoną udział w grupowych wyprawach na Krym. Zakwaterowani byliśmy w młodzieżowym ośrodku wczasowym w Gurzufie. Poznaliśmy Jałtę, Ałusztę, Nikicki Botaniczny Sad, Symferopol i Bachczysaraj oraz Sewastopol. W mej pamięci - czyżby z uwagi na poetykę Mickiewiczowskich „Sonetów Krymskich”? - zachowały się beztraska zabawa na skalach góry Ajudah i udany spacer kolebiącym statkiem po morzu. Celem była biesiada na pięknej górze, zwanej Jaskółczym Gniazdem, wyrastającej wprost z wodnej otchłani.

Innym razem, w tym przypadku z córką Elżbietą, podróżując po Ukrainie mieliśmy w programie pobyt w Odessie, skąd roztaczał się wspaniały widok na port i Morze Czarne. Eli podobał się najbardziej piękny gmach Opery Odesskiej, a mnie stara część miasta.

Jako dziennikarz zajmujący się problemami ekologii, odbyłem pouczającą podróż „parostatkiem” po Dunaju, od miasta Widin do Ruse. Na jego pokładzie odbywała się międzynarodowa konferencja ekologiczna poświęcona ochronie wód Dunaju. Związana była ze zwiedzaniem nadrzecznych miast i fabryk, farm zwierzęcych i stacji badawczych.

Gdyśmy byli młodzi, świat jawił się nam wielobarwnie i optymistycznie, chociaż też z zagrożeniami. Nie było żadnych uprzedzeń i swarów, jakkolwiek wskazywaliśmy z dumą na swe odrębności narodowe i kulturowe. Otwarcie na poznawanie innych, młodzi pozostawali ufni i mili wobec siebie. Żądni przygód. Ciekawi świata. Pozostało z tych lat mnóstwo wspomnień.

Odbyłem dużo podróży zagranicznych. Sam i z żoną, a potem również córką. Wypraw turystycznych, krajoznawczych, ale też o charakterze wypoczynkowym i zawodowym. Były po temu chęci i moż-





*Ireneusz z córeczką Irenką i mama Elżbieta z synkiem Mikołajem.*

liwości; wprawdzie niepodobne do współczesnych, ale zawsze. Otworem - chociaż niezupełnie - stały „demoludy”, to jest kraje demokracji ludowej. Najbardziej - Związek Sowiecki.

Sztuka polegała na tym, żeby podczepić się pod jakąś grupę, bo jedynie w taki sposób podróżowanie okazywało się realne i bezpieczne. Zaplanowane, pod kontrolą i tam, gdzie bywało wolno. Żadnej improwizacji. Żadnych skoków na bok.

Byłem wielokrotnie w Związku Radzieckim. Poznałem nie tylko Moskwę, także Kijów, Leningrad czyli Sankt Petersburg, także Wilno, Kiszyniew, Brześć, Pińsk, Łuck czy Lwów i Grodno, nie mówiąc już o innych miastach, jak chociażby Czerkas. Poznałem Berlin, Pragę i Bratysławę, Brno, Budapeszt, Sofię i Bukareszt, Morawy; byłem w wielu miastach i regionach.

Trudności pojawiały się wtedy, kiedy chodziło o indywidualne wyjazdy. Pomocna okazywała się wtedy - ale do pewnego stopnia - legitymacja prasowa. Lecz takie podróże też musiały być wcześniej zaprogramowane. A odstępstwa od programu, szczególnie w Związku Radzieckim, okazywały się niemożliwe.



Będąc na służbowym wyjeździe w Moskwie, zapragnąłem odwiedzić - nie ujęty do planu - Zagorsk, słynący z bardzo wielu cerkiew. By dostać się tam, trzeba było uzyskać wpieryw zgodę milicji, ponieważ bez przepustki byłoby to ryzykowne. Poszedłem więc do komendy moskiewskiej milicji po przepustkę, wyjaśniając cel wyjazdu. Przyjęto mnie grzecznie. Powiedziano, żebym wystąpił na piśmie o wydanie przepustki na dwa dni pobytu w Zagorsku. I żebym zgłosił się wkrótce ponownie, gdyż sprawa powinna zostać załatwiona.

Gdy zjawiłem się tam znowu, usłyszałem:

- Przykro nam bardzo, trzeba jeszcze czekać. Za dwa dni przepustka powinna już być.

Za dwa dni też jej nie było. Wyjaśniano mi, że to sprawa trudna, bo Zagorsk znajduje się w strefie zamkniętej. Uparłem się i poszedłem jeszcze raz.

- Masz szczęście - powitał mnie radośnie oficer. - Jest już przepustka, będziesz mógł pojechać do Zagorska, ale potrzebny jest jeszcze jeden podpis „komandira”...

Spytałem kiedy będę mógł ją odebrać. Poprosił mnie wówczas o paszport, popatrzył na wizę i obwieścił z tą samą radością.

- W piątek będzie gotowa. Na pewno.

Tyle, że na niedzielę - z uwagi na termin wizy - miałem zaplanowany powrót do Polski.

- No, tak - powiedział. Żałko, oczeń żałko...

## *Za ciężki Lenin*

Kiedy prowadziłem młodzieżowy „Pociąg Przyjaźni” na Ukrainę i Mołdawię, pracując w „Zarzewiu”, w Kiszynowie też natknąłem się na „pierepałkę”. Ta miała jednak inny charakter.

W przeddzień oficjalnych rozmów kiszyniowscy komsomolcy zafundowali nam wizytę w kołchozach zajmujących się uprawą winorośli i wyrobem wina. Podzieleni na cztery grupy wyjechaliśmy autokarami do wytypowanych miejscowości. Przypuszczając, co się święci, przestrzegąłem młodzież, by nie dała się zwieść pozorom i zachowała wstrzeźliwość. Zapewne gospodarze - mówiłem - poczęstują nas młodym winem, które pije się jak kompot, gdyż dobrze

smakuje, lecz powala z nóg. Swoich zastępców, z których każdy zaopiekował się innym autobusem, uczuliłem dodatkowo, żeby zadbali o dyscyplinę i pilnowali zachowanie umiaru.



*Starszy Mikołaj i młodsza Irenka. Brat i siostra. Jacy będą, kim zostaną, gdy dorosną?*

Powrót do hotelu zaplanowany był na późny wieczór. Jako pierwszy wrócił mój autokar. Byliśmy rozśpiewani, wesolutcy i na lekkim rauszu, kołchoźnicy przyjęli nas bowiem ciepło i serdecznie, nie szczędząc ani wina, ani koniaku. Pilnowałem żebyśmy nie przesadzili z piciem. Zaanektowałem wielki gąsior młodego wina, jaki kołchoźnicy wręczyli nam na drogę powrotną. Wy tłumaczyłem, iż wypijemy je któregoś wieczora.

Pozostali biesiadnicy powrócili później i mocno podpici. Ostatnia grupa zajęła pod hotel dobrze po północy, a do tego w żalonym stanie. Chłopaki spili się i wymiotowali w autobusie, co komsomolców upoważniało, żeby zwrócić im uwagę. Grupa nie dała jednak niczego złego o sobie powiedzieć, zachowując się przy tym arogancko, wobec tego musiałem poznać uszczypliwe uwagi i pretensje. Zażegnałem jakoś zgrzyt, zrzucając winę na brak doświadczenia w spożywaniu młodego wina.

Rankiem następnego dnia kierownictwo Pociągu Przyjaźni spotkało się z kierownictwem Komsomołu na oficjalnych rozmowach. Nic się nie kleiło, a ja nie zamierzałem być jedyną osobą, która by trzymała fason. Przed nami stał stolik z przygotowanym poczęstunkiem. Wina, woda mineralna, koniaki, owoce, słodycze...



Pierwszą zagraniczną podróż - u góry - odbyłem w 1959 r. Jadąc do Bułgarii, pociąg zatrzymał się na kilka godzin w Bukareszcie. Na zdjęciu: idę bukaresztańską ulicą z Michałem Kierczyńskim (z lewej) i studentką z Timisoary (w środku), która „poderwałem” na targowisku. Na zdjęciu dolnym z młodszą olsztynianką w Moskwie, nad rzeką o tej samej nazwie. Stoją od lewej: Stanisław Baraniecki, Halina Mierczyńska, Krystyna Sarosiek i Henryk Maziejuk.

Spostrzegłem, iż moi zastępcy - zerkając ukradkiem na ów stół - mlaskali językami, pragnąc jak najprędzej przepłukać suche gardła. Kac dawał się im we znaki. Prezentowali się żałośnie.

- A może by tak - zaproponowałem - odwrócić porządek spotkania i zacząć od wzniesienia toastu?...

Komsomolcy popatrzyli na mnie ze zdziwieniem, jakbym urwał się z choinki. Dodałem więc, że nasze zmęczenie spowodowane wizytą w kołchozach może splukać i rozwiązać nam języki jedynie kieliszek wina. Gospodarze poszeptali coś między sobą i jakby krępując się szef spytał:

- Czy to wypada najpierw pić, a potem rozmawiać?

- Uchodzi! - wypaliłem.

Doszło tedy do zmian w porządku. Po paru toastach i wypiciu wody, kiedy spłynęło z nas znużenie i zmęczenie, zadziało prawo klina. Polakom rozwiązały się języki i rozmowa potoczyła się wartko. Zadowoleni z przebiegu spotkania, republikańscy komsomolcy toasty wznosili skwapliwie, a my nie pozostawaliśmy dłużni.

W czasie tej wyprawy zdarzyło się coś - głównie z mojej winy - co musiało zostać skrzętnie ukryte.

Zaczęło się wzniosłe i w przekonaniu o zaszczytnym wyróżnieniu. W kołchozie odznaczonym Orderem Lenina, przewodniczącemu gospodarstwa wręczyłem dużą lalkę w krakowskim stroju. Otrzymaliśmy w rewanżu okazały portret Lenina. Była to mozaika utworzona z nasion zbóż. Gdyby nie to, że prezent okazał się kłopotliwy, można by się cieszyć.

Leninem należało się opiekować. Zadanie to powierzyłem dwójce chłopaków, potem wyznaczyłem następną dwójkę, a potem kolejną. Zdawałem sobie sprawę, iż ograniczam ich swobodę. Cóż miałem począć?

Mozaika była ciężka i należał się jej szacunek. Wśród ludzi, z którymi byliśmy w ciągłym kontakcie, Lenin był czczony jak święty. Słyszając narzekania chłopaków opiekujących się prezentem spytałem kiedyś:

- Jak ma się Lenin? Czy jeszcze się nie sypie?

Wiedziałem, że mogą mu zaszkodzić wilgoć i częsta przeprowadzka czy też wstrząsy. Mogą wypadać z mozaiki nasiona. Jak oni to zrozumieli, tego nie wiem. Gdy ponowiłem pytanie, mozaiką opiekowali się już inni koledzy. Po kilku dniach:

- Lenin posypał się... tak, że aż wstyd patrzeć na niego!

Te słowa wypowiedzieli ani to głosem smutku, ani radości. Oglądając mozaikę odniosłem identyczne wrażenie. Twarz wodza rewolucji była zdeformowana. Stało się to samoistnie czy też z ludzką pomocą?

Wstyd i poruta. Zapropnowałem chłopakom, żeby nikomu nie mówiąc zdrapali po kryjomu resztkę ziaren, zaś deskę ukryli. Z zadania tego wywiązali się dobrze, skoro nikt nawet nie zauważył braku mozaiki. Zniknęła więc bez śladu.

### *Kim Ir Sen do pieca*

Niestosowne prezenty zdarzają się często. Przekonałem się o tym także gdzie indziej. Otóż w 1983 r., będąc wiceprezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, kierowałem 4-osobową delegacją podczas rewizyty w Korei Północnej. Firmować jako ludowiec, organizację dziennikarską tam, gdzie komunizm - przynajmniej w założeniu - był wszech panujący?

Sprawa była delikatna. Polskie władze dystansowały się dyskretnie od praktyk tego państwa, ale nadal utrzymywały z nim kontakty. Pouczono mnie, jak mamy postępować chcąc uniknąć dyplomatycznej wpadki. W skład delegacji, celem jej ideowego wzmocnienia, wszedł zastępca kierownika Wydziału Pracy KC PZPR Stanisław Gleń, dziennikarz z kieleckim rodowodem, osoba niedogmatyczna i sympatyczna.

Korea Północna okazała się dla mnie całkowitym zaskoczeniem. I to pod każdym względem. Ulice stolicy państwa, Phenianu, były szare i nijakie, smutne, gdyśmy się tam znaleźli. Lecz 15 kwietnia, w rocznicę urodzin prezydenta Kim Ir Sena, zmieniły się nie do poznania. Stały się barwne i wesołe. Na biało pomalowano krawężniki i pasy dla przechodniów. Uczniowie przywdziali - wszystkie w tym samym stylu i kolorze - jednolite nowiutkie ubranka i buty, które otrzymali w prezencie urodzinowym od Ukochanego Wielkiego Wodza. Jesienią przebiorą się w sprezentowane im ciepłe garniturki i czapeczki. Taka była tutaj praktyka.

Pionierzy spacerują i śpiewają. Z megafonów płynie muzyka. Marszerują czwórkami, jak żołnierze, od zarania militaryzowani, bez dziecięcego wyrazu na twarzy. Ćwiczą z karabinami wyciosanymi z drewna. Coś skandują, w górę - pomachując nimi - wznoszą zaciśnięte pięści. Pewnie na pohybel amerykańskim imperialistom. Płakać czy się śmiać?

Zaproszono nas na centralny plac defilad. Na cześć Kim Ir Sena odbywa się wielka zabawa ludowa. Tańce i korowody w azjatyckim stylu. Wodzirej steruje tłumem tak, by przebywające na placu grupy zagraniczne - jak oni nas rozpoznają? - poprowadzić pod trybunę honorową i telewizyjne kamery. Spiker ogłasza z jakiego kraju przybywa grupa, żeby uczcić Wielkiego Wodza.

Unikamy przemyślanego manewru wodzireja. Wymykamy się z azjatyckiego węża, oddalając się od kamer. Po cóż? By sprawozdawca nie mógł - pokazując nas na ekranie - powiedzieć, że oto Polacy oddają cześć Ukochanemu Wodzowi.

Siedzimy później w wielkiej hali widowiskowej, oglądając imprezę artystyczną poświęconą urodzinom Kim Ir Sena. Występują goście z zagranicy. Z ponad 60 państw świata! Nikt ważny, ale obcy. Spiker opowiada z emfazą o każdej takiej zagranicznej delegacji. Polaków nie wymienia. To dobrze!





Koreańczycy, jak na Azjatów wypada, są otwarci i gościnni, ale zarazem podejrzliwi i nieufni. Jak bardzo, świadczy nasze spotkanie z wicepremierem do spraw kultury. Siedzimy w fotelach blisko siebie. Przedziela nas wąski stolik. Za mną tłumacz i reszta delegacji. Wicepremier mówi długo i w formie frazesów, ja zaś krótko i bez wzniosłych słów. Koreańczycy pytają, my odpowiadamy na przemian.

Pada pytanie dotyczące stanu wojennego i Lecha Wałęsy. Co się z nim dzieje? Czy on żyje? Mówię, że został zwolniony z aresztu i wrócił do stoczni, gdzie był elektrykiem.

A oni kręcą z niedowierzaniem głowami. Pytają ponownie, tym razem podstępnie, sprawdzając naszą prawdziwość. Odpowiada Staszek Gleń, a potem Hanka Woźniak z Katowic. Treść ta

*Byłem parokrotnie na Krymie. Na zdjęciu górnym: Halka (druga od prawej) spogląda z góry Ajudah na Morze Czarne. Na zdjęciu środkowym: stoję w 1980 r. (pierwszy z lewej) w towarzystwie Władysława Kopcia z LSW i prof. Tadeusza Kisielewskiego. Za nami słynny Pałac Liwadia w Jałcie, w którym decydowały się powojenne losy Polski w rozmowach J. Stalina, W. Churchilla i D. Roosvelta. A to -zdjęcie dolne - z Haliną Mierczyńską, późniejszą żoną, na skalistej plaży w Gurzufie w 1960 r.*



sama, Oni ze zdziwienia wciąż kręcą głowami. Jak to możliwe - łatwo domniemywać ich wątpliwości - że uniknął surowej konsekwencji ktoś taki jak Wałęsa? Ten kto odważył się podnieść rękę na socjalizm?



*We troje w Budapeszcie. Na zdjęciu lewym: Halka z Elżbietą na tle Dunaju i - w głębi - zabytkowego parlamentu węgierskiego. Na zdjęciu prawym: żona sfotografowała mnie i naszą córkę na historycznym Placu 1000-lecia Węgier.*

Musimy zachować ostrożność. Tutaj każdy każdego śledzi. To czuje się i widzi. Nie czas na żarty i dowcipy.

Tłumaczem jest Koreańczyk, którego rodzice zginęli podczas wojny z USA. Przebywał jako sierota w domu dziecka w Świdrze pod Otwockiem. Nasz język zna nieźle. Znajomość tę utrwała w ramach kontaktów utrzymywanych z polską ambasadą.

On też jest powściągliwy i ostrożny, nawet w luźnych rozmowach. Gdy mówię, że chcemy wręczyć prezenty dla żony i dzieci, prosi, by tego nie robić w obecności osób trzecich. To musi odbyć się bez kogośkolwiek z Koreańczyków. Inaczej narazimy go na duże kłopoty. Ustaliliśmy, że któregoś wieczora pojawi się sam z odpowiednią torbą na prezenty. I tak się stało. Wzruszony, dziękował nam wylewnie.

My też otrzymaliśmy odpowiedni prezent. Było to - wręczone dla każdego z osobna - czterotomowe wydanie przemyśleń i przemówień - wtedy jeszcze żyjącego - prezydenta Kim Ir Sena. Książki wydrukowano na kredowym papierze w języku rosyjskim. Ze zdjęciami i w twardej okładkach.



Prezentów, jak wiadomo, nie wybiera się. Te zaś sprawiły nam duży kłopot. Były to książki ciężkie i zajmujące w walizkach dużo miejsca. Prezent był ponadto... nieprzydatny.

Będąc w ambasadzie, spytałem ambasadora, cóż mamy tedy począć? Wcale nie zaskoczony dylematem, W. Tomaszewski zauważył:

- Nie pierwsi pytacie nas o to...

Poradził, byśmy - już po zmierzchu, idąc osobno i mając ukryte książki - przynieśli podarki do ambasady.

- Co zrobicie z nimi? - spytał ktoś.

- Nocą, kiedy nie widać dymu, spalimy w piecu - beznamytnie odrzekł ambasador.

Zauważył też, by każdy z nas zostawił sobie jeden tom i umieścił go w walizce na samym wierzchu. Gospodarze - dodał - mają zwyczaj sprawdzać przed odlotem, co zawierają bagaże gości i czy jest tam prezent. Gdyby go zabrakło, nic by wprawdzie nie powiedzieli, ale mogliby w rewanżu stwarzać trudności.

*Byliśmy w Bułgarii. Z żoną Haliną (u góry) na ulicy w Warnie i tamże (zdjęcie środkowe) krótki odpoczynek z córką Elą. Zdjęcie dolne: przyjacielska rozmowa na plaży w Złotych Piaskach. Od lewej siedzą: Halinka, popularny pisarz radziecki Walenty Rasputin, ja i słynny radziecki poeta Jewgienij Jewtuszenko.*

Rada okazała się bezcenna. Nasze walizki rzeczywiście były otwierane i przed złośliwymi kłopotami ratowały nas rzucające się w oczy książki Kim Ir Sena.

### *„Sute caj” i kawior pożerany łyżką*

W Mongolii, bo tak mi się spodobała, byłem dwukrotnie. Pierwszy raz w roku 1972, a następnie w trzy lata później. Z rozrzewnieniem wspominam bezkresne przestrzenie i tereny bez mała bezludne. Jak sięgnąć okiem, wokół tylko step i step. Całkowicie bezdrzewny, związany korzeniami trawy i dzikiej bujnej roślinności, która oszałamiająco pachnie podczas kwitnienia i potem. Noszę dotąd w sobie urok i zapach tego dzikiego stepu.

I nagie, suche pagórki, łagodne bądź urwiste wzniesienia oraz doliny zielone, z rzadka przecięte strumieniami. Gdzie spotyka się stada owiec i kóz, rzadziej krów, czasem silnie uwłosione jaki. Niekiedy, szczególnie w pobliżu pustyni Gobi, wielbłądy. Ponadto konie. Małe i zwinne, odporne i wytrzymałe. Odwieczny symbol Mongołów.

Na ich grzbietach przebywają oni setki kilometrów. Jadą i śpią, gdy trzeba. Szkoły prowadzą naukę poruszania się nimi i obsługiwania ich. Lecz dzieciaki we krwi mają zdolność dosiadania koni. Na każdego Mongoła, licząc statystycznie, przypada przeszło 30 owiec i niespełna 10 koni.

Poczucie luzu i swobody. Pustkowia. Niebo piękne, powietrze wspaniale czyste; tak przejrzyste, że pozwala widzieć niebywale daleko. Gdzieś hen na błękitnym horyzoncie ścielą się pasma gór i wysokie szczyty Altaju. Bliżej bieleją jurty, po dwie i trzy, czasem pojedyncze, przytulone do pagórków. Pomijając miasteczka, tam można spotkać rodziny Mongołów, którymi najczęściej są pasterze. Mili i gościnni.

Przestrzegając tradycyjnie zwyczaje, jadłem siedząc na honorowym miejscu posiłki. Najczęściej z przyrządzanego na różne sposoby mięsa, z mleka i sera. Piłem smakowity kumys i „archi”, czyli wódkę zbożową, pochodzącą z wytwórni zbudowanej przez Polaków. Piłem też „sute caj”, to jest chińską zieloną herbatę - nie zaparzaną, a gotowaną, której się nie słodzi, lecz namaszcza tłuszczem, przeważnie łojem, która orzeźwia i gasi pragnienie.



*Mongolia w połowie lat 70. ub. wieku. Gdzieś na odległym stepie gospodarze posadzili mnie na honorowym miejscu w tradycyjnej jurcie. Za stolikiem zastawionym pasterskimi smakotykami. Poczęstowali „sute cajem”, gorącą herbatą z łojem, a potem znakomitym kumysem. żeby przez chwilę poczuć się Mongołem, wsiadłem na stepowego konia.*

Nie każdą potrawę mogłem przełknąć. Na moją wyobraźnię źle podziałało... oko barana. Wyjaśniono mi, że to rzadki przysmak, jakim częstuje się gości z bardzo daleka. Zdając sobie sprawę, iż odmową gości mógłbym zrazić gospodarzy - uciekłem się do fortelu. Zażenowany stwierdziłem, że muszę zrezygnować z potrawy dlatego, że moja religia zabrania spożywania oczu zwierząt. Gospodarze przyjęli z żalem usprawiedliwienie.

Innym razem, spostrzegłszy moją sympatię do nich, Mongołowie spytali czy mam własnego konia. Nie mogąc domyślić się, o co może chodzić, odpowiedziałem szczerze, iż nie posiadam konia. A oni wtedy, wcale nie dla żartów, uznali że... podarują mi rocznego źrebaka. Polewając go tradycyjnie mlekiem, żeby mi się szczęściło, nadali mu imię „Dziennikarz”.

Kłopot pojawił się wtedy, kiedy doszło do pożegnań. Pasterze naciśleli, żebym podarunek zabrał ze sobą. A jak mogłem wziąć konia na pokład gazika, a potem do samolotu? Cmokali i kręcili głowami z niedowierzaniem, nie mogąc zrozumieć, iż w życiu można odbywać się bez konia.



Przechadzał się tędy przed wiekami Czyngis Chan. Znalazłem się tam, gdzie była kiedyś dawna stolica mongolskiego imperium - Karakorum, oglądając jej pozostałości. Usiadłem - zdjęcie środkowe - na kamiennym żółwiu, symbolu wieczności, pamiętającym odległe czasy. Chcąc poznać moją sprawność i odwagę, mongolscy pasterze namówili mnie, żebym wsiadł na wielbłąda i stał się na krótko półpustynnym globtroterem.



Musiałem kłamać. A to, że żrebak jest za młody i mógłby nie wytrzymać trudów podróży, a to, że wezmę go za rok, kiedy ponownie ich odwiedzę. I jakoś uwierzyli mi. Poprosiłem, żeby dbali o mego konia, jak o swojego. Gdy przypomina mi się to wydarzenie, uśmiecham się pod nosem.

W pamięci mej utrwaliła się wyprawa na północne rubieże Mongolii, gdzie wyrastało wówczas zupełnie nowe miasto Erdenet na całkowitym pustkowiu. A to dlatego, że geolodzy odkryli w pobliżu pokłady ród miedzionośnych. Po wstępnej przeróbce minerały były przewożone olbrzymimi samochodami za granicę, do ZSRR, gdzie znajdowała się huta.

Z Ułan Bator, stolicy Mongolii, leciałem samolotem. Tak samo jak do Uliasutaj na zachodzie kraju i na Pustynię Gobi. Czekał tam na mnie gazik z kierowcą i przewodnikiem. Pustynia stwarza odmienne doznania. Piasek i pustka. Ruchome wydmy i piaszczyste pagórki.

Z mojej winy, gdyż niepotrzebnie naciskałem, wdarliśmy się daleko w głąb pustyni, gdzie zastała nas noc. Usnęliśmy siedząc w łaziku. Mongołowie uparli się, żeby tak się stało, ponieważ chcieli wracać samochodem z zapalonymi światłami. A to dlatego, że nie byli pewni, czy przypadkiem nie znaleźliśmy się już po chińskiej stronie. Drżeli na samą myśl, iż mogliby wpaść w ręce Chińczyków, którzy w podobnych przypadkach odwożą ludzi gdzieś daleko i upływają tygodnie nim wrócą - jeśli w ogóle powrócą. Nam nie przytrafiło się nic złego.

Teraz nie miałbym odwagi wsiąść na pokład zdezelowanego AN, wyglądającego tak, jakby miał trafić na złom. Wtedy byłem młody i łakomy przygód. Samolot miał dziurawe siedzenia, chybotliwe drzwi zabezpieczone byle jak, drutem i sznurkiem, zaś kabina pilota - otwarta. W kokpicie zwisiały pourywane przyrządy nawigacyjne.

Pogoda, kiedy leciałem do Erdenetu, była dobra i pilot mógł wykazać się swoimi umiejętnościami. Zdawało mi się, iż zaczepi skrzydłami o skały, przeciskając się między górami, ale przestrach miał stanowczo zbyt duże oczy. Lecieliśmy płynnie i pewnie. Zaletą AN-tka jest to, że - gdy musi - siada bez kłopotów na równym stepie.

Frapowało mnie miasto rodzące się na caliźnie. Tam, dokąd nie prowadziła jakakolwiek bita droga i nie było torów kolejowych. Moją wyobraźnię uruchomił spacer po koronach wygasłych wulkanów. Bu-



dziła się świadomość, że znalazłem się w miejscu, gdzie w prehistorii żyły dinozaury, których szczątki - pomimo czasu - odnajdywali wciąż naukowcy. Popuszczając wodze fantazji wyobrażam sobie, cóż takiego mogło rozgrywać się tutaj przed dziesiątkami milionów lat?

Znalazłem się następnie w Darchanie. I to miasto, najbardziej uprzemysłowione ze wszystkich, zbudowali przed laty Mongołowie w miejscu, gdzie uprzednio stały jurty pastuchów. Polacy uruchomili tam cenioną wytwórnię cegły.

A stąd, jak zwykle, znowu gazikiem wybraliśmy się w rozległy step, udając się w rozległą dolinę Selengi, go której wlewa się Orchon. Zawdzięczam wprawdzie kierowcy, że nie ugrzęźliśmy na podmokłym terenie, ani nie zsunęliśmy się z urwiska. Także, co ważne, nie zbłądziliśmy. Tego, co widzi się tam, nie spotka się w ogóle w Polsce. To świat zupełnie odmienny.

Bujnie rosną dzikie trawy, szuwary i krzaki przypominające nasza łożynę, co kontrastuje z suchym stepem. Odbyło się tutaj spotkanie ze



*Były to bardzo interesujące spotkania. Te z młodą pastuszką, przyodzianą w mongolskie deli, która na koniu spędza całe lato. I te z bohaterem reportażu spod Kiachty, który władał za młodu świetnie szabłą i nad rzeką Chatchyngol bił się z Japończykami.*

spółdzielcami zajmującymi się wypasem bydła i owiec oraz pozyskiwaniem siana. Było ciepło, świeciło słońce, w górę wzbijały się stada spłoszonych ptaków, ale nie było widać ani rybaków, ani rolników.

Nad ziemią unosiły się gęstniejące i kłębiące się chmury komarów. Im bardziej zbliżaliśmy się do celu, tym bardziej te chmury wydawały się gęstsze, wydając groźny pomruk. Ich bzyczenie narastało tak bardzo, że grzął w nim warkot silnika.

Kierowca nasunął dach samochodu. Pozamykał szczelnie okna i drzwi, nakazując, bym włożył na siebie - a wiozł go w bagażniku - specjalny ubiór; ni to płaszcz, ni to kombinezon, raczej rodzaj worka. Gdy go przydziałem, sięgał do ziemi i osłaniał całą twarz. mając jedynie dwie nieduże dziurki dla oczu. Rękawy były zaś takie długie, iż ginęły w nich całkowicie ręce i dłonie. Tak właśnie zabezpieczony zostałem przed atakiem komarów, które w swej nieogarniętej masie tworzyły gęste chmury.

Komarzy tłum otaczał nas zewsząd. Niewyobrażalne skupisko jadowitych owadów atakowało nieustannie i groźnie, wydając bezustanny pomruk żądzы krwi. Ściana brzęczących komarów przesuwała się wraz z nami, wlokąc się za gazikiem. Owady zagłuszały wszystko, przesłaniały słońce i dudniąc ciągle biły stępa. Kierowca uruchomił zapasowe reflektory. Nigdy, ani przedtem, ani potem, czegoś podobnego nie widziałem.

Przezorność okazała się zasadna, bo dzięki niej uniknęliśmy bolesnych ukąszeń. A jak niebezpieczne mogą być komary, przekonałem się po dotarciu do pastuchów, widząc kilkanaście martwych owiec, które odbiły od stada i nie można było osłaniać ich dymem. Zginęły też trzy krowy i koń.

Rozmawialiśmy przy ognisku nie widząc - poza oczami - swoich twarzy, bo komary - choć już nie tak masowo - usiłowały ciągle dobrać się do nas. Znad Selengi wyjechaliśmy do starego przygranicznego starego miasteczka Suche Bator. Kawał drogi. Śpiąc a to w gaziku, a to w namiocie dotarliśmy do celu po północy następnego dnia. Powodzenie tej podróży zależało głównie od zmysłu topograficznego kierowcy i jego rajdowych umiejętności.

Sporo lęku przysporzyła nam sowa, które ku naszemu zaskoczeniu wpadła nocą do otwartego samochodu, gdyśmy jechali. Na szczęście obeszło się bez ran.



Trochę mongolskiej egzotyki w moim fotoreporterskim ujęciu.

U góry - przyleciał samolot z Ułan Bator. Usiadł wprost na stepie i z niego wystartował w drogę powrotną. A step jest albo równy i bezkresny, albo poprzecinany wzniesieniami i strumieniami oraz wysokimi górami. Tutaj (zdjęcie środkowe) pasterze zajmujący się wypasem i objuczaniem koni. I okazjonalne spotkanie (zdjęcie dolne) podróżników na trasie.



Było tak późno, że już nikt nas tam nie oczekiwał. A głód dośkwierał ewidentnie. Udało się jednak ściągnąć kobietę, które wpuściła nas do sklepu. Cóż z tego, skoro nie było w nim niczego, co dałoby się zjeść. Poza... kawiozem.

W rogu pomieszczenia stała pryzma radzieckich puszek z tym przysmakiem. Opiekun spytał, czy mnie to odpowiada? Odrzekłem twierdząco. Poprosiłem tylko o chleb, a że tego również brakowało, sklepowa wręczyła mi stołową łyżkę, którą nagarniałem kawior wprost z puszek i zażerałem się nim z wielkim apetytem.

Opróżniłem trzy czy też cztery puszki tego przysmaku. Na coś podobnego w Polsce nie mógłbym sobie pozwolić. Byłem także w Szwajcarii, Danii i RFN, w krajach bogatych, ale nigdzie nikt mi nie zaproponował kawioru. Moi towarzysze spoglądali na mnie dziwnie, gdy pałaszowałem czarny kawior, stroniąc od niego, gdyż ich lamaicka religia zabrania spożywania go.

Stąd - w linii prostej - niedaleko do Irkucka. Wracając samolotem z Ułan Bator, zrobiłem w Irkucku parudniową przerwę, by poznać miasto - tak mocno związane ze zsyłkami Polaków na Syberię - oraz najbliższe okolice. Pociągały mnie zwłaszcza Bajkał i potężna rzeka Angara, jedyna wypływająca z tego najgłębszego jeziora świata. Złożyło się tak niefortunnie, że trafiłem na wylew Angary, która spowodowała powódź. Niemniej udało mi się ujrzeć przepiękny Bajkał, o którym marzyłem.

Bliżej Suche Bator leży - po drugiej stronie granicy, choć to pojęcie względne - stolica Buriatów Ułan Ude. Tędy prowadzi pekińska odnoga słynnej kolejowej linii transsyberyjskiej.

Nie mogłem nawet przypuszczać, że później spotkam kogoś, kto w 1940 r. dotarł tą linią spod Wilna aż pod Ułan Ude. W ramach wysyłki Polaków na Sybir, której dokonali Sowietci po zajęciu części wschodniej Polski.

Jankę Petrusiewicz, bo o nią chodzi, poznałem podczas autokarowej wycieczki młodych rolników z ZMW do Francji. Grupą kierował Stanisław Kozakiewicz z ZG ZMW. Była ze mną żona, pracująca wtedy w Zrzeszeniu Hodowców i Producentów Drobiu w Polsce.

Program tej wyprawy był ukierunkowany na zwiedzanie farm i ferm oraz zakładów przetwórstwa rolnego i spotkania z młodymi





*Jeździłem także na Zachód. U góry: Halka z Janką Petrusewicz (w środku) w Paryżu, Zdjęcie lewe: żona przed katedrą Notre Dame w Paryżu w 1974 r. Na zdjęciu dolnym: usiadłem na kamieniu przed morską syrenką w Kopenhadze.*

francuskimi farmerami. Wycieczka okazała się wyjątkowo atrakcyjna i pouczająca. Podobną, równie udaną, wyprawę odbyłem z młodymi rolnikami do Holandii, którą po latach wspominam z sentymentem.

Dla Janki był to pierwszy (nie licząc syberyjskiego) wypad zagraniczny, i to od razu do Paryża! Kiedy dotarła pod Ułan Ude, przeżywszy z rodzicami wiele trudów, była dzieckiem. Jak setki innych Polaków odbyła wtedy prawdziwe nieludzką tułaczką.

Petrusewicze nie wrócili już na ukochaną Wileńszczyznę, gdyż osiedlili się we wsi Sterławki Wielkie opodal Giżycka, gdzie - jako repatrianci - przejęli na własność poniemiecką gospodarkę. Kiedy rodzice zestarzelili się, ona zajęła się jej prowadzeniem.

Z pobytu wśród Buriatów pozostała Jance trwała pamiątka, w postaci czerwonego zabarwienia skóry na twarzy. Powstało ono wskutek odmrożenia i nie dało się usunąć. Zabarwione policzki, tak latem jak i zimą, nie pozbawiły Janki ani dobrego usposobienia, ani humoru i werwy, śmiałości.

## *Przepych i ubóstwo*

Tak się układało, że najwięcej podróżowałem po Europie i Azji. Koledzy ze stowarzyszenia dziennikarzy wytypowali mnie na wyjazd służbowy do Chińskiej Republiki Ludowej. Byłem rad z tego powodu i dużo obiecywałem sobie po tej podróży. Byłbym zapewne w Pekinie, także na słynnym Chińskim Murze, a pewnie i gdzie indziej, gdyby nie choroba, która pozbawiła mnie tej życiowej przygody. Żałowałem okazji, jaka mnie ominęła, ale cóż mogłem począć?

Chcąc wynagrodzić moją społeczną aktywność stowarzyszeniową, koledzy zaproponowali, żebym w zastępstwie za Chin - gdy poczułem się lepiej - wyjechał do Indii. Tę właśnie wyprawę, tak nieoczekiwaną, uznałem za najbardziej atrakcyjną z tych, jakie odbyłem.

Przywiozłem stamtąd bardzo wiele frapujących wyrażen. Pisać można by o Indiach długo, ale w tej książce - która i tak nazbyt się rozrosła - brakuje na to miejsca, ograniczę się więc jedynie do krótkich refleksji.

Nie byłbym zresztą w stanie, gdyż to niemożliwe, zaprezentować jeden tylko - typowy dla niego - obraz tego ogromnego kraju. Pod



względem liczby mieszkańców, co często ucieka uwadze, Indie ustępują wyłącznie Chinom. Liczą już ponad miliard ludności. Problem w tym, iż oni nie są sobie równi. Dzielią się na kilka kast. Na kastę - co samo rzuca się w oczy - ludzi wyżej usytuowanych i uprzywilejowanych, czyli bogatych, kastę średnią - i kastę niższą oraz najniższą. Ci ostatni funkcjonują na kompletnym marginesie. Są wyzuci z praw i szans na lepsze życie.

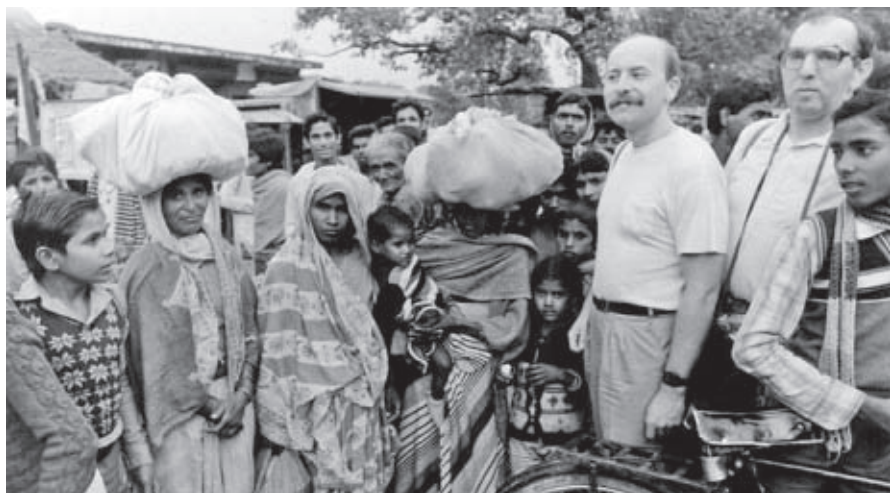
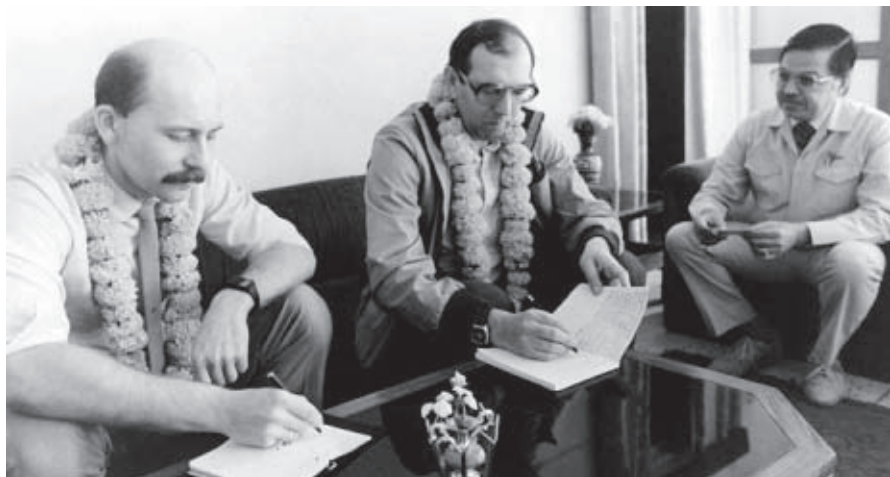
Formalnie, z prawnego punktu widzenia, tego podziału nie ma, w praktyce on jest i sankcjonują go obyczaje. Przenikanie kast stanowi wielką rzadkość. Więc kasty, to w rzeczywistości - gdy idzie o najwyższe - klany.

Podział rzuca się w oczy. Jest drastyczny. Gdy widzi się ludzi skrajnie ubogich, nędzarzy, koczujących niczym szczury - a nawet gorzej, ponieważ te religia uznaje za święte, jak zresztą wiele innych - gdzieś w ruinach i zakamarkach, czy krzakach. Skrajnie nędzni i zaniedbani koczują wprost na ulicach, gdzie stołują się i śpią, umierają z głodu, chorób czy zimna. Nikogo to specjalnie nie dziwi i chyba nie wzrusza, gdyż stało się czymś normalnym i zwyczajnym.

Podobnie jak to, że są trędowaci, ludzie „nieczyści”, których zgodnie z prawem i zwyczajami izoluje się i zamyka w specjalnych pomieszczeniach, które by można przyrównać do obozów. Byłem w jednej z takich placówek. Jakby piekło na ziemi. Widziałem ludzi pozbawionych uszu i nosów, ust i warg, niemiłosiernie poskręcanych, nierzeczywistych, którym wskutek choroby odpadają powoli poszczególne części ciała.

Spotkałem się - w jednej przestrzeni i w jednym czasie - z niewyobrażalną nędzą i bezgranicznym przepychem. Widziałem szkoły pod konarami drzew, na powietrzu i bez podręczników, jak też łapaczy węży i derwiszów zabawiających się kobrami, święte krowy, wychudzone jak ludzie, których nie wolno bić i źle traktować, wałęsające się ulicami i placami miast, śpiące w parkach. Byłem na święcie słońi i tradycyjnym weselu, na które pannę młodą dostarcza się w lektyce, aby nikt jej nie widział i nie poządał, a często pan młody mógł ujrzeć po raz pierwszy dopiero na ślubnym kobiercu.

Dziwny i frapujący to kraj, w którym rodzice płaczą, gdy rodzą się im córki, gdyż trzeba mieć niemały posag, by powydawać je za męż. A ponadto mąż, jeżeli żona mu się nie spodoba, albo kiedy posag wyda



*W Indiach powitani zostaliśmy tradycyjnymi wieńcami. Na zdjęciu siedzę w środku. Po mojej lewej stronie red. Wojciech Łuczak. I z nim jestem na gęsto zasiedlonym przedmieściu w Delhi.*

się niewystarczający, czy też kiedy jest nieustępliwa i krnąbrna, może ją zwrócić rodzicom, pozostawiając sobie posag. Zaskakujące obyczaje.

I oglądałem, a jakże, wspaniałe wille i pałace, domy ociekające bogactwem, odgradzone od reszty osiedla i całe enklawy. Przepych, który poraża wzrok. Widziałem wspaniałe, stare budowle, zabytkowe, o oryginalnej architekturze świątynie buddyjskie i muzułmańskie.

Inne pamiątki z Indii. U góry: młody derwisz straszy mnie kobrą. Stoją z prawej: red. Wojciech Łuczak i red. Franciszek Nietz. Zdjęcie dolne: stanęliśmy przed starym zespołem muzułmańskich zabytków w mieście Lucknow. Od prawej: fotoreporter CAF Ireneusz Sobieszczuk, przewodnik i ja.

Zapierające dech cudowne, wielowiekowe zespoły budynków. Także na wskroś nowoczesne domy mieszkalne, bloki, szpitale i szkoły, fabryki.

Widzi się obok siebie, gdyż to także normalne, eleganckie, modelowe limuzyny, samochody, jakich nikt by się nie powstydział, a także zdezelowane, rozklekotane samochody, okazy prawie muzealne, jak też rozmigotane, trzeszczące autobusy, przepelnione do niewyobrażalnych granic ryksze ciągnięte przez żyłastych mężczyzn i rowery z pasażerem na ramie albo siodełku.

Ulice w Indiach to również coś, co trudno sobie wyobrazić. Wypełnione wszelakimi pojazdami, gdzie niesamowity zgiełk i jazgot, głośnie trąbienie i wykrzykiwanie jest czymś normalnym. A pomimo tego pozornego - czy też faktycznego - bałaganu i rozgardiaszu wypadków wcale nie tak dużo.



Niektóre hinduskie ulice, zwłaszcza peryferyjne, jak też drogi we wsiach i miasteczkach, okazują się salonami. Czy też, jak kto woli, stają się jednym wielkim targowiskiem. Czegóż tam nie ma? Jakich usług się nie poleca?

W praktyce można nabyć wszystko, co się chce, nie wyłączając kobiet i samochodów. Handluje się zwierzętami. Przede wszystkim produktami rolnymi i żywnością, lecz także pamiątkami, odzieżą, ciuchami, złotem i zegarkami. No i wszelakie usługi. Można wypić kawę czy herbatę, jakiś - do wyboru - mocniejszy napój, coś zjeść. Ale też naprawić rower i rykszę, podkuć konia, podstrzyc się i ogolić, zostać pacjentem lekarza albo zielarza, bądź usunąć bolący ząb. Co się pragnie, to się uzyskuje...

Podobne sceny oglądałem w Deli, stolicy Indii, Lucknow, gdzie byłem najdłużej, czy też w Madrasie. Na południu Półwyspu Indyjskiego, gdzie widzi się na każdym kroku przepięknych czarnoskórych ludzi. Zwiedzałem słynne, odziedziczone po Anglikach plantacje herbaty, tradycyjne urządzenia irygacyjne. Byłem na fermie krokodyli hodowanych w stawach dla pozyskiwania skóry. Piłem orzeźwiający sok, zwany mlekiem, ze środka okazałych palmowych orzechów. Kąpałem się w Oceanie Indyjskim.

Kraj - fantazja. Jak wspominałem, przepych obok niewyobrażalnej nędzy. A to wszystko, ku ogólnemu zdziwieniu, jakoś składnie funkcjonuje. Kiedy, oszołomiony wrażeniami, spytałem ministra do spraw mediów, jak to możliwe, żeby w tych warunkach - także powszechnego analfabetyzmu i zadziwiającego postępu - Indie stać się mogły mocarstwem gospodarczym i militarnym? By miały broń jądrową i wypuszczały rakiety kosmiczne, robiły mnóstwo filmów czy też produkowały udane modele samochodów własnej konstrukcji?

Od ministra usłyszałem dziwnie prostą odpowiedź:

- Po to, ażeby postęp był duży i wszechstronny, a kraj liczył się w świecie, wystarczy wciągnąć do tego procesu 200 milionów czy trochę więcej ludzi światłych. Cała ogromna rzesza mieszkańców Indii wcale nie musi mieć na to wpływu...

Ile w tej filozofii prawdy, a ile pozorów, tego oczywiście nie wiem. Bo Indie bardzo trudno zrozumieć.



## XIV. DAR ŻYCIA

### *Uciec przed śmiercią*

Poznawałem, to oczywiste, w pierwszym rządzie Polskę, odbywając mnóstwo podróży po jej zakątkach. Myślę, że swój kraj poznałem całkiem dobrze. Pozostały jedynie bardzo nieliczne miasta powiatowe, w których nie byłem. Z racji swoich zainteresowań, gdyż tam głównie mieszkali bohaterowie moich reportaży i tam znajdowałem tematy do publicystyki, byłem zwłaszcza we wsiach i małych miastach. Przy okazji, miałem to we krwi, poznawałem zabytki i piękno krajobrazu.



*Rok 1972. Halka i Ela (u góry) nad Bałtykiem w Świnoujściu. I ćwierć wieku później ja z żoną na starym cmentarzu słowińskim w Klukach koło Słupska.*

Odpoczywałem - sam, potem z żoną i córką - zarówno nad morzem jak wśród jezior, jak też w górach, które pokochałem szczerze, rozkoszując się ich pięknem i potęgą. Poznałem, pomijając Warmię i Mazury, wiele atrakcyjnych wczasowisk. Najlepiej czułem się w górach, rozkoszując się urokiem długich spacerów i wypraw. Zaliczyłem główne szlaki turystyczne, szczególnie w Tatrach i w ogóle w Karpatach, tak latem, jak i zimą. Imponowały mi swoim majestatem.

Choć mam podobny stosunek do lasu, uznając owe zbiorowisko przyrody za świątynię.

Wskutek nadciśnienia tętniczego, jakie ujawniło się ostro w 1986 roku, góry stały się dla mnie strefą zakazaną. Wciąż tęsknię za nimi, jak za bliskimi sobie osobami, rozpamiętując dawne wyprawy. Czasem śnią mi się nocą. Z czułością oglądam zdjęcia i filmy pokazujące góry, wyobrażając siebie na ich tle. Wyobrażam sobie, że idąc w lewo albo w prawo, trochę w górę czy też w dół, ujrzę zupełnie inny, ale równie frapujący widok. Czasem widoki są tak wspaniałe i nieoczekiwane, że aż zapierają dech!

Lekarze nakazali mi pożegnać się z górami, z uwagi na wadę serca. Chcąc pozostać przy życiu, musiałem zdecydować się na zoperowanie skołatanego, a mimo to czułem mego serca. Była to bardzo trudna decyzja, związana z dużym ryzykiem. Lecz miałbym pożegnać się życiem, mając 52 lata?

Poprzez żonę dotarłem do doktora Sławomira Radiukiewicza, pełniącego ważną funkcję w Ministerstwie Zdrowia, który z dużą rzetelnością zajął się mną. Skontaktował nas z prof. Wacławem Sitkowskim, będącym wtedy najlepszym w kraju kardiochirurgiem, który ceniony był również w USA, gdzie doskonalił się i przeprowadzał trudne operacje.

Człowiek o złotych rękach, przy tym bezpośredni i sympatyczny. Ludzki. W. Sitkowski kierował II Kliniką Kardiochirurgii przy ul. Spartańskiej w Warszawie, podległą Instytutowi Kardiologii w Aninie.

Gdy znalazłem się z Halką w jego gabinecie, prof. W. Sitkowi - posługując się rzeczową argumentacją - mówił wprost:

- Wybór ma pan taki: albo w nieodległym czasie zacznie się powolne umieranie, połączone z dusznością i niewydolnością serca, albo operacja na otwartym sercu. Trudna, lecz z dużymi szansami na powodzenie. Innego wyjścia nie ma i nie może być.

Jeszcze jakiś czas się wahałem. Bałem się tej perspektywy, miałem nieprzespane noce. Jednak następnym razem powiedziałem „tak”. Profesor, proszony o to przez nas, zgodził się osobiście przeprowadzić operację.

- Powiniennem - mówił - skierować pana na koronografię, żeby zbadać stan aorty i żył, a to badanie inwazyjne. Podaruję mu ten lęk. I tak będę miał pana serce w swoim ręku, więc wtedy zdecyduję co i jak.



Przeszły mi ciarki po plecach, kiedy usłyszałem te słowa. A zatem - dosłownie - moje życie znajdzie się w rękach Profesora!

Musiałem zostać do tej operacji odpowiednio przygotowany. Z opiekiwała się mną dr D. Uchman z rządowej lecznicy, kierując a to do gabinetu dentystycznego, a to na badanie wydolności i krwi. Szczegółowe badania przeszedłem też w Aninie. Czułem się coraz gorzej fizycznie i psychicznie. Poza tym, zapewne wyolbrzymiając je, obawy dotyczące tego, czy zaistnieją normalne warunki do przeprowadzenia operacji. Kraj pogrążał się w chaosie, była realna obawa, że spotęgują się strajki, a co będzie, jeżeli zabraknie prądu?

Takie tam wątpliwości. Gdy umówiłem się z prof. W. Sitkowskim w sprawie ustalenia terminu operacji, powiedział on z nutą optymizmu:

- Postępuje pan, panie Henryku, bardzo rozsądnie. Trzeba złapać najlepszy moment. Zastawka mitralna ma to do siebie, że początkowo psuje się powoli, ale po przekroczeniu pewnego progu następuje gwałtowny spadek jej sprawności, a wtedy i ryzyko jest niewspółmierne większe. Wierzę, że będzie dobrze, ale w tego rodzaju operacjach niesłychanie ważna jest psychika pacjenta. Pan musi być optymistą!



*Smolniki nas zauroczyły. Jeździmy tam z ochotą, na skraj Suwalskiego Parku Krajobrazowego, od ponad 20 lat. Dom państwa Jesionowskich, Wandy i Antoniego, stał się (zdjęcie z lewa) po części także naszym. A piękno tamtejszego krajobrazu wręcz zniewala.*

Wierzyłem w powodzenie, niemniej cisnęły się do głowy różnego rodzaju rozwiązania i przypuszczenia, nawet groźne. Tymczasem prof. W. Sitkowski poradził, bym lato przeznaczył na wypoczynek, a na operację zgłosił się do kliniki pod koniec września. Z biurka wyciągnął sztuczną zastawkę serca, zamkniętą szczelnie w pudełeczku, zrobiona z węglików spiekanych, by powiedzieć:

- Taką to zastawkę wszczępię panu w serce. Jest amerykańska. Sam ją przywiozłem ze Stanów... Lepszej nie ma aktualnie na świecie.

Zrodziło się pytanie, gdzie mógłbym dobrze wypocząć, zaszywając się w jakiejś głuszy, która zapewniłaby mi spokój i udane spacer. Najlepiej w pobliżu lasu i wody. Na nizinie. Nasi dobrzy znajomi, Gienia Pierewicz z Suwałk i Tadeusz Olszewski z Jeleniewa pod Suwałkami zaproponowali zgodnie, żeby były to Smolniki. Ustronna wieś, pięknie położona na skraju Suwalskiego Parku Krajobrazowego, gdzie jest las, jezioro i dużo polodowcowych pagórków, dokąd docierają autobusy.

### *Być w Smolnikach*

I tak trafiliśmy do rodziny Jasionowskich, Wandy i Antoniego, z którą związaliśmy się serdecznymi więzami na długie lata. Wspaniała okolica, o rzadkiej urozmaiconej urodzie, na poły dzika, bogata w jagody i poziomki, grzyby. Gdzie powietrze czyste i zdrowe, a zieleń soczysta. Gdzie pachnie ziołami i igliwem.

Od tego czasu, to jest od 1987 roku, corocznie spędzamy wakacje właśnie w Smolnikach. Nie zapominając o Jagodnicy i Podlasiu, dokąd nieustannie mnie ciągnie, gdzie bywam tak często, jak to możliwe, emocjonalnie związaliśmy się z suwalską wsią.

Dlaczego jednak Smolniki? Bo tutaj mam, a właściwie mamy, to wszystko, czego potrzebuję. Piękne tereny i życzliwych ludzi. Zwyczajnych i gościnnych, miłych i naturalnych. Jasionowscy stanowią rodzinę dużą i zwartą. Pracowitą i zaradną. Byliśmy świadkami jej rozwoju, kiedy jedne dzieci się rodziły, a inne wstępowały już w związki małżeńskie. Znamy ich radości i rozterki. Są jakby z naszej rodziny. Pozostajemy z nimi w dobrej komitywie.



*Ciągle w Smolnikach. Tym razem (zdjęcie górze) babcia Hala z wnukiem Mikołajem. Nawet najlepsza fotografia (w środku) nie może ukazać tego, co widzą oczy. Widok z polodowcowego wzniesienia na jar i Jez. Jaczno, gdzie były kręcone*

*sceny do filmu „Pan Tadeusz”. I pomyśleć, że była rozważana możliwość posadowienia w tym miejscu - gdyby doszło do wydobywania rud żelaza - elektrowni szczytowo-pompowej. Czyż nie jest to sielski obrazek (u dołu), gdy usiadłem na chwilę na kamieniu, idąc w stronę Jez. Hańcza?*

Inna sprawa, że potrzeby moje - w miarę upływu czasu - stają się coraz mniejsze i bardziej ograniczone. Znajduję tutaj spokój i ciszę. Przepiękny, bogaty krajobraz, będący wspaniałą pozostałością lodowcowego urzeźbienia terenu.

Mamy ulubione miejsca i trasy spacerowe, jedne krótkie, a drugie długie, liczące po kilkanaście kilometrów. Teren wymarzony do zadumy i sentymentalnego odczuwania piękna natury. Nic dziwnego, że twórcy filmu „Pan Tadeusz” nagrywali go tutaj.

Są tam widoki, jakie gdzie indziej nie istnieją. Popatrzyć można na zatopione w lesie, Jezioro Jaczno, pyszniące się lazurowym kolorem, a za nim - położone niżej - jest jezioro Kamendul, zaś następnie - na odległym horyzoncie - widać strzelający w niebo maszt przekaźnika telewizyjnego, wyrastający z gór Krzemieniucha. Po drugiej stronie Góra Cisowa, jak solidny wielki kopiec, zwana żartobliwie Fudzi Jamą. Skąd, gdy świeci słońce, widać kilka skrzących się jezior i hen daleko, pod Wizajnamy, obracające się ramiona prądotwórczych wiatraków. Warto wdrapać się na tę górę, żeby ujrzeć stąd przepyszny widok.

Bogu dziękować trzeba za to, co widzi się tutaj, jak i za to, że odstąpiono od bzdurnego pomysłu podjęcia wydobywania z głębi ziemi - doskonałej jakości - rud żelaza. Zniknąłby ów wspaniały zakątek Polski, ustępując bezdusznemu widokowi zniszczonej ziemi. A tu, nad Jacznem, skąd rozpościera się przepiękny widok, stanęłaby zapora i elektrownia szczytowo-pompowa...

Lubię piesze wędrówki polnymi drózkami. Czy to w stronę - na północ - Jodozior i Pobondzia, aż do Rutki-Tartaku, skąd już tylko krok do Litwy, czy też do Polemoni i Kleszczówki. Albo - odwrotnie - ze Smolnik poprzez leśne uroczysko do Dzierwan i dalej - nad Jezioro Hańcza; urokliwe, piękne obramione zielenią i skarpą, najgłębsze w kraju.

Spacer nad Hańczę, połączony z kąpielą w jej wodach, stał się rytualną potrzebą. Za rok być może powędruje tam z nami wnuczek Mikołaj.

Znam miejsca, gdzie znajdują grzyby. Zwłaszcza kurki, ale też borowiki. Idąc w stronę Udziejka, trasą bardzo urozmaiconą, mocno pofałdowaną, lubię usiąść na kamieniu polnym, by rozkoszować się urokliwym widokiem na sąsiadujące ze sobą jeziora, Kojle i Perty. Z

lasu, który tuż tuż, można skrócić w lewo i duktem leśnym oraz polnymi drózkami, zwiedzając po drodze stary młyn wodny, dojść do Cisowej Góry. Chodziłem tędy.

A można też - idąc prosto, potem skręcając w prawo - dojść na skraj Jeziora Jaczno. Zatrzymać się przy kapliczce, skąd roztacza się piękny widok, zobaczyć młyn wodny, który jeszcze tak niedawno był czynny. I albo pójść dalej, pod górę, obok źródlika i gliniasto-kamiennym wąwozem, którego prowadzi przed wiekami szlak z Polski na Litwę. Daje się tak obejść Jaczno i powrócić - od strony Dzierwan - do Smolnik.

Lub iść dalej - drogą piaszczystą, obok jeziora Kamendul - w stronę wsi Udziejek Dolny, mając po prawej ręce stary cmentarz ewangelicki. Aby bardzo urozmaiconą ścieżką dotrzeć do Łupochowa i dalej - do Rezerwatu Głazowisko Łopuchowskie, gdzie lodowiec pozostawił po sobie mnóstwo różnej wielkości głazów i kamieni polnych. Nagrodą za trud będą nie tylko owe głazy, ale też widok na zatopione w dole Jezioro Hańcza. Atrakcyjnych tras spacerowych jest tutaj wiele. Są wspaniałe. Niepowtarzalne. Taką też jest, długa i bardzo urozmaicona trasa prowadząca polnymi drózkami ze Smolnik - poprzez Mariankę - do Wiżajn.

Poznałem i polubiłem te tereny. Również leśny zakątek, gdzie gnieździ się para kruków. Ilekroć idę tam na grzyby, słyszę ostro kraczącego kruka, który urąga mi, żądając bym czym prędzej wyniósł się z jego rewiru. Znają nas, zda się, miejscowe bociany. I wiemy, utrzymując to w tajemnicy, gdzie orzeł bielik ma ukryte gniazdo. A w tutejszym kościele pod wezwaniem Św. Anny, wzniesionym w góralskim stylu, dobrze wpasowanym w otoczenie, jest ławka, na której siadamy.

Smolniki stały się naszą drugą ostoją. Pierwszą jest Jagodnica. Czy zwiążą się z nią także nasze wnuczeta?

Dwukrotnie był już tam Mikołaj. Nie wyobraża sobie, aby ktoś pozbawił go tej przyjemności w kolejnym roku. Mikołaj, co może zaskakiwać, czuje się na wsi znakomicie. Lubi zwierzęta, których tutaj wiele. Chętnie, może już nawet namiętnie, chodzi z dziadkiem zbierać grzyby i orzechy laskowe. Ma do grzybów zapał, ciąg i upór, z czego wnosić mogę, że wyrośnie na dobrego grzybiarza.





*Mikołaj, lubi jak my zwierzęta. Chętnie bawi się z kotami (u góry) w Smolnikach. Był w Paryżu, zwiedzał zamki nad Loarą, ale dopiero w Stańczykach (powyżej) zobaczył tak wyniosły wiadukt kolejowy. Na zdjęciu od lewej stoją: Halka, Wanda i Antoni Jesionowscy oraz Mikołaj Łuszczewski.*

Irenka chce iść w ślady brata. Mikołaj musiał jej naopowiadać dużo o swoich wrażeniach i przygodach z pobytu w Smolnikach, skoro i ona uparła się, by pojechać tam tego lata z dziadkami.

Mikołaj ma „swoją” krowę, którą podkarmia koniczyną, ma też konia; a potężny „Barabas” aż rży z radości, gdy go zobaczy. Nic dziwnego, chłopak podtyka mu co bardziej smaczne naręcza zielska. Ma tutaj swobodę i dużo ruchu.

Ma też ulubiony dąb, składający się z pięciu zespolonych ze sobą pni. I moc atrakcji, jakich w mieście nie znajduje. Uczy się samodzielności i odpowiedzialności oraz poznaje przyrodę. Zabawia się z kotkami i pieskami, za którymi przepada także Irenka.

Kochane dzieciaki! Chciałoby się przychylić im nieba, żeby zapaść w ich pamięć. Jeżeli dobry Bóg pozwoli żyć dłużej i da po temu siły, pozostaniemy jeszcze przy nich. Będziemy, jak teraz, radować się ich rozwojem i emocjami.



Może uda się - a bardzo chciałoby się, iżby tak było - przybliżyć im Jagodnicę i Podlasie? Nie jest ona tak atrakcyjna jak Smolniki, lecz niepozbawiona uroków. Zależałoby nam na tym, by będąc w leśniańskiej bazylice, ukłękły one - jak od dzieciństwa czyni to dziadek, a od wielu lat również babcia - przed kamienną madonną, Matką Boską Leśniańską, opiekunką Podlasia. A może zechcą sięgnąć do korzeni babci Halinki? Znajdą się pod Grodem, gdzie zacierają się ślady jej rodzinnej wsi, i trafią nad urokliwy Niemen?



*Tata Ireneusz Łuszczewski z synem Mikołajem. Mama Ela Maziejuk-Łuszczewska z córką Ireną.*

Najwięcej, we wszystkim, będzie zależało od ich rodziców, mamy Elżbiety i ojca Ireneusza Łuszczewskich. Pragnąc ich dobra, na pewno zrobią dla nich, co się tylko da.

Gdyby nie Łaska Boska, przynajmniej w moim przypadku zgasty już dawno moja gwiazdka - a wtedy i potem - nie byłoby również Smolnik.

## Głos jakby z zaświatów

Kiedy zasłabło moje serce, zaprzątnęła mną operacja. Pozytywnie myśląc o jej przebiegu, znajdowałem wsparcie w żonie i córce. Ela, jak ja, niezbyt skora do ujawniania głębi swoich uczuć i stanów ducha - teraz uświadamiała sobie powagę sytuacji. Wyczuwałem u nich, u żony Haliny i córki Elżbiety, przyjazną aurę, wskutek czego było mi lżej znosić oczekiwanie na operację.



*Poza rodzicami nasze wnuczęta miały zapewnioną także zewnętrzną opiekę. U góry: opiekunka Aneta Ryszka, Mikołaj i jego mama Ela, u dołu: Mirosława i Waldemar Bulikowie zabawiają Irenkę.*

Ufałem Bogu i zdolnościom Profesora. Szczerze modliłem się o pomoc i łaskę przedłużenia życia. W kościele i w domu, nocą podczas przebudzenia i na spacerze. Klęcząc u stóp Matki Bożej w Sejnach prosiłem Ją o udaną operację serca. To samo robiłem w Leśnej Podlaskiej. Serce było mi wówczas bliższe, aniżeli kiedykolwiek dotychczas. W myślach wzbraniałem się przed najgorszym. Poświęcam mu dlatego i teraz - w swoich wspomnieniach - tak dużo uwagi. Bardzo niechętnie wracam jednak do tego przełomowego wydarzenia.

Operacja ta była największą traumą mego życia. Związane z nią szczegóły utkwiły mi w pamięci.

Na stole operacyjnym zasypiałem pogrążony w modlitwie; mając w oczach żonę i córkę, całą rodzinę. Aneste-

zjolodzy uspili mnie na ponad siedem godzin. Nie miałem świadomości, co działo się wówczas ze mną. Zamiast własnego serca, nad którym stał ze skalpelem w ręku prof. W. Sitkowski, skupiony i natchniony, pracowało sztuczne płucoserce. Byłem całkowicie wyłączony ze wszystkiego.

Żona i córka odchodziły od zmysłów. Czas dłużył się im niemiłosiernie. Halka, jak opowiadała mi potem, była półprzytomna. Zaprzątnięta myślami o operacji, omal nie wpadła pod tramwaj. Od kolegów i przyjaciół, znajomych, telefonów było tak wiele, że w końcu musiała odłączyć aparat. Ulga nastąpiła wtedy, kiedy żona dowiedziała się o pomyślnym zakończeniu operacji.

Znajdując się już na oddziale intensywnej opieki medycznej nie wiedziałem, że jest już po wszystkim. Ciągłe podłączony do sztucznego płucoserca oraz monitorów i innej aparatury - byłem rozbudzany. Jednak łatwo to nie przychodziło.

- Panie Henryku! - nawoływał profesor W. Sitkowski.

Jest już po operacji, niech się pan odezwie...

Ten głos - miałem takie przekonanie - dochodził do mnie, jak by zza grobu. Gdzież - myślałem - jestem? Jeszcze na ziemi, czy może już gdzie indziej?

Nie byłem w stanie zidentyfikować ani otoczenia, ani ludzi, nie mówiąc o sytuacji. Profesor odzywał się do mnie wielokrotnie, a ja nijak nie mogłem zareagować.

W końcu pojąłem, że woła do mnie Profesor. Lecz nadal nie byłem w stanie niczego mu powiedzieć. Nie mogłem wydobyć choćby jednego słowa.

- Niech się pan odezwie! - nawoływał cierpliwie kardiochirurg.

A ja nadal nic. Jak zamurowany. Znowu usłyszałem głos prof. W. Sitkowskiego, który - zorientowawszy się w czym rzecz - zasugerował mi wprost:

- Proszę poruszyć palcami rąk... Niech pan da znak, że mnie słyszy!

Choć bardzo chciałem, nie mogłem poruszyć palcami. Leżałem ciągle bezradny i bezsilny.

- Niech pan poruszy okiem - profesor zmuszał konsekwentnie do reakcji.



*Czas przemija, a my - żona Halina i ja - pozostajemy wciąż dzięki Bogu razem. U góry: nad uwielbianą rzeką Niemen pod Grodnem. Na siedlisku - zdjęcie środkowe - Łuszczewskich w podwarszawskiej Magdalence, gdzie Irek i Ela mieszkają z dziećmi. Na dole: pod starym dębem nad romantyczną mickiewiczowską Świtezią na Grodzieńszczyźnie.*



I udało się wreszcie poruszyć okiem. Zadrżała moja powieka. Ucieszyło to Profesora. A mnie chciało się spać. Tak bardzo, że na zmianę, a lekarz, a to pielęgniarka budzili mnie, zmuszając do dialogu.

I tak właśnie, w półśnie i półjawie, rozpoczął się nowy rozdział mego życia. Z sercem zaopatrzonym w sztuczną zastawkę. Jak dziecko uczyłem się, od początku, odmiennego bytowania.

Podczas rehabilitacji w Aninie, wyszedłem na pierwszy pooperacyjny spacer. Świeciło słońce, było ciepło. Świat jawił mi się piękniejszy.

Aniński szpital ulokował się w podwarszawskim lesie. Wokół dużo drzew i krzewów. Na asfaltowej ścieżce, którą się przechadzałem, chodziły mrówki; stadami to w jedną, to w drugą stronę. Stąpałem uważnie, żeby tych owadów niepotrzebnie nie zadeptywać. Bo i po cóż miałbym odbierać im życie? One - myślałem - jak ja pragną żyć. A przecież nie mają się za dobrze.

I odtąd, bardziej aniżeli dotychczas, nabrałem większego szacunku dla wszelkich form życia, które w wyniku moich doświadczeń stało się mi bliższe i cenniejsze.

\*\*\*

Cóż, tego życia postaje wciąż mniej i mniej. Nie było ono w moim przypadku ani łatwe i różowe, szczególnie na początku, ani spokojnie i uładzone. Było natomiast - to pewne - ciekawe.

Czy mogę jednak, uważać, że przeszedłem przez życie z rozwagą i godnie? Z pożytkiem dla siebie oraz innych, i twórczo? Chyba tak. Na pewno zaś aktywnie. Z zachowaniem, na ile to było możliwe, więzi z rodziną i wsią oraz Podlasiem, które było i pozostało mi bliskie. Z ludźmi rolniczego trudu, z których się wywodzę i których darzę szacunkiem i uznaniem.

Czasem, nie taję tego, zastanawiam się w sposób wyimaginowany, jakby mogło wyglądać moje życie, gdybym wybrał inną drogę, niż tę, którą poszedłem? Gdybym zdecydował się na inne rozwiązania, na inne wybory i układy, które zaprowadziły mnie zapewne gdzie indziej? Jeżeli myślę o tym, to wcale nie dlatego, bym odczuwał niedosyt czegoś, bo uważam, iż spełniłem się w życiu nie najgorzej. Czynię to wyłącznie dlatego, żeby popuścić wodze fantazji. Bo też, co - tak naprawdę - decyduje o tym, że wybiera się drogę tę, a nie inną?

Pozostawmy to filozofom. Ja nie odpuszczałem sobie za wiele nawet wtedy, kiedy dopadła mnie choroba serca. Najbardziej dokuczliwa, lecz wcale nie jedyna dolegliwość, z którą przyszło mi się układać. W swoim życiu, jak dotychczas, „zaliczyłem” aż pięć operacji chirurgicznych. Zdrowie nie stanowiło zatem mego atutu.

Gdyby przyszło mi szukać tego atutu gdzie indziej, upatrywać w czym innym, to zwróciłbym uwagę na upór i wytrwałość, zdolności i intuicję, pracowitość i samodyscyplinę, ambicję. Jakkolwiek za niebagatelny czynnik uznają też szczęście.

Lecz być może - cóż za ironia losu! - owego atutu upatruję również w tym, że ta moja sercowa przypadłość zbiegła się w czasie ze zmianą ustroju politycznego w Polsce? Gdyby bowiem pojawiła się ona później, już w trakcie nowych wyzwań, musiałbym przecież z dużo większym



Ile godzin przesiedziałem za maszyną do pisania, ile stron tekstu wystukałem na niej? Tego nie sposób zliczyć. Pisałem do gazet i czasopism, ukazało się kilka książek (średkowe tytuły) mojego autorstwa i dużo więcej tych, w których znalazły się moje teksty lub były one opracowane i zredagowane z moim udziałem.





wysiłkiem zмагаć się z nowymi okolicznościami, źle znosząc - bo co do tego jestem absolutnie pewny - niepodzielnie panującą praktykę brutalnego wciskania się mamony wszędzie tam, gdzie to możliwe i niemożliwe. Byłoby mi - przyznam to szczerze - z uwagi na wiek i poglądy, a także charakter bardzo trudno adaptować się do nowej rzeczywistości i nowych wymogów. Jak też odmiennych doświadczeń i przede wszystkim - innego uprawiania dziennikarstwa. Ja bym, jestem tego pewien, nie mógł dorównać tym, którzy nie mają ani zahamowań, ani skrupułów.

Na szczęście to wszystko mnie ominęło!

Po udanej operacji serca, mając zaledwie 52 lata, co stać się mogło kresem mego żywota, przeszedłem na rentę inwalidzką. Wtedy było to prawnie dopuszczalne, ale potem już niekoniecznie. Jednakże - już po upływie rekonwalescencji - nawet wtedy nie zrezygnowałem z wykonywania zawodu i pracy społecznej, chociaż zdecydowałem zmniejszyć wysiłek. W tygodniku „Perspektywy” pracowałem tak długo, jak było to możliwe, znajdując zrozumienie u kolegów aż do likwidacji redakcji i całego kombinatu prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Stało się to w październiku 1990r.

Już następnego roku, jak wspominałem, znalazła się dla mnie część etatu w „Tygodniku Ludowym”, którego redaktorem naczelnym był Józef Mozio; jego redakcja mieściła się w Poznaniu. Publikacje mego autorstwa, dotyczące zwłaszcza wsi i rolnictwa, ekologii oraz bankowości, zamieszczałem również w innych czasopismach. Choćby w „Gazecie Rolniczej”, „Nowej Wsi”, „AutoMoto”, w „Chłopskiej Drodze” i „Agro-biznesie” czy w miesięcznikach „Bank Spółdzielczy” i „Bank i Rolnictwo”, którymi kierował red. Waław Potocki. Dzięki czemu czułem się nadal przydatny i byłem wciąż wśród ludzi. A ja zawsze bałem się tego, żeby nie trafić na daleki margines.

Ta moja twórcza aktywność nie zmalała także wtedy, może nawet wzrosła, kiedy na prośbę prezesa Kazimierza Olesiaka zostałem rzecznikiem prasowym BGŻ. Ponieważ znałem osobiście większość dziennikarzy zajmujących się problemami wsi i rolnictwa, mogłem efektywnie wypełniać powinności rzecznika prasowego, utrzymując z nimi stały kontakt.

Byłem świadkiem zmian zachodzących w bankach spółdzielczych i przekształcania Banku Gospodarki Żywnościowej w spółkę akcyjną.

Były to - przepraszam za powtórzenia - czasy tyleż trudne, co i bardzo interesujące, które mocno mnie zaprzętały.

Jednakże to mnie nie męczyło. Zadowolenie brało się stąd, iż byłem wciąż kimś i komuś potrzebny, a ponadto z tego, że umiałem coś należyście zrobić. A do tego, nie ukrywam, mogłem trochę zarobić.

Osiągnąwszy 65. rok życia, co wypadło na koniec XX wieku, zmieniłem rentę inwalidzką II grupy na zwykłą emeryturę. I wtedy, już jako pełnoprawny emeryt, choć z byle jakimi funduszami, poczułem się człowiekiem starym. Przez życie spychanym na margines. Starym, lecz bynajmniej jeszcze nie stetryczałym. Toteż także wtedy nie rozstawałem się z piórem i maszyną oraz aparatem fotograficznym. Właściwie dopiero wówczas, niestety późno, mogłem pozwolić sobie na to, żeby poświęcić więcej czasu i uwagi, także pieniędzy, sprawom regionalnym i rodzinnym, wydając książki im poświęcone.

Ta, którą kończę, pozostanie chyba już ostatnią. A więc, choć tak niewiele pozostawiam po sobie, mogę poczuwać się do satysfakcji. I rozmyślać mogę spokojnie o tym, co było i przeminęło, a przede wszystkim - być bliżej wnucząt, ich trosk oraz radości. Tak mało, a jednocześnie tak dużo?

A co dalej? Jak długo potrwa to „dalej”? O tym wie na pewno jeden Bóg.



*Tak wyglądaliśmy, żona i ja, na kilka miesięcy przed ukończeniem tej książki. Zdjęcie zrobił nam nasz dobry sąsiad Tadeusz Gogela.*

# SPIS TREŚCI

I.	PRZEKUWANIE LOSU	
	Szansa warunkowa	7
	Kłopoty nierównego startu	11
	Krzyże i ideologia	14
	Furtką do internatu	18
	Nowe zagrożenie	21
	Stara kadra, stare książki	24
II.	Z PRZEPUSTKĄ W ŚWIAT	
	Zostać nauczycielem	29
	Wariacje ZMP	31
	Czerwony krawat, zielona koszula	35
	Echa koreańskiej wojny	36
	Byłem korespondentem	40
III.	POD PRĄD, ALE DO RZODU	
	Brama nadziei	44
	Uśmiech losu	47
	Czas oczekiwać	50
IV.	W POKŁONIE WIEDZY I PRAWDY	
	Siła kolektywu	53
	Bloczek skąpany w kawie	55
	Metoda sprytu i podstęp	57
	Odwrót polonusów	59
		331

V.	PAŹDZIERNIKOWY POWIEW WOLNOŚCI	
	Pierwsze ostrogi	64
	Lewą piersią w prawe ucho	67
	Rozterki naiwnych	69
	Chłopcy z demobilu	73
	Gotowi pójść na czołgi	75
	Nadzieja i gorycz	78
	Zidentyfikowany po latach	80
	Bilet dla Kostii	83
VI.	SKOK W NIEZNANE	
	Czas nauki, czas działania	86
	Złota patelnia	88
	Igraszki z polityką	91
	Inne spojrzenie	93
	Praca bez nakazu	95
	Pójść w siną dal	97
	Obcy wśród swoich	99
	Czas katakumb	103
	Oni nie zawiedli	109
	Szkoła życia	113
VII.	CIĄGNEŁO WILKA DO LASU	
	Powrót do korzeni	117
	Od turystyki do polityki	123
	Pozostać sobą	129
	W kręgu „Gazety Chłopskiej”	134
	Serwilizm bez granic	139

VIII.	WRASTANIE W WARMIĘ I MAZURY	
	Zawładnęła moim sercem	143
	Pytania bez odpowiedzi	149
	Ja ich znałem	153
	Z ręką na modlitewniku	156
	Szli na północ osadnicy	160
	Gdzie Krym, a gdzie Książnik	164
IX.	ZNOWU W STOLICY	
	Narodziny Eli	168
	Zakorzeniony w terenie	174
	Znad Łyny nad Wisłę	180
	Piórem i słowem	183
	Być w zespole	188
	Z mucha w reku	198
X.	CENA GODNOŚCI	
	Pożegnanie ZMW	202
	Żal tego dorobku	206
	Jak w rodzinie	209
	Nie czułem się pariasem	215
	Słowa, jak skiby...	220
	Niespodzianka czy pułapka	226
	Ulga po cudzej śmierci	231
XI.	JEDNI SIĘ RODZĄ, DRUDZY UMIERAJĄ	
	Nawet krowa nie zaryczy	237
	Zatrzymać czas	243
	Dzieci Eli i Irka	247
		333

Życie brać za rogi	252
Zaczęło się od „Figi”	259
Zawsze wśród swoich?	262
Rodem z Terebeli	265
XII.    IM DALEJ, TYM BLIŻEJ	
Jaka elita, jaka klasa?	270
Uczyć się od lepszych	272
Laury i faule	276
Żona dywersantką ideologiczną?	280
XIII.   W POGONI ZA CZASEM	
Zawsze blisko ludzi	284
Pogoń za czasem	290
Za ciężki Lenin	293
Kim Ir Sen do pieca	296
„Sute caj” i kawior pożerany łyżką	301
Przepych i ubóstwo	310
XIV.   DAR ŻYCIA	
Uciec przed śmiercią	315
Być w Smolnikach	318
Głos jakby zza światów	324
***	327
SPIS TREŚCI	331





